

Requiem dla króla zbrodni

Jacquemard Serge



calibre 0.9.27

Serge Jacquemard

REQUIEM DLA

KRÓLA ZBRODNI

(Przekład: Wojciech Ludwikowski)

ROZDZIAŁ I

Czwartek, 10 stycznia 1974

Frank D'Agricola nie lubił tego widoku zza szyby samochodu.

Ponurych doków, magazynów portowych, czarnych od brudu, z dachami pokrytymi grubą warstwą śniegu. Od tygodnia Nowy Jork był dotknięty śnieżną zawieją. Młodzi o opalonych twarzach, do połowy ukrytych pod czapami, opatuleni w kanadyjki, w grubych botach, obrzucali się śnieżnymi kulami.

Śnieżne kule w dzień - pomyślał Frank z niesmakiem – a nocy noże, brzytwy albo strzelby.

Niebo było ołowiane. Miało się wrażenie, że runie na dachy składów. Na East River, na wysokości Brooklyn Bridge, odzywały się syreny statków.

Trzeba było wariata, żeby wytknąć nos w taki czas. Wariata albo kinomana. Mógł się ostatecznie wybrać do luksusowej sali na Manhattanie, w okolicach Times Square. Tylko że tam od dawna nie grano "Ojca chrzestnego". A on chciał zobaczyć "Ojca chrzestnego".

Uwielbiał ten film. Widział go już czternaście razy, ale zawsze był gotów zobaczyć znowu. Marlon Brando grał po prostu fantastycznie jako capo maffioso.

Twórcy filmu, żeby stworzyć postać Don Corleone, wybrali jako modeli wielu różnych capi maffiosi, wśród nich i jego, Franka D'Agricolę. Znał ich wszystkich. Od Vita Genovese po Franka Castello. Realizatorzy wzięli z każdego najlepsze i najgorsze cechy, zebrali razem kawałki, pokleili, żeby stworzyć coś w rodzaju Frankensteina, składającego się z wielu istnień naraz. Podczas projekcji Frank D'Agricola powtarzał sobie przy każdej scenie: "To kiedyś zrobił Vito...", "Tego typu Frank kazał sprzątnąć w Jersey City". Albo jeszcze: "Ależ, co on gada, to przecież ja powiedziałem do Giuseppa tuż przed wydaleniem go do Włoch".

Cała młodość Franka odżywała w tym filmie. Nie tylko zresztą młodość, także te lata, gdy jeszcze był na szczycie. Dawne czasy. Teraz czuł się okropnie staro. Jak długo jeszcze będzie stawiał czoło? Jak długo oprze się tej zgrai wilków, która tylko czeka na odpowiedni moment, żeby się na niego rzucić i pożreć?

Było mu zimno mimo specjalnego ogrzewania, w jakie wyposażono chevroleta.

- Włącz więcej ogrzewania - polecił siedzącemu za kierownicą

Charliemu, jednemu ze swoich goryli. Charlie wykonał polecenie, ale mruknął:

- Zdechniemy przez pana, szefie!

Frank D'Agricola wzruszył ramionami. Jeszcze sześć lat temu

Charlie nie pozwoliłby sobie na taką uwagę. Czasy się zmieniły.

Zbliżali się do Plymouth Street. Nędzna sala nie zmieniła się od

czasów niemego filmu. Zawszona dzielnica, pełna włóczęgów. To była

jedyna sala w pięciu okręgach Nowego Jorku, gdzie grano "Ojca chrzestnego". Frank D'Agricola musiał się tam wybrać, żeby po raz piętnasty obejrzeć film. Przedsięwziął odpowiednie środki ostrożności. Cadillaca superlux, którym zwykle jeździł, zostawił w swojej posiadłości na Long Island i wziął starego chevroleta z 1969 roku, własność ogrodnika. Włożył stare, pachnące stęchlizną ubranie. Kapelusz także pamiętał lepsze czasy. Czy należał zresztą do niego? Może jakiś gość go kiedyś zapomniał. Kapelusz spoczywał od tamtego czasu w kącie. Tak, był za mały na jego głowę. Czuł jak mu ściska skroń. Przecież głowa nie rośnie. Brzuch tak! Ale nie głowa. I po co ta cała maskarada? Żeby go nie zauważono w nędznej dzielnicy. W takich zakątkach lepiej wmieszać się w tłum. Kierowca skręcił. Ukazał się zniszczony fronton kina. Nazywało się Kursaal, nawet nazwa niemodna. Samochód zwolnił i zaraz stanął. Frank D'Agricola obrzucił zde gustowanym spojrzeniem obdartych wyrostków, którzy krążyli w pobliżu, zbierając odpadki. Trzeba było naprawdę bardzo chcieć zobaczyć "Ojca chrzestnego" - westchnął i położył rękę na klamce.

- Co robimy, szefie? - zapytał Charlie. - Zostajemy tu czy idziemy z panem do środka?

Frank D'Agricola zawahał się. Tyle razy kazał im oglądać "Ojca chrzestnego", że musieli już go mieć dosyć. Ale natychmiast sam siebie zbeształ. Co go właściwie obchodzi stan ich dusz? Płaci im i to grubo, żeby czuwali nad jego bezpieczeństwem.

Oстрым głosem rzucił:

- Idziecie ze mną!

Nie zwracając uwagi na posępny wyraz ich twarzy otworzył drzwiczki i wysiadł. Odsunął chłopczków, zagradzających mu drogę i wszedł do kina. Kupił trzy bilety i ruszył do wejścia na salę. Goryle szli za nim. Podał bilety do kontroli, kupił w automacie orzeszki i wszedł do środka. Z wiekiem wzrok mu się popsuł, ale nie chciał przez kokieterię nosić okularów. Wybrał rząd blisko ekranu. Goryle usiedli dalej, w miejscach strategicznych, skąd mogli jednocześnie obserwować i jego, i drzwi. Kierowca został w chevrolecie i stamtąd pilnował ulicy. Fotel był twardy i sztywny jak platforma w wagonie towarowym. Sala źle ogrzana. Nagle poczuł się stary, zmęczony i rozczarowany. Nie był nawet pewien, czy ma chęć obejrzeć "Ojca chrzestnego". Zaczął się nad sobą litować. Trzy lata temu umarła jego wierna towarzyszka życia, Domenica. Wszystko dzielnie znosiła. Syn, Johnny, poznawszy jego kryminalną działalność, ostatecznie go opuścił. Co więcej, to już był szczyt, poświęcił się walce z przestępczością, jak na ironię. Córka Sylwia, narkomanka w ostatnim stadium, żyła w komunie hippisów Ashbury'ego Heightsa w San Francisco. Całkowite fiasko. Poruszył się w fotelu, było mu niewygodnie. Kiedy wreszcie zacznie się seans? Rozejrzał się dokoła. Same ciemnoskóre twarze Mulatów. Jak w całym Nowym Jorku, odkąd przyznano im wszystkie prawa. Był przeciw temu. Porządek musi być. Każdy na swoim miejscu, a wtedy będzie dobrze. Wszystko mieli za darmo, nawet środki antykoncepcyjne, żeby nie robili więcej dzieci. Ale oni oczywiście tego nie używali,

odsprzedawali innym.

Zgasły światła. Frank westchnął z ulgą. Po aktualnościach rozpoczął się film.

Frank D'Agricola wyjął z kieszeni paczuszkę solonych orzeszków i zaczął chrupać. Oczy utkwili w ekranie. Znał na pamięć każdą kwestię i mógłby ją wypowiadać, zanim aktor zaczynał mówić.

Właśnie następował moment, gdy producent hollywoodzki budził się w pościeli przesiąkniętej krwią sączącą się z odciętej głowy jego ulubionego konia. I wtedy Frank poczuł, że coś cienkiego i zimnego ściska mu szyję. Poderwał się. Podniósł gwałtownie ręce do gardła, ale było już za późno. Miedziana linka bezlitośnie cisnęła, cisnęła, cisnęła. Próbował wstać, ale dwie potężne ręce wciskały go w fotel uniemożliwiając ruch. Dusił się. Brakowało mu powietrza, w nozdrzach paliło. Odczuwał straszny ból, a krew sączyła mu się po wargach i brodzie. Patce szukały rozpaczliwie jakiegoś punktu zaczepienia, zięby rozluźnić śmiertelny ucisk, ale chwytaly tylko próżnię.

Na ekranie przesuwaly się obrazy, tworząc jakiś ogromny i barwny kalejdoskop, który wydawał się pochłaniać całą salę. Potem kalejdoskop zaczął się kręcić i wirować.

Tuż przed śmiercią Frank pomyślał: "Co robią Charlie i Steve?" Nie mógł wiedzieć, że dwaj goryle skonali kilka sekund przed nim, w ten sam sposób.

Wtorek, 29 stycznia 1974

Mart Stonewall zapalił spokojnie papierosa, czekając aż strażnicy

otworzą przed nim wrota więzienia. Gdy się uchyliły, zrobił krok naprzód.

- Możesz spieprzać brudny czarnuchu - rzucił Chuck O'Connors, potężny irlandzki strażnik o czerwonej skórze.

Zamiast odpowiedzi Mart obrzucił go nieprzyjaznym spojrzeniem i przekroczył bramę.

- Mam nadzieję, że następnym razem to będzie na wieczność. I wtedy, możesz mi wierzyć, dostaniesz wycisk - wściekał się za jego plecami Chuck O'Connors. - Z takimi świniami, jak ty, umiemy się rozprawiać, jeśli mamy dość czasu.

Nie odpowiedział.

Na placu przed więzieniem czekał jasnoczerwony rolls-royce. Jego własny. Trzej jego ludzie, ci najwierniejsi, stali oparci o maskę.

Czego się go czepiał ten drań O'Connors? Czy Mart nie był najwyższym szefem Harlemu? Niezaprzeczalnym szefem wszystkiego, co się rozciągało z jednej i drugiej strony 127 Ulicy, między Saint Nicholas a Lexington. I rok więzienia w niczym nie naruszył jego prestiżu. Rok za pokiereszowanie brzytwą policzka tej blond dziwki, zalanej w trupa, która go znieważyla w lokalu striptizowym, gdzie, Bóg wie po co, miał niefart zajrzeć.

Ale królestwo, jakie sobie cierpliwie zbudował w Harlemie, nawet przez to nie drgnęło. Dowodził z więzienia żelazną ręką, rozkazując likwidować spryciarzy, którym się wydawało, że mogą, korzystając z jego nieobecności, zawładnąć obszarem.

Ze strony mafii nie obawiał się niczego. Przed aresztowaniem dobił targu. Prostego i owocnego dla obu stron: podział fifty-fifty bajecznych dochodów, jakie można wyciągnąć z Harlemu. Czy więc ten nędzny irlandzki strażnik więzienny, ze swymi żalonymi dochodami, miał mu odebrać przez swoje groźby szaloną radość powrotu na wolność?

Zbliżyli się jego ludzie. Uścisnął im dłonie i nim wszedł do rolls-royce'a, rozejrzał się dokoła, oddychając świeżym powiewem poranka.

Z tyłu rozciągały się budynki więzienne. Na szczycie pagórka leżało miasto Osining, pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, stan Nowy Jork, ze swym więzieniem znanym jako Sing-Sing. Na lewo płynęły brudne i leniwe wody Hudsonu. Ileż razy Mart przyglądał się rzece przez okratowane okno celi. Na dalszym planie dwupoziomowy most Waszyngtona, we mgle unoszącej się nad wikła podobny do szkieletu. Hudson był milczącym towarzyszem jego niedoli i Mart poprzysiął sobie, że w dniu opuszczenia więzienia złoży mu kurtuazyjną wizytę i zanurzy palce w błotnistej wodzie.

Był przesądny. Jak się coś przysięga, trzeba dotrzymać. Jego ludzie tupali nogami dla rozgrzewki, tak było zimno.

- Żeby tak coś małego na rozgrzewkę - zaproponował Walt Dobbs o woskowej twarzy.

- Wściekle tutaj zimno, nad rzeką - przyznał Dick Mounts.

- Poczekajcie - zatrzymał ich Mart Stonewall. - Muszę zobaczyć rzekę z bliska.

Spojrzeli zdumieni, jakby nagle zwariował.

- Rzekę? - jęknął Dick Mounts. - Ale po co?

Mart Stonewall nie odpowiedział. Szybkim krokiem ruszył ku rzece.

O mało nie pośliznął się na zlodowaciałej ziemi, a powiew silnego wiatru obrzucił mu twarz kawałkami drewna. Ostrożnie zbliżył się do brzegu i kucnął. Zamoczył palce w lodowatej wodzie trzęsąc się z zimna.

Pozostawił je tak ze dwie sekundy i wyjął. No i dotrzymał przysięgi. W niebie lubią takich, którzy dotrzymują. Nie ma wątpliwości, teraz los będzie dla niego łaskawy. I szczęście będzie przy nim.

Ogarnęła go fala radości. Tak, szczęście będzie przy nim. Ruszył z powrotem, równie szybko, jak przyszedł. Wrócił do rollsa i wsiadł.

Walt Dobbs zawrócił i skierował się ku drodze, która wijąc się biegła z boczem.

- Miło znowu pana widzieć, szefie - oznajmił Dick.

- Jak interesy? - zapytał Mart Stonewall.

- Nie ma co narzekać - odpowiedział Dick Mounts. - Bulą wszyscy bez mrugnięcia.

- Poziom wpływów stały?

- Niewielka tendencja niżkowa, ale to przecież styczeń, po świętach ludzie są twardzi.

- Nie ma kłopotów z Ritalami?* (Rital - gwarowe określenie

Włocha)

- Bo ja wiem? Takie dziwne rzeczy się dzieją. Trzeba będzie o tym pogadać.

- Dziwne rzeczy?

- No tak... Źródła, co przynosiły dochód, więcej go nie przynoszą.

Mart Stonewall zaniepokoił się.

- Jakie na przykład?

- Loteria, wyścigi, konie. A, poza tym coś nowego u Ritalów...

Zastanawiam się...

- No?

- Stary Frankie dał się zlikwidować w kinie brooklińskim, przed dwoma tygodniami. Jakie лихо go zanosło do tej nędznej salki kinowej, jego, zawsze nadzianego forsą? A co więcej, wystawili go chyba do wiatru.

Niemożliwe, żeby stary Frankie... Zawsze bezbłędny.

- A jego goryle? Przecież nie terminatorzy, Charlie i Steve? Czy to nie dziwne?

- Kierowcy Frankiego nie znaleziono?

- Nie. Wyparował.

- A wóz?

- Tak samo.

- To on ich wydał - stwierdził stanowczo Mart Stonewall,

- Komu?

Nie umiał odpowiedzieć. Zamilkł. Już chciał otworzyć usta, żeby zadać dalsze pytania, kiedy samochód nagle zahamował.

- Co się dzieje, Walt? - ryknął wściekle.

- Gliny - odpowiedział lakonicznie Walt.

- Gliny?

- Tak.

Mart Stonewall wychylił się przez okno. Biegająca z boczem kręta droga, którą jechali w kierunku Osining, była zagrodzona szlabanem.

Dwaj policjanci, w mundurach i w długich płaszczach sięgających kostek, rozgrzewali się tupiąc nogami. Jeden z nich wskazał palcem na tablicę z żółtym napisem "Objazd".

- Co to ma znaczyć? - wykrzyknął Walt. - Jak przed chwilą jechaliśmy, nie było nic takiego.

- Dobra - odrzekł Mart Stonewall. - Nie trać czasu. Bierz objazd. Objazd okazał się wąską, bitą drogą z zamarzłymi koleinami, na których rolls okropnie trząsał.

- Wysiadać amortyzatory - jęknął Walt.

- Zamknij się i zajmij prowadzeniem - rzucił Mart Stonewall.

Po pięciu minutach droga poprawiła się trochę. Po ostrym wirażu wydostali się na całkowicie bezdrzewną przestrzeń, po której krążyły dwa buldożery i cztery betoniarki.

- To nieźle, że naprawiają drogę - odezwał się Dick Mounts.

Mart Stonewall zmrużył oczy. Beton do naprawy drogi? Walt zatrzymał rollsa za betoniarką, która mu blokowała drogę i wściekle trąbił, żeby się odsunęła.

Mart spostrzegł przez szybę, jak zbliża się druga betoniarka i ustawia się tyłem do boku rollsa. Odwrócił głowę w lewo i zobaczył, jak następna wykonuje ten sam manewr.

Spojrzał przez tylną szybę. Czwarta betoniarka cofała się w

kierunku bagażnika rollsa.

Cztery betoniarki okrążyły wóz.

Nagle zrozumiał: to była pułapka. Wciągnięto go w zasadzkę. Gliny z tablicą “Objazd” to lipa.

- Wycofuj się stąd - krzyknął do Walta. - Te gnojki chcą nas złapać w pułapkę!

Walt przestał naciskać klakson, odwrócił się w jego stronę trochę przestraszony.

- Co?

- Zwiewajmy, mówię ci, szybko, głupcze!

Nic więcej nie zdążył powiedzieć. Strumień płynnego betonu, wyrzucony z ogromną siłą przez otwór w kadzi, strzaskał przednią szybę i uderzył w twarze czterech pasażerów rollsa.

Również strumienie betonu z trzech pozostałych betoniarek strzaskały boczne i tylną szybę. Wlały się do wnętrza wozu. Mart Stonewall otworzył usta, żeby krzyknąć, ale płynny beton dosięgnął już jego włosów, twarzy, wlewał się w oczy, nozdrza, usta, spływał po ubraniu, ramionach, kolanach. Czuł jakby powoli zanurzał się w ruchome piaski. Nie miał czym oddychać. Wyciągnął rozpaczliwie rękę, żeby złapać klamkę drzwiczek, otworzyć, uciec z tej straszliwej zasadzki. Ale beton bezlitośnie wylewał się na jego ciało, zatapiał je, paraliżował członki. Nie mógł zrobić najmniejszego gestu. Miał palce zlepione. Okropnie paliły płuca. Gdy beton pokrył go całkowicie, wypełniwszy płuca i żołądek, złapała go ostatnia czkawka i skonał.

Na zewnątrz jakiś człowiek ubrany w grubą kanadyjkę, zeskoczył z betoniarki na zamrożoną ziemię i podszedł do rollsa.

Chwilę obserwował samochód przepelniony betonem i uśmiechnął się.

- Dobra, chłopcy - wykrzyknął. - Wystarczy. Zatrzymajcie maszyny.

Odwrócił się i wezwał dwóch kierowców buldożerów.

- Cement był szybkoschnący, przeznaczony do robót na morzu -

wyjaśnił im. - Wystarczy więc chwila, żeby wyschło. Potem trzeba tylko wszystko pchnąć do rzeki. A wtedy, żeby ich odnaleźć...

Zaśmiał się.

Środa, 13 lutego 1974

Wkurzali go ci dranie Ritale!

Teraz, gdy dzielił z nimi swe dochody, żądali jeszcze więcej.

A potem co?

Dać im palec, to wkrótce będą chcieli całą rękę. Kłopot z tym, że

tych skurwysynów pełno wszędzie. Doszli już nawet do tego, że usiłowali

mu wyciągnąć paru ludzi. Szczęśliwie Pablo się zorientował. Zdrajców

dosięgła kara. Szczęście, że może zawsze liczyć na Pabla. Gdyby zdradził

najwierniejszy, na kogo się zdać? Na Pana Boga?

Trzeba przyznać, że dzielnicę portorykańską niełatwo utrzymać w

karbach. Ludność portorykańska Nowego Jorku jest niestała i w

konsekwencji trudno nią kierować. To ułatwia zadanie Ritalom.

Sytuacja się pogarszała, ale mowy nie było, żeby Juan Hernandez,

zwany Wilkiem, ustąpił. Zanadto cenił to złotodajne źródło: dochody

miesięczne dwieście tysięcy dolarów. Gdzie by takie znalazł?

Cóż więc robić?

Sprowadzić nowych ludzi z Portoryko? W San Juan są młodzi, zachłanni, pragnący iść do przodu. I okrutni jak tygrysy. Dlaczego by nie ściągnąć kilku do Nowego Jorku. Zastąpiliby tych, którzy mogą zdradzić na rzecz mafii.

Albo może sprzymierzyć się z Kubańczykami? Byli oprawcy z czasów Batisty, których Castro wyrzucił z Kuby, mieli potężną organizację o żelaznej dyscyplinie i skutecznie opierali się Ritalom.

No tak, ale czy nie ryzykuje, że go pożrą, tak jak ryzykuje, że pożrą go Sycylijczycy?

Głębokie westchnienie wydobyło się z piersi Hernandeza. Niełatwo znaleźć wyjście. Co więcej, nie można ufać. Ritale łatwo zwalniają spust.

Bóg jeden wie, co się mogło przydarzyć czarnuchowi Hartowi

Stonewallowi. Pewnego ranka, wypuszczony z Sing-Sing, wyparował, nie zostawiwszy śladu. Mafia miała na pieńku z Harlemem. A stary Frankie uduszony w kinie Brooklynu?

Jakieś porachunki między Ritalami? W każdym razie nie ma mowy,

żeby Juan Hernandez miał wyjść z luksusowego apartamentu w samym sercu

dzielnicy

portorykańskiej.

Rezydencja

została

specjalnie

przystosowana i tak usytuowana, że żaden budynek z nią nie sąsiaduje.

To wyklucza, żeby jakiś strzelec mógł zacząć się na dachu albo w jakimś oknie i sprzątnąć go. Ale to wszystko mi jest zbyt pocieszające. Lepiej pomyśleć o czymś innym, a zwłaszcza o wieczorze, który zapowiada się podniecająco.

Lin-Pei ma go odwiedzić. Na samą myśl przeszedł go przyjemny dreszcz. Spojrzał na zegarek. Powinna już być. Wiadomo, kobiety zawsze się spóźniają. A zwłaszcza Chinki.

Ale Lin-Pei wszystko można wybaczyć. Ze względu na jej talenty.

Najpierw talent masażystki, a następnie umiejętności w łóżku.

Przychodzi z walizką, która zawiera przybory do masażu, tubki, pudełeczka, słoiki. Zrzuca ubranie i bierze się do pracy, A jak umie pracować! Ona...

Zadzwoił telefon. Odebrał. To był Miguel.

- Szefie, jest ta Chinka.

- Sama?

-Tak, szefie.

- Niech wejdzie.

- Dobrze.

Cały budynek należał do Hernandeza i panowali tu jego ludzie.

Mała szansa, żeby się dostał jakiś intruz. Juan Hernandez nacisnął guzik domofonu, po chwili wszedł Sebastian.

- Tak, szefie?

- Przyszła Lin-Pei. Przeszukasz ją, jak zwykle, i przyprowadzisz tutaj.

- Dobrze, szefie. Nie minęło pięć minut, gdy drzwi się otworzyły i Lin-Pei stanęła przed nim. Uśmiechała się zagadkowym uśmiechem, właściwym ludziom z Dalekiego Wschodu. Przyglądał jej się z przyjemnością. Prawdziwa rozkosz ta dziewczyna. Średniego wzrostu, szczupła, twarz trójkątna, migdałowe oczy, czarne włosy sięgające pośladków, nogi dobrze zarysowane, kształtne, obiecujące. Ale naprawdę do najwyższego stopnia podniecała go jej skóra, tak gładka, atlasowa, delikatna, że trzeba było uważać, żeby jej nie uszkodzić. Przezroczysta jak nocna koszula z lekkiej tkaniny. A jak masuje! Delicium! Już czuł rosnące pożądanie.

- Postaw walizkę i zdejmij to futro - rozkazał ochryplym z podniecenia głosem.

Lin-Pei z uśmiechem wykonała polecenie. Po futrze ściągnęła suknię i botki. Przyszła kolej na rajstopy i bieliznę. Dobry Boże, jaka była piękna!

Hernandez zdjął szlafrok i położył się na wielkim, owalnym łóżu.

Wyciągnął się na plecach, ręce skrzyżował na szyi i patrzył na dziewczynę mrużąc oczy.

Teraz i ona była zupełnie naga. Wzięła walizeczkę, postawiła ją u stóp łóżka, otworzyła. Wyjęła duży ręcznik i rozłożyła na łóżku. Następnie wyciągnęła słoiki, tubki, gęsie pióra, długie i cienkie igły, aparat do masażu i wszystko ułożyła na ręczniku. Jej gesty były precyzyjne. Kiedy

skończyła, zapytała z tym samym zagadkowym uśmiechem przylepionym

do warg:

- Gotowy?

- Rozumiała po angielsku, ale mówiła słabo.

- Oczywiście, jestem gotów! - dyszał Juan Hernandez. - Możesz

zaczynać, kotku.

Zamknął oczy. Zadrżał, gdy poczuł ręce Lin-Pei na swym nagim

ciele. Lekкими, delikatnymi dotknięciami dziewczyna zaczęła masaż

mięśni brzucha.

Był do tego stopnia podniecony, że nie mógł już opanować popędu.

Przyciągnął dziewczynę i wziął brutalnie. Usatysfakcjonowany poprosił o

dalszy masaż. Wiedział, że za kilka minut dojdzie do takiego samego

stopnia podniecenia, jak poprzednio.

Lin-Pei, słysząc jego pomruki, usadowiła mu się na brzuchu i

doprowadziła go znowu do paroksyzmu rozkoszy. Potem zaczęła dalszy

masaż, stosując tym razem gęsie pióra i cienkie igły. Wbijala je w strefy

erogenne. Drżał za każdym ukłuciem. Lubił to uczucie, ciepłe fale

przenikające ciało, zapowiedź nowego doznania.

Jednym ruchem sprzątnęła wszystkie igły. Syknął. W tej samej

chwili rzuciła się na jego rozdygotane ciało z dziką namiętnością.

Gdy wstała, dyszał z rozkoszy.

- Moje uznanie - mruczał do siebie. - Te Chincezki są niesamowite.

Nie ma to jak one! Jakie znają numery!

- Kąpiel? - zapytała.

Otworzył oczy. Patrzyła uśmiechnięta.

Miał nastąpić kolejny rytuał wschodniego masażu.

Dziewczyna prowadzi cię do łazienki, pomaga się wyciągnąć w wannie i sama cię myje. Do wody wleje specjalny płyn, pachnący i niebieskawy. Potem cię wytrze, natrze i wrócisz na łóżko. Wtedy przystąpi do ostatniego masażu przywracającego elastyczność twej wymęczonej rozkoszą skórze.

Uśmiechnął się do niej. Dzielna dziewczyna. Wstał. Lin-Pei wzięła z walizki dużą kosmetyczkę i poszła za nim do łazienki. Puściła wodę, a gdy wanna była do połowy napełniona, Juan zanurzył się w ciepłej wodzie.

Lin-Pei wlała tam cały flakon gęstego, niebieskawego płynu.

Delikatnymi ruchami umyła go dokładnie gąbką, wreszcie, ciągle się uśmiechając, powiedziała:

- Odpocznij pięć minut, potem wyjdź. Przytaknął, zamknął oczy.

Czuł się znakomicie; Trochę tylko zmęczony.

Lin-Pei zasunęła wokół wanny plastikowe zasłony.

Słyszał, jak się krząta przy umywalce. Gratulował sobie, że odkrył taką perłę. Amerykanki nie pracują tak świetnie. Myślą tylko o sobie. Od czasu równouprawnienia kobiet, mężczyzna stał się zerem. Wszystko dla nich, nic dla niego, to była ich dewiza. To samo z Portorykankami, nauczyły się od Amerykanek.

Zaśmiał się przypomniawszy sobie Manolitę o manierach znieważonej księżniczki. Wychłostał ją do krwi, żeby nauczyć odpowiedniego dla kurwy zachowania.

Nagle usłyszał jakiś trzask, jakby coś się paliło. Otworzył oczy i

zdziwiony obserwował plastikową firankę.

- Lin-Pei! - zawołał.

Nie było odpowiedzi.

Coraz bardziej zdziwiony, uniósł się na rękach. Łokciem oparty o

wannę, pociągnął firankę. Dym buchnął mu w twarz.

Miał wrażenie, jakby chluśnięto na niego kwasem. Oczy, nozdrza,

pluca okropnie go paliły. Otworzył usta, krzyknął - Lin-Pei!, ale wtedy

było jeszcze gorzej. Jakby strumień ognia spływał w płuca. Jednocześnie

poczuł straszny zawrót głowy, niby trąba powietrzna, w której wirowały

plastikowe firanki. Były żółte... żółte firanki... Flakony, masa flakonów,

flakony różnokolorowe... I drzwi... Zamknięte drzwi.

Zamknięte drzwi?

- Lin-P...

I

zapach...

straszny

zapach.

Słodkawy,

obrzydliwy.

Do

zwymiotowania. Jak gorzkie migdały.

Próbował uwolnić się ze śmiertelnej pułapki. Napiął wszystkie

mięśnie i wylazł na brzeg wanny. Ostatnim wysiłkiem udało mu się

zsunąć na dywanik kąpielowy, ale nie mógł się podnieść. Ciało miał jak sparaliżowane. Słyszał tylko bicie własnego serca. Pociemniało mu w oczach, coś jakby się zapadło w okolicach czaszki. Stracił przytomność.

Nick De Luca położył gazetę obok tacki ze śniadaniem. Jeszcze go nie tknął. Zapalił trzeciego papierosa.

Zawsze palił na czczo trzy papierosy. Stare przyzwyczajenie, jeszcze z czasów, kiedy odsiadywał jedyną karę więzienia, na jaką go skazano. To był zakład karny w Alcatraz. Kawę przynoszono dopiero o siódmej, a on budził się niezmiennie o szóstej. Co innego robić w tym czasie, jak nie palić? Zapalić, żeby wypędzić te złe zapachy wydzielane przez współtowarzyszy z celi. Te brudne ludzkie zapachy tak natarczywe przy przebudzeniu.

Żył teraz w luksusie i czystości, ale zwyczaj pozostał. Czy to nie Frankie uważał, że stary kryminalista nigdy się nie oduczy swoich więziennych przyzwyczajień?

Ale Frankie nie żyje. A z nim cała epoka. Stary Frankie potwierdzał swój pogląd sposobem, w jaki trzymał papierosa w zagłębieniu dłoni. Gdy mówił, wykrzywiał kąciki ust. Miał też manię robienia stu kroków, jakby się znajdował ciągle w celi Leavenworth. Przyzwyczajień starego kryminalisty nigdy nie da się wymazać.

Stary Frankie nie żyje. Przedostatni z pewnej epoki. Ostatnim był on sam, Nick De Luca. I groziło mu, że też odejdzie.

Po Frankiem nastąpiło tajemnicze zniknięcie Marta Stonewalla, szefa Harlemu. A przedwczoraj śmierć we własnej wannie Juana

Hernandeza, zasranego Portorykańczyka. “Oni” przystąpili do ataku.

Dotrzymali słowa. Nie “oni”, “on”. Bydlak!

I wkrótce może przyjść jego kolej, Nicka De Luki. Ale co może

zrobić? Jest samotny. Ustąpić? O tym nie ma mowy. Nie on, nie Nick.

Wayne Sandborg został odkomenderowany przez FBI, żeby pomóc

DEA. Powierzono mu akcję “Guinea”.

Dziwną robotą go obarczyli. I mowy nie ma o wypoczynku!

Zdołał rozwikłać kilka poważnych spraw. A teraz miał do czynienia i

z FBI, i z DEA. Operacja musiała się udać. Na szczęście miał na ten temat

własną teorię. Pomyślał chwilę, potem wstał, podszedł do automatu

umocowanego na ścianie. Wziął kartonowy kubek, nacisnął i kawa

popłynęła. Podniósł kubek do ust, skrzywił się. Prawdziwe pomyje. Jakby

wlał wszystkie odchody z całego miasta. Obrzydliwość. Odstawił kubek i

skrótł na fotel.

Lubił tylko mocną kawę. Taką, która przyprawiała o bicie serca. Nie

ma obawy, żeby ta pobudziła jego rytm. Jedyne, co może spowodować, to

albo wrzód, albo dyzenterię.

Gdyby był czas, poszedłby do McCallsa, do irlandzkiego bistra przy

52 Ulicy. Tam przynajmniej podają kawę, jaką lubił, a poza tym jest tam

miło. Prawdziwie nowojorski nastrój. Klienci wymieniają ostatnie typy na

wyścigi w Aqueduct, dyskutują o szansach. Zakładają się na temat

przyszłych mistrzów świata w wadze ciężkiej. Człowiek czuje się tam tak

dobrze, że po zwykłej kawie stawia sobie jeszcze irish coffee - kawę z

whisky i kremem. Westchnął. Kłopot w tym, że nie było czasu, by pójść do

McCallsa. Miał zajęcie, a to zajęcie nazywa się operacja “Guinea”. A “Guinea” to był Barto Scalisio. Uderzył ołówkiem w metalowy blat biurka.

Nagle podniósł się i ciężkim krokiem zbliżył do ściany. Wisiała tam prostokątna tablica, jasnoszara, usiana pomarańczowymi paskami, na których wypisano nazwiska, daty i numery. Przyglądał się przez chwilę, potem wziął nową fiszkę i wrócił do biurka. Chwycił ołówek i wielkimi literami napisał numer, nazwisko, datę:

19. Juan Hernandez, 13 lutego 1974.

Umieścił fiszkę na tablicy i patrzył z namysłem na swe dzieło.

Numer 19... Juan Hernandez był numerem dziewiętnastym.

Wściekła wojna! Barto Scalisio dotrzymywał słowa. Ale Sandborg zamierzał nie tylko liczyć ciosy. Zgoda, Barto Scalisio podniósł dochody kwiaciarzy nowojorskich, ale ani FBI, ani DEA, ani on sam nie brali procentów od obrotów kwiaciarzy nowojorskich. Nie było więc żadnego powodu, żeby pozwolić Bartowi Scalisio prowadzić spokojnie interesy. Sandborg miał własny plan, jak mu się przeciwstawić. Wyciągnął rękę i nacisnął klawisz interkomu.

Odezwał się melodyjny głos.

- Słucham?

- Moja droga, jestem pewien, że w poczekalni ktoś umiera z niecierpliwości, żeby mnie zobaczyć.

- Tak jest.

- Moja mała Kate, dlaczego kazać mu czekać? To chyba w dawnej Rosji książęta mieli ambicję stawiać się punktualnie na spotkanie. A ja

już jestem spóźniony pięć minut.

ROZDZIAŁ II

Nowy Jork, 15 lutego 1974

Mój drogi!

Jest godzina dziewiąta w Nowym Jorku. Ty, mój biedaku, szukasz się pewnie do snu. Mam nadzieję, że przynajmniej możesz spać. Bo ja jestem zanadto wyczerpana, aby zasnąć.

Nie mogłam się odwrócić, żeby spojrzeć na ciebie ostatni raz tam, na Orly. Z pewnością pomyślałeś, że po prostu sobie poszłam. Ale to była typowa reakcja kobiecej pruderii: nie chciałam, żebyś zobaczył moje łzy. Uciekłam, żeby na ciebie nie patrzeć, i udało mi się kupić kilka flakonów francuskich perfum w pięć minut (dla mnie to rekord).

Sprzedawczyni musiała pomyśleć, że oszalałam, bo kiedy pakowała te flakony, bez przerwy płakałam.

Na pokładzie samolotu nic się nie zmieniło na lepsze. Pierwszą piosenkę, jaką usłyszałam, śpiewał Tony Benett. Opowiadała o dwojgu ludziach, którzy się rozstali, a potem odnaleźli. Druga piosenka? No dobrze. Zgadnij! Nasza! Ta, którą nucisz co rano próbując uruchomić zepsutą maszynkę do kawy.

A później był film. Oczywiście, najsmutniejszy, jaki tylko można sobie wyobrazić. "Powiedz, jak mnie kochasz" z Lizą Minelli. Przy końcu filmu byłam zupełnie rozhisteryzowana. Na szczęście pasażer obok (jakiś Grek z Cypru) był bardzo wyrozumiały. Zmusił mnie do wypicia kieliszka, potem drugiego, potem trzeciego. Udało mu się trochę mnie

rozśmieszyc. A może byłam zalana?

Na lotnisku Kennedy wywołałam małe zamieszanie. Pamiętasz dwa małe słoiki z ziołami, które nam podarowano w tej małej restauracji na Wyspie Świętego Ludwika, gdzie jedliśmy kolację? Jak celnicy odkryli te słoiki z ziołami, zaczęli być podejrzliwi. Wąchali, wciągali, położyli kilka ziarenek na języku i przesłuchiwali mnie, jakbym chciała podstępnie przemyścić do USA narkotyki.

W końcu interweniował ich szef. Zaczął się śmiać, gdy mu wytłumaczyłam pochodzenie tych słoików. Ja też się śmiałam, Ale dopiero potem...

Cathryn uwielbia moje paryskie prezenty. Jest zawiedziona, że nie przyjedziesz do Nowego Jorku. Wzięła poważnie to, co jej napisałeś na widokówce.

Na ścianie, na honorowym miejscu, wisi teraz u mnie nasza fotografia zrobiona na statku. Przypominasz sobie? Musisz pamiętać, bo to było wtedy, gdy nasi sąsiedzi wydali sobie na kolana całą butelkę bordeaux.

Kończę już. Kocham Cię.

Brenda

PS Podlewaj kwiaty, które Ci podarowałam.

PS Musiałeś przemoknąć do suchej nitki podczas ulewy na Orly, jak wyjeżdżałam. Ten deszcz mieszał się ze łzami, które płynęły po moich policzkach.

B.

Patrick Baudouin odłożył list na biurko. Żałował, że Brenda nie została dłużej w Paryżu, ale obowiązki zawodowe wezwały ją do Nowego Jorku wcześniej niż początkowo planowała.

Spędził z nią trzy cudowne tygodnie! Połowę w Paryżu, połowę na włości bez celu po południu Francji, gdzie, wyjątkowo jak na tę porę roku, panowała przyjemna temperatura. Nie mieli nic do roboty na Wybrzeżu, głównie więc leniuchowali, opychali się rybami, frutti di mare, tańczyli w lokalach. W ciągu dnia łazili po mało uczęszczanych drogach. Spędzili dzień i noc w Digne. Rankiem, gdy odstawił na podłogę półmisek ze śniadaniem i kiedy wyciągnął się obok Brendy, zobaczył ze zdumieniem, że ma oczy pełne łez.

Placz wcale nie pasował do Brendy.

Była wysoką blondynką o szarych oczach, smukła i bardzo zgrabna.

Miała w sobie coś pociągającego, czemu nie można się było oprzeć.

Wypełniała ją niczym nie zmacona radość życia. Emanowała taką energią, że ci, co ją otaczali, musieli chcąc nie chcąc dostrajać się do jej sposobu bycia, 24 godziny doby wydawało się dla niej za mało. Żyła tak, jakby jakiś kataklizm miał w następnej minucie zniszczyć świat.

Na początku Patrick z trudem nadążał za jej tempem życia. Należał raczej do ludzi, którzy wyznawali zasadę: nie rób tego dzisiaj, co kto inny może zrobić jutro. Zawsze miał na wszystko czas. W krajach Wschodu znajdował potwierdzenie właściwego sobie braku energii. Oczarowała go osobowość Brendy.

Poznał ją przypadkiem. Stała na Place de l'Etoile, wpatrzona w Łuk

Triumfalny, opatulona w futro, w białych botkach i w śmiesznej czapce z różnokolorowej wełny.

Podszedł proponując, że oprowadzi ją po Paryżu. Wtedy się zorientował, że jest Amerykanką. Przyjęła propozycję. Od razu się sobie spodobali.

Powiedziała, że pracuje w pewnym amerykańskim biurze podróży i lata po świecie, żeby przygotować organizowane przez agencję wycieczki.

Dodała, że jest niezamężna, ma 25 lat, że studiowała na uniwersytecie Columbia i mówi kilkoma językami, co jest cenne w jej zawodzie.

Urodziła się w Bronx w Nowym Jorku, z czego nie jest zbyt dumna. Jest sierotą i nie utrzymuje żadnych stosunków rodzinnych.

Z kolei on się przedstawił.

30 lat, paryżanin. Krótki pobyt na wydziale literatury, potem w szkole sztuk pięknych. Nie unormowana sytuacja. Gust eklektyczny.

Zamiłowanie do mechaniki. Grzebie się trochę w sportowych wozach kolegów, pilotów-amatorów. Rzeźbi i maluje. Opublikował dwie powieści kryminalne i napisał dziesiątki scenariuszy filmowych, z których żadnego producent nie zaakceptował. Przez sześć lat podróżował po pięciu kontynentach, imając się różnych zawodów. Docker w Nowym Orleanie, kelner w restauracji na Tahiti, "pompero" w Argentynie, smarowacz na statku panamskim, najemnik w Biafrze, prywatny detektyw w Nowym Jorku, goryl afrykańskiego potentata, handlarz złotem w Indiach.

Na razie przebywa w Paryżu.

Nie powiedział jej, że samochód sportowy, który prowadzi tak

swobodnie, należy do jednego z przyjaciół, że za mieszkanie nie płaci od trzech miesięcy, że jest winien milion starych franków kumplom, którzy mając dość duże dochody, nie dopominają się o zwrot długu.

Jego styl życia oczarował Brendę. Ciągłe zadawała mu pytania, nagabywała o przyjaciół, o plany. Zawsze wesoła, dynamiczna, roześmiana.

A teraz płacze.

Zadał jej najgłupsze pytanie:

- Dlaczego płaczesz?

- Och, nic.

Nalegał:

- Powiedz.

- Taka chandra.

Podniósł brew ze zdumienia.

- Chandra? Dlaczego?

- Na myśl, że kończy się między nami i muszę wracać do Nowego

Jorku.

Od razu stał się podejrzliwy. Tłumaczenie wydało mu się banalne.

“Kocham, najdroższy, nie chcę cię opuszczać, zatrzymaj mnie przy sobie.

Dobrze nam ze sobą Rozumiemy się, prawda? Więc dlaczego mamy się rozstać? Zostańmy razem...”.

Jeżeli jesteś słaby i się zgodzisz, koniec, bo kilka tygodni później, w

sprzyjającej chwili, nastąpi inny, znany dobrze refren: “Nie uważasz, że nam dobrze razem? Dlaczego się nie pobrać? Nie masz dość kawaler-

skiego życia? Moglibyśmy mieć dzieci. Nie chciałbyś mieć dzieci?”

Jeżeli będziesz miał nieszczęście powiedzieć “tak”, choćby szeptem, to jakbyś już stał przed urzędnikiem stanu cywilnego. W błyskawicznym tempie wydrukowane zaproszenia, suknia zamówiona, przyjaciele i rodzice zawiadomieni o szczęśliwym wydarzeniu. Znalazłeś się w pułapce.

Ale jego, Patricka Baudouina, tak łatwo nie złapią. Włóczył się po świecie, wszędzie spotykał dziewczyny gotowe nim zawładnąć.

Nie, to nie z nim.

Przede wszystkim nie miał ani centima. Goły jak święty turecki.

Czego dziewczyna może po nim oczekiwać? Niczego, poza prośbą, żeby pracowała i spłaciła jego długi.

Brenda zaczęła się tłumaczyć.

- To zabawne, zachowuję się jak dzieciak. Zaczynam płakać w pokoju hotelowym. Gdyby Cathryn mnie widziała... pęklaby ze śmiechu! Cathryn to jej najlepsza przyjaciółka. Brenda wysłała do niej widokówkę z Paryża i Patrick dopisał na dole parę słów, że będzie miał przyjemność ją poznać w Nowym Jorku.

Brenda wstała i poszła do łazienki. Przez resztę dnia była pogodna i beztraska, jak gdyby zapomniała o tym rannym płaczu.

Ale nazajutrz zaczęła na nowo. Patrick zrozumiał, że się w nim zakochała. Przyjął pozycję obronną. Brenda mu się podobała, to pewne, ale miał się na baczności. Nie chciał dać się wciągnąć w przygodę uczuciową, która go mogła daleko zaprowadzić.

Dwa dni później wrócili do Paryża. Brenda odleciała do Nowego

Jorku. Teraz dostał od niej pierwszy list. Przeczytał go parokrotnie. Czuł to samo, co w chwili jej odjazdu. Okropną samotność. I nieprzepartą chęć, żeby ją mieć przy sobie.

Czy to nie dziwne? Spędził u jej boku trzy tygodnie i wcale sobie nie zdawał sprawy, jaki był szczęśliwy. Przeciwnie, odepchnął ją. A teraz, gdy tylko odjechała, tak mu jej brakuje.

Postawił maszynę do pisania na biurku i wziął kartkę z bloku listowego. Napisze do niej. Może dzięki tej agencji podróży wpadnie znowu do Paryża.

ROZDZIAŁ III

Piątek, 22 lutego 1974

- Panie przewodniczący, czy pan zdaje sobie sprawę z tego wszystkiego, czym usiłuje się mnie obciążyć? Środki oszalamiające, fałszywe dolary, narkotyki, międzynarodowe stręczycielstwo!...

- Narkotyki i środki oszalamiające to chyba to samo, nie uważasz,

Caggio?

- To przejęzyczenie, panie przewodniczący, przepraszam...

Wpuszcza się mnie w maliny i nie pozwala się stamtąd wydostać. Uważa się nawet, że byłem właścicielem całej sieci burdelów. Ale burdel, panie przewodniczący, jest tu, w mojej głowie, tak, w mojej głowie. I tona długo!

- Caggio, chcesz, żeby sąd uwierzył, że jesteś tylko oszustem na małą skalę, drobnym przestępcą, którego występki są blahe, podczas gdy śledztwo prowadzone przez policję dowodzi, że...

- **O, pomówmy o policji, wszystko gnojki!**
- **Cofnij, co powiedziałeś, Caggio!**
- **Dobra, cofam, panie przewodniczący, to nie są gnojki, to są króle gnojków!**
- **Uważaj, co mówisz, Caggio, w przeciwnym razie odbiorę ci głos.**
- **Biję się w piersi, panie przewodniczący. Ja chciałem tylko powiedzieć, że cała policja się zmówiła przeciwko mnie. Nie wiem co jej zrobiłem, ale uwzięli się na mnie, naprawdę!**
- **Ale dlaczego, twoim zdaniem, uwzięli się na ciebie?**
- **Naprawdę nie wiem, panie przewodniczący.**
- **Pomyśl.**
- **No dobrze, żeby panu powiedzieć szczerą prawdę, myślę, że oni chcą mnie zrobić zamiast jednego ważniaka.**
- **Ważniaka?**
- **Tak.**
- **Kogo?**
- **Nie wiem. To przeczucie.**
- **Nie masz nic na poparcie swego twierdzenia?**
- **Nie.**
- **Tak samo, jak nie możesz odeprzeć poważnych zarzutów, które na tobie ciąży i...**
- **Ale nie ma dowodów!**
- **Jeśli zaufać chronologii faktów, które doprowadziły do zabójstwa Josepha Farrizziego...**

- Jestem niewinny!

- Sąd przysięgłych orzeknie. W każdym razie to przesłuchanie nie prowadzi nas do celu i nie wnosi żadnego nowego elementu, który mógłby się przyczynić do oświecenia sprawiedliwości i podważenia lub umocnienia przekonania ławy przysięgłych i sądu co do stopnia twojej odpowiedzialności w tej sprawie.

”Proszę zatem pana prokuratora, żeby zechciał teraz wygłosić oskarżenie. Przypominam, że dziś odbywa się ostatnie posiedzenie w tej sprawie. Po mowie oskarżycielskiej pana prokuratora wystąpienia obrony mogą się przedłużyć do późnego wieczora...”

„... orzeka uniewinnienie Denisa Caggia, którego uwolnienie nastąpi bezzwłocznie...”

Denis Caggio ucałował swego adwokata, mecenasa Jeana Francois Burnarda, broniącego go z zapalem i talentem. Potem Denis radośnie pozdrowił ręką Liliane i Roberta, którzy wstali z ław dla publiczności i głośno oklaskiwali werdykt.

- Spotkamy się zaraz po zwolnieniu - powiedział Caggio do mecenasa Burnarda, podczas gdy dwaj strażnicy ciągnęli go w stronę korytarza prowadzącego do więzienia.

- Zgoda, idziemy na wyzerkę. Wyglodniałem na tej rozprawie - odpowiedział adwokat z triumfalnym uśmiechem.

Formalności zwolnienia nie trwały dłużej niż 20 minut i Denis Caggio, z torbą zawierającą skromny dobytek więźnia, przekroczył wkrótce bramy więzienia i znalazł się na chodniku, gdzie czekali

mecenas, Lillane i Robert.

Liliane rzuciła mu się w ramiona.

- Najdroższy, nie masz pojęcia, jak się cieszę.

- Ja też.

Liliane zawisała mu na szyi i namiętnie całowała.

- Dobra - rzucił Robert - zadusisz go. A poza tym zmarzniemy tutaj.

Nie mówiąc już, że sąsiedztwo kryminalu zawsze na mnie działa

deprymująco. Zmywamy się?

- Dobra myśl - powiedział mecenas Burnard - tym bardziej, że

umieram z głodu. Zamówilem stolik na cztery osoby w "L'Ecu d'Or",

wczoraj wieczorem...

- Cztery osoby? Wczoraj wieczorem? - zdziwił się Denis Caggio, już

wyswobodzony z uścisku Liliane, -Ale nie mógł pan przecież wiedzieć,

że...

- Pan wybaczy - napuszył się mecenas - ale byłem pewien wyniku.

- Moje uznanie - pogratulował Robert. - Trzeba przyznać, że pańska

obrona była nadzwyczajna, gdybym się nie powstrzymał, byłbym jak

dzieciak. A Liliane, warto było to zobaczyć, niby wodospad Niagara.

- Cóż, mam wrażliwą duszę - broniła się Liliane.

- Nie stójmy tu - zdecydował Denis Caggio. Załadowali się do forda

adwokata. Pojechali do centrum.

- Ale mimo wszystko miałeś fart - szepnął Robert Denisowi do ucha.

Usadowili się we dwóch z tyłu, a Liliane obok adwokata.

Denis Caggio wzruszył ramionami.

- Tak się udaje frajera - mruknął.

- Banda naiwniaków ci sędziowie. Ciebie uniewinnić!

- Może byś się tak zamknął - warknął Denis Caggio. Mecenas

Burnard skręcił raptownie. Ukazał się jasno oświetlony plac. Naokoło były kafejki o zabloconych szybach, kina, sklepiki.

Adwokat okrążył plac i skręcił w wąską uliczkę w średniowiecznym stylu. Przy chodnikach mnóstwo samochodów. Frontony domów skąpo oświetlone.

Wkrótce zatrzymali się przed restauracją, która usiłowała udawać średniowieczną karczmę.

- „L’Ecu d’Or” - ogłosił adwokat. - Zobaczycie, boskie jedzenie.

- A jaki szampan? - zaniepokoił się Robert.

- Najlepszy wytrawny w okolicy.

Wyszli z samochodu i zatrzasnęli drzwiczki.

Denis Caggio chciał wziąć Liliane pod rękę. Dziewczyna wyrwała mu się gwałtownie.

Nagle przecięły noc potężne światła dwóch motocykli. Z rykiem wjechały w wąską uliczkę.

- Szaleńcy - skomentował Robert.

Denis odwrócił się. Oślepiiony światłami zmrużył oczy. Przycisnął się do wozu, żeby przepuścić jadących.

- Uwaga! - krzyknął Robert.

Denis zadrzał. Ręką szukał klamki. Pomyślał: “Ukryję się w środku”. Otworzył drzwiczki. Nie zdążył się schylić, żeby wsiąść do

samochodu. Rozległy się strzały, zagłuszone warkotem silników. To było tak, jakby młot pneumatyczny miażdżył mu kręgosłup, nerki, boki. Krew puściła się z ust. Upadł na mokry bruk. Jazgot motorów i już motocykle z wygaszonymi reflektorami zniknęły w ciemnościach.

Robert zauważył dwie postacie w czarnych skórach, w butach z takiej samej skóry i w jasnych kaskach. Inaczej mówiąc, anonimy, jakich dziesiątki tysięcy na drogach Francji. Leżeli na kierownicach, twarze ukryte za wielkimi okularami.

Podeszła Liliane. Uklękła przy krwawiącym ciele Denisa Caggio i wybuchnęła płaczem.

Zsinaly mecenas Burnard pochylił się nad trupem, potem się odwrócił i wymiotował piwo i kanapkę, którą zjadł w bufecie sądowym, gdy sąd przysięgłych debatował nad wyrokiem.

Robert przeklinał, że nie zorientował się w porę i nie wyciągnął pistoletu. W istocie nie miałby nawet czasu strzelić. Był kompletnie sparaliżowany. Zamierzał przy stoliku w knajpie z dobrym szampanem uczcić zwolnienie Denisa. A oto dwaj mordercy przybyli na motocyklach i wykończyli Caggia.

Nie tracą czasu, bandziory.

Wtorek, 5 marca, 1974

Dominique Orsini był bardzo dumny ze swego nowego mercedesa.

To dopiero wóz!

Szkoda, że w Paryżu ograniczono szybkość. Ale nie powinien się skarżyć. Mógł pędzić autostradą Esterel nie kłopotząc się o kontrolę

radarową i inne kombinacje wymyślone, żeby dręczyć ludzi.

Jechał do Bandol. Wkrótce będzie w Marsylii. U siebie.

Żadnego zgrzytu. Cichutki jak budzik nie nakręcany od tygodni. Ten wóz to cacko. Ale jak pali! Takim samochodem napelniał kieszenie emirów arabskich.

Rezerwa paliwa zbliżała się do zera. Jeśli nie miał się znaleźć na poboczu szosy z wyciągniętym palcem, musi kupić zaraz benzynę. Tym bardziej że przy wjeździe do Bandol jest stacja starego Justina.

Śmiesznego, starego Justina. Zawsze opowiada zabawne historyjki.

Jakiś 2 CV szykował się do wyprzedzenia go. Orsini pozdrowił kierowcę i dodał gazu. Co on sobie wyobraża? Że tą swoją blaszanką wyprzedzi jego 350 SL?

Ostatni zakręt i ukazała się stacja starego Justina. Orsini już go spostrzegł.

W

wyblakłej

niebieskiej

czapce,

w

poplamionym

kombinezonie i dobrze podniszczonych głosowych butach. Justin wytarł

gąbką szybę jakiegoś peugeota, podszedł do pompy, rzucił gąbkę; do

pojemnika z wodą i szerokim gestem pożegnał kierowcę samochodu.

Dominique Orsini zwolnił i podjechał do pompy. Zatrzymał się

obok Justina. Na jego widok stary się uśmiechnął.

- O! Co ja widzę? Ależ to pan Dominique.

- Jak leci, Justin?

- Nie najgorzej. Dziś piękne słońce, czegoż więcej wymagać od dobrego Pana Boga. No, panie Dominique, wspaniały ma pan wóz.

Majątku trzeba było, żeby to kupić.

- Piękny, co?

- Piękny jak rzadko.

- Należesz mi do pełna?

- Pewnie! Coś panu powiem miłego, panie Dominique. Żeby tylko takie, jak pański, wozy jeździły po szosach Francji, my na stacjach dobrze byśmy zarabiali na życie. Przynajmniej żłapie. To nie to, co te maluchy, co tu defilują przez cały dzień. 10 franków, 20 franków za benzynę. Nawet nie mają za co kupić aioli, ale jeżdżą.

Dominique Orsini czuł się doskonale. Wylączył silnik, otworzył drzwiczki, wysiadł i rzucił kluczyki Justinowi.

- Ma pan chwilę, panie Dominique? To opowiem coś zabawnego.

Historyjki to była specjalność Justina. Był niepokonany w tej dziedzinie. Marsylski zmysł. Opowiadania zapierające dech w piersiach, do pękania ze śmiechu.

- Dobra, Justin, zaczynaj. Mam trochę czasu - rzucił Orsini z pobłażliwym uśmiechem.

- Pewna paryżanka wyruszyła na Lazurowe Wybrzeże. Po raz pierwszy. Była z koleżanką i obie miały miesiąc wakacji. Zdecydowały się

wykorzystać ten miesiąc. Przybyły więc do Marsylii autostopem i znalazły się przed dworcem Saint-Charles z torbami i walizkami. Zna pan dworzec Saint-Charles, prawda? To nie na dworcu Saint-Charles znajdzie pan...

Nagle rozległ się warkot motorów. Wzmagał się, nasilał, torturując uszy Dominique'a Orsini. Spojrzał zirytowany.

- No proszę - powiedział Justin - jeszcze dwaj, co będą prosić o pomoc Matkę Boską. Coś u nich nie po kolei?

Jak trąba powietrzna dwa motory z siedzącymi okrakiem dwiema postaciami w skórzanych kombinezonach, w kaskach i butach, pół twarzy przykryte szalem, ciemne, wielkie okulary, podjechały i zwolniły.

W tej samej sekundzie Orsini zrozumiał.

Atak na Denisa Caggio w Dijon...

Wsunął rękę do kieszeni, żeby chwycić rękojeść pistoletu. Zaledwie dotknął zimnego metalu, gdy strzały pomieszały się z rykiem motorów.

Kule kaliber 45 rzuciły Dominique'a Orsini na przednią szybę.

Głowa się roztrzaskała. Nogi przez chwilę drżały konwulsyjnie na masce mercedesa.

Huk motorów. Zarzucenie. I już dwa motocykle wykręciły, przecięły drogę jakiemuś renault, kierowcy dodali gazu i zniknęli.

Białe jak płótno, drżący Justin stał skurczony obok pompy. Z całych sił trzymał węża nie widząc wcale, że dopływ paliwa jest otwarty, i że benzyna płynie mieszając się z krwią Dominique'a Orsini.

Powtarzał:

- Sukinsyny, sukinsyny!

Środa, 20 marca 1974

Gerard Cuyre zatrzymał samochód przed pizzerią „A la Baie de Naples” przy ulicy Vavin.

Siedzący obok Bruno Geraud spojrzął na zegarek.

- Pięć po dwunastej - stwierdził. - Idziemy do Jeannota na szklaneczkę?

- Dobra - powiedział Gerard Cuyre. - Mamy czas. Wysiedli z samochodu, Gerard przekręcił kluczyk w drzwiczkach. Bruno wziął go pod ramię i ruszyli. W tym momencie otoczyło ich trzech mężczyzn.

- Policja! - rzucił jeden ostrym tonem, pokazując legitymację z trójkolorowym paskiem.

Dwaj pozostali popchnęli Gerarda i Brunona pod jakieś drzwi i dokładnie ich obmacali.

- No, no - protestowali Gerard i Bruno - co to ma znaczyć?

- Dowiedcie się - odpowiedział ten, który już wcześniej się odzywał.

- Ale czego chcecie?

- Zabieramy was.

- Macie nakaz?

- Podpisze się w BT.

- BT?

- Szósta Brygada Terytorialna, ulica Croix-Nivert. Tam was zabierzemy.

- Nie mamy nic na sumieniu.

- To wy tak uważacie. Zobaczy się na miejscu. Broni nie mają? -

zapytał współtowarzyszy.

- Nie, szefie.

- Dobra, kajdanki.

Jednym ruchem Gerard i Bruno zostali skuci.

- Jazda, załadujcie ich.

Zbierali się gapie. Dwaj mężczyźni odsunęli ich energicznie i

wepchnęli Gerarda Cuyre i Brunona Gerauda do czarnego peugeota 404 z

anteną na dachu. Samochód ruszył, a ten, który kierował operacją,

podniósł mikrofon, przymocowany do tablicy i zakomunikował:

- Tu Clermont Ferrand. Clermont Ferrand do Angouleme. Zadanie

wykonane. Skończone.

Odłożył mikrofon.

- Jednego nie rozumiem - zdziwił się Gerard Cuyre - przecież ulica

Croix-Nivert jest w XV dzielnicy, a Montparnasse w czternastej. To nie

wasz sektor. Dlaczegoście nas sprzątnęli poza waszym sektorem?

- Jak na bandziora - drwił szef akcji - nie jesteś zbyt dobrze

zorientowany w organizacji francuskiej policji. Nie wiesz, że jest siedem

brygad terytorialnych w Paryżu i pięć na peryferiach? I że zasięg władzy

siedmiu brygad paryskich nie ma nic wspólnego z granicami dzielnic? I

możesz mi wierzyć, kompetencje szóstej BT rozciągają się na

Montparnasse. Wkrótce się zresztą przekonasz.

Gerard Cuyre spośpinał. Rzucił okiem na swego kumpla. Bruno

Geraud miał nieprzenikniony wyraz twarzy. To najlepsza postawa.

Trzeba robić jak Bruno - pomyślał. - Nie pokazywać nic po sobie. Im

mniej, tym lepiej. To dobra taktyka. Tych typów należy się wystrzegać jak dżumy. Powiesz im po prostu “Jak ładnie dzisiaj”, a oni wydedukują z tego banalnego zdania, że popełniłeś trzy zbrodnie i dokonałeś piętnastu napadów na banki. Ale z jakiego powodu nas przychwycili?

Sprawa w Lyonie, w którą Bruno i on, Gerard, byli zamieszani, datowała się sprzed dwóch lat. A jedyny, kto mógłby o tym donieść, Pascal, nie żyje od dawna. Nie ma dowodów... Dziewięćdziesiąt kilo narkotyków wyeksportowane do Nowego Jorku przed siedmioma miesiącami. Z tej strony też żadnego niebezpieczeństwa.

Jeśli chodzi o liczne interesy, które łączyły Brunona i Gerarda w Paryżu, kabarety, nocne lokale, tajne domy gry, dostawy broni, nie widział, co mogło kuleć, żadnego przecieku w ich organizacji. Wszystko szło jak po maśle. Więc dlaczego ich zwinęli? Nie. Naprawdę nie rozumiał. Jakaś pomyłka? Wykluczone. Gliny nigdy się nie mylą. Jak się do ciebie przypięli, na pewno mają coś przeciw tobie.

Ogarnęła go fala niepokoju. Może o czymś zapomniał?

Jakieś zaniedbanie? Jakiś szczegół, uznany za nie znaczący, posłużył glinom za punkt wyjścia do oskarżenia Brunona i jego?

Niepokój przerodził się w strach. Co to może być? I dlaczego gliny czekały na nich akurat naprzeciw pizzerii, gdzie mieli zwyczaj jeść w południe? Dlaczego nie wyciągnęli ich z łóżek, jak to zwykli robić?

Czarna magia, nie sposób się rozeznać w powodzi pytań przychodzących na myśl.

W lusterku widział gębę szefa. Prawdziwie świńska gęba. Z taką

mordą da im w kość.

Wieczór nie zapowiadał się wesoło. Nie czekała ich hit-parada, ale samotne krzesło wśród glin i ogień pytań.

Peugeot 404 wjechał w ulicę l'Ouest, skręcił w Texel, minął szpital Leopold-Bellan, dojechał do ulicy Vercin-getorix i skierował się na teren robót publicznych.

Gerard Cuyre rozpoznał budowę skrzyżowania Vercin-getorix, pierwszej miejskiej autostrady, łączącej kompleks Maine-Montparnasse z przedmieściami przy Porte de Vanves. Nie miała być ukończona przed 1976 r., jak czytał we France-Soir. Budowę otaczał wysoki drewniany płot, ponad którym było widać górne piętra budynku "Air France".

Na całej przestrzeni były rozsiane ogromne maszyny i dźwigi, buldożery, sprężarki, walce, koparki mechaniczne, betoniarki...

Zbiorowisko monstrualnych kształtów, nieruchomych i milczących.

Na budowie nikt nie pracował. Gerard Cuyre przypomniał sobie, że to pora przerwy obiadowej. Zdziwił się nawet, że żołądek nie przypomina mu o godzinie.

Ale, Boże drogi, w co te gliny zamierzają nas wpakować? Nie oskarżą ich chyba, że rąbnęli ołów czy miedź z jakiejś budowy publicznej, żeby to sprzedać handlarzom złomu na Saint-Ouen? Nie przesadzajmy.

Samochód sunął naprzód, zarzucał w gliniastym błocie, lawirował między stalowymi kolosami, betoniarkami, szalowaniami...

Do czego zmierza ta wędrówka po budowie? Gerard Cuyre zeszywniał. Nagle straszne podejrzenie zrodziło się w jego głowie. A

jeżeli to nie gliny i jeżeli Bruno i on dali się nabrać, jak żółtodzioby?

Otworzył usta, żeby ostrzec Brunona, ale peugeot tak gwałtownie zahamował przed walcem, że Gerard uderzył o przednie siedzenie. Zęby szczęknęły i boleśnie przyciął sobie język. Skrzywił się, otworzył usta i wtedy zobaczył lufę pistoletu przytkniętą do czoła.

- Co to znaczy?

Pomarańczowy błysk wystrzału i uderzenie, które zniszczyło mu czaszkę, były równoczesne.

W tym samym momencie Bruno Geraud z głową przedziurawioną dwoma kulami opadł na kolana Gerarda.

- Wyrzućcie ich - zarządził szef.

Otwarto drzwiczki i dwa trupy, jeden po drugim, wypchnięte na zewnątrz, potoczyły się po gliniastym błocie. Walec drogowy jakby tylko czekał na sygnał. Ruszył.

Jakaś postać opatulona w kanadyjkę, w hełmie ochronnym, ukazała się nagle za szybą kabiny. Ręce w grubych rękawiczkach zręcznie manewrowały dźwignią.

Walec pokonawszy pulchną ziemię, dosięgnął pierwszego trupa, miażdżąc go. Wśród koszmarnego szczątku skóra i kości zatapiały się w magmie pod strasznym naciskiem walca. Potem taki sam los spotkał drugiego trupa...

Pasażerowie peugeota odwrócili twarze od tego widoku i spokojnie palili papierosy.

- Podnieś szybę, Jo - powiedział jeden z nich - może chlapnąć.

- Jesteś pewien, że z budynku “Air France” nic nie widać? -

zaniepokoił się drugi.

- Na pewno. To było zbadane.

Walec drogowy kontynuował swe dzieło. Toczył się do przodu, przechodził przez dwa ciała, wracał i zaczynał na nowo.

Gdy wreszcie silnik ucichł, nie widać już było nic. Tylko ziemię, gliniastą i żółtą.

- Jo - rozkazał szef - weź gałgan. Wyczyść tylne siedzenie. Potem otwórz drzwiczki, żeby Lucien mógł wsiąść.

Człowiek w kanadyjce i w kasku ochronnym wydobył się z kabiny dźwigu, wyskoczył, w ciężkich, gumowych buciorach brodził w błocie.

Rzucił ostatnie spojrzenie na ziemię, zagwizdał wesoło i usadowił się na tylnym siedzeniu samochodu.

- No, chłopcy - rzucił, pękając ze śmiechu - udała nam się sztuczka z fałszywymi glinami!

ROZDZIAŁ IV

Czwartek, 28 marca 1974

- Co ty o tym wszystkim myślisz, Francois? - zapytał Jerome Ducuz pociągając grube cygaro.

- Coś się dziwnego dzieje, takie jest moje zdanie.

- Ale co? - nalegał Pierre Salvay.

Francois Chaive, zwany Francoisem Lyończykiem, zastanowił się, nim odpowiedział.

- To mi przypomina czystkę - powiedział w końcu.

- Czystkę?

- Tak, jakby ktoś chciał pozbyć się niewygodnych ludzi.

- I według ciebie my do nich należymy?

- Niewykluczone.

Trzej mężczyźni siedzieli w luksusowym mieszkaniu Jerome

Ducaza, przy alei Focha. Zarządzali wspólnie całością nielegalnej

działalności w Paryżu i okolicach: prostytutka, hazard, narkotyki, handel,

wymuszanie, okupy z domów publicznych, manipulacje wyborcze,

kontrabanda, oszustwa podatkowe, sprzedaż fałszywych faktur, korupcja

urzędników, oszukańcze operacje nieruchomościami, szantaż, handel

żywym towarem, okupy od nielegalnie zatrudnianych imigrantów,

nielegalne przerzuty przez zieloną granicę, morderstwa na zamówienie...

I to niepełna lista. Wszystkie nici trzymali w rękach. Ich władza

rozciągała się na cały Paryż. Kontrolowali wszelką nielegalną działalność.

Albo bezpośrednio, albo przez skomplikowaną sieć podwładnych,

korzystających z pewnej autonomii i pobierających procenty. Organizacja

funkcjonowała doskonale. Opornych bezlitośnie eliminowano. Dochody

były bajeczne.

Żeby dojść na szczyt drabiny, trzeba było twardo walczyć i

rozpychać się łokciami. Regulowano porachunki przez całe lata, za

każdym razem bardziej krwawo. I pomału rywale znikali ze sceny

zbrodni. Reszty dokonały przyjaźnie polityczne. W ten sposób ich króles-

two zdobyło solidne podstawy, które dotychczas uważali za

niewzruszone.

Jerome Ducaz był wpływowym radcą prawnym i tym maskował swą działalność kryminalną.

W związku z tym zajmował się zwłaszcza oszukańczymi operacjami

w

handlu

nieruchomościami,

przekupywaniem

urzędników,

manipulacjami wyborczymi, oszustwem podatkowym.

Miał 55 lat, ważył 120 kilo przy wzroście 167 cm. W kołach

gastronomicznych znano go jako najlepszego specja od starej francuskiej

tradycji kulinarnej. Całkowicie łysy i okrągły jak baryłka. Do tych

osobliwości dodać jeszcze można, że był stuprocentowym impotentem.

Pierre Salvay i Francois Chaive to autentyczne bandziory, ale z

czystą kartoteką sądową. Nie doznali upokorzenia aresztowań ani

okropności pobytu w więzieniu.

Francois Chaive pochodził z Lyonu, natomiast Pierre Salvay to

czysty produkt paryskiego bruku. Urodził się w okolicach więzienia Petite

Roquette, gdzie jego matka często przebywała ze względu na skłonności

do przywłaszczania sobie cudzych dóbr. Pierre wzrastał w dzielnicy

Bastylii, a później, gdy odkrył, że jego talenty mogą wnieść go w wyższe

rejony zbrodni, wyemigrował w bogatsze strony.

Nie miał jeszcze 40 lat.

Francois Lyończyk zaczynał karierę w napadach z bronią w ręku.

Miał szczęście, należał do gangów o surowej dyscyplinie. Nigdy nie unieszkodliwiała ich policja i zawsze się rozwiązywały za zgodą członków.

Później działał w Szwajcarii i Holandii, we Włoszech i Niemczech zachodnich, z gangami włosko-niemieckimi, co mu pozwoliło nawiązać owocne kontakty w całej Europie Wspólnego Rynku.

W Berlinie Zachodnim stał się potężnym organizatorem sieci kontrabandystów zajmujących się przemytem do Europy Wschodniej. Tej działalności zawdzięczał przydomek Francois "Mur Berliński" i Francois "Żelazna Kurtyna".

Żeby spokojnie działać, wpadł na pomysł oddania się pod opiekę mafii sycylijsko-amerykańskiej, która, korzystając z okupacji alianckiej, kontrolowała cały sektor Berlina Zachodniego. W zamian Francois oddawał jej część ogromnych dochodów z czarnego rynku w krajach demokracji ludowej.

Dowodem jego niezwyklej przebiegłości było nawiązanie przyjaźni z przedstawicielem Syndykatu Zbrodni w Berlinie Zachodnim - Nickiem De Luką. Ta przyjaźń przetrwała do dziś, mimo że dzielił ich Ocean Atlantycki. Nick De Luca wrócił do Nowego Jorku, a Francoisa Lyończyka wydalonono z Berlina Zachodniego. Władze amerykańskie złożyły go na ołtarzu odwilży w stosunkach radziecko-amerykańskich.

Znalazł się w środowisku paryskim z ogromną fortuną. To był jego pomysł, żeby się związać z Jerome Ducazem i Pierre Salvayem i położyć rękę na stolicy Francji.

Żeby dojść do celu, jaki sobie postawił, korzystał między innymi

szeroko z usług zbirów niemieckich i jugosłowiańskich, których przywiózł z Berlina Zachodniego do Paryża. Uważał ich za pewniejszych i wierniejszych od bandziorów paryskich, którzy za dobrze znali zwyczaje swego miasta.

Francois Lyończyk miał 50 lat. Potężna postura, wargi tak wąskie jak wyskubane brwi, oczy o bezwzględny spojrzeniu. Stracił lewe ucho wskutek strzelaniny w Berlinie. Ostatnia cecha: nie umiał się ani śmiać, ani uśmiechać.

- Niepokojące jest to - przyznał Jerome Ducaz - że nie wiadomo, co się stało z Gerardem Cuyre i Brunonem Geraud! Nie mogli w końcu tak zniknąć, nie zostawiając adresu.

- Ale zostawiając całą swoją forszę - dodał Pierre Salvay.

- To prawda - dorzucił Francois Lyończyk - nie mieli żadnego powodu, żeby to zrobić. Byłem u nich w przeddzień zniknięcia. Pili szampana, żeby uczcić otwarcie „Texacany”, naszego najnowszego kabaretu. Powierzyłem im prowadzenie go. Wszystko szło jak po maśle. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego mieliby się wynieść.

- A poza tym cała reszta - wtrącił Pierre Salvay - to, o czym sam dopiero mówileś, Francois.

- To prawda.

- I ty myślisz, Francois - zapytał Jerome Ducaz z niedowierzaniem - że ktoś by chciał przejąć nasze interesy?

- Prawdę mówiąc, nie mogę ręczyć. Ale jeśli zestawisz to, co się dzieje, nie tylko w Paryżu, ale w całej Francji, i poczekaj, nie tylko u nas,

ale u sąsiadów także. Spójrz, Niemcy zachodnie, Włochy, Belgia,

Holandia, nawet Szwajcaria!

- I “oni” nic by nie zauważyli?

- Żebyś wiedział!

- Nikt się z tobą nie kontaktował?

- Nie.

- Nawet w Marsylii?

- Nie.

Jerome Ducaz zmarszczył brwi. Żuł w roztargnieniu cygaro. Na jego napuszonej twarzy uwydatniał się wysilek umysłowy.

- Nie rozumiem - powiedział wreszcie.

- Nie ty jeden.

Pierre Salvay westchnął.

- Powiem wam coś, wam obu.

- No?

Francois Lyończyk odwrócił się w jego stronę.

- No, wystękał.

- Jedna rzecz jest do zrobienia, moim zdaniem.

- Jaka?

- Zwołać “ich”.

- To nie jest zła myśl. Co o tym sądzisz, Jerome?

Jerôme Ducaz był zajęty kontemplowaniem cudownej kolekcji

impresjonistów, rozwieszonej na ścianach gabinetu. Tyle dróg

przebytych, tyle wysiłku, tyle pieniędzy, żeby zebrać tę niezwykłą

kolekcję. Czy jego Monety, Renoiry, Sisleye, Degasy, Pissary, Cezanny miały się znaleźć w niebezpieczeństwie? Opuścił ciężkie powieki i rzucił trochę astmatycznym głosem:

- Ja się zgadzam.

Środa, 3 kwietnia 1974

Curt Falkenburg specjalnie przysposobił do swych potrzeb samolot typu Fokker-Friendship. Wnętrze składało się z ogromnego salonu-baru, łazienki, sali kinowej, wypoczynkowej i dwóch gabinetów. Jeden dla Curta, drugi dla sekretarki. Pokój wypoczynkowy miał wielkie łóżce i dwie kanapy. Całość luksusowo umeblowana i urządzona. W pokoju sekretarki maszyny do pisania i do liczenia, powielarka, kopiarka, przykryte pokrowcami.

Samolot wystartował z Hamburga o siódmej rano mimo gęstej mgły ograniczającej znacznie widoczność. Oprócz Curta Falkenburga na pokładzie byli tylko dwaj piloci, mechanik, radiotelegrafista i Dieter Klaus, adiutant.

Curt kazał sobie wyświetlić film krótkometrażowy na tematy handlowe i czekał na lądowanie w Brukseli.

Na lotnisku w tym mieście wsiadło 10 pasażerów, po czym samolot odleciał w stronę Amsterdamu, gdzie przyjął dalsze cztery osoby. W końcu skierował się do Monachium, tam przybyło pięciu mężczyzn.

Curt Falkenburg wybrał nie najkrótszą trasę, ale zygzakowatą, żeby zmylić ewentualnych szpiegów.

Gdy Fokker-Friendship wystartował z Monachium, miał na

położył sam kwiat świata zbrodni Europy Zachodniej. Oprócz Curta Falkenburga, nie kwestionowanego władcy Hamburga, w samolocie znajdowało się czterech innych Niemców: Hermann Zorff, Karl Huber, Helmut Fritsch, Reinhardt Hagen.

Pierwszy miał pod kontrolą, wspólnie z mafią, Berlin Zachodni, trzej inni kolejno: obszar Monachium i Bawarii, Nadrenię i Ruhrę, wreszcie Badenię, Hesję i Palatynat.

Północ

Niemiec

zachodnich,

zarezerwowana

dla

Curta

Falkenburga, obejmowała nie tylko Hamburg, ale także Bremę, Kilonię i Lubekę.

Na pokładzie był też Anglik, John Shelby, Angielka, gruba Doris

Churchman, dwaj Holendrzy - Peter Berghuis i Deft Valentijn, dwaj Włosi

- Giacomo Zaffarelli i Giovanni Gentili, Szwajcar Gerd Gruber, dwaj

Belgowie - Piet Van Huyten, Flamandczyk, i Charles Pernot, Walończyk,

sześciu Francuzów, Robert Francet z Lyonu, Joseph Gracia, marsylczyk,

Victor Cazzarri, nicejczyk, i Jerome Ducuz, Pierre Salvay, Francois

Chaive, zwany Lyończykiem, paryżanie.

Curt Falkenburg i Anglik Johny Shelby pochodzili z tego samego

środowiska, z arystokracji.

Curt von Falkenburg wyrzucił “von” ze swego nazwiska podczas niespokojnych lat, po klęsce Niemiec w drugiej wojnie światowej. Chciał się nazywać bardziej demokratycznie i w ten sposób przekreślić przeszłość potomka starej pruskiej arystokracji i cały dawny świat, który się z tym łączył. Z zapalem swoich 20 lat rzucił się w otchłań czarnego rynku, który kwitł wówczas w ruinach Niemiec. W wieku lat trzydziestu zebrał w zbrodniczym rzemiośle fortunę, którą można by porównywać z fortuną Kruppa.

John Shelby, godny potomek wielkiej rodziny anglo-normandzkiej, należał do typu “zmęczonych bohaterów”. Autentyczny bohater drugiej wojny światowej, nie mógł się przystosować do lat pokojowych. Podobnie przeżywało koniec wojny wielu ludzi, ale on w swej typowej brytyjskiej pysze wierzył, że jako jedyny jest tak naznaczony przez los. Rzucił się na drogę zbrodni i przeszedł wszystkie szczeble “kariery”, żeby dojść na sam szczyt. Nie zapomniał jednak swego oxfordzkiego wychowania i nie omieszkał nigdy ubarwić humorystyczną pointą najbanalniejszego zdania.

Gdy kogoś to dziwiło, Gurt Falkenburg (który go nienawidził)

wyjaśniał niewzruszenie:

- Chcielibyście, żeby Anglik nie miał poczucia humoru? Jak można

brać życie inaczej niż z humorem, gdy się mieszka w kraju najbardziej

deszczowym na świecie, najbrzydszych na świecie dziewcząt i najbardziej

niestrawnej kuchni?

Inni uczestnicy kongresu zbrodni w większości pochodzili z nizin

społecznych, ale dzięki inteligencji wznieśli się na szczyty.

Doris Churchman, Angielka, gruba pięćdziesięcioletnia lesbijka,

kontrowała większość nocnych lokali i handel narkotykami w

Londynie. Natomiast działalność Johna Shelby koncentrowała się raczej

w wielkich portach brytyjskich. Dwaj Włosi byli panami, jeden Genui,

drugi Mediolanu, i zawziętymi wrogami mafii, z którą prowadzili wieczną

wojnę. Dwunarodowość Belgów uszanowano w ten sposób, że

reprezentowali ich Flamandczyk i Walończyk. Piet Van Huyten królował

w Antwerpii i pozostawiał wolną rękę Charlesowi Pernot w Brukseli i na

południu.

Dwaj Holendrzy dzielili się Rotterdamem i Amsterdamem. Gerd

Gruber był od lat panem Szwajcarii. Jak Curt Falkenburg i John Shelby

należeli do arystokracji, tak on pochodził z wielkiej burżuazji genewskiej:

ojciec, bardzo bogaty bankier. Utrzymywano nawet, że to on pomógł

synowi w urządzeniu się i że ojcowska fortuna, równie nieoczekiwanie, co

szybko zdobyta, miała swe korzenie w zbrodni.

Jedną ze specjalności Gerda Grubera był handel bronią oraz

dostarczanie informacji różnym siatkom szpiegowskim, które namnożyły

się w Szwajcarii.

Sześciu Francuzów władało zbrodnią na obszarze Francji. Nie byli

najbogatsi,

ale

ich

obawiano

się

szczególnie.

Rozporządzali

najliczniejszymi grupami. Korzystali z najlepszych i najbardziej rozgałęzionych kontaktów międzynarodowych, z jednej strony dzięki licznym przestępcom francuskim rozproszonym po świecie, a z drugiej, dzięki znakomitym stosunkom z mafią, której dostarczali narkotyków na prawach niemal wyłączności.

Pomysł

zorganizowania

syndykatu

najpotężniejszych

kryminalistów Europy Zachodniej wyszedł kilka lat wcześniej od Curta Falkenburga. Chodziło o taki podział stref wpływów na szczeblu europejskim, żeby nie deptać sobie po piętach. A wszystko dla obrony przed ewentualnymi konkurentami z Ameryki...

Na początku były tarcia, zadrażnienia, obrazy, zraniona duma narodowa.

Ale w końcu usunięto trudności, przyczyniła się do tego prostytucja.

Tam współpraca na szczeblu europejskim okazała się najłatwiejsza i najszybsza do zorganizowania.

Stworzono szeroką sieć wymiany prostytutek. Podejrzane dzielnice

Mediolanu, Londynu, Paryża, uliczki Genui, Rotterdamu, Antwerpii,

Liverpoolu,

Marsylii,

Reeperbahn

w

Hamburgu,

kafejki

z

dziewczynkami w Brukseli, bary Nicei, Lyonu, Pigalle, Monachium,

Amsterdamu, Glasgow - w krótkim czasie zaludniły się kreaturami z całej

Europy.

Nie zaniedbano egzotyki. Naganiacze importowali nowe kadry z

Jamajki, Gujany Holenderskiej, z Afryki Północnej, z dawnego Konga

Belgijskiego, z Hongkongu, z Singapuru.

Ale koneserzy najbardziej poszukiwali Francuzek.

Wspólny rynek zbrodni zaczął stopniowo funkcjonować coraz lepiej

ku ogólnemu zadowoleniu.

Holender, Peter Berghuis, wykrzyknął kiedyś ze śmiechem:

- Jeśli im się nie uda stworzyć w Brukseli Wspólnego Rynku

Europejskiego, niech przyjdą do nas, my im poradzimy!

Curt Falkenburg czekał, aż Dieter Klausie rozniesie wszystkim

napoje. Sam siedział w fotelu, w salonie-barze, z nogą założoną na nogę,

miną trochę znudzoną i obserwował twarze członków syndykatu.

Przeprowadził już rozmowę z Francuzami, którzy wsiedli w

Brukseli razem z Belgami i Włochami. Rozważał kilka zdań, które miał

wygłosić otwierając naradę.

Dieter Klaus odstawił pustą tackę na bar i wrócił na swoje miejsce.

Curt Falkenburg spojrział na niego.

- Przynieś aparat.

Dieter Klaus wykonał polecenie i postawił na stoliku obok **Curta**

Falkenburga czarno-biały aparat.

Curt Falkenburg w momencie tworzenia Syndykatu miał do

rozwiązania problem językowy. Członkowie Syndykatu najczęściej używali francuskiego i angielskiego, ale nie wszyscy obu tych języków.

Tak więc Anglicy, Niemcy i Holendrzy mówili po angielsku, podczas gdy inni tylko po francusku, z wyjątkiem **Gerda Grubera**, **Francois Chaive** i **Piet Van Huytena**, którzy znali oba języki.

Dyskusje odbywały się więc po angielsku dla Holendrów, Anglików i Niemców, po francusku dla pozostałych. **Dieter Klaus** tłumaczył symultanicznie w jedną lub drugą stronę. Umożliwiał to specjalny aparat.

Przewody na suficie kabiny samolotu prowadziły do słuchawek, umieszczonych na oparciach foteli zajętych przez uczestników konferencji.

Dieter Klaus usiadł, a jego szef wstał. Odchrząknął i zaczął mówić po angielsku, asystent tłumaczył.

- Jestem szczęśliwy przyjmując was wszystkich na pokładzie - oświadczył. - Nie wiem, jak długo potrwa nasza konferencja, ale już państwa zachęcam do założenia słuchawek, żeby śledzić tłumaczenie - pomógł sobie gestem.

- W żadnym wypadku - ciągnął dalej - nie macie państwo czego się

obawiać. Samolot krąży obecnie nad Niemcami zachodnimi, a nasz zapas paliwa jest więcej niż wystarczający, w razie gdyby posiedzenie miało się przeciągnąć. Dodam ponadto, że trasa lotu jest całkowicie legalna i została zgłoszona w Lotnictwie Cywilnym, tak że i z tej strony nic nam nie grozi - gratulował sobie w duchu pomysłu, żeby narady Syndykatu odbywały się w powietrzu.

Któż mógłby ich szpiegować na wysokości 1500 metrów nad ziemią?

- Zebranie zostało zwołane na prośbę Francuzów, a ściślej mówiąc Jerome Ducaza, Francoisa Chaive i Pierre Salvaya.

Wszystkie twarze zwróciły się ku trzem mężczyznom.

- Oddaję więc im głos - zakończył.

Jerome Ducaz z trudem, ze względu na tuszę, wstał z fotela, podszedł do baru, oparł się o blat. Był zawodowym adwokatem, nawykłym do przemawiania. Jego więc wyznaczyli Pierre Salvay i Francois Lyończyk, żeby mówił w ich imieniu.

- Moi przyjaciele i ja - zaczął astmatycznym głosem - prosiliśmy o zebranie Syndykatu, bo we Francji dzieją się dziwne rzeczy. Nie tylko w Paryżu, który jest naszym terenem działania, ale także w Lyonie, Marsylii, Nicei. Potwierdzają to Joseph Gracia, Victor Cazzarri, Robert Francet, z którymi odbyliśmy rozmowę przed wejściem na pokład. Identyczne wypadki zanotowano także w innych stronach Francji. Zabieram więc głos, delegowany przez wszystkich obecnych tu Francuzów.

Najpierw chciałbym wam zrelacjonować fakty, które wydały nam

się dziwne. Wszystko zaczęło się mniej więcej miesiąc temu, dokładnie 22 lutego, zabójstwem Denisa Caggio w Dijon. Został uniewinniony przez sąd przysięgłych i zaraz po wyjściu z budynku zastrzelony przez zbójów na motorach. Tak samo Dominique Orsini, jeden z zastępców Josepha Gracii, obecnego tu z nami. Brał benzynę w stacji obsługi przy wjeździe do Bandol. Wynurzyli się dwaj mordercy na motorach i zabili go. To się zdarzyło 5 marca. Ale poprzednio, 28 lutego, trzech nasi ludzie, którzy spokojnie jedli obiad w restauracji niedaleko Porte Champerret w Paryżu, zostali zastrzeleni przez trzech zamaskowanych osobników. Aha, zapomniałem powiedzieć, że Denis Caggio był jednym z najlepszych ludzi Roberta Franceta z Lyonu, który tu siedzi między nami.

Kontynuuję: 8 marca Jo Balabanian, odpowiedzialny z naszego ramienia za prostytutkę w stolicy, został zastrzelony w środku Paryża przez trzech mężczyzn, jadących samochodem. Tego samego wieczoru zginął Jacques Verdier, dyrektor jednego z naszych klubów gry w Paryżu, zabity w ten sam sposób. Cztery dni później kolejny nasz człowiek wyleciał w powietrze w swoim wozie. Wkrótce dwaj inni zostali aresztowani przez fałszywych policjantów: wyprowadzono ich z restauracji pod pretekstem, że mają iść do komisariatu i zabito w alei Carnot.

Jerome Ducaz odetchnął przesuając wzrokiem po twarzach obecnych. Były poważne i napięte, czoła zmarszczone, szczęki zaciśnięte. - Tego samego dnia - ciągnął dalej - zaginęli dwaj nasi najlepsi ludzie, Gerard Cuyre i Bruno Geraud. Niektórzy z was ich znali. Zniknęli

bez śladu. Zagadkowo, bez żadnego powodu. Żeby zamknąć listę śmierci i zniknąć, dodam, że Joseph Gracia stracił w ciągu dwóch miesięcy siedem osób. W tym samym czasie Victor Cazzarri z Nicei - jedenastu. A Robert Francet w Lyonie - dziewięciu. I nikt nie może powiedzieć, z jakiego powodu zostali zabici.

Ale to nie wszystko. W omawianym okresie sześćdziesiąt trzy, powtarzam, sześćdziesiąt trzy lokale rozrywkowe, w większości dansingi, zostały zniszczone wskutek pożarów w Nicei i Marsylii albo w pobliżu tych miast, w każdym razie wszystkie, powtarzam - wszystkie należały do Josepha Gracii lub Victora Cazzarri.

W Paryżu, Lyonie, Marsylii i Nicei zaatakowano 83 bary, w większości wypadków ostrzelano je. Podczas tych akcji trzy pracujące dla nas dziewczyny zostały zabite, a dziewięć rannych. Cztery domy gry, odwiedzane przez luksusową klientelę, zaatakowano. Spowodowało to nieodwracalną utratę klientów. Na ulicach Paryża, Marsylii, Lyonu i Nicei prostytutki są ofiarami systematycznych napadów. Atakowane brzytwami wychodzą z tego tak zeszpecone, że nie mogą już wykonywać zawodu.

Dochody naszych zakładów rabują bandy młodych, przy czym nie wydają się oni obawiać represji. Trzy konie wyścigowe z naszych stajni zostały w tajemniczy sposób otrute. Pokładaliśmy w nich wielkie nadzieje, licząc, że zdobędą główne nagrody w przyszłym sezonie.

Oprócz tego nasze szeregi dziesiątkują liczne aresztowania.

Informatorzy dostarczają policji wiadomości na nasz temat. Szczególnie duże straty poniosła sieć handlu narkotykami, 43 ludzi aresztowanych, w

trakcie sądenia. Nie wspomina o krachu finansowym. 632 kilogramy narkotyków przejęte, to jest dwa i pół miliona dolarów według ceny w Marsylii i 9 milionów dolarów według ceny w Stanach Zjednoczonych. Katastrofa! A policja, czy to francuska, czy amerykańska, wydaje się korzystać z szerokiej pomocy. Zawsze wie, gdzie znajdują się narkotyki. Zna paserów. Żadna kryjówka nie pomaga. Falszywe cięższe, słoiki z Nescafe, zelówki od butów, drewniane ramy obrazów mistrzów, stalowe płuca, kielbaski napelnione narkotykami, falszywe butelki wina Bordeaux... Wykazuje się szczyty pomysłowości, ale policja wykrywa nasze nowe kryjówki w rekordowym czasie. Obecnie pozostaje tylko bagaż dyplomatyczny.

Nakreśliłem państwu obraz sytuacji. Zdaniem obecnych tu sześciu Francuzów, wypadki, o których mówiłem, nie są sprawą przypadkową. Są zaplanowane. Jesteśmy świadkami jakiegoś spisku!

Obwisłe policzki Jerome drżały trochę pod wpływem wysiłku, ale zachował godny wygląd prezesa jakiejś rady nadzorczej, który nakreślił pesymistyczny obraz sytuacji przedsiębiorstwa.

Curt Falkenburg zmarszczył czoło, zwracając się do Ducaza.

- Spisek? Ale któż by za tym stał?

- Nie mam pojęcia.

- A wśród waszych konkurentów we Francji? Teraz odpowiedział

Francois Lyończyk. Po angielsku, którym władał znakomicie od czasu pobytu w Berlinie Zachodnim.

- Nie ma o tym mowy. Nikt we Francji nie jest dość silny, aby

atakować na tyłu frontach równocześnie.

- A Korsykanie? - podsunął Karl Huber, monachijczyk.

Z kolei zabrał głos Joseph Gracia, a Dieter Klaus przetłumaczył.

- Korsykanie nie mają we Francji takiej potęgi, jak kiedyś -

oświadczył swoim chrapliwym głosem. - W Marsylii środowisko jest

podzielone między tych z północnej Afryki, Czarne Stepy z Algierii,

Cyganów, Włochów, Tunezyjczyków i Korsykanów. Najsilniejsi są

Korsykanie, ale mają dość roboty, żeby bronić własnych terenów bez

zagładania do cudzych w Nicei, Paryżu czy Lyonie. Co do Unii

Korsykańskiej, o której się mówi w gazetach, to wymysł dziennikarzy,

zwykła kaczka.

- Jest coś z prawdy w tym, co mówi Jerome - wtrącił Piet Van

Huyten. - Ja też zauważyłem dziwne rzeczy w Antwerpii. Trochę inne niż

te, o których opowiadał Jerome, ale równie zaskakujące.

- Ale co? - zapytał Curt Falkenburg.

- Chińczycy...

- Chińczycy? - zdziwił się John Shelby.

- Tak, Chińczycy. Przyplýwali na statkach małymi grupami i

stopniowo nabierali znaczenia. Aż nagle znalazło się na rynku tyle

narkotyków, co buraków cukrowych na polach Flandrii. Ponieważ

większość nie miała prawa pobytu, spowodowałem, że policja ich

wydalila - dodał.

- I wszyscy znaleźli się w Rotterdamie - dorzucił brutalnie Delf

Yalentijn - w dzielnicach portowych. Posługując się nożem, karabinem, są

na dobrej drodze do zapewnienia sobie monopolu w prostytucji i narkotykach.

- Sami widzicie, też macie kłopoty - triumfował Jérôme Ducaz. -

Spotyka się ich także w Amsterdamie - dodał Peter Berghuis. - Przywożą "brown sugar".

- "Brown sugar?" - zdziwił się Giacomo Zaffarelli. - Co to takiego?

Peter Berghuis przybrał uczony ton, żeby wytłumaczyć:

- Narkotyk z Dalekiego Wschodu. Mieszanina heroiny i kofeiny.

Występuje w formie kryształków. Przed wstrzyknięciem wystarczy rozpuścić w niewielkiej ilości wody.

- Cena? - zainteresował się od razu Robert Francet.

- Dwa czy trzy razy wyższa od zwykłej heroiny, ale za to z tej samej ilości otrzymuje się cztery razy więcej porcji.

- Peter, sprzedajesz? To mnie interesuje - informowała się Doris Churchman.

- I mnie.

- I mnie.

- I mnie.

Mieszaly się głosy podniecone perspektywą zysku. Peter Berghuis odwrócił się w fotelu i gestem ręki uciszył zebranych.

- Całkowita pomyłka. Nie mam ani grama. To Chińczycy są monopolistami. Zresztą niedużo tego w Amsterdamie. Chińczycy dają się łapać glinom. Ostatnio złapano czterech. Wysiedli z samolotu z Hongkongu z walizkami śmierdzącymi naftaliną. Kiedyś to był dobry

chwyt. W ten sposób przytępiało się węch psów policyjnych. Ale teraz uczą tego celników w szkole. A ci, którzy to jeszcze stosują, łatwo dają się złapać.

Curt Falkenburg zaczął gestykulować.

- Rozpraszamy się, rozpraszamy się. Nie jesteśmy tu po to, żeby rozprawiać o interesach. W każdym razie jeszcze nie teraz. Może później, jeżeli starczy czasu. Na razie chodzi o to, żeby wiedzieć, czy mamy do czynienia ze spiskiem przeciw Organizacji, a jeśli tak - o zbadanie, kto się za tym kryje.

- Mafia - rzucił Giovanni Gentili z nienawiścią w oczach. - To ona, jestem pewien!

Jego ziomek dodał:

- Niewykluczone!

- Ja także zauważyłem dziwne rzeczy - podjął mediolańczyk. -

Niemal to samo, co opowiadał Jerome. Jednego z moich zastępców zastrzelono, kiedy wyprowadzał psa. Innego znaleziono nieżywego w bagażniku własnego mercedesa. Jeszcze inny został zamordowany na parkingu koło swojego domu. Wszystko w tym samym czasie, co we Francji.

- U mnie to samo - potwierdził energicznie Giacomo Zaffarelli. -

Straciłem ośmiu ludzi w przeciągu trzech miesięcy. Nie zamierzałem wam o tym mówić, bo myślałem, że to sprawy lokalne, ale teraz, gdy Jerome ujawnił fakty, uważam to za szczególnie podejrzane.

- To jeszcze nie znaczy, że odpowiedzialna jest mafia -zauważył

Gerd Gruber.

- A kto inny? - bronił zapalczywie swojej tezy Giovanni Gentili. - Od lat usiłują mnie dostać w Mediolanie. Zdychają z głodu na południu Włoch. Więc Sycylijscy i Kalabryjscy emigrują masowo na północ. Żeby pracować w okręgach przemysłowych Mediolanu i Turynu. Ale wśród nich są nie tylko robotnicy. Są także mafiosi. Przez cały czas usiłują mnie zniszczyć. Nigdy im się nie udało, ale muszę się mieć stale na baczności.

- To samo dzieje się w Genui - przytaknął gorąco Giacomo Zaffarelli.

- Mnie się zdaje, że przesadzacie z powagą sytuacji - sarkastycznie skomentował John Shelby.

- Oczywiście - poparła go Doris Churchman.

Jako Anglicy, dawali do zrozumienia, że sprawy kontynentu mało ich interesują - wyspiarski charakter kraju chronił przed tymi niepokojami.

- Niezupełnie zgadzam się z Johnem - zabrał głos Victor Cazzari z Nicei. - Wy, Anglicy, jesteście daleko. Macie to w dupie. Poczekaście, aż do was przyjdą. Są już u was Maltańczycy, Hindusi, Pakistańczycy i Jamajczycy, poczekaście na Sycylijszyków.

- Ale czego szuka mafia, jeśli to rzeczywiście ona za tym stoi? - zapytał słusznie Hermann Zorff, król Berlina Zachodniego. - Miałem z nią do czynienia w Berlinie, rozumieliśmy się bardzo dobrze.

- I jaka mafia? - zauważył Charles Pernot. - Sycylijska czy amerykańska?

- W gruncie rzeczy to to samo - mruknął Giacomo Zaffarelli.

- Nic podobnego. Są w wojnie.

- Nie wtedy, kiedy mają wspólne interesy.

- Nie odpowiedziano na moje pytanie - nalegał Hermann Zorff. -

Czego szuka mafia, jeśli rzeczywiście ona się za tym wszystkim kryje?

Wszyscy zamilkli. Nikt nie umiał odpowiedzieć na to pytanie.

Curt Falkenburg potrząsnął parę razy głową i zdecydował się mówić.

- Nie możemy się gubić w domysłach. Tracimy na to godziny.

Najpierw chciałbym wam przekazać moją opinię. Moim zdaniem

Francuzi mają rację alarmując nas, bo sytuacja wydaje się poważna.

- I jak jeszcze! - potwierdził Giovanni Gentili.

- Czy wszyscy są tego zdania? - zapytał Niemiec. Poza dwójkiem

Anglików wszyscy byli zgodni w ocenie sytuacji jako niepokojącej.

- Teraz - ciągnął Curt Falkenburg - musimy się zastanowić, jakie środki przedsięwziąć. Co proponujecie?

- Zapolować na Sycylińczyków! - zaproponował Giovanni Gentili.

Oczy mu płonęły ze złości.

- To nierealne - zaśmiał się Piet Van Huyten.

- Nie wiadomo, czy oni są odpowiedzialni - miał wątpliwość brukselczyk.

- A jeśli jednak oni? - sugerował Peter Berghuis.

- Dlaczego się nie upewnić? - zauważył Reinhardt Hagen.

Niemiec, Helmut Fritsch, jedyny, który się dotychczas nie odezwał,

zwrócił się teraz do swego ziomka:

- To znaczy?

- Dlaczego nie nawiązać kontaktu z mafią? - sprecyzował Reinhardt Hagen.

Dłuższy czas panowała cisza, wszyscy rozważali tę propozycję.

- To nie jest zły pomysł - powiedział wreszcie Deft Valentijn.

- W czym nas to posuwa naprzód? - miał wątpliwości Giovanni

Gentili, obawiając się, że oddała się perspektywa świętej wojny przeciw Sycylińczykom.

- Zobacz się, jacy są naprawdę - odezwał się Robert Francet.

- Zgadzam się z tobą - przyznał Pierre Salvay.

- Także zgoda.

Jerome Ducaz, dwaj Belgowie i dwaj Holendrzy przyłączyli się do nich.

- Kto nawiąże kontakt z mafią? - zapytał Curt Falkenburg.

Znowu zapanowała cisza.

- Jeśli sobie życzycie - zaproponował Hermann Zorff - mogę się poświęcić. Jak powiedziałem przed chwilą, w Berlinie Zachodnim miałem znakomite stosunki z mafią. Będzie mi łatwo skontaktować się tam z ich przedstawicielem i dowiedzieć się, co w trawie piszczy.

Curt Falkenburg skinął głową potakująco. - Co o tym myślicie? - zapytał innych.

- Mam znakomity pomysł - powiedział nagle Francois Lyończyk. -

Mój przyjaciel jest wpływowym członkiem mafii. Mafii amerykańskiej.

Poznałem go właśnie w Berlinie Zachodnim. Mógłbym może skoczyć do Stanów. Nic nie mam przeciw propozycji Hermanna, ale zdaje mi się, że korzystniejszy będzie kontakt z jednym z wielkich szejków w Stanach Zjednoczonych niż kontakt miejscowy. Co o tym powiecie?

- Głosujemy! - zawołał Gurt Falkenburg. Propozycja Francois

Lyończyka została przyjęta jednomyślnie.

- Powiadomię was o wynikach - zapewnił.

- Napijmy się, zasłużyliśmy na to - ogłosił Curt Falkenburg.

Dieter Klause odetchnął z ulgą ocierając pot z czoła. Symultaniczne tłumaczenie zupełnie go wyczerpało.

ROZDZIAŁ V

Piątek, 5 kwietnia 1974

Wayne Sandborg rzucił okiem na zegar elektryczny, jedyną ozdobę ściany. Godzina 15.12. W ciągu półtorej godziny rozpocznie się masowy wyjazd na weekend. Dla wszystkich nowojorczyków, tylko nie dla niego. Jest przygwożdżony przez operację "Gwinea". Trzeba przyznać, że przyjmuje ona dobry obrót, Posunął już swoją królową na szachownicy.

Teraz my dwaj, Barto Scalisio!

Złapał kartkę z biurka i przeczytał raz jeszcze tekst z nagłówkiem "Drug Enforcement Administration".

Był to raport przysłany z Paryża przez przedstawiciela tej instytucji w stolicy Francji. A raport mówił jasno: we Francji dzieją się dziwne rzeczy.

Ciekawe. Jak coś się rusza we Francji, wstrząsy odczuwa się w

Stanach Zjednoczonych. W pewnych kołach w każdym razie. Czy ma to coś wspólnego ze sprawą, którą on się zajmuje? Okaże się.

Samolot do Waszyngtonu startował z lotniska Kennedy o 18.50.

Miał jeszcze sporo czasu, żeby przestudiować dokumenty i odkryć ślad wskazujący na związek między operacją “Gwinea” a aferami francuskimi.

Następnie musi jechać na lotnisko Kennedy i oddać raport

wielkiemu bossowi. A ten, jak w każdy piątek, zda sprawę w

Waszyngtonie. Zagłębił się w dokumentach, ale nie odkrył nic, co by go

mogło naprowadzić na ślad. Trochę zniechęcony obrócił się w fotelu i

zagłębił wzrok w interkomie.

Miał robotę na cały weekend, na sobotę i niedzielę. Ale wieczory? A

zwłaszcza dzisiejszy wieczór? Wolne. Więc...

Nagle podjął decyzję. Nacisnął guzik interkomu.

- Kate?

- Tak, słucham?

- Co robisz podczas weekendu?

W melodyjnym głosie słyszało się wahanie.

- Leczę mój reumatyzm.

- W twoim wieku?

- Dla reumatyzmu nie ma lat.

- Znam dobre lekarstwo na reumatyzm.

- Jakie?

- Tłuszcz tygrysi.

- Co takiego?

- **Tuszcz tygrysi.**
- **Tuszcz... tygrysa?**
- **Właśnie tak, moja droga.**
- **To skuteczne?**
- **Jak woda na płonącą zapalkę.**
- **Ale gdzie można znaleźć to lekarstwo?**
- **U mnie.**
- **No, no...**
- **Przywiozłem sporo funtów z Sumatry. To jedyne miejsce na świecie, gdzie można zdobyć tłuszcz tygrysa.**
- **To się połyka?**
- **Oszalalaś, moja droga? Trzeba się tym nacierać. Istnieje specjalna technika. Trzy miesiące spędziłem u tubylców na Sumatrze, żeby stać się ekspertem w tej materii. Chcesz spróbować?**
- **Czemu nie?**
- **Dziś wieczór o dziewiątej w barze hotelu Americana?**

Nowy Jork, 6 kwietnia

Mój drogi!

Próbowałam przekonać dyrektora agencji, że nieodzowny jest mój powtórny wyjazd do Paryża dla ostatecznego ustalenia trasy turystycznej, którą organizowałam, kiedy ciebie poznałam. Nie udało mi się jednak uzyskać jego zgody. Jestem mu potrzebna na wyjazd do Rio. Tak więc na razie nici z Paryża. Oczywiście, to się odłoży na później. Nie przejmuj się. Na pewno jak nie teraz, to później uda mi się

wskoczy do samolotu do Paryża, żeby się schronić w twoich ramionach. Bądź spokojny, ten dzień nadejdzie. Może nawet wcześniej niż myślisz.

Byłam wczoraj w ZOO (w małym, tym w Central Park, nie w tym w Bronx. Mówiłam ci, że się urodziłam pół mili od ZOO w Bronx?). Przeczytałam w gazecie, że lwica urodziła dwoje dzieci, dwa lwiątko. Czarujące. Zawsze mnie fascynowały dzikie zwierzęta, a zwłaszcza drapieżniki. Ale drapieżnik najbardziej przeze mnie uwielbiany jest w Paryżu. Tak daleko ode mnie.

Wybacz, że tak napędce odwalłam ten list, ale mam pilne spotkanie z Cathryn i już jestem strasznie spóźniona.

Wkrótce napiszę obszerniej.

Kocham cię!

Brenda

Patrick Baudouin złożył list i wsunął do koperty. Wstał i spojrzał na kalendarz. Jedna data była podkreślona czerwonym ołówkiem: 13 lutego, kiedy Brenda opuściła Paryż. Nie widział jej od tamtego czasu.

Jednakże pisywała. Dosyć regularnie. Odpisywał. Ciekawe, ile już dostał listów? Z dziesięć? Coś koło tego. Okropnie mu jej brakowało.

Nigdy nie przypuszczał, że jakaś dziewczyna zrobi na nim takie wrażenie.

Czy dał się złapać w sidła?

Odrzucił tę myśl. Przekona się, kiedy znowu zobaczy Brendę. Tylko że spotkanie z Brenda wydawało się najtrudniejszą rzeczą na świecie. Nie mogła przybyć do Paryża, a on nie mógł udać się do Nowego Jorku. Z

zupełnie prostego powodu. Był całkowicie splukany. Istniała jednak

pewna nadzieja: oddał scenariusz Rosenfeldowi.

Rosenfeld był jednym z największych producentów w Paryżu.

Dawny szmaciarz, zrobił fortunę i rzucił się do kinematografii. Był prawie

analfabeta, ale miał głowę do interesów. Oczywiście, nie on czytał

scenariusze. Utrzymywał w tym celu całą armię współpracowników. Sam

byłby do tego niezdolny. Potrafił co najwyżej odróżnić przecinek od

wykrzyknika.

Treść scenariusza była zupełnie niedorzeczna, ale takie lubił

Rosenfeld. Mawiał swoim akcentem środkowoeuropejskim: Im głupsze,

tym bardziej się podoba. Przedwczoraj Rosenfeld wezwał go do swojego

luksusowego gabinetu. Dobry chłop ten Rosenfeld.

- To zupełnie idiotyczne, ale będzie się podobać - oświadczył z

szerokim uśmiechem.

Spotkanie w ciągu ośmiu dni, najdalej piętnastu, żeby podpisać

kontrakt.

Żeby odebrać czek, który pozwoli kupić bilet, tam i z powrotem,

Paryż-Nowy Jork. I złożyć niezapowiedzianą wizytę Brendzie. To będzie

dopiero niespodzianka - pomyślał Patrick.

Oczywiście, musi jeszcze oddać długi, niektóre stały się bardzo

uciążliwe.

ROZDZIAŁ VI

Środa, 10 kwietnia 1974

Francois Lyończyk przyglądał się uważnie twarzy Nicka De Luki.

Stary Sycylijczyk nigdy się nie zestarzeje. Ta sama smagła twarz, naznaczona kilkoma zaledwie zmarszczkami, potężny, trochę garbaty nos, grube, zmysłowe wargi. Czarne jak węgiel oczy rzucały niekiedy błyski niby diamenty, duże odstające uszy i wieńczący wszystko las siwiejących włosów, tak twardych jak dzikie trawy z jego ojczystej wyspy.

Francois musiał pokonać tysiące trudności, żeby spotkać się z Nickiem De Luką. Już się wydawało, że stary szejk jest zupełnie niedostępny.

Jego posiadłość, położona o 10 mil od Garrison w stanie Nowy Jork, przypominała prawdziwą fortecę. Chroniła ją armia typów o podejrzanym wyglądzie. Alejek wzdłuż ogrodzenia strzegły dobermany.

Gdziekolwiek wśród muru, w opancerzonych wieżyczkach, czuwały straże, uzbrojone w ręczne karabiny maszynowe. Brakowało tylko drutów pod napięciem, a przypomniałby się hitlerowski obóz koncentracyjny.

Posiadłość była rozległa i wystawna, ale wspaniały widok zasłaniał nieco wielki bunkier z żelazobetonu, który wyrastał pośrodku trawnika.

Na wierzchołku bunkra stalowa obudowa. Wystawały z niej lufy dział przeciwlotniczych.

De Luca obawiał się ataku powietrznego z helikoptera i przedsięwziął wszelkie środki ostrożności.

Przede wszystkim większość czasu spędzał we wnętrzu bunkra.

Po długim oczekiwaniu wiadomości, wreszcie pewnego wieczoru jakiś głos telefonicznie przekazał Francois Lyończykowi zgodę na

spotkanie następnego dnia.

I właśnie teraz siedział przed Nickiem De Luką, szefem jednej z najpotężniejszych rodzin Nowego Jorku.

- Jak leci, Francois? - powitał go Nick De Luca.

- Nieźle.

- Dobre wyniki?

- Tak.

Nick De Luca wskazał palcem stolik z trunkami i kieliszkami.

- Poczęstuj się.

Francois nalał sobie szklanekę bourbona.

Nick De Luca odczekał, aż Francois skończy, a potem, strząsając

popiół z kubańskiego cygara do wielkiej kryształowej popielnicy, zapytał:

- Co cię do mnie sprowadza, Francois? Francuz wypił trochę whisky i odstawił szklanekę.

- Otóż....

Najpierw opowiedział mu o organizacji na skalę europejską, którą

Curt Falkenburg stworzył przed kilkanaście laty i którą byłby skłonny

porównać z prowadzoną przez Lucky Luciano w latach trzydziestych.

- Orientuję się w waszej organizacji - skomentował krótko Nick De

Luca. - Współpracujemy z jednym z waszych ludzi w Berlinie Zachodnim, Hermannem Zorffem.

- Zgadza się.

- Dobra, mów dalej.

Następnie Francois Lyończyk powtórzył mniej więcej to, co Jerome

Ducaz relacjonował przed tygodniem podczas zebrania na pokładzie prywatnego samolotu Curta Falkenburga. Dorzucił także to, co mówili inni Francuzi, Włosi, Belgowie i Holendrzy. W konkluzji Francois powiedział, że ich organizacja podejrzewa mafię i że on został delegowany, aby dokładnie się poinformować.

- To wszystko; kolej na ciebie, Nick.

Wziął szklankę i wypił duży łyk bourbona, nie spuszczać oka z twarzy Nicka De Luki.

Nick zgniótł niedopalek cygara w kryształowej popielnicy i spojrzał na Francois.

Słaby uśmiech zakwitł na jego wargach.

- I to mnie przyszedłeś zadać to pytanie?

- Tak.

- To pochlebne.

- Nie jesteś pierwszym spośród wszystkich capi?

- Byłem, ale już nie jestem. Ton miał spokojny, obojętny.

Francois Lyończyk wziął paczkę philip morrisów i włożył do ust papierosa.

- Ktoś zajął twoje miejsce? - zapytał przysuwając do siebie ciężką złotą zapalniczkę, umocowaną na marmurowej podstawie.

- Powiedzmy.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś już niczym?

- Może niezupełnie, ale... chcą mnie zlikwidować... Ulżyło mu, mógł mówić. Nie powinien tego robić, ale ze strony Francois niczego się nie

obawiał. Przyszedł do niego uważając, że jest ciągle tym Nickiem De Luką z lat sześćdziesiątych.

- Dlatego ten bunkier?

Nick De Luca przytaknął.

- Ale dlaczego? - zdziwił się Francois.

Nick zawahał się. Jeśli nawet tamci chcieli jego skóry, czy miał prawo łamać stary nakaz milczenia? Nieubłagany nakaz Omerta.

Wahanie trwało krótko. Nie był już sam - pomyślał. - Europejczycy mieli te same co on kłopoty. Warto by może stworzyć front przeciwko wspólnemu wrogowi?

Po raz pierwszy od miesiący zobaczył jakieś wyjście.

Dokuczał mu żołądek. Ten świński wrzód! Otworzył szufladę biurka i wyjął flakonik. Podważył wieczko i wysypał na rękę dwie małe pastylki.

Włożył do ust i połknął popijając wodą mineralną.

Za pięć minut pigułki zaczną działać. Niepotrzebnie pozwolił sobie wczoraj na zjedzenie caponata. Ta sycylijska potrawa była za bardzo pikantna na jego zrujnowany żołądek.

Podniósł wzrok na Francois.

- Nigdy nie słyszałeś, Francois, o Barto Scalisio? Francois zdziwiony zmarszczył brwi.

- Nie.

- Nic dziwnego. Ten spryciarz nigdy nie pozwolił, żeby mówiono o nim poza Włochami.

- Kto to jest?

- W wieku dwudziestu lat był najmłodszym gabelotto Sycylii, zarządcą dóbr, jeśli wolisz. To mu pozwoliło dobrze się ustawić, żeby pobierać haracz za przymusową ochronę terenów rolnych. Początkowo analfabeta, ale wystarczająco inteligentny, żeby się uczyć. I wierz mi, obecnie to prawdziwy as. Zdolny, niezwykle pomysłowy, zna nieprawdopodobne numery. Pozbawiony przy tym skrupułów, nie wie, co to przyjaźń, bezlitosny. W ciągu siedmiu czy ośmiu lat potrafił wziąć pod kontrolę całą Sycylię, wyeliminował oczywiście wszystkich konkurentów. Słuchasz mnie?

- Tak, słucham... Ale Barto Scalisio, naprawdę, nic mi to nie mówi.

- Nic dziwnego, powtarzam ci. Poczekaj, opowiem dalej. Jak już miał w swoim ręku Sycylię, powiedział sobie, że wyspa to teren nie na jego miarę i że gdzie indziej jest coś do zrobienia. Na przykład tutaj, w Stanach, a potem także na kontynencie europejskim. Dogadał się z deportowanymi, z tymi, którzy tutaj działali, ale zostali odesłani do Włoch przez rząd amerykański, bo się nie naturalizowali, i rzucił się na podbój nowych terenów. To nie było łatwe. Stany Zjednoczone to nie Sycylia. Organizacja jest tu dobrze zakorzeniona. Ale udało mu się ją tak od środka zdemoralizować, że zrobił z niej prawdziwy burdel. Nie wysuwał się na pierwszy plan. Dawał wolną rękę zaufanym ludziom. Jego przebiegłość polegała na rozsiewaniu wersji, że mafia sama się tu wykończy rezygnując stopniowo z sycylijskiego sposobu myślenia na korzyść amerykańskich reguł gry. To był kopniak dla tych spośród nas, którzy uważali, że należy Czarnym, Kubańczykom. Portorykańczykom

dać poważniejszą pozycję w Organizacji. Tak posiano ziarno niezgody.

A wyniki nie dały na siebie długo czekać. Mówiłeś przed chwilą o podejrzanych zabójstwach, ale tutaj, wierz mi, to była prawdziwa hekatomba. Ci, którzy się nie podporządkowali, zostali zastrzeleni lub ginęli w tajemniczy sposób tak jak u ciebie. Zaczęło się w styczniu od starego przyjaciela Franka D'Agricoli, jednego z największych szejków. Zabito go w kinie. Potem Mart Stonewall, Murzyn, szejka Harlemu, wyszedł z Sing-Sing, zniknął razem z trzema pomocnikami w dniu opuszczenia więzienia. Szykował się do objęcia na nowo kontroli nad Harlemem, gdzie ludzie Barta Scalisia zamierzali się zainstalować na jego miejsce.

W lutym przyszła kolej na Juana Hernandezza. Wielki szef Portorykańczyków został zagazowany we własnej łazience. Odmówił podporządkowania się Scalisio. Trochę później, w Miami, zgładzono Carmela Gonzalvo, Kubańczyka, z tych samych powodów, co Juana Hernandezza. W Chicago, Los Angeles, Kansas City, Philly, San Francisco, Minneapolis, Nowym Orleanie, Bostonie, Pittsburgu, w lutym, marcu; to trwa dalej. Oporni przynieśli dochód zakładom pogrzebowym i kwiaciarzom.

W Nowym Jorku to samo. Pete Lombardo zastrzelony w Columbus Circle podczas meetingu włosko-amerykańskiego. Moi ludzie wystrzelani jak czerwonoskórzy w westernach. Za wszystkim stoi Barto Scalisio. Jego pełnomocnik tutaj, w Nowym Jorku, to Joe Vizzino, a zabójców, powiem ci coś zabawnego, sprowadzają z Sycylii. Zaokrętowują się w Carini,

niedaleko Palermo, po otrzymaniu dwu i pół tysiąca dolarów na pokrycie kosztów i udają się do Kanady, przechodzą nielegalnie granicę amerykańską i stawiają się na służbę do Joe Vizzino.

Francois Lyończyk przerwał:

- Dobrze, Nick. Ty masz kłopoty, ale co Barto Scalisio ma do nas w Europie?

Nick De Luca wybuchnął śmiechem.

- Uważasz go za imbecyla? Nie masz racji - powiedział ironicznym tonem. - Mówiłem ci, że się kształcił. Kto ma największe zasoby poza Stanami Zjednoczonymi? Zachodnia Europa. Barto zauważył to równocześnie z odkryciem możliwości Stanów.

- I dlatego...

- I dlatego to, co robi tutaj, próbuje robić u was.

- Jesteś pewien?

- Tak jak ciebie widzę. Chcesz, to ci powiem. Jego taktyka polega na tym, żeby przeciągnąć na swoją stronę tych pomniejszych bez funkcji albo ich likwidować, jeśli na to nie pójdą. W ten sposób szefów się izoluje, a następnie usuwa. Możesz być pewien, że jak Barto każe sprzątnąć jakiegoś szefa, to znaczy, że jego ludzie albo zostali już wykończeni, albo przeszli do obozu Sycylijszyka.

Francois Lyończyk poczuł nieprzyjemny dreszcz w plecach.

- A... ty... nie masz już przy sobie nikogo? Nick De Luca spojrzał ze znudzoną miną.

- Mam, oczywiście... Ale na jak długo?

Francois Lyończyk wściekł się:

- Nie rozumiem tego! Wszyscy ustępują i podporządkowują się temu łobuzowi! Coś na pewno można zrobić!

Nick De Luca przyglądał mu się uważnie. Lubił zacięty wyraz w oczach Francuza. Przynajmniej ten nie miał ochoty ulegać. Jak on sam.

- Ufam tylko Joemu La Casa, mojemu najwierniejszemu zastępcy.

Reszta... Nie wszystko ci powiedziałem!... Są jeszcze Chińczycy.

- Chińczycy?

Przypomniał sobie nagle, że dwaj Holendrzy i Belg wspominali o Chińczykach podczas zebrania w samolocie Curta Falkenburga.

- Chińczycy... - powtórzył.

- Tak, Chińczycy - huknął Nick De Luca. - Ten łotr, Barto Scalisio, sprzymierzył się z Chińczykami. A tak się chępił, że chce chronić

czystości

sycylijskiej,

odmawiając

Czarnym,

Kubańczykom,

Portorykańczykom ważniejszych funkcji w Organizacji. Sprzymierzył się z Chińczykami! Nigdy nie słyszałeś o Złotym Trójkacie?

- Nie - przyznał Francois.

- Znajduje się gdzieś na wspólnej granicy Birmy, Laosu i Tajlandii.

Taki dziki zakątek... I chłopci w tym zakątku, trzymaj się mocno, zbierają coś około 700 ton opium rocznie!

Francois przelknął ślinę.

- 700 ton?

- Tak, mój chłopcze! 700 ton. I całe to opium wpada w ręce

Chińczyków. Są to głównie dawni oficerowie Czang Kaj-szeka, którzy schronili się w Birmie. Nie interesują się polityką, wolą intratniejsze zajęcia niż zawód wojskowych. Zauważ, ja ich rozumiem. To oni ożywiają handel. Kłopot tylko z rynkami. Podczas wojny w Wietnamie to szło.

Amerykańskie oddziały nielecho zażywały. Ale wojna w Wietnamie się skończyła. Trzeba więc znaleźć inne rynki, jako że tradycyjni dostawcy ze Środkowego Wschodu są pod ścisłą kontrolą agentów z Biura do Walki z Narkotykami. Jeśli nawet Turcja podejmie na nowo uprawę maku, można jeszcze sporo zarobić na narkotykach z Dalekiego Wschodu. To właśnie sobie powiedział Barto i zawarł umowę z Chińczykami z "Trójkąta". Jest ona już realizowana. I zaczął się wszędzie po trochu pojawiać "brown sugar".

Francois Lyończyk aż się poderwał. "Brown sugar"... Tę nazwę wymienił Peter Berghuis. To, co opowiada Nick De Luca, zgadza się doskonale z obserwacjami w Europie. Tak więc Barto Scalisio był odpowiedzialny za ich kłopoty.

- I żeby wprowadzić nową organizację, Barto likwiduje starą - ciągnął Nick De Luca. - Powiedz no, nie wyleciały w powietrze jakieś wytwórnie we Francji albo nie nakryła jakichś policja?

- Owszem, kilka...

- Sam widzisz! Jeszcze jedna jego sztuczka. Podrzucić glinom ludzi,

których sam nie może osiągnąć. Masz przykład z tymi wytwórniami.

- Skurwysyństwo!

- Barto próbuje was złamać. Zrobić z was wykonawców swoich rozkazów. Jak wyeliminuje grube ryby, płotki pójną za nim, jeśli już nie przeszły do jego obozu.

- Bydlę, będziemy go mieli!

- Uwważaj! Nie należy go lekceważyć. Jest inteligentny i ma wyobraźnię. Na przykład weź pod uwagę to, co mówiłem przed chwilą o narkotykach pochodzących z Dalekiego Wschodu. Wiesz, na jaki fortel on wpadł, żeby transportować kokainę do Europy czy do Stanów?

- Nie wiem.

- "Mrówki".

- Mrówki? Co to znaczy?

- Nie żyjątko, oczywiście. Agenci poszukujący narkotyków znają na pamięć tradycyjne schowki. Falszywe cięższe, sztuczne piersi, słoiki z musztardą, mleko skondensowane, dekle samochodowe, kiszka stolcowa, to wszystko już umarło. Nawet jeśli wymyślisz coś nowego, po pewnym czasie także zostanie odkryte.

A więc Barto znalazł system. Drogi z Katmandu pełne są hippisów.

W zamian za oddaną przysługę żądają tylko trochę kokainy. Tak więc w powrotnej drodze przewożą towar, oczywiście pod nadzorem. Nie ma mowy, żeby sobie napełnili walizki kokainą. Jeśli wpadną w ręce glin, ich ryzyko. Jeśli im się uda, dostają swoją dolę.

Inny sposób to transport Chińczyków do Antwerpii i Rotterdamu.

Tym nędznym typom obiecuje się raj europejski. Nocą skaczą ze statków do wody i płyną do brzegu. Mają przymocowany do szyi kauczukowy, nieprzemakalny worek z kokainą. Wylawia się ich i załatwia nielegalne wyjście na ląd dzięki pomocy kilku zaufanych celników. Później są używani do najpodlejszej roboty. To właśnie “mrówki”.

Dokładnie tak, jak opowiadali Holendrzy i antwerpijczyk - pomyślał Francois. - Zgadza się co do joty.

- Niebezpieczeństwo publiczne ten Barto Scalisio - podsumował.

Nick De Luca potrząsnął głową ze zde gustowaną miną.

- Gorzej.

- Trzeba się go pozbyć - oświadczył Francois twardo. Nick De Luca uśmiechnął się, jak gdyby usłyszał coś zabawnego.

- Niemożliwe.

- Dlaczego?

- Jest nieuchwytny.

- Gdzie on się podziewa?

- Nikt tego nie wie.

- To wykluczone, zastanówmy się.

- Jedyne, co wiemy to to, że nigdy nie postawił stopy w Stanach

Zjednoczonych.

- Więc gdzie się znajduje?

- Włóczy się gdzieś w twoich stronach.

- We Francji?

- We Francji i w okolicach.

- Nie na Sycylii?

- Już nie. Za łatwe do wytropienia.

- Musi jednak gdzieś być?

- Ma trzy jachty na Morzu Śródziemnym. Trzy ogromne jachty,

luksusowo wyposażone, z radiem i telefonem dla utrzymania kontaktu z

łędem. I uzbrojone jak krążowniki. Trzy identyczne jachty, pływające pod

banderą Hondurasu. Nigdy nie wiadomo, na którego pokładzie się

znajduje, jeśli się tam w ogóle znajduje.

Podobno ma także meliny na łądzie. Między innymi na południu

Francji, w Bejrucie, w Turcji, na Cyprze, na Malcie, w Atenach. Jego

jachty nigdy nie wchodzą na wody terytorialne ani oczywiście do portów.

Zaopatrują się w paliwo i żywność za pośrednictwem trampów

cypryjskich. Krążą tylko po Morzu Śródziemnym. Żeby się dostać na

pokład lub go opuścić, Barto używa ślizgaczy lub helikopterów.

Sygnalizują także jego pojawienie się w Singapurze albo w

Hongkongu, w Manili lub w Panamie, w Buenos Aires lub Rio de Janeiro.

Francois Lyończyk miał zatroskaną minę, nerwowo przygryzał

wargi.

- To nie będzie łatwe - stwierdził.

- Nie będzie i wierz mi, myślałem o tym. Właściwie o niczym innym

nie myślę, tylko o tym!

- Trzeba znaleźć kogoś dostatecznie sprytnego, żeby zdołał go zabić.

- Nikt taki nie istnieje.

- Nie ma wokół siebie zdrajców?

- Nie znam takich, a on na pewno pomyślał o nich przed nami.
- A zawodowi mordercy? Jest przecież coś takiego w Stanach?
- Wszędzie jest.
- Ale najlepsi na świecie są w Stanach.
- Możliwe.
- W twoim otoczeniu nie ma?
- Nie.
- Pomyśl.
- Jestem pewien. Mam oczywiście ludzi, ale nikt nie jest zdolny zaatakować Barta Scalisia.
- Jakiś outsider?
- Nie widzę. A we Francji nie masz nikogo takiego pod ręką?
- Jak ty. Na skalę lokalną, tak. Ale nikogo, kto mógłby się zmierzyć z typem tej miary.

Nick De Luca pokiwał głową ze smutkiem.

- Sam widzisz, Francois.
- Mimo wszystko nie można dać się pożreć - zaprotestował gwałtownie Francois.

Nick De Luca nie odpowiedział. Myślał. Nagle wyprostował się w fotelu i Francois dostrzegł radosny błysk w jego oczach.

- Co się stało? - zapytał. - Znalazłeś coś?
- Może.
- Co?
- Nazywa się Harry Shulz.

- Harry Shulz?

- Tak.

- Amerykanin?

- Tak.

- Kto to?

- Supermorderca zawodowy! Najlepszy na świecie. Korzystałem z jego usług przed kilkoma laty. W Paryżu. Bezbłędny!

- Myślisz, że może się udać?

- Tak myślę.

- Ale czy się zgodzi? Barto Scalisio to twarda sztuka.

- Dla niego nie za twarda. Zaakceptuje, jeśli się zapłaci. W ogóle jest drogi. Bardzo, bardzo drogi.

- To mamy gdzieś.

Słaby uśmiech pojawił się na twarzy Nicka De Luki.

- Tak - szepnął marzycielsko. - Im dłużej o tym myślę, tym jestem pewniejszy, że to się musi udać. To człowiek dla nas. Taki, jakiego nam potrzeba. Jestem kretyn, że wcześniej mi to nie przyszło na myśl.

- Nigdy za późno na dobry pomysł - stwierdził uroczyście Francois. -

Jak można się skontaktować z twoim Harrym Shulzem?

- Skomplikowane, ale zajmę się tym.

- Kiedy mnie zawiadomisz?

- Prawdę mówiąc, wolalbym przysłać do ciebie Harry'ego Shulza, żebyś bezpośrednio z nim pertraktował.

- Dlaczego?

- Śledzą mnie tu ludzie Barta Scalisio. Jeśli zobaczą Harry'ego

Shulza, dowiedzą się, kto to taki i zrozumieją.

Kiepska wymówka, ale Francois powstrzymał się od komentarza.

Stary szejk był już słaby. Bał się ryzyka. Francois zastanowił się w duchu, czy Barto Scalisio nie miał przypadkiem racji, że chciał go wysadzić z siodła? W żadnym razie nie Barto będzie tym, który ustąpi.

- Jeżeli chodzi o koszty - stwierdził Nick De Luca - ja daję połowę tego czego zażąda Harry Shulz, jeśli zaakceptuje kontrakt.

Francois skinął głową.

ROZDZIAŁ VII

Sobota, 13 kwietnia 1974

Harry Shulz rozsunał zasłony i wyjrzał przez okno, żeby zobaczyć, jaka zapowiada się pogoda. Było szaro i deszczowo. Zwykła nowojorska pogoda w środku kwietnia.

Jego apartament znajdował się na ostatnim piętrze wielkiego, nowoczesnego budynku, położonego prawie na rogu Park Avenue i 61 Ulicy. Z okna widać było Queensboro Bridge, most drogowy łączący Mid-Manhattan z Queens ponad East River i Welfare Island. Jak zwykle panował tam ogromny ruch.

Westchnął na myśl, że będzie musiał włączyć się w ten ruch, żeby udać się na Long Island City, potem na Flatbush w Brooklynie.

Pańszczyzna, ale pańszczyzna konieczna.

Zasunął firankę i spojrzął na zegarek. 4 minuty po dziewiątej. Radio nadawało muzykę jazzową. Kończył się program "Muzyka na

zamówienie”. Za minutę zacznie się reklamówka “Listeners’ Choice”.

Poszedł do kuchni po kawę, wrócił i zasiadł przy radiu. “Muzyka na zamówienie” skończyła się ostatnim akordem fortepianu i z aparatu rozległ się głos Chetta Wyneberga, dyskdzokeja “Listeners’ Choice”: “Jak co dzień o dziewiątej pięć program Listeners’ Choice proponuje państwu firma “Materace Kallson”, materace wygodne, materace, które nigdy wam nie sprawią zawodu. Nawet w ostatecznym momencie, kiedy Pan Bóg wezwie was do siebie, miło jest umierać na materacu Kallson!... A teraz nasza pierwsza płyta. Dla pana H. S. Marrowstone z Nowego Jorku od panny Clary Brodsky z Poughkeepsie z okazji trzydziestych piątych urodzin stary przebój Franka Sinatry z lat czterdziestych. Frank Sinatra w najlepszej formie: “Mam’zelle...”

Harry Shulz wstał, odstawił pustą filiżankę i uważnie słuchał.

Płyta była trochę zdarta, ale głos “croonera” Sinatry niwelował trzaski:

A smali cafe, Mam’zelle

A rendez-vous, Mam’ zelle

The violins were warm and sweet and so

Were you, Mam’ zelle

And when the night wen by

A kiss became a sigh

Pomyłka wykluczona - pomyślał Harry. Zlecenie było jasne. Ktoś

chciał się z nim porozumieć w sprawie kontraktu. Metodę kontaktu

ustalono z góry.

By

zapewnić

maksimum

bezpieczeństwa,

Clara

Brodsky

otrzymywała dla niego zlecenia. Niczym nie ryzykowała. Była największą stręczycielką w Nowym Jorku, dostarczała dziewcząt najbardziej doświadczonych, najpiękniejszych, a równocześnie najdroższych w mieście. Dziewczęta po 300 dolarów za noc, ale przynajmniej nie narzekają na swoje zajęcie.

Harry Shulz kilkakrotnie uciekał się do dobrych usług Clary

Brodsky i zawsze je sobie chwalił. Clara Brodsky miała potężnych przyjaciół w radzie miejskiej i w policji. Żadnych obaw, że ktoś może się jej czepiać. Ostatnim ogniwem do przekazywania zleceń, które Clara

Brodsky otrzymywała na jego nazwisko, był Chett Wyneberg, dyskdżokej

“Listeners’ Choice”. Telefonowała do niego, a on w swoim programie

umieszczał piosenkę Mam’zelle z posłaniem: “Dla H. S. Marrowstone,

Nowy Jork, od panny Clary Brodsky z Poughkeepsie, z okazji 35

urodzin...”. Niezawodne.

Chett otrzymywał w zamian kopertę z pięcioma banknotami

studolarowymi, nie wiedząc, dlaczego mu się każe nadawać płytę sprzed

dobrych trzydziestu lat. Ale w gruncie rzeczy nic go to nie obchodziło. 500

dolarów zawsze się przydawało, był bez przerwy splukany.

Z Clarą nie było sprawy. Należała do organizacji TRAK (Travelling Killer) i opłacano ją ryczałtowo. Harry Shulz, choć niezależny, pracował w powiązaniu z TRAK. Od czasu do czasu.

Od lat zajmował się zawodowo morderstwem. W całym świecie.

Zdobyciu niepodległości przez narody Azji i Afryki niejednokrotnie towarzyszyły przerosty ambicji politycznych w młodych republikach, rywalizacje, zemsty plemienne, nienawiść polityków na wygnaniu, interesy finansowe wielkich towarzystw amerykańskich i europejskich.

To

wszystko

spowodowało

pilną

potrzebę

przygotowania

wyspecjalizowanych kadr, zdolnych szybko usuwać niepotrzebne osoby.

Z Europy i Ameryki napływali ochotnicy. Przeprowadzono ostrą selekcję. Amatorzy, zwykli awanturnicy, ci którzy pragnęli tylko mocnych przeżyć, ponieśli dotkliwą porażkę i zniknęli.

Po eliminacji pozostało na świecie trzydziestu prawdziwych specjalistów. Dzielą się na dwie kategorie. Organizatorzy i wykonawcy.

Mózgowców było zaledwie pół tuzina, wykonawców między 20 a 25, zależnie od strat i napływu.

Gdyby istniał jakiś skorowidz zawodowych zabójców, Harry Shulz otrzymałby w hierarchii mózgowców numer jeden.

Poszczególni “wykonawcy” byli znakomitymi technikami zbrodni.

Każdy miał ulubioną metodę, ale wszyscy umieli zabić stosownie do otrzymanych poleceń. Wylaniali się z mroku, uderzali i znikali w ciemnościach, nie dawali się złapać policji kryminalnej lub politycznej, nie powodowali międzynarodowych komplikacji. Ludzie bez kartoteki sądowej, bez fiszki z życiorysem w Interpolu, bez stałego miejsca zamieszkania, bez znanego adresu. Ale łatwo można się było z nimi skontaktować przez łącznika skomplikowanej siatki przekaźnikowej, dostępnej jedynie dla wtajemniczonych.

Clara Brodsky stanowiła jeden z tych przekaźników... Jedną ze skrytek tego konsorcjum zbrodni na szczyblu światowym, biura usług zbrodniczych.

The violins cry

And so will I

Mam ’zelle...

Harry Shulz wyłączył radio i zaczął się szykować. Ubrał się ciepło, bo przewidywał, że temperatura jest jeszcze niska i pada deszcz.

Uruchomił skomplikowany system elektronicznych zamków, które chroniły jego mieszkanie przed włamywaczami, licznymi w Nowym Jorku, i zamknął drzwi.

Zjechał windą i w hallu omal nie wpadł na Jerry’ego Otrano. Dawny mistrz świata wagi półciężkiej, po strasznym nokaucie w walce z Chuck McMuir przekwalifikował się na dozorcę. W towarzystwie Steve Walzaka, eks-gliny z Cincinnati, i Kena Korragera, weterana wojny wietnamskiej i

mistrza w strzelaniu z pistoletu, czuwał nad bezpieczeństwem

mieszkańców budynku.

- Kląnam się nisko, panie Shulz - wykrzyknął Jerry Otrano

radosnym głosem (bardzo lubił Harry'ego Shulza, bo ten nie traktował go

z góry, jak inni mieszkańcy tego elitarnego domu przy Park Avenue). -

Pieska pogoda.

- Rzeczywiście - przyznał Harry Shulz z uśmiechem.

- Piękna walka dziś wieczór w Madison. Pójdzie pan?

Harry lubił walki bokserskie, powiedział więc z żalem:

- Nie mam czasu, Jerry.

- Szkoda. Burt zleje Mexa. Postawiłem 25 przeciw dziesięciu, że

wpakuje Pedrze K.O. przed końcem czwartej rundy.

Harry Shulz wyciągnął kilka banknotów z kieszeni.

- Masz, Jerry. Pięćdziesiąt dolarów. Postaw za mnie też.

- Taki sam zakład?

- No pewnie.

- Pan to jest znawca! Jak pomyślę o tych wszystkich urzędasach,

którzy postawili na Mexa, mdli mnie! Do szpitala Burt go pośle! Będę miał

fotel przy ringu dzięki jednemu kumplowi.

- Miłego wieczoru, Jerry.

- Dobrego dnia, panie Shulz.

Harry Shulz wyszedł na deszcz i szybko dotarł do drugstoru na 61

Ulicy.

Zamknął się w kabinie i nakręcił numer Clary Brodsky.

- H. S. Marrowstone przy telefonie - powiedział, gdy po drugiej

stronie podniesiono słuchawkę.

- Panie Marrowstone, jest pan proszony o telefon pod numer

MU-7-47-48.

- Dziękuję.

Odłożył słuchawkę. Znowu zaszyfrowane zlecenie. MU-7-47-48 to

nie był numer telefonu, jak by się mogło wydawać, ale miejsce kontaktu.

MU nie znaczyło nic.

Natomiast 7 - 7 Avenue, a 47 i 48, ulice 47 i 48. Jedyne miejsce

kontaktu, jakie znał w okolicy, to był sex-shop położony między 47 a 48

Ulicą na 7 Avenue. Nie mogło być pomyłki.

Wszedł z drugstora, przywołał taksówkę. Zawiozła go naprzeciw

Rockefeller Center i mimo padającego deszczu zatrzymał się przez chwilę

na chodniku aż taksówka znikła. Potem szybkim krokiem poszedł na 7

Avenue, wszedł do sex-shopu, stanął przed kasą. Wyciągnął z pliku

banknotów pięciodolarówkę, na której widniała plama czerwonego

atramentu przecięta krzyżem św. Andrzeja, nakreślonym czarnym

tuszem.

- Cztery ćwiartki - poprosił kładąc banknot w okienku kasowym.

Właścicielem lokalu był stary facet o niezdrowym wyglądzie, chudy

jak tyczka, z niebieskimi, wyblakłymi oczyma, tak przyjaznymi jak u

węża. Zagarnął banknot, jak gdyby to było 20 dolarów w zlocie, położył 4

sztuki dwudziestopięciocentowe i cztery banknoty po jednym dolarze.

- Ostatnia kabina na lewo. Ta uszkodzona - oznajmił zimnym

głosem.

Harry Schulz pozbierał pieniądze i lawirując między klientami, którzy wertowali sterty pism pornograficznych, rozłożonych na półkach, przeszedł na koniec sali. Zamaskowane wejście prowadziło na wąski korytarzyk. Po obu stronach kabiny, do których drzwi zasłaniały czarne kotary. Przy każdej kabynie przyklejona kolorowa fotografia, oświetlona żółtą lampką, przedstawiała charakterystyczną sytuację dla rodzaju prezentowanego spektaklu. Mężczyzna i kobieta; mężczyzna i mężczyzna; kobieta i kobieta; mężczyzna i zwierzę; kobieta i zwierzę itd. itd. Na każdy gust: dla homoseksualistów, heteroseksualistów, zoofilów, sadystów, masochistów.

Filmy były podzielone na cztery części i żeby uczestniczyć w projekcji każdej z nich, trzeba było wrzucić ćwiartkę dolara.

Harry Schulz słyszał odgłosy rozlegające się ze wszystkich stron.

Filmy były dźwiękowe i aktorzy nie szczędzili westchnień oraz jęków, które się mieszały z głosami wydawanymi przez widzów.

Doszedł do ostatniej kabiny po lewej stronie. Duża biała wywieszka głosiła: “Kabina uszkodzona”.

Odsunął kotarę, wszedł do środka, dokładnie zaciągnął zasłonę i wrzucił monetę w otwór aparatu.

Ekran nie zaświecił się, ale niski głos zaczął mówić.

Harry Schulz nadstawił ucha.

”... hotel Biltmore, pokój 304, dziś wieczór o dwudziestej...

Powtarzam, hotel Biltmore, pokój 304, dziś wieczór o dwudziestej”. Głos

zamilkł.

Shulz opuścił kabinę, wyszedł na ulicę. Miał szczęście, od razu złapał taksówkę.

Harry Shulz usiadł w fotelu wskazanym mu przez Francuza.

- Kto pana do mnie skierował? - zapytał od razu.

- Nick De Luca.

Harry Shulz nie był zachwycony. Nie lubił pracować dla ludzi z mafii. Kiedy ostatni raz to robił, ledwo uszedł cało. A ponieważ tamci stosowali wobec niego szantaż, musiał wykonać pracę. Od razu więc stał się czujny.

- Nick De Luca? - spytał, żeby sobie zostawić czas do namysłu.

- Tak.

- To mafia nie ma już własnego personelu? - w jego głosie zabrzmiała lekka ironia.

- Nie do tego typu roboty.

- Jak widać.

Podobała mu się twarz Francuza. Mocna, zdecydowana, jasne oczy, które patrzą prosto w twoje nie unikając kontaktu; wąskie wargi, w których nie ma miejsca na zdawkowy uśmiech. Miał dostatecznie duże doświadczenie, żeby rozpoznać człowieka bezwzględne.

On sam także spodobał się swemu vis-a-vis.

Francois Lyończyk obserwował bacznie twarz Harry'ego Shulza.

Męska, odważna, wyrazista; wargi mięsiste, zmysłowe; wielkie, nieprzeniknione zielone oczy, grzywa blond-popielatych włosów,

opadających na szyję i na czoło. Twarz anioła. Kto by uwierzył, że należy do zawodowego mordercy.

Wysoki, szerokie ramiona, ciało, jak można się domyślić, muskularne; wybór Nicka De Luki wydawał się doskonały.

Harry Shulz był człowiekiem, jakiego mu trzeba.

Francois Lyończyk nie miał zwyczaju uśmiechać się. W przeciwnym razie uśmiechnąłby się do Harry'ego Shulza, żeby przełamać lody.

- Kim pan jest? - zapytał Shulz. Francois Lyończyk wyjaśnił.

Harry Shulz uniósł brwi ze zdziwienia.

- Co pan ma do mafii?

Francuz cierpliwie wytłumaczył mu okoliczności towarzyszące i decydujące o jego stosunkach z mafią oraz powody, które skłoniły go do nawiązania kontaktu z Harrym Shulzem.

Shulz milczał dłuższą chwilę, wreszcie odezwał się:

- Rozumiem.

Szybko analizował. Nauczył się nie ufać Sycylińczykom. Czy to nie podstęp?

- A kto jest "tarczą"?

- Tarczą?

- Tak nazywamy typa do sprzątnięcia.

- Barto Scalisio.

Harry Shulz pokonał gwałtowne pragnienie, żeby wstać i opuścić pokój. Musiał dbać o dobre imię. Bez ryzyka jego utraty nie mógł nawalić i pójść w diabły jak tchórz. Francuz obserwował go.

- Zna go pan?

Harry Shulz wyciągnął z kieszeni paczkę luckie strików i zapalił papierosa.

- Znam - przyznał wypuszczając dym.

- Więc?

- Twarda sztuka.

- Wiem.

- Ciężka sprawa.

- Przestraszył się pan?

- Mnie nic nie przestraszy.

- Tym lepiej. A więc przyjmuje pan?

- Nie tak szybko!

Pociągnął papierosa, zmrużył oczy. Obrzydliwie się wplątał - przyznał w duchu. Nie podobało mu się. Barto Scalisio to była twarda sztuka. Słyszał o nim. Sam kontrakt go nie przerażał. Wykonywał dużo trudniejsze. Niepokoila go tylko mafia. Dlaczego chcą go do tego mieszać? Nie mają własnych zabójców? "Nie do tego typu roboty" - powiedział Francuz. Co tak szczególnego zawiera ten kontrakt? Dokonać "zmiany rządu" wewnątrz Cosa Nostra? W takim razie niewskazane byłoby do tego się mieszać.

Z drugiej strony nie należy tracić twarzy. Jedyne wyjście: forsa.

Zażąda tak fantastycznej sumy, że Francuz wybuchnie śmiechem, weźmie go za dowcipnisia i wyrzuci za drzwi. To się oplacało.

- Jeżeli przyjmę, będzie drogo kosztować - zaczął ostrożnie.

- Ile?

Harry już ustalił w głowie kwotę.

- Milion dolarów - obojętnie wymienił sumę, pewien, że jego rozmówca podskoczy w fotelu.

- To jest tego warte - odrzekł oschle Francuz - ze względu na trudności.

Harry Shulz, nieco oszołomiony, spojrział na niego ze zdziwieniem.

Zniknięcie Barta Scalisio było więc tak ważne, tak pilne, że ludzie są gotowi płacić aż tyle. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby bulić tyle forsy za taki "kontrakt".

Francois Lyończyk zrobił bilans. Nick De Luca zapewnił, że zapłaci połowę, to znaczy pięćset tysięcy dolarów. Drugie tyle trzeba zdobyć.

Wyciągając od Curta Falkenburga i innych, plus to, co Jerome Ducuz, Pierre Salvay i on sam dodadzą, zbierze się tę kwotę.

- Płatne z góry - sprecyzował Harry Shulz. - Ze względu na ryzyko.

Zwykle nie wymagam więcej na początek niż połowy, ale... to trochę szczególnie...

- Oczywiście.

- Wszystkie koszty, oczywiście, wliczone. I będą, niech mi pan wierzy, nieliche. Wykonanie tego "kontraktu" może mi zająć miesiące.

- Nam się spieszy.

- Więc znajdźcie sobie kogoś innego.

Chwycił się wykrętu. Wstał i skierował się ku drzwiom.

- Niech pan poczeka - wykrzyknął pospiesznie Francuz.

Harry Shulz niechętnie się zatrzymał.

- Zgoda na ten milion - wyrzucił z siebie Francuz stanowczym głosem - nie trzeba więc dociskać! Czego pan jeszcze chce?

- Powiedział pan, że wam się spieszy - odciął się Harry Shulz spokojnym tonem.

- Wolno za milion dolarów, nie?

Harry Shulz wyrozumiale skinął głową, jakby miał do czynienia z tępym dzieckiem. - Pieniądze nic do tego nie mają.

- Jak to?

- Sam pan powiedział. Trudności...

- Z milionem dolarów można je pokonać!

- Oczywiście, ale nie w kilka dni. Niech pan posłucha, powiem

prawdę - oświadczył lodowatym tonem. - Nie zależy mi szczególnie na przyjęciu tego "kontraktu". Z wielu względów. Niech pan nie sądzi, że tchórzę. Wykonywałem trudniejsze niż ten. Tylko nie lubię pracować na konto mafii i...

- To nie mafia panu płaci, to ja.

- Działa pan na ich konto.

- Nie. Na własne. Zresztą, czy Scalisio nie jest mafiosem?

- Wewnętrzne sprawy mafii mnie nie interesują.

- Milion dolarów dobrze zarobić, nie?

- To prawda - przyznał Harry Shulz - ale pod warunkiem, że pozwala mi się pracować według własnego uznania.

- To znaczy?

- Mieć czas na zbadanie sprawy i wykonać “kontrakt” wtedy i tak, jak uznaję za właściwe. Pośpiech to nie ze mną. Zwróćcie się gdzie indziej.

Francois Lyończyk uważnie mu się przyglądał. Harry Shulz miał swoją rację, trzeba przyznać. Barto Scalisio to była gruba sztuka. Nie można liczyć, że komuś uda sięgo zlikwidować w kilka dni tylko dlatego, że mu się płaci milion dolarów. Nawet, jeśli ten ktoś jest Numerem Pierwszym na świecie w zabójstwach wszelkiego rodzaju.

- A ile czasu to może zająć? - zapytał Francuz.

- Nie mam pojęcia.

Francois westchnął,

- Dobra - ustąpił. - Niech pan siada. Wyjaśnijmy wszystko do końca.

Harry Shulz z żalem rzucił okiem na drzwi i wrócił na fotel, który przedwcześnie opuścił.

- Od czego zaczynamy? - zapytał.

ROZDZIAŁ VIII

Rio de Janeiro, 18 kwietnia 1974

Mój kochany,

Rio jest piękne i zabawne. Jest tu naprawdę bardzo ciepło: 105

stopni dzisiaj (Fahrenheita, oczywiście, ty liczysz w stustopniowym Celsjuszu).

Najdziwniejsze rzeczy przydarzają mi się ciągle w tym mieście.

Zaczepiają mnie ludzie i zaczynają rozmowę po francusku. Wyobrażasz sobie? Biorą mnie za Francuzkę!

Nie wiem, czy dlatego, żeby mi pochlebić, czy po prostu dlatego, że uważają mnie za Francuzkę. A przecież nie przypominam Francuzki! A może fakt, że się z tobą spotykam i koresponduję, uczynił mnie troszeczkę Francuzką?

Jutro wchodzę na Corcovado, żeby z bliska zobaczyć statwę

Chrystusa. Podobno ta statua została stworzona przez jakiegoś

Francuza (jeszcze jeden). Byłam już w Rio wiele razy, ale zawsze z tą samą przyjemnością tu wracam.

Raz w okresie Nowego Roku, w sylwestra, 31 grudnia,

uczestniczyłam w fantastycznym spektaklu. Tysiące wyznawców

“wudu” wybrało się na plażę Copacabana, żeby oddać hołd Semanii,

bogini morza. Wszyscy byli ubrani na biało i nieśli pochodnie oraz dary przeznaczone dla bogini, śpiewali i tańczyli. Zupełnie bajeczne.

O tak, uwielbiam Rio! I tak bym chciała być tu z tobą. A ty jesteś

tak daleko! Wkrótce wracam do Nowego Jorku, żeby jechać, sam Bóg wie, dokąd. Kocham cię

Brenda

Patrick Baudouin położył list obok tacki ze śniadaniem i nalał sobie

kawy. Trochę osłodził. Musiał się rozbudzić. Poprzedniego wieczoru

zafundował sobie ogromne pijaństwo z okazji czeku otrzymanego od Rosenfelda.

Pocziwiec ten Rosenfeld. Patrick zaczynał go uwielbiać...

Zapewnił, że następny scenariusz, który Patrick mu dał na wszelki

wypadek, będzie prawdopodobnie przyjęty, podobnie jak pierwszy.

- Ten jest jeszcze głupszy niż tamten. To będzie sukces - wykrzyknął

Rosenfeld.

Sytuacja ulega poprawie. Fortuna wreszcie się odwróciła. Tylko

gdzie do diabła wyłowił tę dziwkę, która właśnie trzeźwieje w jego łóżku?

Na pewno w jednym z niezliczonych barów. Nie pamiętał.

Dziewczyna była młoda i ładna, ale na miły Bóg, jaka brudna. Omal

nie wymiotował na widok jej ciuchów, porozrzucanych na brzegu łóżka.

Żeby odetchnąć trochę mniej szkodliwym powietrzem, zszedł w

szlafroku na dół i zajrzał, czy nie ma poczty. Był list od Brendy.

Rio de Janeiro... Corcovado... Copacabana...Ipanema. Szkoda, że

nie jest z Brendą.

Rozmyślał popijając kawę. Pierwsza rzecz, to popłacić długi. Trzeba

być

pryzwoitym.

Oddano

mu

przysługę,

wypadaloby

okazać

wdzięczność. Potem pojechałby zobaczyć Brendę. Kupiłby sobie bilet

lotniczy i spotkał się z nią w Nowym Jorku. Co na to powie?

Odstawił filiżankę i znowu wziął list. "Wracam wkrótce do Nowego

Jorku, żeby znów wyjechać, Bóg wie, dokąd...". Trzeba, żeby Brenda była

w Nowym Jorku, jak tam pojedzie. Nie będzie biegał za nią po pięciu

kontynentach!

Z drugiej strony, chciałby jej zrobić niespodziankę: pojechać do Nowego Jorku bez uprzedzenia. Należy więc ułożyć plan operacji. Kiedy dostanie list od Brendy z zawiadomieniem, że jest z powrotem w Nowym Jorku, skoczy do biura podróży i kupi bilet. To jest rozwiązanie.

Wyląduje w Nowym Jorku i swoim zaimprovizowanym przyjazdem zrobi jej niespodziankę.

Nalał sobie trzecią filiżankę kawy. Niósł ją do ust, kiedy w kuchni ukazała się dziewczyna, przynosząc z sobą cuchnącą stęchliznę źle oczyszczonych ścieków. Mdłości podeszły mu do gardła.

- Milion dolarów - ogłosił Francois Lyończyk. Oczy obecnych powiększyły się ze zdumienia.

- Milion dolarów... - powtórzył Curt Falkenburg.

- Można by znaleźć kogoś tańszego - podsunęła Doris Churchman, szukając wzrokiem czyjegoś poparcia.

- Mnie też to się wydaje drogo - poparł swoją rodaczkę Shelby z miną pełną pogardy.

- Widziałem się z nim - wyjaśnił Francois. - Moim zdaniem to jest ten, kogo nam potrzeba. Co więcej, polecił go Nick De Luca, ręczy za niego. Połowę Nick De Luca bierze na swoje konto. Zresztą już wpłacił.

- To nie przeszkadza, że jest drogo - narzekala Doris Churchman, wspierana potakiwaniem Johna Shelby.

Curt Falkenburg, który nie znosił Anglika, wziął natychmiast stronę Francois Lyończyka.

- Czy drogo, to się okaże - zaprotestował. - Na początku zawsze się wydaje drogo, a potem się okazuje, że lepiej było zapłacić tyle, niż zdać się na amatorską robotę.

- Jestem tego samego zdania - odezwał się Peter Berghuis.

- Jest nas tu dwudziestu - uniósł się z marsylską porywcznością

Joseph Gracia. - To znaczy od każdego 25 tysięcy dolarów. Inaczej

mówiąc - drobnostka. Jeśli tu jest ktoś taki, kto nie może sobie pozwolić

na 25 tysięcy dolarów za pozbycie się jednego lajdaka, to czego szuka

wśród nas? Curt stworzył Organizację dla wielkich, nie dla pomywaczy z

restauracji!

Dieter Klause bardzo się starał, żeby ściśle przetłumaczyć tyradę

marsylczyka. Nie chciał jątrzyć.

- Mnie się to wydaje do przyjęcia - stwierdził Hermann Zorff.

- Mnie też - krzyknęli chórem dwaj Włosi, Giacomo Zaffarelli i

Giovanni Gentili.

- Odpowiadasz za to, Francois? - zapytał Gerd Gruber, Szwajcar,

nim zajął stanowisko.

- Tak.

- To ja się zgadzam.

- Niepokoi mnie tylko - wtrącił brukselczyk, Charles Pernot - że on

nie określił terminu. Może mu to zająć całe miesiące...

- Sami widzicie - zatriumfował John Shelby - nie ma żadnej

gwarancji z tym typem. Za taką cenę mógłby chociaż określić termin.

- Niemożliwe - stwierdził Francois Lyończyk.

- Dlaczego?

- To jego metoda pracy. Trzeba się zdecydować, albo-albo.

- I żąda zapłaty z góry? Nie do wiary! - podjęła Doris Churchman. - A jeśli nie wykona kontraktu?

- Gdyby nie był godny zaufania - odpowiedział Francois Lyończyk -

Nick by go nie polecił! Nie zapominajcie, że on się w to zaangażował z pół milionem dolarów. I to nie kant. Mam jego forszę, już wam mówiłem.

- Trzeba poddać pod głosowanie - niecierpliwil się Victor Cazzari, nicejczyk. - Tracimy czas na targi. Skoro nie przyjmujemy, kto ma inne rozwiązanie? Pamiętajmy, że jeśli sprawy będą się ciągnęły, damy się pożreć Sycylijczykowi.

- I jak jeszcze! - przyznał Robert Grancet z Lyonu.

- Głosujemy! - żądali prawie wszyscy. Głosowanie było przychylne dla Harry'ego Shulza, poza dwoma głosami: Johna Shelby i Doris Churchman.

Poniedziałek, 29 kwietnia 1974

Harry Shulz wyszedł z wody. Jego atletyczne ciało wzbudzało podziw starych Amerykanek, które cały rok spędzały w łagodnym klimacie Wysp Bahama.

Swobodnym krokiem przeszedł po plaży Cable Beach, żeby wysuszyć się w ciepłym powietrzu. Potem wrócił do Halcyon Balmoral.

Superluksusowy hotel pamiętał czasy kolonii. Odwiedzała go kosmopolityczna klientela. Dodatkowy atut stanowiła wyspa, do której się dopływało łodzią z plaży Cable Beach.

Harry wziął prysznic, żeby splukać sól, i ubrał się do wyjścia.

Doszedł do postój u taksówek, zatrzymał starego forda i usiadł na tylnym siedzeniu.

- Dokąd jedziemy, psze pana? - zapytał kierowca, potężny Metys o lśniącym od potu czole.

- Nassau. Beaumont House Arcade I na Bay Street.

- O.K., psze pana. Taksówka ruszyła.

Harry Shulz lubił Bahama. Między dwoma kontraktami przyjeżdżał tu na wypoczynek. Przemierzył największe z siedmuset wysp archipelagu: obie Inaguy, Harbor, Cat, Eleuthera, Andros... Zajadał się najsmaczniejszymi rybami świata, tańczył przy dźwiękach steel-bands, tuląc w ramionach rozmarzone dziewczęta, podniecone tropikalnym upałem. Czuł się tu inaczej niż w Nowym Jorku. Urodził się w jednej z najbrudniejszych dzielnic, ale kochał swoje rodzinne miasto.

Trzy dni wcześniej opuścił Nowy Jork lotem linii Bahama, które go przewiozły prosto do Nassau.

Wiatr i deszcz pozostawił w Nowym Jorku, żeby tu odnaleźć ciepło i słońce. Nie zamierzał gnuśnieć w tym klimacie. Miał do wykonania robotę.

Obrzucił spojrzeniem palmy falujące wzdłuż drogi. W ciągu pięciu minut był w Nassau. Taksówka zwolniła i zatrzymała się na Bay Street.

Wyskoczył, zapłacił za kurs i wszedł w chłodny mrok szerokiego korytarza starego domu w stylu typowo kolonialnym. Wdrapał się po zużytych stopniach monumentalnych schodów i znalazł się na pierwszym

piętrze. Wyrósł przed nim woźny.

- Słucham pana.

- Jestem Harry Shulz. Pan Worthington na mnie czeka.

- Proszę usiąść.

Shulz zasiadł w wygodnym fotelu. Czekał najwyżej dwie minuty.

Woźny wrócił i poprowadził go przez labirynt korytarzy aż do

dwuskrzydłowych drzwi. Otworzył je i przepuścił gościa.

Shulz wszedł do wielkiego gabinetu o ścianach wyłożonych

mahoniem. W pokoju panowała przyjemna świeżość. Wysoki mężczyzna

wstał zza biurka i powitał Harry'ego.

- Jakże jestem szczęśliwy widząc pana znowu - powiedział do

Shulza. - Tak rzadko pan ostatnio bywa na naszych kochanych wyspach.

Brak nam pana.

Wyrzucal z siebie cały potok słów, które pozostawiały Harry'ego

Shulza całkowicie obojętnym.

- Proszę, niech pan siądzie.

Harry Shulz zapadł się w fotelu, jeszcze miększym niż tam w hallu.

- Ma pan dla mnie jakieś wiadomości? - zapytał od razu pana

Worthingtona.

- Znakomite wiadomości. Popatrzmy. Wyciągnął kartkę i czytał

pospiesznie.

- Otrzymaliśmy dla pana dwa przelewy...

- Tak?

- Jeden na pięćset tysięcy dolarów za pośrednictwem banku w

Watykanie, i drugi, tej samej wysokości, pochodzący z banku w

Liechtensteinie.

- Doskonale.

- Od razu przelaliśmy na pańskie konto łączną kwotę miliona dolarów.

- Właśnie to chciałem wiedzieć.

Wykonał ruch, jakby chciał wstać z fotela, ale Worthington wznosił obie ręce do góry.

- Chwileczkę. Może mi pan poświęcić kilka chwil?

- W jakim celu?

- Otóż...

Worthington chrząknął kilka razy...

- Otóż - powtórzył - jak pan wie, Bahama korzysta z wyjątkowo korzystnych przepisów podatkowych...

- Dlatego moje pieniądze są u was - zareplikował Harry Shulz z pewnym sarkazmem.

- Obecnie - podjął Worthington, krzyżując ręce namaszczonym gestem pralata - mamy tu niewielkie inwestycje, którymi interesują się władze...

- Ile to przynosi?

- 15%.

Harry Shulz skrzywił się.

- Wolne od podatków - sprecyzował Worthington.

- Wiem.

- Widzi pan, miliom dolarów dobrze umieszczony zapewnia ładną rentę, podczas gdy pozostawiony na koncie traci wartość.

- Wszystko to wiem.

- Oczywiście, jeśli...

Przerwał, a Harry Shulz nadstawił ucha.

- Tak?

- Naturalnie, jeśli pan jest gotów podjąć pewne ryzyko, dochód

będzie dużo większy...

- Hę?

- 40%.

- Nieźle.

- Istotnie.

- A to ryzyko?

- Nie wiem, co się dzieje na Morzu Śródziemnym - zaczął - ale

niektóre osoby interesują się starciem pomiędzy Grekami i Turkami na Cyprze. Zapotrzebowanie na broń jest bardzo, bardzo duże w tej strefie.

Oczywiście, te osoby nie dyskryminują żadnej ze stron i są gotowe zaopatrywać oba obozy proporcjonalnie do ich możliwości finansowych.

Naturalnie,

pewne

ryzyko

istnieje,

choćby

kontrola

okrętów

przewożących broń, ale z drugiej strony jest ten wysoki procent.

Czterdzieści od stu.

Harry Shulz westchnął.

- Trzeba ograniczyć to ryzyko. Czterysta tysięcy dolarów na 40

procent i tyle samo na 15.

Szeroki uśmiech rozjaśnił dobrze odżywioną twarz Worthingtona.

- Mądra decyzja.

Harry Shulz wstał, opuścił pokój i znalazł się na rozprężonej ulicy.

Szybko wrócił do hotelu, zamknął się w pokoju i kazał sobie przynieść

butelkę ulubionego szampana, Comtes de Champagne, TAITTINGER

1969. Nim wyruszy na wykonanie "kontraktu", warto wypić za

powodzenie. To może skusić szczęście.

ROZDZIAŁ IX

Piątek, 3 maja 1974

To było zupełnie co innego niż szare i deszczowe niebo

Aubervilliers! Tutaj słońce mocno przypiekało.

Christian Azzelain nie obawiał się słońca, które mu paliło skórę i

nadawało jej piękny kolor. Lubił to. Miał wrażenie, że zdobywa nowe siły.

A co do sił, będą mu potrzebne w najbliższych tygodniach, bo w

interesach nie wyglądało najlepiej. Kumple znikali jeden za drugim,

dawali się wylapywać jak gołębie. Tak skończył Auguste z Marsylii, który

tyle przeżył. Związał z najgorszego więzienia, uciekł do Brazylii zabrawszy z

sobą skarb bandy Bonny-Lafont. Trzydzieści lat później pozwolił się zła-

pać jak dziecko amerykańskim gliniarzom. Wyrzucili go ze Stanów niby szmacianą lalkę.

A teraz on właśnie, Christian, przejął po Starym paleczkę. Nie było łatwo zastępować Starego Augusta, który, nawiasem mówiąc, nie miał żadnej szansy rychłego powrotu.

A Gusto z Marsylii? Trzydzieści lat. Dla starego Gusto trzydzieści lat, to dwa razy tyle, ile zostało mu do grobu. Tym bardziej, że amerykańskie pudła to nie sanatoria. Rządzą tam Czarni, a biedny Gusto ma raczej cerę skandynawską.

Z pewnością nie zobaczy go już nigdy więcej. Tak więc Christian pozostał sam. A ze wszystkich stron groziły same niebezpieczeństwa.

Jeszcze do niedawna Francuzi prowadzili w Rio wspaniałe życie, ale od pewnego czasu policja brazylijska interesowała się dokładnie wszystkim.

A to zezwolenie na pobyt stały, a to źródła dochodów... Tyle kłopotów!

Stąd do ekstradycji tylko krok. A to byłoby fatalne. Wciąż czekała go sprawa policjanta zastrzelonego w alei Ternes. Parszywa sprawa, która mogła go zaprowadzić pewnego ranka prosto na szafot.

Nie lepiej by zrobił zmieniając klimat?

No, tak, ale... jak rzucić ten interes, tutaj w Rio? Cały handel, którym kierował i który mu przynosił taką masę szmalu. Gdzie znajdzie coś podobnego? A ponadto w Rio mu się podobało.

Piękne Metyski, atmosfera wiecznego święta, królująca na ulicach samba i to niebieskie niebo, i ta zatoka, i te plaże. Tak, wymarzone miejsce do życia.

Westchnął zmęczony i zanurzył ręce w ciepłej wodzie. Poruszył nimi energicznie materac, na którym leżał i zaczął płynąć szybciej. Spojrzał w bok i zobaczył, że jego dwaj goryle zrobili tak samo. Fajni chłopcy - pomyślał - Jacques Hirvet i Daniel Lovois, Jak on, dawni antyoasowcy z Algierii. Jacquesowi Hirvetowi zawdzięczał życie. Gdyby go nie zaprosił na swoje urodziny, wyleciałby w powietrze wraz z innymi podczas eksplozji w willi El-Biar.

Straszny okres tamte czasy, ale musiał przez nie przejść, żeby się opłacić glinom. I jaka spotkała go nagroda!

Nagle przyszła mu pewna myśl do głowy. Czy obecne kłopoty nie działały się za sprawą nieszczęsnych Sycylińczyków? Gusto zawsze powtarzał, żeby im nie ufać. Ale wolał się przyglądać błękitnemu niebu.

To było w każdym razie uspokajające!

Dobrze się czuł na materacu. Upał przenikał jego mięśnie, przywracał im elastyczność.

Między nogami miał plastikowy worek. Ścisnął go szczelnie łydkami. Pod wpływem upału ulatniał się mdły zapach plastyku. Nie było rady. Worek był niezbędny. Zawierał mausera 9 mm i dwa zapasowe magazynki.

Nigdy nie wiadomo... Lepiej być uzbrojonym, nawet na materacu, pięćset metrów od brzegu. Ilu ludzi znaleziono nadzianych ołowiem dlatego, że nie zadbali o elementarne środki ostrożności?

Jacques Hirvet i Daniel Lovois, tak jak on, mieli przy sobie broń ukrytą w plastikowych workach wsuniętych między nogi.

Nagle usłyszał hałas motoru. Podniósł głowę i spojrzał dokoła.

Motorówka płynąca od strony morza prula fale. Na dziobie spostrzegł trzy blond dziewczyny w bikini. Wiatr unosił ich długie włosy.

Ostrożnie, żeby nie stracić równowagi, uniósł rękę i pomachał im.

Motorówka zakręciła i płynęła wprost na niego.

**- Hej, chłopcy - wykrzyknął do Jacquesa Hirveta i Daniela Lovois -
widzieliście te fajne cizie?**

- Może chcą nas zaprosić na pokład? - cieszył się Jacques.

**- Co ty! - odpowiedział Daniel. - Na pewno mają swoich facetów na
pokładzie.**

**Motorówka zbliżała się. Widzieli opalone ciała dziewcząt, ciemne
okulary ochraniające oczy, radosne uśmiechy rozjaśniające oblicza. W
rękach trzymały strzelby z harpunami i wesoło nimi wymachiwały.**

**- Patrz! Co one zamierzają łowić w tej zatoce? -wykrzyknął Christian
Azzelain wybuchając śmiechem. - Baracudy?**

**Motorówka była tuż przy nich. Zwolniła. Zawył gwałtownie
włączony wsteczny bieg. Strumienie wody opryskały Christiana
Azzelaina. Nie przestawał się śmiać. Ale śmiech zamarł na jego wargach.**

**Wysoka blondynka, która wymachiwała mu strzelbą nad głową,
wycelowała prosto w pierś. Chciał krzyknąć, ale już nie było czasu.**

**Harpun mierzył w jego serce i przebił je. Stracił równowagę. Wpadł
do oceanu. Jego dwóch goryli spotkał ten sam los. Ich ciała płynęły po
zaróżowionej wodzie. Dziewczęta odłożyły strzelby, włączyły pierwszy
bieg, zrobiły półobrót i popłynęły w stronę pełnego morza.**

Sobota, 4 maja 1974

Sobota. Normalnie leżałby jeszcze w łóżku z Kate, ale wobec rozwoju operacji "Gwinea" to było niemożliwe. Teraz gra toczy się w Rio.

Wayne Sandborg podszedł do tablicy na ścianie. Zdjął pomarańczową fiszkę, powrócił do biurka i wyrysował nazwisko:

Christian Azzelain. Wsunął kartkę w odpowiedni otwór tablicy i zaczął krążyć tam i z powrotem po pokoju. "Francuski łącznik" z Rio zlikwidowany.

Francuzom przez lata dobrze szło w Brazylii, ale teraz tracą prowadzenie.

Sycylijczycy przejmują paleczkę.

"Stary", marsylczyk, siedział w więzieniu i wkrótce stanie przed trybunałem w Brooklinie.

Nowy, jego dawny zastępca, właśnie umarł z sercem przebitym harpunem.

Barto Scalasio zręcznie prowadzi swoje interesy!

Ilu ich było? Przeliczył: trzydziestu jeden.

Trzydzieści jeden morderstw zdalnie kierowanych przez Barta Scalasio, w celu zdobycia władzy na świecie.

Można by nawet powiedzieć trzydzieści dwa, jeśli dodać nazwisko

Sam Levinsky do listy, i tak już dość długiej, ofiar Sycylijczyka.

Sam Levinsky był niezależnym dziennikarzem i pracował dla wielu różnych agencji prasowych.

Pojechał na Sycylię, żeby zebrać materiały na temat działalności

Barta Scalisio. Pewnego ranka wyszedł z hotelu, wszedł do taksówki i od tego czasu nikt go nie widział.

Minęły już trzy miesiące.

Harry Shulz wyszedł z łazienki i zaczął się ubierać.

Najpierw wciągnął slipki i przystąpił do umocowania specjalnego pasa. Wykonany z miękkiej skóry, przylegał dokładnie do bioder i górnej części ud. Podtrzymywał go cienki rzemyk w kroku. W pasie były specjalne kieszonki z 10 tysiącami dolarów w odcinkach studolarowych.

Następnie Harry Shulz włożył ubranie i porozkładał po kieszeniach specjalny sprzęt. Zawsze z nim podróżował, gdy miał do wykonania “kontrakt”.

Ten

sprzęt

przygotował

mu

Mike

O’Flaherty,

genialny

majsterkowicz, dostawca gadżetów do zabijania, chętnie używanych przez zawodowych zabójców.

To on skonstruował rozkładany pistolet kaliber 9 mm. Jego

poszczególne części były porozrzucane w różnych przyborach

toaletowych w neseserze podróżnym Harry’ego Shulza. Amunicja w

formie czopków spoczywała na dnie podróżnej apteczki.

Pistolet superlekki, niewielki, strzelał nabojami 9 mm z przerażającą siłą, większą niż normalna broń tego kalibru.

Wystarczy zeszkrobać wierzchnią warstwę z czopków, żeby ukazał się nabój.

Mike O'Flaherty, w wieku lat 70, po wyjściu z więzienia San Quentin, poświęcił się broni i gadżetom do zabijania. Schronił się na przedmieściach Minneapolis i oddał ukochanej pasji: koncepcji i fabrykowaniu niespotykanej broni.

Na prośbę Harry'ego Shulza zajął się rozwiązaniem innego problemu: przekraczanie granic.

W kraju o reżimie policyjnym jest niewskazane stawić się na kontrolę na lotnisku z bronią w bagażach. Chyba że chce się wylądować w ciemnym i wilgotnym kryminale, nawiedzanym przez szczury, z bardzo niepewną szansą wyjścia.

Jeżeli więc jakiś policjant o kwalifikacjach intelektualnych poniżej średniej, jak to bywa w tych krajach, wpadnie na pomysł, żeby cię przeszukać, co znajdzie w twoich kieszeniach? Mike O'Flaherty sporządził listę:

Paszport

Portfel zawierający bilety wizytowe, fotografie rodzinne, pieniądze, czekikredytowe, prawo jazdy

Grzebień

Pióro wieczne

Notes z ołówkiem

Pilnik do paznokci

Cążki do obcinania paznokci

Chustka

Zapalniczka

Papierosy

Klucze

Bilon

Pudełko zapalek

Okulary

Chusteczki odświeżające (kraje tropikalne)

Guma do żucia

Fiolka z tabletkami aspiryny.

W piwnicy swego atelier w Minneapolis Mike O’Flaherty łamał sobie głowę, jak się popisać. Poświęcił na to miesiące, ale udało mu się.

Guma do żucia to był plastik, jeden z kluczy - detonator.

Bilety wizytowe po rozpuszczeniu w płynie z napisem “after shave”, w ciągu sześciu godzin dawały w efekcie nitroglicerynę.

Wieczne pióro przemieniało się w pistolet na cyjanek, z trzema zachodzącymi na siebie częściami. Pierwsza zawierała sprężynę, druga - iglicę, trzecia - ampulkę z cyjankiem. Cyjanek otrzymywało się zanurzając fałszywą tabletkę aspiryny w kwasie pruskim, który jako krople do oczu znajdował się w apteczce.

Pistolet, pod działaniem iglicy zwolnionej przez sprężynę, wyrzucał cyjanek w twarz ofiary i zabijał ją w ciągu kilku sekund; pudełko zapalek i

paczka papierosów to były w rzeczywistości bomby. Podobnie zapalniczka i cążki do paznokci. Pilnik służył do otwierania drzwi.

Harry Shulz usiadł w fotelu, przymknął oczy i oddał się rozmyślaniom.

Dokonywał przeglądu informacji, których mu dostarczył Francois Chaive. Krótko je podsumował.

Barto Scalisio, szef mafii, niedościgły, żeby się tak wyrazić.

Trzy jachty na Morzu Śródziemnym pływały bez przerwy, nigdy nie zawijając do portu. Nikt nie wiedział, na którym z trzech jachtów się znajdował, jeżeli się tam znajdował.

Meliny na lądzie. Nieznane. Liczni wspólnicy. Transport między lądem a morzem przez helikoptery i ślizgacze.

Potężna organizacja na usługi. Obstawa w ciągłym ruchu. Nikomu nie ufał.

Najmniejszej wskazówki, jak go znaleźć. Bez przerwy zmieniał miejsce pobytu. Nie był idiotą. Najlepsza metoda, żeby uniknąć zdrań i strzałów ze strony tych, którzy chcieliby go zabić.

Niemniej musi istnieć jakaś luka w tym systemie. Żaden człowiek na świecie nie może wiecznie żyć w ten sposób.

Na początek: jakiego rodzaju człowiekiem był Barto Scalisio? Gdy się pozna czyjąś osobowość, dostrzega się słabości. A przez słabości można go osiągnąć.

Ale Harry Shulz na próżno wypytywał Francuza na ten temat.

Niczego się nie dowiedział.

Francois Chaive był sumienny. Wrócił do Nicka De Luki, zadawał mu pytania, ale nie uzyskał wartościowych informacji. Barto Scalisio pozostawał nieprzenikniony, nieuchwytny... Nieuchwytny z każdego punktu widzenia.

Co o nim wiadomo?

W wieku dwudziestu lat był zarządcą dóbr. To mu pozwoliło egzekwować haracz za przymusową ochronę terenów rolnych i zwrócić na siebie ogólną uwagę masą zbrodni.

Następnie wziął rozpęd, chciał podbić świat, porwał się na Stany Zjednoczone i Europę Zachodnią.

Wniosek: nadzwyczaj ambitny, bardziej dumny niż chciwy, okrutny, bez skrupułów.

A gdzie słabości? Hazard? Alkohol? Kobiety? Narkotyki? Miłość synowska? Miłość ojcowska? Homoseksualizm?

Harry Shulz odrzucił od razu homoseksualizm i narkotyki. Mało prawdopodobne. Trudno sobie wyobrazić Barta Scalisio w tych rolach.

Sprzedawał narkotyki, ale ich nie używał, jak wszyscy zresztą handlarze na świecie.

Alkohol do niczego nie prowadził. Jeżeli Sycylińczyk pił, to na pokładzie jachtu albo w jakiejś melinie.

Hazard? Dość prawdopodobne. Wszyscy ci wodzowie byli niepoprawnymi graczami. Tylko trudno podejrzewać, że zobaczy się go w kasynie. Jeśli gra, to na pokładzie jednego ze swoich jachtów montuje partie przeznaczone tylko dla kompanów. Nie. To nie to.

Pozostawały kobiety, miłość synowska, miłość ojcowska. Warto wiedzieć, czy Barto pozostawił rodziców na Sycylii, czy jest żonaty, czy ma dzieci, czy utrzymuje Stały stosunek lub stosunki, czy też każe sobie przyprowadzać kobiety na jedną noc. Może tam tkwi słabość? A może, od czasu do czasu, odczuwa nostalgię za rodzinnym krajem? Może wraca, żeby ucałować ojca, matkę, żonę, dzieci?

Sycylijczycy są bardzo sentymentalni. Zachowali zwyczaje przodków, respekt dla rodziców, miłość do dzieci.

Może uda się osiągnąć Barta Scalisio poprzez tę słabość? W każdym razie warto spróbować i zacząć od tej strony, choćby dlatego, że nie ma żadnego tropu, którego by się można uczepić.

Harry wstał z fotela. Pewna myśl go zatrzymała: gdzie się dowiedzieć? Zaczął krążyć po pokoju i zastanawiał się.

Doszedł do wniosku, że powinien użyć starego chwytu, który już nieraz w przeszłości mu się udawał.

Decyzja podjęta. Szybko opuścił mieszkanie, wyszedł na ulicę i zatrzymał taksówkę.

Kazał się zawieźć do Bronx, East 193 Street. Znajdował się tam stary garaż, otoczony cmentarzyskiem samochodów, między stacją metra Kingsbridge i Saint James Park.

Omijając plamy oliwy rozlane na betonie, wszedł na pierwsze piętro.

Judd Johansson podniósł nos znad grubej książki, gdzie wpisywał liczby.

- Cześć Harry. Nie slyszalem, jak wszedles. Zawsze umiesz chodzic po cichu. Skrzywienie zawodowe, podejrzewam...

- Cześć Judd.

- Posadz gdzieś swój tyłek, jeżeli znajdziesz jakiś wolny kąć.

Harry Shulz jednym kopnięciem zrzucił z krzesła stos tłustych gałganów i usiadł naprzeciwko Judda Johanssona.

- Myślałem, że jesteś na bakier z rachunkami - zauważył wskazując na grubą księgę.

Judd Johansson zaśmiał się.

- Muszę się zajmować rachunkowością dla tych pieprzonych glin z urzędu skarbowego.

- Falszujesz, oczywiście.

Judd Johansson znów się zaśmiał. - To się rozumie, Harry.

- Jak interesy?

- Tak sobie. Z czym do mnie przychodzisz?

- Po papiery.

- Jakiego rodzaju?

- Pamiętasz sprawę Ziegelbauma? Potrzebne mi takie same. Data z tego tygodnia, oczywiście.

Stary człowiek pomyślał chwilę.

- Mogę ci dostarczyć, Harry.

- Dzisiaj?

- Tak bardzo ci się spieszy?

- Tak. Dziś wieczór?

Judd zawahał się.

- To będzie trochę drożej.

- Bez znaczenia. Bierz.

Wyciągnął z portfela plik banknotów i położył na stole razem z kartką złożoną we czworo.

- Tak dobrze? Masz wszystkie informacje na kartce. Wskazał palcem papier.

Judd Johansson podszedł żwawo do banknotów i przeliczył je starannie. Gdy skończył, zwilżył wargi, spojrzał obłudnie.

- Gdybyś mógł dorzucić dziesiątkę...

Harry Shulz westchnął i spełnił prośbę bez dyskusji.

- Gdzie ci przynieść?

- Nie trzeba, przyjdę. O dziewiątej?

- O.K.

Harry Shulz wstał i wyszedł z garażu. Nie znalazł na tym odludziu taksówki i musiał pójść do stacji metra Kingsbridge. Nienawidził metra.

To była linia towarzystwa "Independent" i szczęśliwie ekspresowa.

Pojechał do stacji na 161 Ulicy, tej samej, gdzie tak często wysiadał, gdy

był chłopcem, żeby obejrzeć mecz New York Football Giants na Yankee

Stadium, w pobliżu. Przesiadł się na ekspresową linię IRT, która go

dowiozła do stacji przy 59 Ulicy i Lexington. Stamtąd wolał wrócić do

siebie piechotą.

Z domu zatelefonował do linii lotniczych PANAM i poprosił o

rezerwację do Rzymu.

- Pierwsza klasa - dodał.

Następnie przystąpił do przygotowania bagażu. Wybrał ubrania i inne rzeczy, które zamierzał wziąć ze sobą.

O siódmej skończył.

Poszedł do węgierskiej restauracji na lekki posiłek i o dziewiątej był już z powrotem w garażu u Judda Johanssona. Zadowolony, wrócił do siebie i natychmiast się położył.

Nazajutrz wieczorem o godzinie 21 był w Rzymie. Dwa dni później wylądował na lotnisku w Palermo na Sycylii.

Jego wygląd zupełnie się zmienił. Włosy ufarbowane na stalowo, policzki zaokrąglone i różowe, okulary bez oprawy. W prawym uchu miał aparat słuchowy, sznurek schował pod kołnierzykiem koszuli. Oczy, zwykle zielone, stały się niebieskie dzięki specjalnym szkłom kontaktowym, umieszczonym na tęczówce. Cienkie, siwe wąsy ocieniały górną wargę. Plecy wyraźnie zgarbione, ramiona zgięte. Nosił lekki garnitur w ciemnym kolorze; czarne; solidne buty świadczyły o zamiłowaniu do wygody i chodzenia pieszo. W ręku aktówka.

Zatrzymał się na chwilę w południowym słońcu, które nagrzewało płytę lotniska, i wolnym krokiem udał się do budynków portu lotniczego.

Po dopełnieniu formalności celnych i policyjnych odebrał bagaże, wziął taksówkę i zameldował się w skromnym hotelu. Tego samego popołudnia złożył wizytę miejscowemu adwokatowi. W Rzymie znalazł jego nazwisko na liście współpracujących z kancelariami prowadzącymi sprawy międzynarodowe. Umówił się z nim wcześniej telefonicznie i

został serdecznie przyjęty. Adwokat zaprosił go do zajęcia miejsca w fotelu z czarnej zniszczonej skóry i zapytał z miejsca doskonałą angielszczyzną:

- Co mógłbym dla pana uczynić, panie Baxter?

Nazwisko Baxter widniało w paszporcie, który spoczywał w wewnętrznej kieszeni marynarki Harry'ego Shulza. Paszport był autentyczny. Należał do amerykańskiego pilota najemnego, który zaangażowany do lotnictwa izraelskiego, zginął pod niebem syryjskim.

Paszport w cudowny sposób uniknął zniszczenia. Znalazł go pewien żołnierz syryjski i odstąpił libańskiemu handlarzowi, a ten z kolei z dużym zyskiem odsprzedał jednemu z członków Organizacji TRAK, a od niego odkupił go Harry Shulz.

Niektóre dane w paszporcie, jak zawód, wiek i miejsce urodzenia, zostały zmienione przez wykwalifikowanego chemika. Zdjęcie zastąpiono podobizną postarzonego Harry'ego Shulza. Tych poprawek dokonano w Rzymie podczas dwóch dni, które Shulz tam spędził. Na stronach do tego przeznaczonych przyłożono fałszywe pieczętki, potwierdzające wjazd do Włoch.

- Oto przedmiot mojej wizyty, mecenasie - oświadczył Harry Shulz. -

Jak mówiłem panu przez telefon, pracuję w kancelarii Baltimore, Stanley, McPherson senior i junior i Cohn. Zajmujemy się spadkiem po jakimś Giziano Scalisio. Otóż to. Pozwoli pan?...

Harry Shulz otworzył teczkę i wyciągnął z niej plik papierów.

Wręczył pismo adwokatowi. Wziął inną kartkę i czytał:

To jest mój testament

Ja, niżej podpisany Giziano Scalisio, naturalizowany obywatel amerykański, pod nazwiskiem Gizzy Scally, 22 grudnia 1939 roku, lat 66, urodzony na Sycylii, we Włoszech (około roku 1905, bez możliwości sprecyzowania dokładnej daty i miejsca urodzenia), kawaler, emigrant do Stanów Zjednoczonych Ameryki w roku 1927 i zamieszkały obecnie 2032 Main Street, Baltimore, Maryland, USA, zapisuję wszystkie moje ruchomości i nieruchomości członkom mojej rodziny pozostałej na Sycylii, z którą przerwałem wszelkie kontakty dość dawno, ale niemniej przypominam sobie imiona niektórych, jak:

Carmelo Scalisio - mój brat

Rosa Scalisio - kuzynka

Bartolomeo Scalisio - bratanek

Maria Scalisio - bratanica.

Majątek, który zapisuję składa się z: trzech budynków mieszkalnych przy 2032 Main Street, 118 Chesapeake Bay Avenue i 841 Avenue C w Baltimore, Maryland; sklepu spożywczego przy 1948 Main Street, w tym samym mieście; restauracji-bant pod tym samym adresem; konta bankowego numer GHJ 897 BN w First National Bank, filia w Baltimore, konta bankowego numer LMP 99643 K w Chase Manhattan Bank, filia w Baltimore, portfelu akcji przechowywanych przez ten sam bank.

Zobowiązuję kancelarię adwokatów Stanley, McPherson, senior i junior i Cohn do odnalezienia, gdy niespodziewanie nastąpi mój zgon,

członków mojej rodziny jeszcze żyjących na Sycylii, nie tylko tych wymienionych wyżej, ale także wszystkich innych, i do podziału między nimi, w równych częściach, wszystkich moich dóbr, obecnych i przyszłych, po odliczeniu kosztów sądowych, podatków i honorariów.

Spisane w Baltimore, 14 grudnia 1972 roku.

Podpisano Giziano Scalisio, zwany Gizzy Scally.

Za zgodność:

John Stanley, Bernard F. McPherson sr, Arthur S. Cohn, Bernard F. McPherson jr.

Harry Shulz wręczył adwokatowi papier.

- To jest fotokopia testamentu - uściślił.

- Dziękuję.

Adwokat potrząsnął dokumentem z roztargnieniem.

- Jeśli dobrze rozumiem - powiedział - przybył pan tutaj, żeby odnaleźć członków rodziny Giziana Scalisio?

- Dokładnie tak. Ponieważ nie jestem zorientowany w tym kraju, pomyślałem, że pan mógłby się zająć postępowaniem. Oczywiście, moja firma jest gotowa hojnie pana wynagrodzić (zaakcentował słowo hojnie) za poniesione koszty oraz wysiłki.

Adwokat się ożywił.

- Dziękuję panu z góry.

- Więc pan się zgadza?

Mecenas Rogazzino zmarszczył brwi w intensywnym procesie myślenia.

- Jedno mnie trochę martwi - przyznał - to jest nazwisko...

- Nazwisko?

- Scalisio...

- Tak?

- To dość znane tu nazwisko.

- Będzie więc łatwo odnaleźć wszystkich członków rodziny -

logicznie skonstatował Harry Shulz.

- Oczywiście, ale...

- Przewiduje pan trudności?

- Niektórzy członkowie tej rodziny są niebezpieczni.

- Niebezpieczni? Co pan chce przez to powiedzieć?

- Za długo by trzeba tłumaczyć. Widzi pan, Sycylia to stary kraj z

tradycjami odziedziczonymi po przodkach, ze szczególną obyczajowością,

z pewnym fanatyzmem; ludzie tu są twardzi, krew płynie łatwo...

Harry Shulz pozwolił sobie na nieśmiały uśmiech.

- Chce pan mówić o mafii? Istotnie. W Hollywood zrobiono kilka

filmów na ten temat, ale zawsze myślałem, że to czysta fikcja. Czyżbym się

pomylił?

- Pomylił się pan.

- Ach, tak?

Przybrał

rozbawiony

wyraz

twarzą,

typowy

dla

Amerikanina-realisty z nogami na ziemi, który nie lubi, jak mu się opowiada blagi o starych czarownicach.

Adwokat spojrział na niego zmartwiony.

- Rodzina Scalisio dostarczyła członków do... do tej... tej organizacji krymi... no, chciałem powiedzieć, do tej organizacji trochę specjalnej...

- Rozumiem...

Harry Shulz przyjął obojętny ton. Niedbale wziął z rąk adwokata papiery, wsunął do teczki, zamknął ją i wstał.

- No, tak, tym gorzej, mecenasie. Przepraszam, że pana fatygowałem - oświadczył zimnym tonem.

Obrócił się na pięcie i skierował ku drzwiom.

- Niech pan zaczeka.

Harry Shulz odwrócił się z ręką na klamce.

- Słucham?

- Nie tak szybko - zadyszał się mecenas Rogazzino. - Nie powiedziałem, że odmawiam.

- Zdawało mi się, że... tak zrozumiałem...

- Wcale nie. Proszę, niech pan wróci i usiądzie. Przedyskutujemy wspólnie, jakie środki przedsięwziąć, żeby odnaleźć członków rodziny pańskiego zmarłego klienta.

ROZDZIAŁ X

Wtorek, 14 maja 1974

Harry Shulz wpatrywał się w adwokata.

- Co panu się udało odkryć, mecenasie? - zapytał tonem człowieka interesu. Promienny uśmiech rozjaśnił twarz adwokata.

- Sądzę, że pan będzie zadowolony.

- Słucham pana.

- Udało mi się odnaleźć powiązania rodzinne Giziano Scalisio.

Harry Shulz był niewzruszony. Adwokat rzucił mu spojrzenie spode łba, wziął kartkę papieru leżącą na biurku obok aparatu telefonicznego.

Zaczął czytać.

- Giziano Giovanni Pietro Scalisio urodził się 25 maja 1905 roku tutaj, w Palermo, ze świętej pamięci Battista i Renaty Mazzoli, również zmarłej. Miał dwóch starszych braci. Jeden, ten wymieniony w testamencie, Carmelo, umarł w 1954 roku, nie zostawiając ani wdowy, ani dzieci. Drugi, Giuliano, spłodził sporo potomstwa. Jednym jest Bartolomeo, wzmiankowany w testamencie, który... który mieszka obecnie za granicą, nie wiemy gdzie. Dwoje innych dzieci, bratankowie Giziana Scalisio, to Giuliana i Rosella, z mężów Carrona i Sirica. Nie odnalazłem natomiast śladów Rosy Scalisio i Marii Sattalardo, wymienionych w testamencie. Oczywiście, moje poszukiwania trwają. Wydaje się, że na razie, jako potencjalnych spadkobierców, mamy Bartolomea Scalisio, jego dwie siostry, małżonków i dzieci tych ostatnich, łącznie jedenaście osób.

Harry Shulz wiedział doskonale, że to, co opowiadał adwokat, było mieszaniną kłamstw i prawdy, ponieważ Giziano Scalisio istniał jedynie w

wyobraźni Harry'ego Shulza.

Ale na pewno była prawdziwa część mająca związek z Bartolomeo

Scalisio i jego dwiema siostrami. To go interesowało pod każdym

względem. Teraz trzeba postawić kapitalne pytania, które go przywiodły

na Sycylię.

Żeby do tego przystąpić, przybrał obojętną minę.

- Powiedział pan przed chwilą, że Bartolomeo Scalisio mieszka za

granicą, ale nie wie pan, gdzie.

Adwokat był trochę speszony.

- Tak.

- Żonaty? Ma dzieci? Wydaje mi się, że ważne byłoby to wiedzieć.

Adwokat przelknął ślinę.

- Spróbuję się dowiedzieć.

- O to chodzi. Inna sprawa... Czy Bartolomeo Scalisio i jego dwie

siostry mają jeszcze jakąś rodzinę ze strony ojca lub matki? Bo tamci

także mogliby należeć do spadkobierców.

Mecenas Rogazzino był stanowczy.

- Nie.

- Dobrze. Nie ma kuzynów?

Harry'ego Shulza nie interesowało to pytanie, ale grał do końca

swoją grę.

- Są, ale rozproszeni po całej Sycylii, trzeba by ich odszukać.

- Dobrze.

- Jeszcze jakieś pytanie?

- Pomyślmy...

Harry Shulz udawał namysł.

- Ach, tak... Czy pański Bartolomeo Scalisio utrzymuje stale

stosunki, czy też nie, z innymi członkami rodziny, siostrami, na przykład?

Niech pan nie zapomina, że nie można go pominąć. W końcu jest

najbliższym spadkobiercą wraz z dwiema siostrami i, wcześniej czy póź-

niej, trzeba go będzie znaleźć, żeby wypłacić część spadku.

Adwokat wydawał się straszliwie skrępowany. Harry się świetnie

bawił. Powtarzał sobie, że mecenas Rogazzino musiał się okropnie bać

wszystkiego, co dotyczyło Barta Scalisio.

- Przyznam, że nie rozważałem tej kwestii - rzekł adwokat z dużą

ostrożnością - ale niech pan będzie spokojny, nie omieszkam się tym

zająć.

- To doskonale. Kiedy pan myśli uzyskać odpowiedź? Adwokat

sprawiał wrażenie, jakby był pogrążony w głębokim namyśle.

- Trzeba będzie dobrego tygodnia.

- To za długo - przeciął sucho Harry Shulz.

- To jest...

- Rozumie pan chyba, że nie mogę spędzić całego życia czekając, aż

się ujawnią spadkobiercy Giziana Scalisio!

- Dlaczego nie powróci pan do Baltimore? W tym czasie

przeprowadzę poszukiwania i prześlę panu mój raport - zaproponował

adwokat z cieniem nadziei w głosie.

Harry Shulz udał, że się zastanawia.

- Nie - powiedział w końcu. - Ja też muszę przekazać mój raport i
wolałbym, żeby był pełniejszy, niż ten, który mógłbym teraz sporządzić z
informacji, jakich mi pan dostarczył.

- Nie są zadowolające?

- Są. Ale potrzebne mi też te, o które prosiłem przed chwilą.

- Więc dobrze, w ciągu tygodnia.

- Niech pan skróci ten termin.

- Spróbuję.

- Daję panu trzy dni!

- Trzy dni, ależ...

- Trzy dni, nie więcej.

Jego ton był ostateczny. Spojrzał na zegarek.

- Mamy wtorek, 14 maja. Przyjdę w piątek, powiedzmy o
czternastej?

- O tej godzinie rozpoczynam sjęstę - skarżył się adwokat ze smutną
miną.

Harry Shulz wzruszył ramionami. Musi się przyzwyczać do
zwyczajów sycylijskich.

- Więc o siedemnastej. Mecenas Rogazzino westchnął.

- Zgoda.

Harry Shulz, żeby go pocieszyć, wyciągnął plik banknotów i położył
na biurku.

- Wykonał pan znakomitą pracę, mecenasie, niech pan idzie dalej tą
samą drogą.

Zobaczył pożądlivy błysk w spojrzeniu adwokata i nie zwlekając

wyszedł z pokoju.

Piątek, 17 maja 1974

Harry Shulz skręcił w ulicę, gdzie mieszkał mecenas Rogazzino. Od razu spostrzegł zbiegowisko przed domem adwokata. Wzdłuż chodnika stały samochody policyjne z wyciągniętymi w górę antenami.

Znieruchomiał i rozejrzał się dokoła. Po chwili wolnym krokiem udał się w stronę domu.

Podszedł do grupy ludzi, którzy z ożywieniem dyskutowali.

Uchwycił okruchy zdań: Ammozzato... astutatu... lupara.... Mieszanina włoskiego i gwary sycylijskiej. Już zrozumiał. Patrzyli na niego. Usłyszał wyraz: rifardu (cudzoziemiec).

Wycofał się, wrócił do hotelu. Zamknął dokładnie drzwi i wyciągnął swoją apteczkę. Wyjął pudełko z czopkami i pilnikiem do paznokci zeszkrobał warstwę, którą były pokryte naboje pistoletu 9 mm.

Gdy skończył, pozbierał poszczególne części pistoletu, zmontował go, uprzednio naoliwiając. Załadował magazynek i wprowadził kulę do lufy. Wsunął pistolet za pas i wyjął wieczne pióro. Rozmontował trzy elementy, wziął fałszywą tabletkę aspiryny, wrzucił ją do szklanki, wlał trochę kwasu pruskiego, który znajdował się w buteleczce z etykietą kropli do oczu. Odczekał dziesięć minut, paląc w tym czasie papierosa.

Następnie wlał płyn do trzeciej przedziałki pióra. Tym, co pozostało, napelnił trzy inne pojemniczki na cyjanek, wykorzystując zapasowe przegródki ukryte w walizce. Zajął się zmontowaniem na nowo

części pióra, sprawdziwszy, czy sprężyna i iglica funkcjonują swobodnie w swoich komorach.

Teraz wsunął skuwkę pióra do wewnętrznej kieszonki. W innych kieszeniach umieścił paczkę papierosów, zapalniczkę, pudełko zapalek, cążki do paznokci - wszystko to były mini-bomby.

O czymś zapomniał.

Z przyborów toaletowych wyciągnął metalowe opakowanie kremu do golenia ze znakiem znanej francuskiej firmy. Rozebrał. To był tłumik do pistoletu 9 mm. Ukrył go w kieszeni spodni...

Był gotów.

Jeżeli z taką łatwością sprzątnęli mecenasa Rogazzino, bo zbierał informacje o Barcie Scalisio, to będą chcieli jak najszybciej uczynić to samo z nim!

Pozostawały dwie walizy. Zabierze tylko jedną, najważniejszą: tę z tajemnymi schowkami, z zapasowymi paszportami, z różnymi przyborami, trochę bielizny i ubrań.

Drugą, z resztą bielizny i ubrań, pozostawi tu.

Zajął się natychmiast zamykaniem walizy. Kiedy skończył, otworzył okno. Pokój wychodził na wewnętrzne podwórze, przypominające patio.

Z trzech stron było otoczone arkadami. Pośrodku słabiutki wodotrysk udawał, że odświeża powietrze.

Harry Shulz spojrział na czwarty bok podwórza. Był tam mur z grubych kamieni, z furtką prowadzącą do garażu.

Uważnie obserwował okna wychodzące na podwórze. Większość

była uchylona, ale nikt się w nich nie ukazywał. Na szczęście pokój

znajdował się na pierwszym piętrze.

Podszedł do łóżka. Ściągnął prześcieradło, koldrę i wyciągnął

materac. Zaniósł go do okna i spuścił. Materac spoczął na ziemi i rozłożył

się na całą długość. Harry Shulz złapał walizkę, wszedł na parapet i

skoczył na sam środek materaca. Odbił się, omal nie upuścił walizki,

odzyskał równowagę i pobiegł w stronę furtki. Otworzył ją w locie i wpadł

do garażu. Było prawie zupełnie ciemno.

Zauważył promień światła od drzwi, które prowadziły na ulicę.

Szybkim krokiem podszedł na drugi koniec garażu i uchylił

dwuskrzydłowe wrota.

Wiedział, że mieszkańcy hotelu zostawiają kluczyki u dozorca, który

siedział w klitce przylegającej do garażu. Harry Shulz był tu dwukrotnie

od czasu zameldowania się w hotelu.

Postawił walizę przy wejściu i zbliżył się do kabiny. Dozorca spał

głębokim snem. Harry Shulz wycelował w czaszkę. Uderzył wytrawnym

ciosem prawej ręki. To powinno wystarczyć, żeby go uśpić na dłuższy

czas.

Nienawidził zabijania, kiedy to nie było konieczne. Mordowanie

tylko wtedy akceptował, kiedy był za to opłacany. Wychodził bowiem z

założenia, że jeśli ktoś płaci za zabicie kogoś innego, to znaczy, że ma

poważne powody, żeby tak uczynić. I rzadko się zdarza, żeby wyznaczona

ofiara zasługiwała na życie. To zapewniało Harry'emu czyste sumienie.

Tym bardziej że nie przypominał sobie, żeby wykonał wyrok na kimś, kto

nie zasługiwał na śmierć;

Zamknął dozorcę w żelaznej szafie i poszedł przeszukać garaż.

Wybrał zwykłego fiata, jakich setki tysięcy widać na ulicach Włoch, zapamiętał numer i wrócił do kabiny po kluczyki.

Rzucił walizkę na tylne siedzenie fiata, sprawdził poziom oleju, benzyny i wody, podprowadził samochód do wyjścia. Popchnął go na zewnątrz, zamknął drzwi i usiadł przy kierownicy.

Przejechał nie więcej niż sto metrów, gdy zauważył w lusterku, że jedzie za nim jakiś samochód. Uśmiechnął się z aprobatą. Lubił mieć do czynienia z zawodowcami. Amatorzy byli okropnie nużący.

Nie znał zupełnie topografii miasta, zdał się na szczęście. Przejechał cztery zielone światła i zobaczył tablicę ze strzałką wskazującą Alcamo.

Skręcił, dodał gazu i wkrótce wyjechał z miasta.

Fiat dobrze ciągnął. Przed oczami roztaczała się wieś, pożółkła, wyleniała, spalona od słońca. Mężczyźni siedzieli okrakiem na osiołkach, podczas gdy ubrane na czarno kobiety dreptały z tyłu.

Nie tracił z oczu w lusterku wielkiego mercedesa, jadącego za nim.

Siedzieli tam czterej mężczyźni. Mercedes był na pewno silniejszy od fiata. I tamci czterej, gdy tylko zechcą, dogonią go i wyprzedzą. Wtedy będzie niebezpiecznie.

Nagle zobaczył kózkę, która zsunęła się ze stromego zbocza i stanęła na środku drogi.

To była szansa!

Ledwie ją ominął, gwałtownie hamując. Wyskoczył z wozu, uderzył

koźlę pięścią. Zwaliło się. Wyciągnął z kieszeni fałszywą paczkę
papierosów i wsunął ją między skórę a obrózkę ściskającą szyję
zwierzęcia. Uruchomił mechanizm, pospiesznie wskoczył do fiata i ruszył.

Ile to czasu mówił Mike O'Flaherty? Ach, tak, pięć sekund...

Spoglądał na drogę i w lusterko. Około stu metrów za sobą zobaczył, jak
mercedes zwolnił, zjechał na lewą stronę drogi, żeby ominąć kózkę.

Wybuch uniósł samochód z ziemi. Wyglądało przez chwilę, jakby zawisł w
powietrzu. Potem karoseria rozleciała się w kawałki, a cztery
zmasakrowane ciała wylądowały w polu.

Harry Shulz był usatysfakcjonowany. Skoncentrował teraz uwagę
na wstędze szosy. Ale myślą wracał z wdzięcznością do dobrego, starego
Mike O'Flaherty, dawnego więźnia, który w swojej podziemnej pracowni
w Minneapolis wytwarzał w genialny sposób gadzety szybkiej śmierci,
szczególnie skuteczne w nagłej potrzebie.

Wóz ominął długą procesję mężczyzn, kobiet i osiołków, sunących
do miasta. Na grzbietach osłów były załadowane wiklinowe kosze, z
których wystawały zielone ogonki wielkich bakłażanów.

Droga nagle się zwężyła i wcisnęła pomiędzy dwa rzędy domów z
balkonami pełnymi roślin, kwiatów w naczyniach i suszącej się bielizny.

Harry nacisnął hamulec. Prawie nic teraz nie widział, oślepiiony
zmianą światła. Stopniowo jego oczy przyzwyczajały się do półcienia,
bardzo powoli więc posuwał się drogą między starymi domami. Potem na
nowo wyszło słońce.

Spostrzegł po prawej stronie wąską plażę, zamkniętą portem

rybackim z jednej strony, z drugiej - szeregiem domów. Prom z ładunkiem, samochodami, pasażerami, oddalał się od przystani. Przed nim mknął ślizgacz. Żaglówki przecinały zieloną toń morza białymi żaglami. Opalone ciała leżały na piasku, wielokolorowe parasole mieszały się z barwnymi kostiumami kąpielowymi.

Harry Shulz objął wzrokiem ten spektakl. Był zdziwiony. Jak to się dzieje, że już tylu ludzi jest na plaży? Czyż to nie maj? Jeszcze daleko do wakacji.

Ale właśnie zauważył autokary stojące wzdłuż chodnika wokół plaży! Sztokholm... Sverlge Thorgensson Resa-byra...

- Szwedzi!... Trzeba być Skandynawem, żeby się kąpać o każdej porze roku. Woda nie była wprawdzie lodowata, ale jeszcze dość zimna.

Ostro zahamował. Jego wzrok przyciągnęły przyczepy ustawione wzdłuż nabrzeża. Wszystkie były wyposażone w metalową konstrukcję w kształcie półobróczy, przeznaczoną, jak wiedział, dla łodzi motorowych lub ścigaczy.

Widok tak wyekwipowanych przyczep nasunął mu pewną myśl.

Ogarnął wzrokiem morze, port rybacki, plażę, przystań, aż dostrzegł to, czego szukał.

Wycisnął sprzęgło, ruszył, zrobił półobrót i pojechał ku przystani.

Zatrzymał wóz, wziął walizę i swobodnym krokiem podszedł do wielkiego kutra motorowego przycumowanego do nabrzeża.

Przesadził odbojnicę, jedną ręką chwycił listwę daszka kabiny, drugą rzucił walizkę na pokład. Potem postawił obie nogi na chwiejnej

podłódze.

**Zaczął działać. Z kieszeni spodni wyciągnął tłumik, zza pasa -
pistolet 9 mm. Nałożył tłumik na lufę, równocześnie badał teren.**

Pistolet zwisał wzdłuż nogi.

**Teraz Harry udał się do kabiny. Już miał tam wejść, gdy ukazał się
olbrzymi blondyn. Lniane włosy spływały na nagie, opalone ramiona.**

**Wielkie, zdziwione oczy, niebieskie jak niebo latem, wpatrywały się w
Harry'ego Shulza z zakłopotaniem.**

- Ładna dziś pogoda!- Może mi pan powiedzieć, w jaki...

Drgnął widząc pistolet wycelowany w swój brzuch.

- Co to jest?

Harry Shulz przypomniał sobie kilka słów po szwedzku.

- Biorę ten kuter. Mówi pan po angielsku?

- Nie. W czym mogę panu pomóc?

**Harry Shulz przygryzł wargi. Jego znajomość szwedzkiego była
raczej szczątkowa. Tym gorzej, musiał sobie poradzić, jak umiał.**

- Benzyna. Ile litrów?

**Wiking patrzył na niego ze spokojem. Nie sprawiał wrażenia
przestraszonego.**

- 300 litrów - odpowiedział.

**Końcem tłumika Shulz pchnął go do środka kabiny. Nakazał
gestem, żeby stanął przy ścianie. Skorzystał z odległości, jaka ich dzieliła,
żeby rzucić okiem na tablicę pokładową. Doszedł do wniosku, że jeśli
Szwed mówi prawdę, 300 litrów paliwa wystarczy, żeby dopłynąć do**

wybrzeża tunezyjskiego.

- Sam pan tu jest?

Szwed skinął głową twierdząco.

- O.K. - ciągnął. - Chcę popłynąć do Tunezji. Pan mi będzie towarzyszył. Ile czasu potrzeba? Jaka odległość?

Wiking słuchał tych słów z szeroko otwartymi oczami, zbity z pantafelku. Wysunął koniec języka, opuścił wzrok na pistolet.

- O.K. - powiedział wbrew sobie. - 150 kilometrów. Osiem godzin.

- Niech pan pilotuje i wychodzi w morze.

Zrobił miejsce, żeby umożliwić manewrowanie i, nie spuszczając go z oka, poszedł sprawdzić rezerwuar paliwa. Mówił prawdę. 300 litrów benzyny.

Był zadowolony. Z szafy z mapami marynarskimi wyciągnął jedną i uważnie przestudiował. Podszedł do Szweda, podkładając mu mapę pod oczy. Potem wrócił na swoje poprzednie miejsce, ale nie tracił z oka ruchów jeńca.

Był dostatecznie biegły w nawigacji, żeby się zorientować, że tamten bierze kurs w dobrym kierunku i nie stara się wprowadzić go w błąd.

Kiedy osiągnęli pełne morze, Harry się odprężył, ale nie na tyle, żeby odłożyć pistolet. Szwed był atletycznej budowy, wolał więc nie ryzykować.

Jego więzień wielokrotnie próbował zacząć rozmowę, ale Harry Shulz nie chciał jej podjąć. Zadowolili się otwarciem małej lodówki, wyciągnął z niej dwie butelki piwa, z których jedną podał Szwedowi, a

drugą sam wziął.

Musiał się zastanowić. Na razie wszystko dobrze się toczyło. W każdym razie, jeśli idzie o ucieczkę z Sycylii. Szczęśliwy pomysł z wynajęciem kutra. Jeśli nie to, czy udałoby mu się umknąć policji, albo innym idącym jego tropem?

Mafia królowała jako absolutna władczyni Sycylii, a on był sam przeciwko armii niezliczonych maffiosi, gotowych go zabić.

Przemyślawszy wszystko doszedł do wniosku, że nawet po zlikwidowaniu pierwszej pogoni, nie mógł być pewien, czy ujdzie cało i zdrowo z Sycylii. Szczęśliwie, że trafił na tę łódź i na jej pilota. Ale musiał przyznać, że wyprawa na Sycylię to było zupełne fiasko.

Czego się dowiedział za pośrednictwem mecenasa Rogazzino? Że Barto Scalisio ma dwie siostry? To mało. Prosił adwokata o informacje, czy Barto ma żonę i dzieci, czy utrzymuje kontakt z nimi lub z siostrami? Mecenas Rogazzino trafił na właściwy trop, żeby zebrać informacje, i pięknie dał się wystawić. Świadczy to dobitnie, że w tych stronach pełno jest ludzi oddanych bez reszty Bartowi Scalisio i że niebezpiecznie tam się kręcić zadając pytania na temat capo maffioso.

Otrzymał jednak inną informację: Barto Scalisio nie miał już rodziców, co znacznie ograniczało zakres związków rodzinnych lub uczuć, które mógłby pozostawić w ojczystym kraju. Były, oczywiście, dwie siostry, żona i dzieci, jeśli je ma.

Należy także wziąć pod uwagę, że adwokat nie powiedział mu całej prawdy. Gdyby jednak mecenas miał kontakty z mafią, dlaczego by go zabili? Wszystko ma już dziś niewielkie znaczenie, bo Shulz nie może wrócić na Sycylię nie ryzykując bardzo poważnych kłopotów. Najgorsze jest to, że Barto Scalisio ma się teraz na baczności. Musiano go ostrzec. Zamknął się z pewnością w jednej ze swoich melin lub na jednym z jachtów. Ciężko byłoby go złapać. Nie tylko złapać, ale nawet odkryć, gdzie się znajduje.

Bez wątplenia dobrze zrobił - rozważał Shulz - że zażądał miliona dolarów za ten obrzydliwy "kontrakt". To nie jest dużo za dotarcie do tak nieuchwytnego człowieka. Jeżeli dotrze!

Na tę myśl dreszcz przeszedł mu przez krzyż. W ciągu całej kariery nigdy nie poniósł porażki. Czy niepowodzenie dosięgnie go właśnie teraz, gdy ma zarobić milion dolarów? A reputacja? Jeśli chybi, będzie skończony. W tym rodzaju zajęcia nie daruje się porażki. Rozniosłoby się po świecie i zostałby bez roboty po zwrocie zleceniodawcom miliona dolarów. A społeczeństwo XX wieku nie jest jeszcze dostatecznie cywilizowane, żeby stworzyć biuro pośrednictwa dla bezrobotnych zawodowych zabójców.

Szczęście, że od dawna odkładał pieniądze na czarną godzinę.

Zawsze mógł wycofać się i żyć z procentów w jakimś spokojnym kącie.

Oczywiście, ale... brakowałoby mu jednak tego podniecenia, emocji, które go przenikają, kiedy ma do wykonania "kontrakt". To jest jak narkotyk. Potrzebuje tego, jak inni odczuwają potrzebę kokainy, morfiny, alkoholu czy tytoniu. Próbował raz rzucić wszystko, ale na próżno.

Umierał z nudów i szybko zaprzął się znowu w swoje jarzmo. Mimo przygnębienia nie przeszło mu przez myśl, że w przypadku porażki mógłby zniknąć z milionem dolarów nie zwracając ich swoim mocodawcom.

Harry Shulz był zawodowym mordercą ale nie złodziejem. Nigdy w życiu nie ukradł ani centa i zawsze dawał coś w zamian za otrzymane pieniądze.

Miał za sobą jedenastego papierosa i siódmą butelkę piwa, kiedy ujrzał wreszcie na horyzoncie niewyraźne kontury tunezyjskiego brzegu.

Kazał Szwedowi kierować się na południowy zachód od La Marsa.

Widać było w ciemności słabe światła. Od trzech godzin panowała już noc. Shulz znowu stał się czujny i obserwował uważnie najmniejszy gest swego więźnia.

W pół godziny później polecił mu zboczyć z drogi i skręcić w stronę plaży widocznej jak jasna plama w świetle srebrzystego księżyca. Kilkaset metrów od brzegu Szwed włączył wsteczny bieg i łódź zakończyła kurs na plaży, wśród piasku i kamyków. Kiedy stanęła, Harry Shulz uderzył w kark Szweda, a ten runął na pokład. Następnie Shulz wyruszył na poszukiwanie liny, znalazł ją w jakimś kącie i przystąpił do związywania

jeńca. Wreszcie z walizką w ręce wyskoczył na wilgotny piasek i przebiegł plażę na przelaj.

Przeszedł rozległą przestrzeń obsadzoną rzadkimi roślinami, usianą wielkimi kamieniami i dotarł do drogi. Postawił walizkę przy stoku, usiadł i cierpliwie czekał. Znał dobrze te strony. Wiedział, że to jest nadbrzeżna droga, która prowadzi z Menzel-Dżemil do Tunisu przez Ras-Dżebel, La Marsa i La Goulette. Droga nie tak uczęszczana, jak główna, bezpośrednia z Tunisu do Menzel-Dżemil, ale jednak dość ruchliwa.

Czekał dwadzieścia minut. Obawiał się już, że Szwed może się obudzić, gdy zobaczył na zakręcie reflektory ciężarówki.

Stanął pośrodku drogi, z walizką w lewej ręce, prawą dawał energiczne znaki.

Ciężarówka stanęła, w drzwiach ukazała się ogorzała twarz.

- Tunis? - zapytał Harry Shulz.

Rozległ się jakiś dźwięk po arabsku i wreszcie człowiek odpowiedział po francusku.

- Wsiadaj, jedziemy do Tunisu.

Drzwiczki się otworzyły, wspiął się na przednie siedzenie, a ten, który mu zwolnił miejsce, wsiadł z powrotem. Pozycja nie była wygodna, walizkę trzymał między kolanami, dźwignia skrzyni biegów wlażyła mu w pizczcele, co powodowało, że pistolet umieszczony w pasie ugniatał okrutnie brzuch.

- Jedziesz do Tunisu? - zapytał kierowca po francusku, którym to

językiem Harry Shulz mówił płynnie, jak zresztą wieloma innymi.

- Uhm.

- My też... Co tu robisz? Zabłądziłeś?

- Tak.

- Turysta?

- Tak.

- Znasz tu kogo?

- Nie.

- Co masz w walizce?

- Ubrania.

- Nic więcej?

- Nic.

Ciężarówka zjeżdżała ze spadzistego wzniesienia między zboczami oświetlonymi blaskiem księżyca, co nadawało pejzażowi niezwykle wygląd.

W pewnym momencie kierowca i mężczyzna siedzący przy drzwiach po prawej stronie Harry'ego wymienili kilka zdań po arabsku. Shulz nic z tego nie zrozumiał, arabski nie należał do języków, którymi władał.

Ciężarówka zwolniła. Człowiek z prawej wykonał energiczny gest.

Harry Shulz poczuł ostrze brzytwy na gardle.

Nawet nie zadrżał, nie poruszył się, za to jego mózg wykonywał intensywną pracę.

Wóz zatrzymał się po prawej stronie drogi. Kierowca zaciągnął

ręczny hamulec i odwrócił się do Harry'ego Shulza. Wsunął mu rękę pod kurtkę i przeszukał kieszenie.

- Chcecie pieniędzy? - zapytał spokojnym tonem Harry.

- Wszystko chcemy - zarechotał kierowca. - Twoich pieniędzy i reszty, walizki, wszystko...

Kierowca miał w ręku portfel Harry'ego.

- Pieniądzy nie ma w portfelu - stwierdził tym samym spokojnym tonem. - Powiem wam, gdzie są, ale nie róbcie mi nic złego.

- Gdzie? - niecierpliwił się kierowca.

- Ukryte w moim wiecznym piórze. Tam... Podniósł powoli prawą rękę, poczuł, że ostrze brzytwy ucisnęło silniej na jego gardło, ale nie zważając na to sięgnął do lewej, wewnętrznej kieszeni.

Delikatnie wyjął pióro, pokazał im, poczuł, że napór brzytwy słabnie.

Wtedy runął na kierowcę równocześnie odwracając się w ten sposób na siedzeniu, by znaleźć się naprzeciw tego, który trzymał brzytwę. Nacisnął skuwkę pióra i pojemnik z cyjankiem wybuchnął. Człowiek krzyknął przeraźliwie i wypuścił brzytwę.

Szofer dwiema rękami chwycił Harry'ego za szyję. Harry rzucił pióro, wyciągnął zza pasa pistolet, przesunął lufę pod lewą łopatkę i wystrzelił trzy naboje. Dostrzegł śmiertelne drgawki umierającego.

Tamten pierwszy już wcześniej skonał.

Shulz uwolnił się spod walizki, otworzył drzwi, wyciągnął na zewnątrz obydwa ciała. Ukrył je za zboczem, rzucił brzytwę na kupę

kamieni, oczyścił pokrzwawione siedzenia, schował pióro, portfel,

postawił obok siebie walizkę i usadowił się za kierownicą.

Uruchomił silnik, wrzucił jedynkę i ruszył. Po godzinie był w

Tunisie.

Aleją Habiba Burgiby dostał się do Casbah, zostawił ciężarówkę w

wąskiej uliczce, gdzie, był pewien, szybko znajdzie amatora. Potem, ciągle

z walizką w ręce, poszedł na ulicę Casbah. Wlazł w sam środek koncertu

krzykliwych muzyków. Zatkawszy nos, żeby nie czuć zapachów

rozkładających

się

owoców,

smażonego

tluszczu

baraniego,

ekskrementów, udał się na ulicę Zarkoun. Z prawej ręki ani na chwilę nie

wypuszczał rękojeści pistoletu, wsuniętego za pas.

Skręcił w ulicę Zarkoun, ominął góry śmieci, zatrzymał się przed

jednym z domów. Mieszkał tam Ahmed Toufi, kontakt Organizacji TRAK

na ten kraj. Ugości go i za okrągłą sumkę pomoże wyjechać z Tunezji.

ROZDZIAŁ XI

Sobota, 18 maja 1974

List nadszedł z poranną pocztą. Patrick Baudouin otworzył kopertę

i wyjął dwie kartki wsunięte w folder ukazujący uroki Rio de Janeiro.

Nowy Jork, 16 maja

Kochany!

Zostałam w Rio dłużej niż myślałam na początku, i miałam straszną robotę. Dlatego nie mogłam pisać, ale to mi nie przeszkadzało ciągle o tobie myśleć.

Wreszcie jestem znowu w N.Y.C. (już widzę twój uśmiech na widok okropnej amerykańskiej manii nadużywania inicjałów i skrótów.

Pamiętasz, jak śmiałeś się ze mnie, kiedy mówiłam L.A. na Los Angeles, K.C. na Kansas City i Pfilly na Philadelfię?).

Co porabiasz? Czy myślisz o mnie? Okropnie się boję, ile razy sobie wyobrazę, że już postawiłeś krzyżyk na szczęśliwych chwilach, które razem przeżyliśmy. Jeśli tak, mylisz się. Nie zapomniałam o tobie.

Najbardziej na świecie pragnę znaleźć się znowu w twoich ramionach.

Tylko... kiedy?

Wiesz, że cię kocham. Nie zapomnij o tym.

Zastałam moje nowojorskie mieszkanie zupełnie odmienione.

Ledwo je poznałam. Podczas mego pobytu w Rio robotnicy wykonali dobrą robotę. Sama się zdziwiłam. To takie rzadkie tutaj. Mieszkanie tego wymagało. Myślałbyś, że się znalazłeś w stajni Augiasza.

Teraz jest jasno, czysto i przytulnie. Lubię ten nowy styl, w którym, niestety, będę żyła bardzo rzadko. Obawiam się, że czekają mnie podróże!

Na ścianie, naprzeciwko mojego łóżka, zainstalowanego sześć cali nad podłogą (sześć cali, ile to centymetrów? Praktyczne dla osób, które, jak ty, ryzykują, że spadną na ziemię w czasie figli miłosnych...)

zawiesiłam reprodukcję obrazu fowisty Dufy'ego „Ulica w miasteczku”.

Przypomina mi stare, cudowne miasteczko francuskie, które mi pokazywałeś podczas naszych przejazdów po Francji. Ja, która tak ciężko zasypiam, kontemplując ten obraz przywołuję na pamięć nasze spacerunki po starych, wąskich uliczkach i już nie potrzebuję środków nasennych.

Dzięki tobie nauczyłam się kochać Francję. Ale, na miły Bóg, nie próbujcie naśladować Amerykanów! Zachowajcie w waszym kraju to piętno Starej Europy, które nam się tak podoba.

Dobra, koniec sekwencji moralizatorskiej. Idę spać, umieram ze zmęczenia. Kocham cię

Brenda

Patrick Baudouin odłożył list. Wesóły uśmiech zakwitł na jego twarzy. Brenda wróciła do Nowego Jorku! Zrobi jej niespodziankę nie lada: poleci tam i zjawi się u niej. Nie podejrzewa nic, bo nie wie, że Rosenfeld przyjął jego scenariusze. Nie tylko pierwszy, ale także drugi. W ten sposób znalazł się w dobrej sytuacji finansowej.

”To jest najgłupszy scenariusz, ale także najgenialniejszy, jaki czytałem” - oświadczył Rosenfeld wręczając mu drugi czek.

Nigdy nie pisał do Brendy o swoich sukcesach scenariuszowych.

Chciał jej zrobić niespodziankę nie zapowiedzianym przyjazdem do Nowego Jorku. Gdyby wspomniał o sukcesie, Brenda wydedukowałaby, że dostał pieniądze i prosiłaby, żeby przyjechał, i wtedy wszystko na nic. Przechylił się przez oparcie fotela i sięgnął po telefon. Numer Air France

na Champs Elysees od dawna miał zanotowany w notesie. Nakręcił.

- Air France, słucham - odezwał się melodyjny głos.

- Chciałbym zarezerwować miejsce Paryż - Nowy Jork, tam i z powrotem.

- Taryfa wycieczkowa?

- Słucham?

- Taryfa wycieczkowa? - powtórzyła.

- Co to jest?

- Oplata z rabatem, jeśli zostaje pan w Stanach jakiś czas, na przykład...

- Nie, nie. Pierwsza klasa!

Miał pieniądze i chciał to wykorzystać. Nie zamierzał podróżować jak nędzarz.

Poniedziałek, 20 maja 1974

Harry Shulz wysiadł na międzynarodowym lotnisku w Bejrucie z DC 9 linii tunezyjskich. Przeszedł bez kłopotów przez kontrolę policyjną i celną, wziął taksówkę i kazał się zawieźć do Pfenicia, hotelu z grupy Intercontinental.

Lubił te hotele. Przyjmowały międzynarodową klientelę tak ruchliwą, że się przechodziło nie zauważonym.

W Tunisie długo medytował nad najskuteczniejszym sposobem złapania Barta Scalisio. Zdecydował, że lepiej będzie skontaktować się z ludźmi, których organizacja TRAK miała w głównych miastach śródziemnomorskich. Jako pierwsze wybrał Bejrut.

Bejrut, najbogatsze miasto w tych stronach. Roi się tam od różnorodnego tłumu miliarderów, bankierów, kryminalistów, bandytów wszelkiej maści, oszustów, konfidentów, szpiegów, terrorystów, luksusowych prostytutek, awanturnic gotowych siebie sprzedać lub sprzedać kogoś innego, wystarczy tylko podać cenę. Harry Shulz miał nadzieję znaleźć w tym zbiorowisku tę lub tego, kto sprzeda dobry cynk.

Pierwszą wizytę, od razu w dniu przyjazdu, złożył Aboudowi Staboulie, właścicielowi kantoru wymiany.

Aboud Staboulie przyjął go w swoim biurze, w miniaturowym pokoiku. Był tłusty jak Budda, a brzuch wylewał mu się nad talią.

W kącie, na stosie książek telefonicznych, pochodzących z lat sześćdziesiątych, stał wentylator usiłujący na próżno usunąć zaduch.

Prąd powietrza nie zdołał nawet wysuszyć kropli potu spływających z czoła Libańczyka.

Mimo upału Harry Shulz miał ochotę na butelkę “Cutty Stark”, spoczywającą na zakurzonej stosie książek rachunkowych. Wokół niej stało pięć szklanek wątpliwej czystości.

- Łyk scotcha, Aboud - zaproponował.

- W tym upale? - zaprotestował Libańczyk.

- Scotch nadaje się na każdy klimat - odpowiedział Harry Shulz.

- Jak chcesz - ustąpił Libańczyk, wskazując butelkę - ja nie piję.

Harry Shulz umył szklankę pod kranem, nalał sobie sporą porcję whisky i usiadł naprzeciwko Libańczyka.

- Czym mogę ci służyć, Harry?

- Znasz Barta Scalisio?

Agent nie drgnął, ale Harry Shulz zauważył na jego czole nowe krople potu.

- Barto Scalisio? - powtórzył Aboud, żeby zyskać na czasie.

- O to chodzi.

- I... czego ty od niego chcesz, Harry?

- Nawiązać z nim kontakt, to wszystko.

- To wszystko?

- To wszystko.

- Nie chciałbym ci dokuczyć, Harry, ale on nie obraca się w tych samych sferach, co ty.

- Wiem.

- Nie masz przypadkiem jakiegoś “kontraktu” na niego, Harry? - zapytał Libańczyk podejrzliwym tonem.

Harry Shulz uśmiechnął się dobrodusznie.

- Co ci chodzi po głowie, Aboud?

- Z wami nigdy nie wiadomo.

- Chciałbym po prostu wiedzieć, gdzie on jest.

- To trudne.

- To także wiem.

- Niebezpieczny typ. Harry uniósł brew.

- Słabiesz, Aboud. Boisz się. Może już jesteś za stary na tego

rodzaju robotę? Muszę o tym porozmawiać z naszymi wspólnymi

przyjaciółmi. Dobra, zostawmy to i zapomnij, o czym mówiłem. Podniósł

się.

- Dziękuję za whisky. Następnym razem postaraj się o lód.

Nagle się roześmiał.

- Prawda, nie będzie już następnego razu.

Wsunął obie ręce do kieszeni kurtki i poszedł ku drzwiom.

- Ależ Harry - odezwał się drżącym głosem Libańczyk - nie bierz

tego tak poważnie. Wróć, usiądź. Masz czas, żeby pogadać, prawda?

- Pod warunkiem, że dojdziemy do sedna i będziemy gadać bez

ogródek. Zgadzasz się?

- Zgoda - westchnął.

Harry Shulz wrócił, usiadł, wziął szklanekę, łyknął resztę scotcha.

- Myślałem o czymś - oświadczył Harry Shulz obojętnym tonem,

odstawiając szklanekę.

- Tak?

- Barto Scalisio przebywa kolejno na jednym z trzech swoich

jachtów, które pływają stale po Morzu Śródziemnym, nigdy nie zawijając

do portów. Ale trzeba zaopatrywać jachty, zarówno w paliwo, jak w

żywność. Kto się tym zajmuje? Ponadto Barto Scalisio ma tutaj w Bejrucie

jakąś melinę. Trzeba by wiedzieć, gdzie mieszka, jak się ukrywa. Tyle

różnych typów tu się pęta. Nie powinno być trudności z odkryciem. Co o

tym myślisz?

Libańczyk wykonał gest powątpiewania.

- Wiesz, Harry, nie lubię się ocierać o tych ludzi. Typy z mafii to

dynamit. Z tego, co wiem o tym twoim Barto, to twardziel nad twardziele.

I nie sądzę, żeby byle kto mógł wiedzieć, gdzie się mieści jego meta, jeśli nawet taką ma w Bejrucie.

- Założmy. A zaopatrywanie jachtów?

- To, moim zdaniem, bardziej realne. Może uda się z tej strony coś zrobić.

- Zajmiesz się tym?

Aboud Staboulie sposepniał.

- To będzie drogo kosztować, Harry. Wszystko, co zahacza o mafię, to tak jakby kawałek chich-kebab (potrawa wschodnia) wpadł w płonące węgle. Jak się chce wyciągnąć, poparzy palce.

Harry Shulz zmarszczył brwi z surowym wyrazem twarzy.

- Bez przechwałek, powiedziałem ci przed chwilą, ile, Aboud?

Libańczyk zawahał się.

- Dobra, na początek, powiedzmy... dziesięć tysięcy dolarów.

- Będziesz je miał! - krótko uciął Harry Shulz.

- Oczywiście - ciągnął Aboud Staboulie - możliwe, że jak uzyskam jakieś wyniki, ostateczny koszt będzie wyższy.

- Zobaczysz się, jak będziesz miał wyniki - odpowiedział Harry Shulz wstając.

Wspaniałe słońce świeciło na płycie lotniska, gdy wczesnym popołudniem Patrick Baudouin wysiadł z samolotu Air France. Wsiadł do autokaru, który zawiózł go do budynku kontroli celnej i biura imigracyjnego lotniska Kennedy'ego.

Podczas gdy celnik przetrząsał bagaże, Patrick myślał o incydencie,

jaki mu opisała Brenda w jednym z listów. Ziola aromatyczne umieszczone w dwóch słoiczkach reklamowych ofiarowanych przez restaurację na Wyspie św. Ludwika urzędnik celny wziął za narkotyki. Celnik zrobił białą kredą krzyżyk na jego bagażach i dał znak, że może odejść.

Machinalnie podniósł wzrok na oszkloną galerię, gdzie stali ciekawscy, którzy przyszli powitać krewnych lub przyjaciół. Łudził się, że wśród wychylonych głów zobaczy Brendę, chociaż wiedział doskonale, że jej obecność w tym miejscu jest niemożliwa, bo przecież nie wie o jego przyjeździe do Nowego Jorku. Ale miał pewną nadzieję, choć się przed tym bronił.

Spojrzał na twarze czekających, ale oczywiście nie zauważył Brendy. Westchnął, zwymyślał siebie od idiotów i poszedł dalej w stronę wyjścia.

Przed budynkiem odrzucił ofertę czarnego bagażowego i skręcił do postoju taksówek. Podszedł do pierwszej i otworzył drzwiczki. Kierowca już był przy nim.

- Gdzie pan sobie życzy?

- Manhattan.

- To będzie 20 dolarów na Manhattan, proszę pana.

- Zgoda.

- Niech pan się nie gniewa. Mówię, bo pan jest cudzoziemiec, a

cudzoziemcy wyobrażają sobie, że taksówka na Manhattan nic nie kosztuje. Więc z góry uprzedzam. Nie pasuje cena, radzę wziąć autobus

do terminalu na róg Park i 42 Ulicy.

- Mnie opłata odpowiada - oświadczył Patrick siadając na tylnym siedzeniu.

- Załaduję pańskie bagaże.

Taksówkarz był typem gaduły. Jak tylko ruszyli, zaczął rozmowę.

- Pan skąd?

- Z Paryża.

- Fajne miasto! Trzy lata, jak tam byłem z moją starą i z dziećmi. Ale wszędzie człowieka chcą nabić w butelkę, gdzie tylko nogę postawi. W hotelach, restauracjach, kawiarniach, muzeach.

- Doprawdy?

- Tak, proszę pana. Ale i tak Paryż to fajne miasto. Tylko jednego u was nie mogę zrozumieć. Wszystko niszczy. Niech pan sam powie.

Prowadzą pana w jakiś zakątek i mówią: „Tu wznosiło się więzienie Bastylia. Paryżanie je zburzyli”. Dalej: “Tu stał pałac Tuileries, Paryżanie go spalili”. Następnie: “Tu była wieża... już nie wiem jaka, gdzie jedna królowa wysyłała swoich kochanków... Paryżanie zniszczyli wieżę”. A jeszcze dalej: “Tu była wieża, gdzie króla Ludwika XVI, królową Marię Antoninę i ich dzieci więziono podczas Rewolucji Francuskiej. Paryżanie ją także zrównali z ziemią”. I gdzie indziej tak samo. U nas, w Ameryce, jak mamy jakieś zabytki, to ich starannie strzeżemy. Na przykład dom Franklina D. Roosevelta w Hyde Park. Pan zna?

Patrick Baudouin wybuchnął śmiechem. W tym taksówkarzu odzywał duch dziecięcia nowojorskiego, takiego jakiego znał, gdy

pracował dla prywatnej agencji detektywistycznej na Manhattanie.

- Co tam w Paryżu myślą o aferze Watergate? -ciągnął nie zrażony taksówkarz.

- Nic szczególnego - odpowiedział Patrick Baudouin rozbawiony.

- Tutaj tylko o tym się mówi. Rzygać się chce. Co otworzysz telewizor, jakiś kretyń ci opowiada, co o tym myśli.

Patrick Baudouin odwrócił głowę i przyglądał się domom.

Nick De Luca z wściekłością walił pięścią w biurko.

- Mam tego dosyć! - wykrzyknął. - To trwa od miesiący. Przez tego łobuza Barta Scalisio muszę siedzieć zamknięty w tym pudle.

Wierny pomocnik, Joe LaCasa, patrzył na niego ze spokojem, nieczuły na te wybuchy.

- Twoja wina Nick. Dlaczego nie atakujesz?

Nick De Luca uspokoił się. W ciągu jednej sekundy odzyskał samokontrolę.

- Nie przejmuj się, Joe - odpowiedział tonem pełnym podtekstów. - To już długo nie potrwa.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Nick De Luca oblizal wargi.

- Barto się kończy.

- Kończy się?

- Tak. W Europie też go mają dość. Jest taki Francois Chaive,

Francois Lyończyk, jak go nazywają we Francji. Był u mnie przed sześcioma tygodniami, mogę ci teraz o tym powiedzieć. Pamiętasz go?

- Francois Chaive?

- Tak, z Berlina Zachodniego.

- Rzeczywiście, pamiętam.

- Chce sprzątnąć Barta. I mnie to urzędują, ułożyliśmy się. Jeden typ zażądał za “kontrakt” tysiąc patyków. Zgoda i podział kosztów. Po 500 każdy. Gotówka z góry. Pierwszorzędni zabójcy zawsze działają na zasadzie gotówka z góry.

Joe LaCasa uważnie słuchał.

- Tysiąc patyków! - wykrzyknął - Kto to taki? Nicka De Lukę kusilo przez chwilę, żeby wymienić nazwisko Harry’ego Shulza, ale w ostatnim momencie ogarnęły go wątpliwości. Im mniej ludzi będzie znało tożsamość zabójcy, tym lepiej.

- Nie znam - odpowiedział naiwnie.

- Nie znasz i postawiłeś pięćset patyków na szkapę, której nie znasz?

- dziwił się Joe LaCasa.

- Tak. To jest odkrycie Francois. Pewny typ, powiedział.

- I wzięłeś to za dobrą monetę?

- Tak. Mam zaufanie do Francois.

- Powiedzmy. Ale Barto to twarda sztuka. A jeśli typowi Francois nie uda się?

- Uda mu się - zapewnił Nick De Luca.

- Ale jak mu się nie uda? - nalegał Joe.

Nick De Luca wzruszył ramionami.

- Wtedy facet zwróci forszę.

- Nawet jak wam zwróci, to nie rozwiąże się problemu Barta.

- Nie - przyznał Nick.

- Chciałbym ci coś powiedzieć, Nick.

- Słucham?

- Pokaż się.

- Mam się pokazać? Oszalałeś?

- Zaczynają się buntować. Nasi ludzie pytają, czy mają jeszcze szefa.

Już im wisi, a to nie jest dobre dla interesów.

- Weź się za nich.

- To na nic. Skłoni tylko chłopaków do przejścia do obozu Barta.

- Do tego stopnia?

- Tak.

- Są prowodyrzy?

- Nie. Tak w ogóle.

- Niech będą cierpliwi. Jak się pozbędziemy Barta, pójdzie lepiej.

- To nie wystarczy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że wtedy może być za późno.

Nick De Luca zamilkł na dłuższą chwilę. Zamyślił się. Wreszcie podniósł gwałtownie głowę.

- Co radzisz, Joe?

- Pokaż się, już ci mówiłem.

- Ale jak?

Joe LaCasa wstał i zaczął chodzić po pokoju.

- Mam pomysł - powiedział w końcu.

- Jaki?

- Kiedyś miałeś zwyczaj co dzień rano odwiedzać salon fryzjerski w

Park Sheraton Hotel, żeby cię ogolili ze wszystkimi szykanami, gorącymi rękownikami, masażami twarzy.

- Tak. Najlepszy salon w mieście.

- Przestałeś tam chodzić, odkąd wypłynął Barto.

-Tak.

- Zaczynij się tam pokazywać co dzień rano, jakbyś się nikogo nie obawiał.

- Zbyt niebezpieczne, Joe.

- Nie tak bardzo, jak ja się tym zajmę. Pojedziesz twoim opancerzonym samochodem z goryłami. Sam hotel obsadzimy strzelcami wyborowymi.

Nick De Luca wahał się.

- Niedobre są te przyzwyczajenia - zauważył. - To ułatwia tym, co chcą wyciąć numer.

- Przecież - zauważył Joe logicznie - nie musisz tam chodzić co dzień. Dwa, trzy razy w tygodniu. To podniesie morale chłopców.

Zobaczą, że mają ciągle szefa i że ten szef nie boi się nikogo.

- Myślisz?

- Z pewnością!

- Dobra - przystał Nick De Luca, trochę wbrew sobie. - Zrobię, jak mówisz.

Taksówka dowiozła Patricka na Christopher Street w West

Greenwich.

- Nie wierzę, że pan jest ciota - zauważył taksówkarz, odliczając banknoty pięciodolarowe, które mu Patrick włożył do ręki.

- Nie rozumiem.

- To dzielnica pedałów. W nocy krążą po chodnikach i podrywają przechodniów. Niech pan patrzy. Tam. Gay Street - ulica pedzia!

Wskazał uliczkę naprzeciwko domu, gdzie zatrzymała się taksówka.

(Ta część West Greenwich Village jest w nocy całkowicie opanowana przez homoseksualistów - przyp. aut.).

Patrick Baudouin uśmiechnął się i wysiadł. Taksówkarz wystawił jego bagaże na chodnik, a Patrick podniósł głowę, by popatrzeć na dom, gdzie mieszkała Brenda.

Był trochę rozczarowany. Spodziewał się czegoś mniej nędznego.

- Gotowe, proszę pana, do widzenia i niech pan uważa na cioty! - ironicznie zawołał taksówkarz.

Patrick pozbierał walizy i ruszył po stopniach do wejścia.

Obdarci chłopcy siedzieli na schodach. Patrzyli na niego spode łba, zerkając na bagaże.

Pchnął drzwi i wszedł na ciemną klatkę schodową. Cuchnęło gotowaną kapustą. Ściany pokrywały sprośne rysunki. Brudny mur, zeszkrobana farba, dziury, ślady tłustych paluchów, w kącie ciemne zacieki od psich siuszków.

Zaskoczony Patrick postawił walizki na kaflowej podłodze pełnej

brudnych kałuż. Na jednej ze ścian wisiały metalowe skrzynki na listy.

Podszedł sprawdzić nazwiska.

Brenda Chapman.

Nazwisko napisano starannie czarnymi literami. To była jedyna czysta wizytówka pośród wszystkich tam widniejących.

Brenda Chapman.

Żadnej wskazówki, ani piętra, ani numeru mieszkania. Rozejrzał się dokoła. Nie było windy. Jeśli dobrze pamiętał, budynek miał pięć pięter. Będzie musiał obejść wszystkie mieszkania.

Szukał listy lokatorów, ale nie znalazł. Zobaczył dwie pary drzwi, poza prowadzącymi na ulicę i na podwórko. Podszedł do jednych, nie było żadnej tabliczki. Nacisnął dzwonek, ale nikt się nie odezwał. Wybrał następne i zadzwonił.

Drzwi niemal natychmiast otwarto, ukazała się karykatura kobiety.

Zatłuszczony szlafrok odsłaniał kosmatą pierś w poszarpanym biustonoszu. Włosy źle uczesanej peruki wisiały wzdłuż wysuszonej szyi.

Chuda twarz z wargami ordynarnie uszminekowanymi, nos gruby. Oczy podkreślone niebieskawymi cieniami, głębokie zmarszczki, brwi wyskubane.

- Czego chcesz, mój skarbie?

Patrick przypomniał sobie, co mówił taksówkarz.

- Szukam niejakiej Brendy Chapman.

- Z branży?

- Kobieta. Prawdziwa - sprecyzował uprzejmym głosem.

- Lesbijka?

- Nie.

- No to nie znam. Ale to ci nie przeszkadza wejść, mój piesku. Ładny z ciebie chłopiec. Masz chwilę czasu?

- Spieszę się.

- Dziwny akcent. Jak ten piosenkarz zagraniczny. Charles

Nassavour czy coś w tym rodzaju, wiesz?

- Proszę posłuchać. Szukam Brendy Chapman. Mieszka pan na parterze, musiał ją pan widzieć. Wysoka dziewczyna...

- Dość. Twoja kizia mnie nie obchodzi. W ostateczności, gdyby była lesbijką, może bym ją znał. Odwiedzamy się między pedałami, rozumiesz?

No, wchodzisz? To niedrogo, skarbeńku, odpalisz 10 kawalków i cię obsłużę. Chyba że chcesz odwrotnie, to będzie...

Patrick Baudouin wyciągnął 10 dolarów z portfela i podał transwestycie.

- Widzisz, zdecydowałeś się - triumfował tamten - wy inni, wszyscy jesteście tacy sami. Najpierw plujecie, a potem zdychacie z pragnienia, żeby spróbować.

- Te dziesięć dolarów daję za to, żeby porozmawiać o Brendzie Chapman. Za nic innego.

Przebieraniec spojrział na niego z przestraczem.

- Prywatny?

- Nie.

- Na pewno?

- Na pewno.

- Pokaż papiery. Patrick pokazał paszport.

- Francuz, co? Tak myślałem. Mówisz jak ten francuski piosenkarz

Charles Vassanour, czy coś w tym rodzaju. Dobra, włącz, bo się przeziębę w tym szlafroku, ciągle się otwiera.

Patrick wszedł do małego mieszkanca, zawałonego ubraniami, butami, perukami wiszącymi na gwoździach w sąsiedztwie rysunków węglem, przyczepionych na ścianach.

- Siadaj, gołąbeczku.

Transwestyta zrzucił galgany i zwolnił krzesło. Wsadził banknot dziesięciodolarowy w podszewkę płaszcza i zwrócił się do Patricka.

- Dobra. Co chcesz wiedzieć?

- Brenda Chapman.

Patrick powoli odzyskiwał refleks z czasów, kiedy był prywatnym detektywem w Nowym Jorku. Tamten westchnął.

- Mówiłem, nie znam.

Patrick opisał Brendę.

- Nigdy nie widziałem takiej w tym domu - zapewnił szczerze.

- To niemożliwe. Jest skrzynka pocztowa na jej nazwisko.

W odpowiedzi usłyszał szyderczy śmiech.

- To nic nie znaczy.

- Jak to?

- Budynek ma pięć pięter. Dwóch lokatorów na każdym. To jest dziesięciu. A ile skrzynek na listy?

- Nie wiem.

- Powiem ci - dwadzieścia pięć. - No i co?

- No i to, głupcze, że są ludzie, którzy tu nie mieszkają, a każą sobie przysyłać pocztę.

Patrick Baudouin zmarszczył brwi. To niemożliwe - myślał. Ten pedał musi się mylić. Albo, jeśli mówi prawdę, nie dotyczy to Brendy.

Miałaby podawać ten adres i tu nie mieszkać?

Doskonale pamiętał, że mu długo opowiadała o swoim mieszkaniu przy Christopher Street i o planach urządzenia go na nowo. Zresztą, czy nie pisała w ostatnim liście, że robotnicy skończyli całkowicie remont podczas jej pobytu w Rio de Janeiro?

Transwestyta przerwał tok jego myśli.

- Powiedz no, twoje te walizy na schodach?

- Tak.

- Lepiej zrobisz, jak je weźmiesz. Bo gówniarze ci je rąbną.

Patrick posłuchał rady. Postawił bagaże w kącie pokoju i zapytał.

- Jest tu książka telefoniczna?

- Oczywiście. Tam - wskazał niski mebel.

Patrick wziął spis ulic i listę alfabetyczną. Najpierw poszukał Christopher Street. Nazwisko Brendy nie figurowało wśród lokatorów domu, zajrzał do listy alfabetycznej, ale i tam nie znalazł, chociaż była cała litania Chapmanów na Manhattanie.

Wyjął portfel i wyciągnął małą karteczkę, na której przed wyjazdem z Paryża Brenda zanotowała swój numer telefonu: AL 5-5411.

- Mogę zatelefonować?

- Pewnie.

Nakręcił numer. Odpowiedział mu automat: wzywany numer nie został jeszcze przydzielony. Proszę sprawdzić w ośrodku informacji.

Zadzwoił do informacji. Odpowiedź była kategoryczna: Brenda

Chapman zrezygnowała z abonamentu 28 lutego. Jej obecny adres to 698

Lexington Avenue. Zupełnie w innej stronie.

- Odkryłeś, gdzie mieszka twoja Dulcynea? - zapytał transwestyta zachrypłym głosem.

- Może.

- Dobra, to zjeżdżaj.

- Jeszcze jedno czy dwa pytania.

- Pospiesz się. Muszę odpocząć.

- Jak długo tu mieszkasz?

- Cztery, pięć lat.

- Znasz ludzi, którzy tu kierują swoją korespondencję, ale nie mieszkają w tym domu?

- Nie.

- Nigdy ich nie widziałeś?

- Aniołku. W Nowym Jorku im mniej się człowiek zajmuje cudzymi sprawami, tym lepiej dla niego.

- Kto może mnie poinformować?

- Administrator.

- Gdzie mieszka?

- Drzwi naprzeciwko. Ale nie masz fartu. Poszedł do szpitala.

Przepuklina. Niektórzy nie mają, on miał ogromną.

- Kiedy wyjdzie?

- Dzisiaj. Tylko że rodzice zabiorą go ze szpitala na wieś na wypoczynek. Musisz wrócić za tydzień, kotku. Nie zapomnij tu zajrzeć.

Może się znajdzie jeszcze dla mnie jakieś dziesięć dolców?

Patrick zebrał walizki i opuścił mieszkanie. Poszedł w stronę

Avenue of the Americas, którą nowojorczyki dalej nazywają 6 Avenue.

Tam znalazł taksówkę i kazał się zawieźć do Squire Inn, hotelu na rogu 7

Avenue i 52 Ulicy.

Zostawił tam bagaże, wziął taksówkę, podał adres, który mu

zakomunikowano w informacji telefonicznej.

Taksówka

zatrzymała

się

przed

luksusowym

budynkiem.

Sąsiedztwo było zamożne, pachniało bogactwem. Patricka to zdziwiło.

Nie odpowiadało to standardowi Brendy, podobnie jak dom przy West

Greenwich. Jeden zbyt nędzny, drugi zbyt luksusowy.

Zapłacił za kurs i wszedł do hallu. Od razu spostrzegł ogromne

drzwi z napisem: administrator. Przycisnął dzwonek. Otworzył mu

mężczyzna o czerwonej twarzy i siwiejących włosach.

- Słucham?

- Panna Brenda Chapman?

Mężczyzna wydawał się zdziwiony.

- Wyprowadziła się.

- Jest pan pewien?

- Pewien. Jestem administratorem.

- Kiedy?

- Chwileczkę. Zmarszczył czoło z wysiłku.

- Pan pozwoli, że sprawdzę... Poszedł sprawdzić w spisie.

- Koniec lutego - powiedział.

To by się zgadzało z datą likwidacji abonamentu telefonicznego.

- Zostawiła adres, gdzie przesyłać pocztę? Odpowiedź była stanowcza.

- Nie. Nawet ją pytałem, ale odpowiedziała, że nie ma potrzeby.

- Nie mówiła, że się przeprowadza do domu przy Greenwich?

- Nie.

- Ani nie zostawiła numeru telefonu? Administrator zajrzał znów do spisu.

- Nie.

Patrick

Baudouin

pokiwał

bezradnie głową,

podziękował

administratorowi i wyszedł na ulicę. Co to wszystko znaczy?

ROZDZIAŁ XII

Wtorek, 4 czerwca 1974

Nick De Luca odczuwał niewyraźny niepokój. To było trzecie jego wyjście od czasu, gdy Joe LaCasa doradził mu wrócić do dawnych wizyt w salonie fryzjerskim w Park Sheraton Hotel.

Poprzednie dwa razy wszystko poszło dobrze. Joe podjął wyjątkowe środki ostrożności i Nick czuł się jak szef państwa, którego służba bezpieczeństwa chroni przed ewentualnym zamachem.

Szef państwa - to było zresztą odpowiednie słowo. Bo czyż nie podróżował w wozie lincoln continental opancerzonym, takim samym, jakiego używał prezydent Stanów Zjednoczonych?

Samochód wziął ostatni zakręt i stanął. Hotel zajmował cały blok na 7 Avenue między 55 i 56 Ulicą, o dwa kroki od Carnegie Hall.

**Nick De Luca wysiadł i spojrział dokoła. Joe LaCasa był obok niego.
- O.K., Nick - zapewnił. - Nasi ludzie są na miejscu. Chodźmy.**

Nick De Luca uwielbiał ten zakątek Nowego Jorku i uwielbiał także salon fryzjerski, gdzie Guglielmo nim się zajmował. Z radością ruszył do hallu hotelowego, a stamtąd do salonu fryzjerskiego. Za nim szedł jego zastępca.

Myślał o błogim uczuciu, jakiego dozna za chwilę pod ciepłymi ręcznikami. Jednak chłodnym okiem uważnie obserwował wszystko, co wokół niego się dzieje, ale nie zauważył niczego podejrzanego.

Na progu salonu fryzjerskiego rozpoznał dwóch ludzi. Starzy,

dawni kompani. Uczestniczyli we wszystkich walkach, które go wyniosły na szczyt hierarchii. Wierni. Uśmiechnął się do nich i otworzył drzwi do salonu. Właściciel, Guglielmo, zjawił się od razu na powitanie i zaczął wyrzucać z siebie morze słów po włosku.

Nie zwracając na niego uwagi, Nick De Luca podszedł do zarezerwowanego fotela: ostatni w rzędzie po prawej stronie.

- Niech pan siada, bardzo proszę, signor De Luca - nadskakiwał Guglielmo.

Nick De Luca ściągnął kurtkę, podał ją właścicielowi, rozwiązał krawat, machinalnie pomacał w kieszeni spodni pistolet.

Goryle, to świetnie - powiedział sobie, ale lepiej przedsięwziąć osobiście środki ostrożności. Stary nawyk, który niejednemu raz w przeszłości uratował mu życie.

- Dobra, zostawiam cię, Nick - szepnął Joe LaCasa z porozumiewawczym mrugnięciem.

- Bądź o jedenastej - uprzedził Nick.

- Możesz na mnie liczyć, Nick.

Joe otworzył drzwi i wyszedł z salonu, dając uprzednio znak dwu ludziom siedzącym na fotelach, zajętym lekturą magazynów.

Nick De Luca rozpoznał dwóch następnych swoich goryli. Także ze starej gwardii. Poczul się uspokojony i usiadł w fotelu.

- Jaka ładna dziś pogoda, signor De Luca - paplał Guglielmo - prawdziwa wiosna. I powiedzieć, że są tacy, co narzekają. To niedozwolone.

Wyregulował oparcie fotela i Nick De Luca znalazł się w pozycji horyzontalnej.

W lustrze widział inne fotele z drugiego rzędu, sześć.

Licząc i te z rzędu, w którym siedział, było razem dwanaście.

Wszystkie zajęte, jak zawsze. Ludzie się bili, żeby ich przyjęto w salonie, uważanym za najlepszy w mieście. Tu bywali lekarze, adwokaci, renomowani artyści, wielcy biznesmeni. Panowała cisza. Fotele ustawiono w takiej odległości od siebie, żeby można było rozmawiać bez obawy, że niedyskretne uszy pochwycają rozmowę.

Guglielmo zwilżył mu twarz płynem przed goleniem. Nick De Luca przymknął oczy. Czuł się dobrze.

Ostrze brzytwy zgrzytnęło po zaroście brody, tak twardej jak pędy winorośli na jego rodzinnej Sycylii. Lubił ten zgrzyt. To mu przypominało..., to mu przypominało, co właściwie? Nie miał czasu sobie przypomnieć.

Cztery kształty wyciągnięte w fotelach wynurzyły się nagle spod białych ręczników i odepchnęły pomocników fryzjerskich, którzy krzątali się przy ich twarzach. Skoczyli dwaj goryle Nicka, rzucili czytane magazyny i wsunęli ręce za pasy. Nim zdolali wyciągnąć broń, dwaj bandyci przedziurawili ich kulami. Strzały ściągnęły dwóch innych goryli.

Wpadli do środka. Spotkał ich ten sam los, co tamtych.

Dwaj osobnicy podeszli do fotela, na którym był wyciągnięty Nick De Luca. Chciał się podnieść. Chwycił rękojeść pistoletu w kieszeni spodni. Próbował wykonać ruch, gdy poczuł, jak ostrze brzytwy nacina

mu skórę na szyi. Zadrzał, zobaczył w lustrze dwie zimne i obojętne twarze. Jego głowę rozsadziły kule z czterdziestki piątki. Już nie żył, kiedy Guglielmo zwymiotował na jego pierś.

Wayne Sandborg dowiedział się o śmierci Nicka De Łuki w dwadzieścia pięć minut później.

Odłożył słuchawkę telefonu, pomyślał chwilę i wstał, żeby dopełnić czynności, która już mu spowszedniała: wziął pomarańczową fiszkę, napisał nazwisko "Nick De Luca" i wsunął ją w odpowiednie okienko tablicy wiszącej na ścianie.

Trzydzieści trzy. Właśnie był przy trzydziestym trzecim. Ubiegły miesiąc minął raczej spokojnie. Nic od zabójstwa Christiana Azzelaina i jego dwóch goryli w Rio. Nie licząc śmierci adwokata sycylijskiego, Rogazzino, w Palermo.

Ale czy to była zbrodnia kierowana przez Barta Scalisio? Nikt nie mógł tego potwierdzić. Nie należy mu mimo wszystko imputować każdego morderstwa dokonywanego na Sycylii!

W tym samym czasie było jeszcze czterech mafiosi, którzy wylecieli w powietrze w samochodzie na drodze z Palermo do Alcamo. Czy tam też należy szukać ręki Barta Scalisio? Nie jest to pewne. Barto atakuje tych, którzy mu stają na drodze. Nie bierze się do pionków.

W każdym razie nie tacy interesowali Wayne Sandborga. Barto może wykończyć ich wszystkich, jeżeli zechce. Wayne ma ich w nosie.

Usiadł z powrotem przy biurku.

Operacja "Gwinea" postępowała. Z satysfakcją wziął raport

przesłany przez bardzo specjalnego agenta i po raz jedenasty go przeczytał. Jeszcze uważniej, jeśli to było możliwe, niż poprzednio.

Trochę cierpliwości - powtarzał sobie - i jeśli wypadki potoczą się tak, jak przewidywał, Barto Scalisio wcześniej czy później wpadnie w ich ręce.

Wszystko zależy od tego, czy uda mu się zmontować zasadzkę nafaszerowaną mnóstwem podstępów, na które Sycylińczyk musi się nadziać. Do niego należy przygotowanie dla Barta czegoś ekstra. A jego agent radzi sobie, jak sam szef.

Środa, 5 czerwca 1974

Różnica czasu między Francją a Stanami Zjednoczonymi sprawiła, że Francois Lyończyk dowiedział się o śmierci Nicka De Luki dopiero nazajutrz rano z gazety.

Wezwał natychmiast Pierre Salvaya i Jerome Ducaza.

- Następne uderzenie to nasza kolej - oświadczył stanowczo adwokat.

- Nie denerwujmy się.

- Co on sobie wyobraża, ten twój Harry Shulz? - niecierpliwil się

Pierre Salvay.

Francois Lydńczyk uspokoił obu gestem ręki.

- Robi, co może. To niełatwe.

- Za cenę, jaką mu się płaci, powinien już mieć wyniki - zgłosił zastrzeżenia Jerome Ducaz.

- Ufam mu - odpalił Francois Lyończyk. - To wam powinno wystarczyć.

- Nick De Luca też mu ufał. To przecież on go polecił. To nie przeszkodziło mu umrzeć.

- Harry Shulz nie miał obowiązku go ochraniać.

- Są jakieś wiadomości, co on tam sfabrykował?

- Kto?

- Harry Shulz.

- Wyjaśniłem wam, że ustaliliśmy system komunikacji.

- Ale masz ostatnie informacje?

- Nie.

- Sam widzisz!

- Następny kontakt powinien być w ciągu dwóch dni.

- Więc zapytaj go, co wyrabia!

Harry Shulz także z gazety dowiedział się o śmierci Nicka De Luki.

Ale na pierwszej kolumnie "Soir de Beyrouth" nie o tej śmierci była wiadomość. Zgon Nicka De Luki zajmował połowę szpalty na trzeciej stronie.

Połowę pierwszej strony wypełniała informacja o śmierci agenta kantoru wymiany z Bejrutu, Abouda Staboulie.

Shulz przeczytał artykuł. Potem odłożył gazetę, wypił łyk cinzano

bianco i zaczął się przypatrywać tłumowi przelewającemu się przez aleję

Hamra, najbardziej uczęszczaną arterię Bejrutu.

Jasne spódnice kontrastowały z, opalonymi udami dziewcząt,

ogromnie podniecających, jedna bardziej niż druga.

Wzrok jego padł teraz na szyld świetlny, reklamujący zalety płynu

do włosów.

Od czasu pierwszej rozmowy widział Abouda Staboulie trzy razy.

Podczas tych spotkań Aboud twierdził, że nie wpadł na żaden ślad, który mógł doprowadzić do Barta Scalisio. Tak więc Harry był w tym samym punkcie, co w chwili przybycia do Bejrutu. Z tą tylko różnicą, że w tym czasie Libańczyk poniósł śmierć.

Musiał zadawać za wiele pytań, nie miał się dostatecznie na baczności. Zlikwidowali go. Najlepszy dowód, że Barto Scalisio trzymał też w Bejrucie swoich ludzi. Wszędzie miał ludzi, zdolnych do uderzenia i w Bejrucie, i w Nowym Jorku.

Stary Nick De Luca coś o tym wiedział. Ale, mój Boże, dlaczego w takim razie wyszedł ze swojej twierdzy, ufortyfikowanej jak zamek warowny w średniowieczu? Tam przynajmniej był bezpieczny.

To nie jego sprawa. Było mu zupełnie obojętne, że ludzie z mafii wykańczają się między sobą. On miał "kontrakt" do wykonania. Kontrakt za milion dolarów. Zależnie od obrotu wydarzeń, likwidacja Sycylijczyka może okazać się diabelnie trudna.

W każdym razie musi zmienić klimat. Bejrut zaczyna być niezdrowy. Jeśli zlikwidowano Abouda, bo zadawał zbyt wiele pytań, to znaczy, że zbiry Barta Scalisio są czujni i zdecydowani zgotować taki sam los ryzykantowi, który chciałby zastąpić Abouda. Nurkowanie w czarnych wodach portu z głową odciętą od tułowia. Wszystko zapakowane w rulon z drucianej siatki. I gdyby pogłębiarka nie pracowała następnego dnia w tym zakątku portu, nigdy by nie odnaleziono trupa Libańczyka.

Ale dokąd się udać po informacje o miejscu ukrycia Barto Scalisio?

Sycylijczyk tworzy wokół siebie pustkę.

Harry Shulz buntował się w duchu. To niemożliwe, zobaczymy! Nikt na świecie nie był do tego stopnia nieuchwytny. Musi być jakiś sposób!

Jego sprawa, żeby znaleźć Barta.

Wstał, zapłacił rachunek, włączył się w tłum na chodniku. Pieszko wrócił do hotelu. Spacer dobrze mu zrobił, pomógł w myśleniu.

Nazajutrz rano wsiadł w samolot na Maltę.

W La Valletta skontaktował się z agentem morskim, który pracował dla organizacji TRAK i poprosił go o odnalezienie śladu Barto Scalisio.

Agent zgodził się za 25 tys. dolarów.

Harry Shulz został na Malcie tylko dwadzieścia cztery godziny.

Następnym etapem były Ateny. Kontakt w tym mieście zapewniał pewien armator. Gdy tylko Harry wymienił nazwisko Barto Scalisio, po prostu wyrzucił go za drzwi. Tak działając musiał się liczyć, że organizacja TRAK już nigdy z nim nie będzie współpracować. Wolał jednak tę ewentualność, niż pewną śmierć.

Harry Shulz zwrócił się do porucznika policji kryminalnej, gotowego na wszelkie kompromisy za odpowiednią zapłatę. Policjant się zgodził.

Nazajutrz Harry Shulz wsiadł w samolot, tym razem na Cypr. W

Nikozji złożył wizytę przedstawicielowi włoskiej firmy samochodowej i wspólnie udali się do portów Rizokarpason, Famagusta, Limassol, Ktema, Polis i Leuka w strefie greckiej i Kyrenia w strefie tureckiej.

Intencją Shulza było odkrycie ewentualnych zaopatrzeniowców Barta

Scalisio.

Przygotowali grunt i wrócili do Nikozji. Z Cypru Harry poleciał do

Tel-Awiwu, gdzie nawiązał stosunki z Sammy Rosenthalem, który, odkąd wyemigrował do Izraela, przyjął nazwisko Chaim Shimon.

Znał Sammy'ego w Nowym Jorku, w czasach, kiedy ten pracował

dla Syndykatu Zbrodni. Ale Sammy miał tyle nieprzyjemności z policją, że wolał wyemigrować do Izraela i przyjąć obywatelstwo tego kraju.

Sammy obiecał Harry'emu zdobyć potrzebne informacje w zamian za odpowiednią kwotę.

Z Tel-Awiwu samolot Olympic Airlines zawiózł go na Kretę, gdzie

odwiedził miejscowe porty: Seteia, Hagios Nicolaos, Herakleion, Chania i Tympakion. Następnie przez Ateny i Sztambuł dotarł do Izmiru w Turcji.

Tam wszedł w kontakt z pewnym ormiańskim dostawcą okrętowym,

który zanotował w pamięci jego życzenie i zapewnił, że się tym zajmie.

Ormianin dostarczył mu bilet na miejsce w kabinie na małym stateczku.

W kilka dni później Harry wysiadł na Rodos, na terytorium greckim.

Wybrał się do kapitana portu, dobrego przyjaciela Ormianina. Po

przyjęciu zaoferowanej przez Shulza sumy, obiecał natychmiast zająć się przyjazdami i odjazdami statków zaopatrzeniowych.

Harry Shulz, zadowolony z objazdu portów, powrócił do Aten. Jego

podróż morską trwała dziewiętnaście dni i kosztowała sto tysięcy dolarów.

Przed wyjazdem z Bejrutu zatelefonował na Bahama, żeby mu przysłali pieniądze. Teraz, wysiadłszy w Atenach, mógł sobie pogratulować tej przezorności. W przeciwnym razie nie miałby dość forsy na opłacenie ludzi i kosztów podróży. Ale traktował te inwestycje jako pieniądze dobrze ulokowane. Jakiż inny bodziec może poruszyć działaniem istot ludzkich?

W oczekiwaniu efektów rozlicznych kontaktów, Harry zainstalował się na razie w hotelu w Atenach.

Znalazłszy się w pokoju, wziął prysznic, a potem zamówił numer telefonu, jaki mu podał Francois Lyończyk we Francji. Chciał mu zdać sprawę. Był spóźniony o piętnaście dni z przekazaniem raportu, ale jakie to miało znaczenie, skoro nie było nic nowego do rzucenia w paszczę Francuzowi.

Patrick Baudouin od swego przybycia do Nowego Jorku nudził się w pokoju hotelu Square Inn. Wychodził tylko po to, żeby coś zjeść i powłóczyć się bez celu po ulicach miasta albo po Central Park. Nie przestawał sobie zadawać pytań na temat zagadki Brendy. Po co ta tajemniczość?

Jeśli chce, żeby nie trafił na jej ślad, dlaczego pisze listy?

Oczywiście, Brenda nie wie, że przyleciał bez uprzedzenia do Nowego Jorku. Myśli na pewno, że gdyby miał przybyć, uprzedziłby ją z góry, a wtedy mogłaby przedsięwziąć odpowiednie środki. Ale to nie rozwiązuje zagadki.

Jest w jej życiu inny mężczyzna i pragnie ukryć korespondencję z

Patrickiem. Oto jedno z wyjaśnień, jakie mu przyszło do głowy.

Ale gdzież się do diabła przeprowadziła? W okolicy Nowego Jorku, prawdopodobnie. Jeśli nie, jak mogłaby odbierać listy, które on do niej wysyła? Chyba że kto inny się tym zajmuje. Administrator domu, na przykład? Tak, tylko że administrator jest nieosiągalny. Jego pobyt na wsi widocznie się przedłuża, bo jeszcze nie wrócił. Co dzień Patrick chodził do domu przy West Greenwich w nadziei, że go zastanie. Ale ciąglą daremnie. W końcu polubił Cliva Hornfielda. Pod pozorami fanfaronady kryła się istota bardzo nieszczęśliwa, cierpiąca katusze z powodu ułomności fizjologicznej.

Patrick odnalazł swój stary instynkt z czasów, gdy był detektywem w Nowym Jorku: perspektywa rozwiązania tajemnicy zaczęła go ekscytować.

Czy to nie pasjonujące? Co więcej, można z tego zrobić dobry scenariusz. Już zresztą rzucił na papier zarys fabuły. Chciałby tylko wiedzieć, czy ten scenariusz będzie “dostatecznie głupi i idiotyczny” w guście Rosenfelda, żeby “podość się publiczności”. W tym sęk!

ROZDZIAŁ XIII

Wtorek, 11 czerwca 1974

Patrick Baudouin zdecydował się iść na całość. W przeszłości taka taktyka udawała mu się parę razy. Zwłaszcza w Nowym Jorku.

Administrator stał przed nim, tłusty, brudny, rozmamłany. Kwaśny zapach potu wydzielal się spod jego pach. Brzydka blizna szła od lewego oka do ucha, różowa skóra szerokimi zygzakami biegła przez policzek.

- Szukam Brendy Chapman - powiedział Patrick Baudouin

stanowczym tonem.

- Nie znam takiej - mruknął administrator.

- Jej nazwisko jest na jednej ze skrzynek na listy.

- Możliwe.

- To znaczy, że mieszka w tym domu.

- Może tak, a może nie.

- Udajemy cwaniaków, co?

Tamten miał nieprzyjemną minę.

**- Ma pan dziwny akcent. Cudzoziemiec. To znaczy, że pan nie zna
tutejszych zwyczajów.**

- Jakich zwyczajów?

- Nie zadawać pytań. To niezdrowo.

- Ach, tak?

- Tak, przyjacielu. Drzwi są tam.

**Patrick Baudouin uśmiechnął się blado. Udał, że robi półobrót,
odwrócił się na pięcie i jego prawa pięść trafiła w wydęty brzuch.**

**Natychmiast powtórzył cios lewą pięścią, która wylądowała na
podbródku.**

Administrator upadł, ale zachował przytomność umysłu.

**- Gramy w twardech, co? - zasyczał chrapliwym głosem. - To na
mnie nie robi wrażenia. Miasto jest pełne twardech. Każdy chce udawać
własnego szefa. Jeśli myślisz, że ja wstanę, to się mylisz. Bo gdybym
spróbował się podnieść, wyrznisz mnie w gębę. Nie jestem taki głupi,**

mój przyjacielu. Chcesz mnie znokautować? Korzystaj, siedzę.

Patrick Baudouin cofnął się nie spuszczając z oka blizny na lśniącej od potu twarzy administratora. Musiał mieć ciężkie przejścia w życiu - pomyślał. Tego typu nie przerażą ciosy moich pięści. Trzeba spróbować czegoś innego, ponieważ zwykle sposoby zajęłyby zbyt wiele czasu i do niczego by nie doprowadziły.

- Chcesz szmalu? - zapytał wprost.

Grubas pozostał obojętny.

- Czym się zajmujesz w życiu, skarbie?

- Sam powiedziales - nigdy nie zadawać pytań.

- To znaczy, że jesteś prywatny detektyw. Dziwne. Nigdy nie widziałem prywatnego detektywa z cudzoziemskim akcentem. Nie jesteś przypadkiem ruski? Nie! Pomyliłem się. Już wiem. Ty jesteś zabojad.

Morris Shevaliey, jak mówił w telewizji, miał ten sam akcent, co ty.

Jestem w domu!

Nie posiadał się z radości.

Patrick Baudouin wybuchnął śmiechem. Znano tu francuskich piosenkarzy! Charlesa Aznavoura - transwestyta, Maurica Chevaliera - ten.

Wyjął

portfel

i

położył

na

stole

dwa

banknoty

pięćdziesięciodolarowe.

- Szukam Brendy Chapman - powtórzył.

- Mówiłem, że nie znam takiej.

- Jak to się więc dzieje, że jej nazwisko figuruje na jednej ze

skrzynek na listy w tym budynku?

- Za mało dałeś, żebym odpowiedział na pytanie, Patrick dorzucił

trzeci banknot 50-dolarowy.

- Widziałem, że masz jeszcze dwóch braci, takich samych, jak ci, co

leżą na stole. A gdybyś tak dołożył do rodzinki? Będzie im cieplej

pięciorgu małym - sugerował administrator słodkim głosem.

- Masz dla mnie wiadomości?

- Możliwe.

Patrick Baudouin spełnił żądanie.

- Teraz dość targów. Mów, co masz.

- Założmy, mój przyjacielu - powiedział w końcu - że facet

przychodzi i mówi: "Masz tu dwieście patyków. Instaluję skrzynkę na

listy w twoim hallu, a ty nie zadajesz pytań". Co byś zrobił na moim

miejscu? Nie wiesz? To ci powiem. Łapiesz forszę i morda w kubek. Stajesz

się niewidomy. Nawet nie widzisz już tych skrzynek na listy ani nazwisk.

- Ale widzisz dziewczynę, która ci zaproponowała ten interes.

- Nie mówiłem wcale, że to dziewczyna.

- No to mężczyzna.

- Raczej.

- Jaki on był?

- Zapomniałem.

- Będzie zabawne, jak zabiorę te 250 dolarów.

- Nie mogę ci nic powiedzieć. Myślisz, że typy, co się biorą do takich propozycji, mają pełno znaków rozpoznawczych? Najpospolitszy rodzaj, wszyscy tacy sami.

- Ile skrzynek wynajmują ci, którzy tu nie mieszkają?

- Piętnaście.

- W jaki sposób zabierają swoją pocztę? Musisz ich wtedy widywać?

- Nie.

- Jak to?

Administrator parsknął śmiechem. Nieprzyjemne parsknięcie zirytowało Patricka.

- Jak ci się płaci dwieście patoli - powiedział wreszcie - to się wymaga małego porozumienia.

- Jakiego?

- Nigdy mnie tu nie ma po południu, między drugą a szóstą. W tym czasie przychodzą po swoją pocztę. W ten sposób ich nie widzę.

- Nigdy?

- Nigdy.

Dopiero na ulicy, dziesięć minut później, Patrick znalazł rozwiązanie problemu, który go absorbował. Zwymyślał sobie, że nie

przyszło mu to wcześniej do głowy.

Harry Shulz sporządził bilans.

Spośród pięciu ludzi, z którymi skontaktował się na Cyprze, w

Atenach, na Rodos, w Izmirze i w Tel-Awii, trzech postradali życie

wskutek gwałtownej śmierci już w następnym tygodniu. Sammy

**Rosenthal w Tel-Awii, ormiański dostawca w Izmirze i kapitan portu
na Rodos.**

Podobnie jak mecenas Rogazzino w Palermo i Abouda Staboulie w

**Bejrucie, Barto Scalisio unicestwiał wszystkich, którzy zadawali za dużo
pytań.**

I wszyscy zginęli bez dostarczenia jednego choćby szczegółu, który

Harry'ego Shulza mógł naprowadzić na jakiś trop.

Pozostali w obiegu: porucznik policji kryminalnej w Atenach,

**przedstawiciel włoskiej firmy samochodowej w Nikozji na Cyprze i agent
morski w La Valletta na Malcie.**

**Jak długo? Czy czeka ich ten sam los, który zgotowano tamtym
trzem? Niewykluczone.**

A Harry nie posunął się nawet o krok. Tymczasem w Paryżu wrzało.

Francois Lyończyk i jego wspólnicy nie byli zadowoleni. Mieli powody.

Ale cóż mógł zrobić?

Pierwszy raz w swojej karierze Shulz znalazł się w sytuacji

podbramkowej. Ale na wet przez sekundę nie ogarnęło go z wątpienie.

Wiedział, że wcześniej czy później musi wygrać. To tylko kwestia czasu.

Barto Scalisio nie mógł mu się wymknąć.

W trakcie tych rozmyślań zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

To był Katzolakis, porucznik policji kryminalnej.

- Pan Shulz? Spotkanie o godzinie 21 w Papaspirou Aleko, plac

Omonia. Znajdzie pan?

- Tak.

- To zaledwie 10 minut taksówką z pańskiego hotelu.

- O.K.

Odłożył słuchawkę.

Miał jeszcze cztery godziny. Wyszedł ze swojego pokoju i wybrał się

do pokoju 701. Wiedział, że tam jest stała partia pokera. Gracze byli

Grekami, Amerykanami i Włochami. Ludzie interesu, adwokaci, lekarze.

Stawki wysokie. "Wejście" wynosiło 10 dolarów, co dawało bardzo duże

wyniki. Od razu go przyjęli do gry. Nim się zaangażował w duże stawki,

uważnie obserwował zachowanie graczy. Odróżniał skąpców i najbardziej

doświadczonych. Unikał spotkań z tymi ostatnimi. Szczęście, średnie na

początku, po upływie godziny niezwykle mu dopisywało. Skorzystał z

tego, żeby ostro stawiać. Kiedy dobra passa zaczęła mijać, grał jeszcze

godzinę, przegrywając minimalnie i wstał od stolika. Wygrał 5 tysięcy

dolarów. Dał sto kelnerowi i ruszył na spotkanie. Opuścił hotel King

George i przeszedł przez plac Sindagma. Już z daleka zobaczył taksówkę.

W Atenach wszystkie taksówki były szare. Zatrzymał.

- Proszę mnie zawieźć na plac Omonia - powiedział. Osiem minut

później zatrzymali się przed Papaspirou Aleko, brudnym barem.

- 20 drachm - rzucił taksówkarz. Zapłacił.

Harry Shulz nie chciał od razu wchodzić do środka. Obszedł najpierw sąsiednie ulice, żeby poznać okolicę. Pełno tam było obrzydliwych prostytutek. Trzymały się w cieniu, żeby ewentualny klient nie mógł dostrzec ich starych i pomarszczonych twarzy, powykrzywianych i niezgrabnych ciał. Zrobił obchód domów, wrócił do baru i ostrożnie wszedł do środka.

Klientela składała się wyłącznie z mężczyzn, w większości starszych. Grali w tryktraka ze skupionymi minami, nic nie mówiąc. Harry Shulz usiadł przy wolnym stoliku naprzeciw drzwi. Kelner krążył dokoła z zaaferowaną miną. Zawołał go, zamówił „ouzo”.

Spojrzał na zegarek, kelner wrócił i podał kieliszek ouzo, szklanekę wody z lodem i mezedakis, coś na jeden ząb, składające się z kawałków sera, oliwek i ośmiornicy z grilli. Umoczył usta w ouzo. Drzwi się otworzyły i zobaczył uśmiechniętego Katzolakisa. Podeszedł i usiadł naprzeciw Harry’ego ściskając mu dłoń.

- Dobry wieczór. Łatwo pan trafił?

- Oczywiście.

- Mam dla pana dobre wiadomości.

- Słucham.

- Znalazłem jeden ze statków, zaopatrujących jachty tego, kogo pan szuka. Tylko...

- Tylko co?

Spojrzenie Greka stało się nieszczerze.

- Tylko kosztowało więcej, niż myślałem na początku. Tak że...

- Tak że chce pan dodatek?

- Z panem interesy idą łatwo. Pan rozumie w pół słowa...

- Ile?

- Myślę, że 5 tysięcy dolarów powinno wystarczyć. Harry Shulz uświadomił sobie, że właśnie tyle wygrał w pokera po południu.

- Moim zdaniem dwa wystarczą. Proszę. Wyciągnął plik banknotów, tych samych, które wygrał w pokera, oddzielił odpowiednią kwotę i podał policjantowi pod stołem. Poczul, jak Grek łapczywie chwycił pieniądze.

- A więc?

Katzolakis pochylił się nad stołem.

- To statek cypryjski. Zaopatruje raz w tygodniu. Dostaje namiary spotkania na morzu: długość geograficzna, szerokość, godzina. Listę potrzebnych artykułów otrzymuje drogą pocztową, nie statek, oczywiście, tylko armator. Dokonuje zakupów, płaci, zwracają mu przy dostawie.

Spotkania nie odbywają się nigdy w tym samym miejscu. Tamci są zawsze w porządku. Płacą tylko gotówką.

- Nazwa statku i nazwisko armatora!

Kątem oka Harry Shulz zobaczył otwierające się drzwi. Instynkt natychmiast go ostrzegł. Ileż to razy w ciągu swojego awanturniczego życia znajdował się w identycznej sytuacji?

Jeszcze przed wyjściem z hotelu podjął środki ostrożności. Teraz prawą rękę wsunął za pas i jego palce zacisnęły się na pistolecie.

Było ich dwóch. Tylko jeden zdążył wystrzelić do Katzolakisa.

Drugiego kula trafiła w czoło i upadł między dwóch graczy w tryktraka.

Pierwszy wycelował broń w Harry'ego Shulza, ale nagle jego twarz przybrała wyraz cierpienia, zaznaczyły się bruzdy wokół nozdrzy, przy ustach grymas. Kula wystrzelona przez Harry'ego Shulza trafiła w samo serce.

Harry spokojnie wstał. Grobowa cisza panowała w barze. Nie słychać było nawet pionków przesuwanych po drewnie.

Harry spojrział na Katzolakisa. Strzaskana głowa spoczywała na stoliku wśród resztek jedzenia. Mózg mieszał się z serem, oliwkami, kawałkami ośmiornicy. Rzucił kilka drachm i wolnym krokiem opuścił bar wśród zaintrygowanych spojrzeń klientów. Broń trzymał w ręce. Okazała się bardzo przydatna. Gdy tylko postawił nogę na chodniku, dostrzegł osobnika czatującego w starym renault.

Dziewiątka trzasnęła po raz trzeci, a smagła twarz zniknęła za drzwiczkami samochodu.

Shulz zrobił parę kroków, otworzył drzwiczki, trup wytoczył się na ziemię. Harry usiadł za kierownicą. Dość dobrze pamiętał trasę, jaką jechała taksówka z hotelu do Omonii. Wsiadł z renaulta pięćset metrów

od hotelu i prawie biegiem wrócił do King George.

W pokoju uporządkował swoje rzeczy. W ciągu pięciu minut zamknął walizkę, wyciągając z niej zapasowy paszport, opatrzony wizą wjazdową do Grecji. Spalił w łazience ten, którym posługiwał się dotychczas, zjechał do hallu, wyszedł na ulicę. Pieszko dostał się do miejsca, gdzie zostawił renaulta. Usiadł za kierownicą i pojechał na lotnisko.

Zaparkował wóz na parkingu naprzeciw budynku, wszedł do środka i stanął przed tablicą odlotów.

Samolot Air France właśnie miał startować do Rzymu. Podbiegł do kantoru Air France, rozłożył przed hostessą plik banknotów i zażądał biletu w jedną stronę do Rzymu. - Nie wiem - zawahała się. - Jest trochę późno. Maszyna przygotowuje się już do startu...

- Niech ją pani zatrzyma.

- Ależ...

- Macie za dużo pasażerów?

Przeczytał nazwisko wypisane na plastikowej wizytówce, przypiętej nad lewą piersią dziewczyny.

- Panno Janopoulos, zapamiętam sobie pani nazwisko. Zawiadomię waszą dyrekcję, że pani nie przyjmuje klientów na dziesięć minut przed odlotem samolotu. Co więcej, pasażera pierwszej klasy.

Dziewczyna się zaczerwieniła i chwyciła telefon.

- Dobrze, proszę pana. Niech pan postawi walizkę na wadze, bardzo proszę.

ROZDZIAŁ XIV

Niedziela, 16 czerwca 1974

Patrick Baudouin przeczytał kopię listu, który przed czterema dniami wysłał do Paryża.

Yves!

Chciałem cię prosić o grzeczność: Tym razem nie chodzi o forszę.

Dziwisz się? Od tej strony wszystko dobrze się układa. Nie. Chodzi o coś innego. Oto moja sprawa.

Chciałbym, żebyś wybrał się do mnie. Dom, jak wiesz, nie ma dozorczy. Nie mogę więc prosić o przysłanie mi poczty.

Otworzysz moją skrzynkę na listy, weźmiesz pocztę i wyślesz mi tutaj, adres poniżej.

Klucz znajdziesz na dnie koperty. Chciałbym także, jeśli to cię zbyt nie obciąży, żebyś zaglądał do mnie co najmniej dwa razy w tygodniu i sprawdzał, czy nie ma poczty. Jeśli by była, przysyłaj.

Ostatnia sprawa. Przesyłam ci zaklejoną kopertę, żebyś nalepił znaczek i wysłał ją z Paryża. Wybacz, że jest zaklejona, wiem, że to niegrzeczne, ale konieczne.

Liczę na Ciebie!

Pobyt w Nowym Jorku upływa dobrze. Opowiem Ci po powrocie.

Dziękuję, Stary, i do zobaczenia

Patrick

Wziął się teraz do czytania listu, który napisał do Brendy, a który dotrze do niej za pośrednictwem starego kumpla, Yvesa.

Moja droga!

Szczerście wreszcie sprzyja. Udało mi się sprzedać scenariusz producentowi filmowemu, z którym byłem w kontakcie od jakiegoś czasu i, trzymaj się mocno, dostałem forszę.

Zacząłem, oczywiście, od spłacenia długów. Wiesz, miałem je.

Nigdy Ci o tym nie mówiłem, ale wierz mi, przeżyłem bardzo złą passę.

Teraz idzie lepiej.

I wyobraź sobie, co postanowiłem? Skoczę do Nowego Jorku, żeby się z Tobą spotkać. Czy to nie cudowne?

Odpowiada Ci? Odpisz szybko.

Całuję Cię bardzo mocno

Patrick

Zadowolony z siebie, złożył razem kopie obu listów i schował do szuflady małego biurka. Teraz zaczął się zastanawiać. Niewykluczone, że Brenda napisze do Paryża, precyzując, gdzie była i co robiła. W tym tkwi może wyjaśnienie tajemnicy. W każdym razie, gdy otrzyma list, zareaguje tak czy inaczej. Albo da mu zielone światło, albo znajdzie jakiś pretekst, aby mu przeszkodzić w przyjeździe. Podróż zagraniczna, na przykład. Ale najważniejsze było zupełnie co innego. Dzięki listowi, który napisał do Brendy i który Yves wyśle z Paryża, odkryje, kto odbiera pocztę przeznaczoną dla Brendy w skrzynce na jej nazwisko w domu przy West Greenwich. Albo sama Brenda, albo kto inny.

Jeśli Brenda, poprosi ją o wyjaśnienie. Jeśli kto inny, mężczyzna czy kobieta, zacznie jego lub ją śledzić, aż zaprowadzą go do Brendy.

Od pięciu dni, każdego popołudnia, między drugą a szóstą, jak to sprecyzował administrator, czatował u Cliva Hornfielda, transwestyty.

Śledził rzędy skrzynek na listy przez wizjer w drzwiach.

Ale nikt się nie pojawiał.

Dostrzegał mężczyzn i kobiety, cienie prześlizgujące się po hallu; otwierali szybko skrzynki, zgarniali koperty i w sposób pozornie swobodny wychodzili z budynku. Nikt jednak nie podszedł do skrzynki z nazwiskiem Brendy Chapman.

Clive Hornfield stracił od dawna nadzieję, że nawróci Patricka na homoseksualizm i stosunki między nimi ułożyły się dobrze.

Patrick wychodząc około wpół do siódmej, zostawiał na stole 10 dolarów, płacąc w ten sposób za zajmowanie lokalu. To nie były pieniądze całkowicie stracone. Zabrał się bowiem do przygotowywania scenariusza, który na pewno spodoba się Rosenfeldowi.

Harry Shulz długo nie zabawił w Rzymie. Natychmiast odleciał do Nikozji na Cypr. Tam ustalił swoją kwaterę główną.

Od razu po przybyciu skontaktował się z przedstawicielem włoskiej firmy samochodowej i z agentem morskim w La Valletta na Malcie; tylko oni zostali jeszcze przy życiu.

Niestety, nie mieli nic do przekazania. Najmniejszego nawet śladu.

Doprowadziło go to do rozpacz. Nie mógł odżalować, że Katzolakis zginął tak wcześnie. Dokładnie kilka sekund przed ujawnieniem nazwy statku i nazwiska armatora, który zaopatrywał jachty Barta Scalisio. Co jednak można zrobić wobec śmierci?

Minęło już sześć tygodni, od kiedy był na tropie Barta Scalisio, i nie zdołał zanotować najmniejszego nawet sukcesu w poszukiwaniach. A tamci w Paryżu niecierpliwili się! Wymagali wyników!

Nic dziwnego, po śmierci Nicka De Luki poczuli się w kłopotliwej sytuacji. Czyja teraz kolej? - zastanawiają się.

Spryciarz ten Sycylińczyk. Przez moment Harry Shulz był gotów podziwiać Barta Scalisio, ale zaraz sobie przypomniał, że gdyby nie zachował czujności w barze Papaspirou Aleko w Atenach, zbiry Scalisia miałyby już także jego skórę.

Zasępił się. Czy musiał beczynnie czekać na informacje? Katzolakis powiedział, że to cypryjski statek zaopatruje jachty Scalisia. Trzeba coś zrobić.

Harry był na Cyprze. Dlaczego nie spróbować odkryć czegoś samemu, nie licząc na innych? Poprzednio objechał porty wyspy w towarzystwie przedstawiciela firmy samochodowej i nawiązał kontakty. Dlaczego tam nie wrócić?

Poszukał mapy i uważnie ją przestudiował. Czerwonym i niebieskim ołówkiem nakreślił drobiazgowo trasę i na kawałku papieru wypisał nazwy portów, które zamierzał odwiedzić: Rizokarpason, Famagusta, Limassol, Ktema, Polis, Leuka, a także Kyrenia w strefie tureckiej.

Pojedzie wynajętym właśnie pontakiem.

Czwartek, 21 czerwca 1974

Patrick Baudouin otworzył kopertę, na której Yves wyrysował

wielkimi literami adres nowojorski. Obawiał się widocznie, że pocztowcy amerykańscy nie odszyfrują jego gryzmołów.

Wyjął list napisany przez Brendę do niego, do Paryża. Otworzył kopertę i zaczął czytać.

Nowy Jork, 8 czerwca

Kochany!

Minęła wieczność, jak nie miałam od Ciebie wiadomości. Co się dzieje? Zapomniałeś o mnie? Inna zajęła miejsce w Twoim łóżku?

W końcu to byłoby normalne. Nie spodziewam się, że żyjesz jak mnich, czekając na nasze spotkanie. Ale to nie przeszkadza w napisaniu do mnie!

Jestem doprawdy zachwycona moim nowym mieszkaniem na

West Greenwich. Przez "nowe mieszkanie" nie chcę powiedzieć, że zajmuję inny apartament (mieszkam tu od lat), ale po prostu, że on jest nowy, bo zupełnie się zmienił od czasu remontu, jaki poleciłam zrobić podczas mego pobytu w Rio. Przypominasz sobie? Pisałam Ci o tym w poprzednim liście. Na który zresztą nie odpowiedziałeś.

Rzecz jasna, West Greenwich nie wybrałabym, gdybym miała dosyć pieniędzy, żeby przeprowadzić się do dzielnicy moich snów. Ale trzeba żyć według możliwości. Prawda?

Niestety, muszę je znowu opuścić (mówię o mieszkaniu, nie o West Greenwich, na to gwizdzę).

Z pewnością będziesz mnie uważał za niepoprawną globtroterkę.

Po zastanowieniu myślę, że rzeczywiście nią jestem.

Następny list otrzymasz ode mnie z Bejrutu, z Aten lub może

nawet z Nikozji na Cyprze.

Czekam na nowiny od Ciebie z niecierpliwością. Nie zapomnij o

mnie, wiesz, że Cię kocham.

Brenda

Z wściekłością rzucił list na biurko.

Jaką grę ona prowadzi? Kłamała, to teraz oczywiste. Cały ten

fragment o mieszkaniu na West Greenwich! Zaśmiał się. Mieszkanie,

które wcale nie istnieje!

Uważa się za niepoprawną globtroterkę? Raczej niepoprawna

klamczucha. Tak. Od początku go okłamywała.

Ale dlaczego, na miły Bóg? Jaki ma w tym interes? Dlaczego otacza

się tajemnicą?

Na próżno szukał, nie widział powodu.

Nie mogła nawet być na procencie w biurze podróży. Bo jak by

zdolała płacić komorne za apartament w tak luksusowym budynku przy

Lexington Avenue?

A może kto inny za nią płacił? I tego kogoś pragnie ukryć w cieniu?

W każdym razie dużo podróżuje. Ale... czy to pewne? Jeśli ktoś odbiera

jej pocztę, może kogo innego używa do wysyłania swoich listów z Rio de

Janeiro, Bejrutu, Aten, Cypru?

Czy on sam nie stosuje takiej metody z Yvesem w Paryżu?

Ale z jakiego powodu? Tylko po to, żeby zachować w cieniu amanta,

który ją utrzymuje? Trochę wykrętne rozumowanie.

Spojrzał na zegarek: trzynasta trzydzieści. Czas, żeby pójść na West Greenwich i objąć wartę w mieszkaniu Cliva Hornfielda. To jedyna szansa znalezienia klucza do zagadki.

Gdy zadzwonił do drzwi, transwestyta był w trakcie przymierzania rudej peruki na swój ogolony łeb.

- Wchodź, śliczny chłopaczku. Co nowego?

Clive Hornfield pasjonował się tak samo jak on wyświetleniem tajemnicy. Patrick nie powiedział mu o otrzymanym liście.

- Zrobić ci kawy?

- Proszę.

Zajął miejsce przy drzwiach i przy kleił oko do wizjera. Clive rzucił mu ironiczne spojrzenie.

- Pewnego dnia wykręcisz sobie szyję. Patrick wzruszył ramionami.

Na schodach był niewielki ruch. Najpierw dwie kobiety czule objęte otworzyły skrzynkę, pustą zresztą, a potem poszły na górę.

Ann McGraw i Marie O'Hara. Patrick je rozpoznał. Dwie lesbijki, jak mu powiedział Clive Hornfield.

Patrick powoli poznawał wszystkich mieszkańców domu. Umiał ich odróżnić od tych, którzy przychodzili zabrać pocztę, ale nie mieszkali w budynku.

Potem nadszedł Claude Cohen, inny transwestyta. Clive był o niego zazdrosny, bo udało mu się dostać rolę w rewii off-Broadway, czego nigdy nie dostąpił Clive.

Nagle Patrick Baudouin się poruszył.

Jakiś człowiek wszedł ukradkiem do hallu, rozejrzał się dokoła, skierował do rzędu skrzynek, tam gdzie znajdowała się ta z nazwiskiem Brendy. Ale to był tylko fałszywy alarm. Mężczyzna otworzył sąsiednią skrzynkę, wyjął grubą kopertę i pośpiesznie się wymknął.

- Masz swoją kawę - odezwał się Clive.

Patrick chwycił filiżankę i zaczął pić wrzący napój. Wiedział, że list, który napisał do Brendy i który Yves wysłał z Paryża, znajduje się tam, w skrzynce.

W przeddzień kawalkiem drutu udało mu się otworzyć zamek i znalazł swój list. Miał pewne trudności z zamknięciem, ale jakoś dał radę.

Nie dziś to jutro ktoś przyjdzie po list. Na pewno.

Dwie czarne prostytutki w blond perukach weszły do domu, zawzięcie dyskutując. Nawet się nie zainteresowały, czy są dla nich listy.

Były zanadto zajęte wymyślaniem na sędziego, który wlepił im grzywnę 100 dolarów za usiłowanie okradzenia dwóch marynarzy z U.S. Navy.

Wbiegła za nimi banda wyrostków, rzucili się za dziewczynami po schodach, wyrwali im torebki i uciekli co tchu, żegnani krzykiem i ordynarnymi przekleństwami.

W drzwiach jeden z chłopaków omal nie wpadł na wchodzącą w tym momencie ładną blondynkę. Ustąpiła mu miejsca i weszła pewnym krokiem. Cofnęła się, żeby przepuścić dwie prostytutki biegnące w pogoń za złodziejami, i skierowała się wprost do końca rzędu skrzynek.

Po raz drugi Patrick zadrzał. Szybko odstawił filiżankę z kawą na podłogę i uważnie patrzył przez wizjer.

Dziewczyna zatrzymała się przed skrzynką z nazwiskiem Brendy

Chapman i kluczem wyjętym z torebki otworzyła zamek. Zachowywała się swobodnie. Wyciągnęła list od Patricka, zamknęła skrzynkę, wsunęła do torebki list i klucz. Potem zdecydowanym krokiem przeszła przez hali i zniknęła na ulicy.

- Jest - rzucił radośnie Patrick. - Ktoś przyszedł. Idę za nią.

- Kobieta?

- Tak.

- Ale przyjdiesz jeszcze do mnie, powiedz - prosił Clive Hornfield.

- Przyrzekam.

Patricka już nie było. Na ulicy od razu zobaczył dziewczynę. Szła w kierunku Avenue of the Americas. Jej długie jasne włosy poruszał lekki południowy wietrzyk. Przeszła przez aleję, skręciła w Waverley Street, podążała wzdłuż Washington Square i u wylotu 5 Avenue zatrzymała się przed zaparkowanym tam fordem.

Patrick rozejrzał się rozpaczliwie wokół. Jak za zrządzeniem opatrności pojawiła się taksówka. Podbiegł, otworzył drzwiczki i rzucił się na tylne siedzenie.

- Dokąd? - zapytał taksówkarz, wielki Murzyn o nieufnym spojrzeniu.

Patrick wyciągnął z kieszeni plik dolarów rzucając je kierowcy na kolana.

- Niebieski ford rusza za panem. Jedziemy za nim - okropnie niewyraźnie wymawiał, tak był zdyszany.

Kierowca mrugnął.

- Rozumiem, psze pana.

Ford ich wyprzedził, blondynka siedziała za kierownicą, a taksówkarz zręcznie włączył się w ruch, w pewnej odległości za dziewczyną.

- Mnie też zdradzała - skomentował smutno kierowca. - To dziwne, prawda, psze pana? Ma się zaufanie do swojej babki, a potem, pewnego pięknego dnia odkrywa się, że przyprawia ci rogi z jakimś typem, który nie dorasta ci do pięt. Prawda, psze pana? Dam panu dobrą radę. Żeby nas nie zdradzały, jest tylko jeden sposób: trzeba im szybko robić dzieci. Dwanaścioro, piętnaścioro, dwudziestkę. To je zajmie, prawda, psze pana? Na przykład moja druga kobieta. Już jej zrobiłem dziewięcioro, a dziesiąte w drodze. Świetna metoda, prawda, psze pana? Nie ma pan szczęścia. Taka ślicznotka... Widzi pan, zawsze mówię, lepiej mieć brzydką. To mniej pociąga facetów, co tylko polują!

Patrick Baudouin nie przywiązywał wagi do tego całego gadania.

Nie spuszczał oka z niebieskiego forda.

Dziewczyna nie sprawiała wrażenia, jakby starała się zgubić kogoś, kto ją śledzi. Prowadziła spokojnie, nawet wolno, nie ryzykowała w bardzo ożywionym ruchu ulicznym. Taksówkarz bez żadnego trudu jechał za nią.

Poprowadziła ich prosto do New York Life Insurance Building przy Madison Avenue, między 26 i 27 Ulicą. Wjechała na parking w podziemiach. W tym czasie Patrick szybko zapłacił za kurs z dużym

napiwkim. Nie było szans, żeby ją mógł złapać w ogromnym podziemiu.

Stanął więc przy windach.

Dziewczyna nadeszła po pięciu minutach. Gdy ją zobaczył, nacisnął guzik windy, tak jak gdyby dopiero tam się znalazł.

Drzwi kabiny otworzyły się, przepuścił ją przodem, wszedł i wsunął się w głąb.

Nacisnęła guzik na czternaste piętro i obojętnym głosem zapytała:

- Które piętro?

- Piętnaste.

Podczas jazdy miał okazję dokładniej ją obejrzeć. Była to ładna blondynka o niebieskich oczach, dobrze zbudowana, około dwudziestu pięciu lat. Sprawiała wrażenie pewnej siebie i całkowicie beztroskiej.

Wysiadła na czternastym piętrze.

Patrick wyskoczył na piętnastym, znalazł zapasowe schody, zbiegł piętro niżej. Zdążył dojrzeć dziewczynę znikającą za drzwiami w końcu korytarza.

Poszedł w tym kierunku, zatrzymał się przed drzwiami z tabliczką:

McCall Import-Export Company.

ROZDZIAŁ XV

Piątek, 28 czerwca 1974

Od tygodnia Patrick Baudouin śledził dziewczynę, która w ubiegły czwartek wyjęła ze skrzynki jego list do Brendy. Wiedział o niej już wszystko.

Nazywała się Kate Kitpack i zajmowała niewielkie mieszkanie na

51 Street West, między 9 i 10 Avenue, naprzeciwko Saint Clare Hospital i obok Sacred Heart Church. Zarabiała sześćset dolarów miesięcznie, za mieszkanie płaciła 150. Urodziła się w Rapid City, South Dakota, przed mniej więcej dwudziestu sześciu laty. Pracowała w Nowym Jorku od czterech lat, w firmie importowo-eksportowej McCalla.

Wychodziła z domu do biura punktualnie o ósmej, pracowała do szesnastej trzydzieści. W przerwie południowej, między dwunastą a pierwszą, jadła sandwicza, piła kawę i zimne mleko.

Wieczory spędzała w domu albo z jednym z szefów od McCalla wybierała się do eleganckiej restauracji, a przedtem do kina lub teatru.

Towarzysz ją odprowadzał i zostawał na noc. Patrick śledził dziewczynę także podczas weekendu. Wynajął w tym celu chevroleta.

Weekend spędzała ze swoim amantem w Wilmington, w spokojnej okolicy Vermont.

Nie odkrył nic, co mogłoby ją wiązać z Brendą.

Ale co zrobiła z listem?

Patrick nie był zdecydowany, jaką przyjąć taktykę wobec Kate Kitzpack.

Zapytać ją o Brendę? To wydawało się logiczne, ale nie takie proste.

Jeśli Brenda otaczała się tajemniczością, musiała mieć ku temu jakiś poważny powód. Wypytyjąc o nią Kate ryzykował z jednej strony, że nic nie uzyska, z drugiej, że zerwie nić prowadzącą na trop Brendy.

Lepiej więc dalej śledzić Kate Kitzpack, obserwować jej zachowanie.

Może to doprowadzi do Brendy?

Tymczasem odpisał Brendzie. Powtórzył propozycję spotkania w

Nowym Jorku po jej powrocie z Cypru, Aten czy Bejrutu. Przesłał list do

Yvesa z prośbą, żeby go nadał z Paryża. Trzy dni później otrzymał kopertę od Yvesa zawierającą list od Brendy. Otworzył i przeczytał:

Nikozja, 26 czerwca

Mój biedny kotku!

Nie masz szczęścia. Właśnie w chwili, kiedy chciałbyś przyjechać

do mnie, do Nowego Jorku, ja jestem tak daleko! Musimy to odłożyć na

kiedy indziej. Ale na kiedy? Doprawdy nie wiem. Pędzę obłąkane życie,

włóczę się bez przerwy po szerokim świecie!

Najserdeczniejsze gratulacje z powodu twojego sukcesu. Kiedy

będą kręcić Twój film? Umieram z chęci obejrzenia go. Jestem pewna, że

to będzie okropne. Nie odpowiedziałeś mi na moje pytanie: czy jakaś

inna dziewczyna zajęła miejsce w Twoim łóżku?

To idiotyczne z mojej strony, ale muszę wiedzieć. Kocham Cię, a

paryżanki mają taką opinię!

Kończę. Mnóstwo roboty. Kocham Cię.

Brenda

To znaczy, stwierdził Patrick, że Kate Kitzpack przekazała Brendzie

list. A więc zna jej adres. Spojrzał na stempel pocztowy: Nikozja, Cypr.

Naszły go wątpliwości. Może Kate nie ma nic wspólnego z tą

sprawą? Może to uprzejmość z jej strony, że wysłała Brendzie pocztę, ale

nic nie wie o jej tajemnicach?

W takim wypadku nie miałyby najmniejszego powodu, żeby mu nie

podać adresu Brendy. Postanowił pójść do niej i porozmawiać.

Tego samego popołudnia czatował w korytarzu prowadzącym do mieszkania Kate. Wróciła o piątej. Jak tylko wysiadła z windy, zbliżył się i zaszedł jej drogę.

- Jestem przyjacielem Brendy Chapman - oświadczył chłodno, patrząc jej w oczy.

Nawet nie drgnęła.

- Tak?

- Gdzie ona jest?

- Dlaczego pan się do mnie zwraca?

- Widziałem, jak pani otworzyła jej skrzynkę w domu przy Christopher Street i wyjęła list, który do niej napisałem. Dostałem już odpowiedź. To znaczy, że pani go przesłała. Więc wie pani, gdzie ona jest.

- Śledził mnie pan?

- Tak.

Zastanowiła się.

- Minęło osiem dni, jak odebrałam ten list. Cały czas pan mnie śledził, przez osiem dni?

- Tak.

Potrząsnęła głową.

- Jest pan wytrwały. Francuz, prawda?

- Tak.

Czekał, aż porówna jego akcent z akcentem Maurica Chevaliera albo Charlesa Aznavoura, ale nie zrobiła tego.

- Tak więc pan jest Patrick Baudouin - stwierdziła obojętnym

tonem.

- Tak. Brenda mówiła pani o mnie?

- Niech pan wejdzie.

Wyjęła klucz z torebki, otworzyła drzwi i zaprosiła go do wnętrza.

- Proszę siadać.

Wskazała fotel w salonie. Rzuciła torebkę na krzesło i zajęła miejsce

naprzeciwko niego.

- Pewnie chciałby pan zobaczyć się z Brendą. Dlaczego tak długo

pan czekał, żeby ze mną mówić, skoro mnie pan widział na Christopher

Street?

- Brenda nigdy nie mieszkała w tym domu, chociaż mi to próbowała

wmówić. Odkryłem, że poprzednio zajmowała luksusowy apartament

przy Lexington Avenue.

Kate Kitzpack przyjęła to obojętnie.

- Brendy nie ma w Nowym Jorku - zadowolila się stwierdzeniem.

- Dostałem dziś od niej list z Nikozji na Cyprze. Czy tam jest?

- Przypuszczam.

- Gdzie pani jej przesyła pocztę?

- Kto panu powiedział, że jej przesyłam?

- No to co pani zrobiła z listem?

- Oddałam na pocztę.

- Na pocztę?

- Tak.

- Nie rozumiem.

Westchnęła.

- Na poczcie głównej przy 8 Avenue Brenda zostawiła adres, na który jej przesyłają korespondencję. Ja ograniczam się jedynie do wyjęcia listów ze skrzynki i oddania ich na pocztę na jej nazwisko.

- Trochę skomplikowany sposób - zauważył z ironią Patrick. -

Byłoby prościej, gdyby zostawiła swój adres. Większość rozsądnych ludzi tak robi.

- Może nie jest rozsądna. A może ma swoje powody. Przyglądał jej się uważnie i wiedział, że kłamie. Robiła to swobodnie, a jednak kłamała.

- Zna pani moje nazwisko. Co Brenda o mnie mówiła? - zapytał zmieniając temat.

- Że pana kocha - odpowiedziała po prostu.

Zdziwiła go jej odpowiedź.

- To wszystko?

- Tak. To wszystko.

Pomyślał.

- Nie wierzę, że pani nie wie, gdzie jest Brenda.

- Nie wiedziałam do chwili, kiedy mi pan to powiedział.

- Jak to?

- Mówił pan, że dostał list z Cypru? Więc tam jest. Co więcej chce pan wiedzieć?

- Jest pani jedną z jej najbliższych przyjaciółek?

Kate Kitzpack zawahała się.

- Zadaje pan za duzo pytań. Nie będę odpowiadać.

- Dlaczego Brenda utrzymuje, że mieszka przy Christopher Street, na nędznej ulicy, podczas gdy do końca lutego zajmowała mieszkanie w luksusowym domu przy Lexington Avenue?

Kate Kitzpack wstała i otworzyła drzwi na klatkę schodową.

- Dam panu dobrą radę i bardzo namawiam, żeby się pan do niej zastosował. Niech pan wraca do Paryża i tam czeka na wiadomość od Brendy. Sama panu wszystko wytłumaczy. Ja nie mam nic do powiedzenia. Namawiam stanowczo - niech pan stąd wyjedzie. Nowy Jork jest dla pana niebezpieczny.

Patrick zawahał się, ale w końcu wstał i wyszedł.

Czwartek, 4 lipca 1974

Harry Shulz wszedł do pełnego różnych towarów magazynu i skierował się wprost do kantoru za szkłem. Dostrzegł tam potężną sylwetkę Toni Parygorisa. Gdy otwierał drzwi, Toni odprawiał stanowczym gestem jakiegoś pracownika. Dał znak Harry'emu, żeby usiadł.

Za pracownikiem zamknęły się drzwi, a Toni Parygoris zajął miejsce za biurkiem. Shulz cierpliwie czekał, aż zacznie mówić.

- Mam coś nowego - oświadczył Grek w kiepskiej angielszczyźnie.

Harry Shulz wyczekująco uniośł brwi.

- Dobry kontakt - ciągnął Grek.

- Kto? - zapytał zimno Shulz.

Nie ufał kontaktom od śmierci Katzolakisa. To wspomnienie kazało

mu wstać i przesunąć fotel w taki sposób, żeby mógł widzieć równocześnie i Parygorisa, i wejście do magazynu. Gdyby ktoś przyszedł zlikwidować Greka, zobaczyłby. Ten się zaniepokoił.

- Pan się czegoś obawia? - zapytał Shulza, uderzając machinalnie w aparat telefoniczny. Prawą ręką otworzył szufladę biurka.

- Co pan tam ma? Broń?

- Tak, proszę pana. Niech się pan nie obawia. Gdyby ktoś wszedł, jestem zabezpieczony.

Harry Shulz potakująco skinął głową i powtórzył swoje pytanie.

- Kto to jest?

- Kobieta.

- Kobieta?

- Tak.

- Nie lubię tego!

- Dlaczego?

- Nie mam zaufania.

- Jej może pan zaufać.

- Dlaczego mam jej zaufać?

- To jest przyjaciółeczka tego, kogo pan szuka. Harry'emu Shulzowi udało się nie zareagować. Nie chciał okazać zdumienia.

- Jego przyjaciółka? - powtórzył.

- Powiedzmy, dawna.

- I co nam to da?

- Ona nie może mu darować, że ją odsunął i że ktoś inny zajął jej

miejsce.

- Kto?

- Inna dziewczyna.

- A tamtą Barto odprawil?

- Nie.

- Jak to nie?

- Zachował jako dublerkę.

- A więc?

- Ma mu za złe. Chce się zemścić, jest gotowa wydać Barto Scalisio.

Harry nie odpowiedział. To było za piękne, żeby było prawdziwe. A

jeżeli to podstęp? Może nawet za wiedzą Toniego Parygorisa, który

przeszedł do obozu wroga. Zastanówmy się. Barto Scalisio musi być w

stanie pogotowia. Wiedział, że mecenas Rogazzino informował się o

niego na Sycylii na czyjeś polecenie. Wiedział, że Aboud Staboulie robił to

samo w Bejrucie. Następnie Katzolakis w Atenach. I jeszcze Sammy

Rosenthal w Tel-Awiwie, dostawca ormiański w Izmirze, kapitan portu na

Rodos.

Tych sześciu ludzi nie żyło, ale ten, który im polecił zbieranie

informacji o Barto Scalisio, żył i Sycylijczyk musiał się mieć na baczności i

na pewno usiłował trafić na trop tego szaleńca.

Dlaczego go nie zwabić? Najlepsza przynęta? Kobieta, oczywiście. A

Sycylijczyk jest dostatecznie sprytny, żeby o tym pomyśleć.

Tylko że Harry Shulz czuł się na siłach stawić mu czoło. Podjął

decyzję i stwierdził z udanym entuzjazmem:

- To szczęśliwy traf. Dobra robota, Parygoris!

Grek się nadał.

- Będzie chyba mały dodatek?

- Pewnie. Ale potrzebne mi dokładne informacje. Gdzie jest ta dziewczyna?

- Była tu wczoraj. Ale pojechała.

- Dokąd?

- Na jacht, gdzie jest nasz przyjaciel.

- Jakim środkiem lokomocji?

- Motorówką. Musi leczyć zęby, dlatego ją tu przywieziono.

Przypadkiem na nią trafiłem. Dentysta jest moim przyjacielem. Byłem w jego gabinecie, służyłem za tłumacza. On nie zna angielskiego.

Dziewczyna zasłabła podczas zabiegu. Gdy doszła do siebie, przywiozłem ją tu, poczęstowałem kieliszkiem alkoholu na wzmocnienie. Spieszyła się.

Powiedziała, że czeka na nią motorówka, żeby ją zawieźć na jacht. To wzbudziło moje podejrzenie. “Jacht?” - zapytałem. “Jacht jednego łajdaka!” - odpowiedziała. “Wstrętny Rital!” - dodała.

- To mnie przekonało, że mam do czynienia z Bartem Scalisio.

Poruszałem się więc ostrożnie. Jak po szkle. Namawiałem, żeby wypila jeszcze jeden kieliszek. Zgodziła się. Widać było, że ma ochotę mówić.

“Jeśli to łajdak, to dlaczego go nie rzucić - odezwałem się - jest pełno przyzwoitych mężczyzn”. Powiedziała, że nie może. On by się mścił, zabije ją. “Więc nie pozostaje nic innego, jak zabić go wcześniej - zażartowałem - wyrzucić za burtę”. Niemożliwe - stwierdziła. To niech namówi kogo

innego, żeby to zrobił - podsunąłem przebiegle. Zainteresowała się.

Zapytała, czy znam kogoś takiego. Tu się zbytnio nie zaangażowałem.

Stwierdziłem, że w tych stronach Morza Śródziemnego pełno chłopców

bez skrupułów, zwłaszcza gdy w perspektywie jest szmal. To ją

zachwyciło. Zapytałem, dlaczego tak się zawzięła na swojego Ritala.

Dlatego, że odsunął ją i wziął inną - oświadczyła, ale chce mieć ją pod

ręką, żeby upokorzyć. Dodała, że to niebezpieczny typ, bardzo nie-

bezpieczny, bardziej niebezpieczny, niż myślę. Jestem pewien, że chodzi o

Barta Scalisio.

- Nie wymieniła ani razu jego nazwiska?

- Nie.

- Dalej.

- Leczenie u mojego przyjaciela nie skończyło się. Może trzeba

będzie wyrwać dwa albo trzy zęby. Zobaczymy się jeszcze. Ładna sztuka.

Chciałbym ją sobie zafundować.

- Najpierw interesy! - nakazał sucho Harry Shulz.

- Zgoda, zgoda...

- Kiedy następna wizyta?

- Jeszcze nie wiem.

- Dentysta nie wyznaczył daty?

- Nie.

- Dlaczego? - Termin nie zależy od niej. Zależy od możliwości

transportowych między lądem a jachtem.

- Nie podała nazwy jachtu?

- Nie.
- Niech pan się spróbuje dowiedzieć.
- Dobrze.
- Mówiła, że ten Rital jest teraz na pokładzie?
- Tak.
- Jaki rodzaj leczenia prowadzi u niej pański przyjaciel dentysta?
- Zaczął zatruwać.
- Opatrunek nie może leżeć długo. Dziewczyna wkrótce wróci.
- Na pewno.

Jeśli jej nie wyślą do innego dentysty - pomyślał Harry.

Przyglądał się Toni Parygorisowi. Wydawał się szczery, ale opowiadanie było mało prawdopodobne. A jeżeli to prawda?

Jest jakiś punkt wyjścia, nawet gdyby Barto Scalisio szykował podstęp. Wstał i skierował się do drzwi.

- Da mi pan znać?

- Dobrze.

Przed wyjściem odwrócił się i popatrzył na Greka. Zobacz go jeszcze żywego? Ryzykuje taki sam los, jaki Barto Scalisio zgotował tamtemu sześciu. Jeżeli mówi prawdę.

Poniedziałek, 8 lipca 1974

Poczta główna w Nowym Jorku zajmowała cały blok na 8 Avenue, między 31 a 33 Ulicą (32 zlikwidowano). Po drugiej stronie alei znajdował się Medison Square Garden.

Patrick Baudouin wszedł na pocztę zaraz za Kate Kitzpack.

Wiedział, że teraz jest czujna. Przebrał się więc za hippisa. Po rozmowie z Kate przemyślał całą sprawę. Na pewno zaalarmuje Brendę i z jej strony nastąpi reakcja. Jaka? Tego nie wiedział. Ale był bardzo ciekaw.

Co wymyśli Brenda na temat swoich licznych podróży? W tym tkwi tajemnica. Tę tajemnicę trzeba rozwikłać. Dowiedzieć się po prostu, gdzie jest Brenda? Nie miał nic do roboty w Nowym Jorku. Żeby odzyskać zaufanie Kate, przestał ją śledzić. Czatował tylko u Cliva Hornfielda na swój list, który kazał przyjacielowi wysłać do Brendy z Paryża. Nie dziś, to jutro Kate przyjdzie go wyjąć ze skrzynki.

Zrobiła to właśnie tego popołudnia zachowując szczególną ostrożność.

Patrick, przebrany za hippisa, wsiadł do wynajętego chevroleta i podążył za niebieskim fordem Kate Kitzpack.

Po wielu zakrętach i nagłych przyspieszeniach Kate zatrzymała się wreszcie na niedozwolonym postoju przed gmachem poczty głównej na Manhattanie. Na to właśnie czekał Patrick.

Kate odebrała list dla Brendy i szła go teraz przesłać.

Udało mu się zbliżyć do niej w wielkim hallu poczty. Podeszła do stolika gdzie były rozłożone różne formularze. Położyła torebkę, wyjęła dużą, brązową kopertę, znaczki, złożoną na pół kopertę i list do Brendy.

Raptem odwróciła się i podejrzliwie rozejrzała wokół. Patrick w porę zdołał schować się za filarem.

Dłuższą chwilę Kate rozglądała się po sali, następnie wróciła do poprzedniej czynności. Wyłowiła z torebki flamaster i nabazgrała coś na

kopercie, potem wsunęła do środka list do Brendy i kartkę. Zakleila kopertę, nalepiła znaczki, schowała swoje rzeczy do torebki i z kopertą w ręce podążyła do skrzynki z napisem “Zagraniczne - lotnicza”.

Patrick przeciął jej drogę. Uderzył w przegub dłoni tak, że wypuściła kopertę, złapał ją w locie i uciekł co tchu. Wybiegł z poczty, dotarł do chevroleta, wskoczył do środka jak akrobata, ruszył pędem w kierunku hotelu.

W pokoju otworzył kopertę i wyciągnął zapisaną kartkę. Zawierała tylko kilka słów:

P.B. jest w Nowym Jorku. Szuka cię. Jest zorientowany w sprawie skrzynki przy Christopher St. Wie także o Lex. Ave. Porusza niebo i ziemię. Co mamy robić? Odpowiedz jak najszybciej.

K.

Rzucił kartkę na biurko, wziął kopertę. Przeczytał:

Miss Brenda Chapman

c/o Emil Hazrak

112 Hamra

Bejrut, Liban

Zapisał adres w notesie, wyciągnął czystą kopertę z walizki, wsunął kartkę wraz z listem i poszedł na pocztę przy 52 Ulicy. Przedtem, zmieniawszy charakter pisma, przepisał adres bejrucki i spalił starą kopertę, zaadresowaną przez Kate.

W powrotnej drodze wypił filiżankę kawy w snack-barze i w trzy kwadranse później wrócił do hotelu. Gdy pojawił się w hallu, dwaj mężczyźni podnieśli się z foteli. Zatrzymali go.

- Pan Patrick Baudouin?

- Tak.

- Policja federalna - pokazali znaczki. - Niech pan pójdzie się spakować.

- Dlaczego?

- Jest pan niepożądany w Stanach Zjednoczonych.

- Ale z jakiego powodu? - zaprotestował.

- My nic nie wiemy. Nasze zadanie ogranicza się do zawiezienia pana na lotnisko Kennedy i pozostania z panem tak długo, póki nie wsiądzie pan do samolotu lecącego do Francji. To wszystko. Nic ponadto nie wiemy. Więc nie warto zadawać pytań. Nie możemy na nie odpowiedzieć. Chodźmy, niech pan będzie grzeczny, nie robi trudności i pospieszy się. Samolot PANAM odlatuje z Kennedy o 18.30. Lot 747. Dostarczymy pana na miejsce. Jeśli będzie pan miał szczęście, zdąży pan na ostatni

spektakl do Moulin Rouge.

- Mylisz się - zauważył jego kolega. - Jeśli wziąć pod uwagę różnicę czasu, w Paryżu jest już dziesiąta wieczór. Plus siedem godzin lotu, i będzie za późno.

- No to jutro wieczorem pan sobie pójdzie - odpalił drugi ze śmiechem.

ROZDZIAŁ XVI

Poniedziałek, 15 lipca 1974

Tego ranka Harry Shulz chciał się wybrać do Kyrenii na spotkanie z Toni Parygorisem. Grek telefonował do niego poprzedniego wieczoru. Powiedział tylko, że ma coś nowego i żeby był uprzejmy przyjść.

Ale, gdy Harry rano otworzył radio, dowiedział się, że w ciągu nocy był pucz na Cyprze i że prezydent Makarios został obalony. W mieście trwały walki między zwolennikami usuniętego prezydenta a cypryjską gwardią narodową. Cywilom nie wolno było poruszać się po ulicach.

Chciał zatelefonować do Parygorisa, ale telefonistka hotelowa powiadomiła go, że łączność z Kyrenią jest zerwana. Miasto leżało w strefie tureckiej, a rozruchy tam się natężyły. Harry'ego opanowała wściekłość.

Była szansa. Toni Parygoris coś może odkrył, a on tymczasem został zablokowany w Nikozji.

Żałował, że nie zapytał go poprzedniego dnia przez telefon.

Pocieszał się, że i tak Grek by mu nie odpowiedział.

Próbował wyjść na ulicę, żeby znaleźć jakiś środek lokomocji do

Kyrenii. Ogień karabinów maszynowych i pociski czołgów zmusiły go

jednak do powrotu do hotelu. Tracił tam czas przez cztery następne dni.

Po zawieszeniu broni między walczącymi stronami, Shulzowi udało

się znaleźć miejsce w jeepie Narodów Zjednoczonych. Jego pasażerowie,

Kanadyjczycy, jechali określić straty w Kyrenii. Kiedy dotarli do granic

miasta, nadziali się na oddział tureckich spadochroniarzy. Równocześnie

marynarka turecka bombardowała Kyrenię i dokonywała desantu.

Spadochroniarze ostrzelali jeepa i wóz eksplodował. Wcześniej

jednak

Kanadyjczycy,

nie

wierząc,

że

proporczyk

Narodów

Zjednoczonych zapewni im bezpieczeństwo, ukryli się razem z Harrym

Shulzem i kilkoma żołnierzami z cypryjskiej gwardii narodowej w przy-

drożnym rowie.

Shulz znalazł w zaroślach pistolet maszynowy, całkiem nowy. Wyjął

go z dłoni zabitego żołnierza gwardii narodowej. Wyciągnął mu także zza

pasa magazynki.

Kyrenię zdobyli Turcy. Toni Parygoris był Grekiem. Znając

nienawiść dzielącą oba narody, Harry nie przestawał myśleć o tym, co się

stanie, jeśli Turcy dopadną Parygorisa. Zamęczą go, albo jeszcze gorzej. I

Shulz już nigdy się nie dowie, co Grek odkrył.

Dobrze byłoby go zobaczyć, nim nastąpi najgorsze. A pierwsza rzecz, jaką powinien zrobić, to nie zostawać tu dłużej. Już dość czasu stracił od chwili przyjęcia “kontraktu”.

Przeczołgał się przez zarośla i poczekał, aż ucichną pojedyncze strzały.

Podniósł głowę i rozejrzał się. Pierwsze zabudowania miasta były o sto metrów dalej. Pełzając przeciał pole, wyprostował się, oparł o ścianę jakiegoś domu, przeskoczył parkan ogródka i wylądował w trawie.

Powtarzał tę operację kilkakrotnie, aż znalazł się na końcu ulicy.

Sprawdził pistolet i spojrzał wokół.

Rozpoznał pomnik wzniesiony po proklamowaniu na wyspie republiki w 1960 roku i zorientował się, że ma jeszcze 500 metrów do magazynu Toniego Parygorisa.

Przyszła mu nagle do głowy okropna myśl. A jeśli Greka nie ma w magazynie? Jeśli został w mieszkaniu? Harry nie znał adresu.

Uspokoił się: nie należy przewidywać najgorszego. Najpierw trzeba dotrzeć do magazynu Greka, a to nie było łatwe.

Z sąsiednich ulic słychać było strzały z broni automatycznej. Na inną część miasta padał grad pocisków wystrzeliwanych z jednostek marynarki tureckiej.

Wziął rozpęd i przebiegł ulicę. W domach wszystkie żaluzje były zasunięte. Ludzie kryli się i nikt nie wychodził na zewnątrz.

Shulz biegł około stu metrów, przycupnął w jakiejś sieni, żeby

nabrać tchu.

Dwa pociski trafiły w dom. Zawalił się w tumanach kurzu.

Skorzystał z tego. Zamaskowany w gęstym i duszącym dymie, przemierzył ulicę.

Oczy miał zaczerwienione od łez, płuca go paliły. O mało nie wpadł na słup.

Był na rogu ulicy. Tam także zwałił się dom. Z przebitej rury wodociągowej tryskała woda. Harry umoczył w niej chusteczkę, obmył oczy, nozdrza i usta. Wypłukał chustkę, zamoczył na nowo, przytknął do nosa i warg i ruszył naprzód, próbując się zorientować dokładniej, gdzie jest. Zawadził nogą o metalowy szyld.

Schylił się, przeczytał napis, czarne litery pokryte kurzem. To był szyld pralni. Mieściła się na rogu tej samej ulicy, co magazyn Toniego Parygorisa. Należało więc skręcić na prawo i przejść jeszcze ze sto metrów.

Posuwał się rozmyślając, jak słusznie robił starając się zawsze drobiazgowo ustalać miejsca i okolice. To się bardzo przydawało.

Na zadymionej ulicy łatwiej mu się było poruszać.

Nagle rozległa się strzelanina. Przykucnął pod murem i czekał.

Dookoła odbijały się kule. Wyciągnął się na brzuchu, osłaniając ramieniem głowę. Ogień karabinu maszynowego umilkł tak samo nagle, jak wybuchnął. Wtedy wstał i podążył dalej w stronę magazynu

Parygorisa. Wreszcie tam dotarł. Wpadł w szeroko otwarte drzwi. W rozpędzie potknął się o coś miękkiego i omal się nie rozłożył jak długi.

Odzyskał równowagę i spojrzął na ziemię.

To był trup pracownika Toniego Parygorisa. Widział go w czasie ostatniej bytności. Zaniepokojony podniósł głowę. Wtedy usłyszał głosy. Spojrzął w głąb magazynu, w kierunku oszklonego kantorku; zobaczył cztery sylwetki w hełmach. Przyłgnął do drewnianych pólek i ruszył na kantorek z wycelowanym karabinem.

Drzwi do biura były otwarte. Toni Parygoris leżał na ziemi w kałuży krwi. Czterej żołnierze, korzystając z okazji, rabowali kasę pancerną. Z bronią opartą na prawym biodrze, z lewą ręką na klamce, żeby osłabić siłę odrzutu, Shulz nacisnął spust.

Rozległa się seria. Szyby wyleciały z hukiem, a czterej żołnierze zwalili się jak rozmontowane pajace, wypuszczając karabiny z zatkniętymi bagnetami.

Harry Shulz ostrożnie wszedł do kantorku. Dwaj żołnierze jeszcze się ruszali. Posłał im kule w głowy, wymienił pusty magazynek i ukląkł przy Tonim Parygorisie. Grek żył. Harry ściągnął wilgotną chustkę ze swego nosa i warg i zmoczył czoło rannego.

Toni otworzył oczy. Poznał Harry'ego.

- Niegodziwcy! - szepnął.

Okiem znawcy Shulz obejrzał obrażenia: głębokie rany bagnetem.

Miał dostatecznie duże doświadczenie, żeby wiedzieć, że Grek długo nie pociągnie. Z szyi spływała długa strużka krwi. Nic dobrego nie wróżyła.

- Co ma mi pan do powiedzenia? - zapytał łagodnie.

- Dziewczyna...

Harry Shulz pochylił się tuż nad jego wargami.

- Tak?

- Była.

- Kiedy?

- Tamtego dnia...

- Kiedy? - napierał.

- Wtedy, kiedy ja... Parygorisa złapała czkawka.

- Wtedy, kiedy pan do mnie telefonował, tak? - podsunął Harry

Shulz.

- Tak...

- Co mówiła?

- Barto...

- Co Barto?

- Barto... ma jechać... do Bejrutu... Grek oddychał niemiarkowo.

- Do Bejrutu? Po co?

- Stamtąd poleci samolotem...

Znowu złapała go czkawka, a usta wykrzywił grymas bólu.

- ... fałszywe nazwiska... w paszporcie - ciągnął dalej, jak gdyby

mówienie mogło opóźnić chwilę ostateczną. - Pan... i pani Curani...

- Dokąd poleci? - rzucił szybko Harry Shulz.

Tym razem nie otrzymał odpowiedzi. Ostatni dreszcz wstrząsnął

ciałem Greka.

Harry Shulz wstał, wziął pistolet maszynowy. Już miał wychodzić,

gdy wzrok jego padł na maszynę do pisania, zrzuconą na podłogę. Tkwiła

w niej kartka w połowie przedarta i poplamiona krwią. Wyciągnął z walła tę kartkę. Miała nagłówek dentysty: doktor Stavros Lazarides. A dalej wydrukowane: Kyrenia... 1974 i poniżej jedno słowo: należy się; reszta na maszynie, po angielsku: Panna Baricha Cloakman. Za leczenie zębów 33 funty cypryjskie (trzydzieści trzy).

To było wszystko.

Harry wsunął kartkę do kieszeni i z pistoletem w ręce wyszedł z biura.

Okolica była niebezpieczna. Gdyby go zastano w towarzystwie czterech zabitych żołnierzy, miałby za swoje. Nie zadano by sobie nawet trudu, żeby postawić słupek egzekucyjny.

Na ulicy uważnie się rozejrzał. Dym opadł, było pusto, ani cywilów, ani oddziałów. Z daleka natomiast dochodziły odgłosy detonacji i wybuchy pocisków.

Lepiej będzie pozbyć się pistoletu - pomyślał Shulz. Znadto niebezpiecznie spacerować z nim. Pomógł mu dotrzeć do Toniego Parygorisa, ale teraz stanowi poważne zagrożenie. Rzucił go za siebie. Nie odszedł daleko. Zaraz za rogiem wpadł na oddział spadochroniarzy tureckich. Skwapliwie pokazał swój amerykański paszport.

Dowódca mówił po angielsku. Dwóm żołnierzom rozkazał zaprowadzić Harry'ego do dowództwa batalionu, skąd skierowano go na plażę. Tam wsiadł na pokład barki desantowej, która płynęła po kolejną grupę komandosów morskich. Wreszcie Shulz znalazł się na statku

transportowym. Pewien oficer marynarki wojennej zaopiekował się nim i zamknął w wygodnej kabinie o ścianach wytapetowanych fotosami tancerek brzucha.

Pozostał tam kilka godzin, dopóki go nie przeniesiono na pokład kontrtorpedowca, który płynął do bazy marynarki tureckiej.

Trzydzieści sześć godzin później, w Adanie, wsiadł do DC 9 tureckich linii lotniczych. Po trzech kwadransach wylądował w Bejrucie. W hotelu w Nikozji zostawił wprawdzie walizkę, ale pomyślał, że będzie później okazja, aby ją odzyskać.

W butikach na lotnisku kupił koszule, bieliznę i ubranie z tropiku, bo to, które miał na sobie, uległo gruntownemu zniszczeniu. Ogolił się, wziął prysznic w salonie fryzjerskim na lotnisku.

Po tych zabiegach przystąpił do poszukiwań. Jeśli to, co mówił

Parygoris było prawdą, Barto Scalisio musiał już odlecieć, bo informacja dostarczona przez dziewczynę pochodziła sprzed ośmiu dni. Tak więc Barto Scalisio mógł odlecieć, ale nie na pewno. Trzeba sprawdzić.

Pan i pani Curani... - powiedział Grek. Pod tym nazwiskiem podróżował Barto, Jeśli znajoma Greka mówiła prawdę, “madame Curani” była po prostu dziewczyną, która zajęła jej miejsce przy Barto.

Pod warunkiem wszakże, że cała ta historia była prawdziwa i nie zawierała podstępu.

Postanowił najpierw sprawdzić w towarzystwach lotniczych mających biura na lotnisku. Było ich tam dwadzieścia. Zaczął od KLM.

Przywołał hostesę.

Zbliżyła się.

- Tak, proszę pana? - powiedziała pytająco. Uśmiechnął się promiennie, czarująco, wiedząc, że taki uśmiech podoba się kobietom.

Jego zielone oczy nabrały czulego wyrazu.

- Mam do pani prośbę.

Odpowiedziała uśmiechem.

- Słucham pana.

Teraz przybrał minę zażenowaną i nieśmiałą.

- To jest sprawa życia lub śmierci.

Hostessa przełękła się.

- Życia lub śmierci? - wymamrotała.

- Tak. Niejaki pan Curani w ubiegłym tygodniu lub może nawet wcześniej, wsiadł tutaj na samolot - rzucił jednym tchem. - Ale sytuacja jest taka, że pan Curani cierpi poważnie na serce. Lekarz przepisał mu specjalne lekarstwo na wypadek ataku. Ten lek powinien mieć stale przy sobie. Niestety, pakując się, pan Curani pomylił flakony. Wziął inny środek, a ten pozostawił. Dodam, że flakony są bardzo podobne.

- I pan by chciał...?

- Chciałbym wiedzieć, w jakim kierunku odjechał pan Curani.

- Nie powiedział panu? - zdziwiła się dziewczyna.

- Nie. Widzi pani, rozstaliśmy się w nie najlepszej komitywie...

Dopiero w wiele dni po jego wyjeździe, ja i moja żona zauważyliśmy pomyłkę i ogarnął nas niepokój. Można się rozstać w kłótni, ale nie chciałbym, żeby mu się przytrafiło coś złego.

- Rozumiem. Którego dnia, pan sądzi, wsiadł do naszego samolotu?

- Nie wiem.

Był zagubiony i zmartwiony.

- Zobaczę, co będę mogła zrobić - zapewniła dziewczyna. - Ale tutaj, na lotnisku, nie mamy tego typu informacji. Trzeba by się skontaktować z naszym przedstawicielem w mieście.

- Błagam panią! Powtarzani, to sprawa życia lub śmierci. Jeśli przyjdzie atak...

- Niech pan się nie niepokoi. Zrobię wszystko, co możliwe.

- Może pani sprawdzi ostatnie piętnaście dni.

- Dobrze, proszę pana.

- Niech pani nie zapomni. Miał dwa miejsca, dla siebie i żony.

Udawał ogromne podniecenie.

Dziewczyna podniosła słuchawkę i mówiła urywanym głosem.

Nalegała. Odwróciła się do niego i posłała uśmiech podnoszący na duchu.

- Cierpliwości. Sprawdzają.

Uważnie ją obserwował. Nie rozumiał, co mówi, bo rozmawiała po arabsku. Przerywała, słuchała, znowu mówiła, nalegała, czekała...

To trwało dobrych dziesięć minut. Wreszcie odłożyła słuchawkę.

- Przykro mi, proszę pana, żaden pasażer o nazwisku Curani nie korzystał z naszych lotów.

- Dokładnie sprawdzono?

- Tak, proszę pana. Sprawdziliśmy listy pasażerów z całego miesiąca.

Udawał rozczarowanie.

- Dziękuję pani, wydawało mi się jednak, że mówił o KLM.

- Ale dokąd?

- Właśnie, proszę pani, to pragnąłbym wiedzieć. Potrząsnął bezradnie głową i odszedł.

W okienku BOAC odegrał tę samą komedię. Ale też bez rezultatu.

Przy Air France poniósł trzecią porażkę. W Alitalia - czwartą.

Powtórzył swoją historyjkę w następnych sześciu towarzystwach, również bez powodzenia. Niezrażony podszedł do okienka Lufthansy i po raz jedenasty wyrecytował swój monolog.

Hostessa, podobnie jak jej poprzedniczki, zadzwoniła do biura

Lufthansy w mieście. Po piętnastu minutach odetchnął z ulgą.

- Rzeczywiście, proszę pana - stwierdziła, odkładając słuchawkę - te dwie osoby wsiadły na pokład jednego z naszych samolotów.

- Dokąd?

- Do Singapuru.

- Kiedy?

- 19 lipca.

Szybko obliczył, że minęło trzy dni od tej daty. Może nie jest jeszcze za późno, żeby złapać Barta Scalisio, jeśli rzeczywiście udał się do Singapuru.

- Kiedy odlatuje wasz samolot do Singapuru? -zapytał.

- Do Singapuru?

- Tak. Chciałbym sam zawieźć temu panu lekarstwo, którego brak

tak bardzo odczuwa.

- Nasz najbliższy lot jest za dwie godziny, ale, niestety, mamy komplet.

- Niech pani posłucha. Jak już mówiłem, to jest sprawa życia lub śmierci dla pana Curani. Czy mogłaby pani mnie ulokować na początku listy rezerwowej i gdyby w ostatniej chwili ktoś się nie zgłosił, zapewnić mi miejsce?

- Zrobię wszystko, co będę mogła, proszę pana. Niech pan się nie denerwuje. Za półtorej godziny otrzyma pan wiadomość.

- Dziękuję pani.

Poszedł do baru, usiadł, zamówił podwójną porcję wódki smirnoff w dużej szklance, kazał sobie dolać soku pomidorowego i włożyć kawałek lodu, dodał trochę pieprzu i zabrał się do picia “krwawej Mary”.

Rozmyślał i czekał na wyrok Lufthansy.

Wiadomość, że Barto Scalisio jest w Singapurze, nie rozwiązywała problemu. Jak go tam odnaleźć? Ale niezbyt się tym przejmował.

Czyż nie znał w tym mieście kogoś bardzo potężnego?

Raptem przypomniał sobie, co mu mówił Francois Lyończyk. Dzięki fenomenalnej pamięci mógł teraz niemal dokładnie wyrecytować słowa

Francuza: Barto Scalisio wszedł w porozumienie z Chińczykami. Z dawnymi oficerami Czang Kaj-szeka, którzy schronili się w Birnie i kontrolują całą produkcję opium w “Złotym Trójkącie”, na wspólnej granicy Laosu, Birmy i Tajlandii. Dziki zakątek. Rolnicy zbierają tam 700 ton opium rocznie, mają z tego piękny dochód. Barto dogadał się z

Chińczykami, zorientowany, że nie mają już zbytu na narkotyki, ponieważ skończyła się wojna w Wietnamie, a oddziały amerykańskie, wielcy odbiorcy opium, zostały stamtąd wycofane.

To Barto upłynnia ich towar. A do przerzutu narkotyków do Europy używa biednych Chińczyków, którzy chcą emigrować do Europy, wierząc, że tam jest Raj na Ziemi. Nocą w portach Antwerpii i Rotterdamu wyskakują ze statków. Płyną do brzegu. Na szyi mają zawieszony płócienny, nieprzemakalny worek z narkotykami. Na brzegu przejmuje ich ludzie Barta i wyprowadzają potajemnie z portów, przedtem przekupując celników. Po drodze zabierają im towar. Jeśli nawet gliny belgijskie lub holenderskie złapią Chińczyków, to pójdzie to na ich konto, a nie na Barta...

Barto Scalisio pojawia się także, od czasu do czasu, na Cyprze, w Turcji, w Bejrucie, w Atenach, na Malcie, na południu Francji, w Rio de Janerio, w Singapurze, Hongkongu... Pojawia się w Singapurze - powiedział Francuz.

Jak z tego wynika, opowieść Toniego Parygorisa może być bardziej prawdopodobna, niż to się z początku wydawało. Gdy Harty pił trzecią szklanekę "krwawej Mary", hostessa Lufthansy wezwała go przez głośnik i oświadczyła z czarującym uśmiechem, że udało jej się załatwić miejsce na lot do Singapuru.

Pół godziny później był w powietrzu.

ROZDZIAŁ XVII

Wtorek, 23 lipca 1974

W Singapurze Harry Shulz nie pozwolił sobie nawet na jedną noc wypoczynku. Spał tylko kilka godzin w pokoju hotelu Ming Court.

Wziął prysznic, ogolił się, ubrał. Był zadowolony, że w Bejrucie kupił ubranie z tropiku, bo w Singapurze panował piekielny upał.

Zjadł lekką kolację, wypił kilka szklaneczek whisky w barze hotelowym i wyszedł około dwudziestej trzeciej trzydzieści. Odrzucił ofertę portiera, że mu sprowadzi taksówkę. Wolał powłóczyć się trochę po Tanglin Road.

Lubił hotel Ming Court. Był może mniej wyszukany niż stare hotele w staroświeckim stylu, pamiętające okupację brytyjską, jak Goodwood, Raffles, Cockpit czy Adelphi, ale funkcjonalny, a to Harry'ego obchodziło najbardziej.

Zegarek wskazywał północ. Zawołał taksówkę i kazał się zawieźć na chińskie stare miasto, a właściwie na Bogie Street. Tam, po zamknięciu barów, zbierał się cały nocny Singapur.

Miejsce było malownicze. Metalowe stoliki, przy nich ludzie piją i jedzą chińskie zupy, kozie mięso z rożna (słynne kate kembang) albo wieprzowinę (sate babi). Potrawy roznoszą kucharze albo handlarze, których stoiska są pełne żywności, od gór owoców po smażone ryby, przez różnokolorowe sosy o najróżniejszym smaku.

Międzynarodowa dziwaczna menażeria: Europejczycy, Chińczycy, Hindusi, Amerykanie, Malajczycy, prostytutki (obu płci zresztą), złodzieje kieszonkowi, handlarze bronią, narkotykami, ludzie interesu, dyplomaci, najemni mordercy, także trochę turystów żądnych przygód i

silnych wrażeń.

Mieszały się różne zapachy, między nimi egzotycznego owocu

“durian”, i mdłe, odrażające wonie, którymi przepojony jest Daleki

Wschód.

W dzielnicy nie było elektryczności. Ten brak uzupełniały potężne

lampy naftowe, które rozświetlały ulicę. Harry Shulz poszedł wprost na

drugi koniec placu. Rozglądając się uważnie dotarł do wąskiej, ciemnej

uliczki. Ciosy nożem w plecy były częste w tych stronach.

Zatrzymał się przed drewnianymi drzwiami z judaszem. Nim

zapukał, jeszcze raz się rozejrzał. W ciemności świeciły ogniki

papierosów, ale daleko.

Judasz się uchylił.

- Dobry wieczór - powiedział Shulz po chińsku. - Z panem Huan

Tsin Wong?

Judasz zamknięto. Po chwili otworzono powtórnie.

- Czego pan chce? - zapytał jakiś głos w “pidgin” (zniekształcony angielski, jakim mówią prości Chińczycy - przyp. aut.).

- Porozmawiać z panem Huan Tsing Wong. Proszę powiedzieć, że to od kogoś, kto był z nim na Tajwanie, w sprawach rodzinnych.

Tym razem judasz pozostał otwarty, twarz zniknęła. Harry, oparty o

drzwi, patrzył w głąb uliczki i czekał cierpliwie. Wreszcie drzwi się

uchyliły i wpuszczono Harry’ego.

Długim korytarzem dotarł do królestwa gry. Żadnych rozmów,

tylko szelest wyciąganych z kieszeni banknotów oraz uderzenia żetonów

rzucanych na zielone sukno. Gry typowo wschodnie: mah-jong, kusik, fan-tan, mehra-hidjan-hitam.

Byli tam sami Chińczycy. Nikt nie zwrócił uwagi na Harry'ego, a on tylko rzucił okiem na graczy.

Przemierzył długą salę, następnie korytarz, w końcu •jego przewodnik wskazał jakieś drzwi.

Shulz wszedł bez pukania. Huan Tsin Wong podniósł się zza biurka.

- Harry - wykrzyknął. - Jak się masz? Cieszę się, że cię widzę.

Gruby Chińczyk udawał jowialnego, twarz jak księżyc rozjaśniał mu szeroki uśmiech, jakby jego właściciel bez przerwy się cieszył, że żyje.

- Witam, Huan - odpowiedział Shulz.

Nie darzył zbytnim zaufaniem Chińczyka, ale musiał się z nim spotkać, żeby dotrzeć do osoby, którą chciał zobaczyć.

- Z powrotem w Singapurze?

- Tak.

Mówił znakomicie po angielsku, co ułatwiało sprawę.

- Whisky? - zaproponował Chińczyk.

- Nie.

- Masz do mnie jakiś interes?

- Chciałbym się zobaczyć z Mai-Ling.

- Mai-Ling?

Harry Shulz nie był naiwny, wiedział, że tamten powtórzył nazwisko dla zyskania na czasie. Nie zadał sobie więc trudu, żeby potwierdzić. Czekał na odpowiedź Huana Tsin Wonga.

- Nie wiem, czy... - powiedział ten ostatni nieszczercze, ważąc słowa.

- Więc postaraj się wiedzieć - odrzekł twardo Shulz.

Wyciągnął papierosa ze stojącego na biurku etui, zapalił zapalną i przytknął do papierosa, wypuścił dym i utkwiał oczy w Chińczyku.

- Mai-Ling nie byłaby zadowolona, gdyby wiedziała, że będąc przejazdem w Singapurze chciałem ją odwiedzić, a ty się nie zgodziłeś.

Dobrze wiesz, Huan.

Tamten zagryzł wargę.

- Wiesz, Harry - odezwał się głosem pojednawczym - ja nie jestem przeciwny, ale w tej chwili...

- W tej chwili?

- Nie można jej zobaczyć...

- To wielka szkoda, Huan. Ci, którzy mnie przysłali, będą bardzo niezadowoleni, gdy się dowiedzą.

Wstał.

- Wybacz, że cię fatygowałem. A kasyno, dobrze prosperuje?

- Jakoś idzie, Harry... Co powiedziałeś? Ci, którzy cię przysyłają?

- Mhm... mhm...

- To zmienia wszystko, Harry.

- Co zmienia?

- Myślałem, że chcesz nawiązać z nią dawne stosunki.

- Dlaczego? To ty teraz z nią jesteś? Chińczyk potrząsnął głową.

- Nikt z nią nie jest, wiesz dobrze, Harry...

- Ale przecież nie dlatego, że ci brak chęci - ironizował Harry Shulz.

Huan Tsin Wong nie odpowiedział na szyderstwo.

- Muszę się dowiedzieć, czy zechce cię przyjąć, Harry.

- Tego wieczoru.

- Tej nocy, chciałeś powiedzieć? Szalony jesteś, już za późno.

- Zapytaj ją.

Chińczyk spojrzał powątpiewająco. Wstał zza biurka i wyszedł z pokoju. Wrócił po pięciu minutach.

- W porządku, Harry. Tej nocy. Każę cię odprowadzić. Przez moment Harry'ego ogarnęła niepewność. Czy Huan Tsin Wong nie zamierza go wyprowadzić, w pole?

Kłopot polegał na tym, że większość sprzętu pozostawił w walizce w Nikozji. Przy sobie miał tylko pióro-pistolet na cyjanek. Z jednym nabojem. Stracił nawet swoją dziewiątkę. Uznał, że bezpieczniej będzie ją wyrzucić. Zrobił to, kiedy był zamknięty w kabinie tureckiego transportera. Przez iluminator. Trzeba podjąć ryzyko. Ileż razy w swoim życiu je podejmował?

Huan Tsin Wong poprowadził go korytarzem. W kącie siedział Chińczyk, cały pomarszczony. Wskazał mu go palcem.

- Wei-Pei zaprowadzi. Uścisnął rękę Harry'emu.

- Cieszę się, że znowu cię zobaczyłem, Harry. Do zobaczenia wkrótce, mam nadzieję?

- Wkrótce - odpowiedział Harry i poszedł za Wei-Pei. Przeszli przez salę gier i wąski korytarz prowadzący do wyjścia. Znaleźli się w uliczce.

Harry Shulz miał się na baczności, w prawej ręce trzymał

pióro-pistolet na cyjanek.

Skręcili w szerszą ulicę, lepiej oświetloną. Shulz się uspokoił. Tam przynajmniej widział, co się dokoła niego dzieje. Ale niedługo to trwało. Weszli w labirynt ciemnych, wąskich uliczek. Zimny pot wystąpił mu na czoło.

Położył rękę na drobnej głowie Chińczyka i powiedział:

- Jeśli cokolwiek mi się stanie, nie ujdzie ci to płazem, Wei-Pei.

Chińczyk nawet nie drgnął. Po chwili weszli w szeroką ulicę.

Harry Shulz natychmiast ją rozpoznał: "Ulica umierających".

On, który zabił tylu ludzi, nie poczuł się dobrze, gdy go tu po raz pierwszy przyprowadzono. Przyjął to jak złowrogą wróżbę.

Po obu stronach ulicy mieściły się lokale otwarte na widok publiczny. Jedne były zarezerwowane dla umierających, drugie dla stolarzy przygotowujących trumny, W pierwszych pomieszczeniach, na piętrowych pryzkach umieszczano konających. Pozbywały się ich rodziny i czekały, aż umrą. U wezglowia bez przerwy płonęły świece.

W tym czasie stolarze przychodzili brać miarę z przyszłych nieboszczyków i wracali do warsztatu, żeby zrobić trumny.

Zależnie od wzrostu czy spadku śmiertelności w każdym lokalu było od trzech do dziesięciu umarłaków.

Dla Chińczyków taki proceder nie był szokujący. Umierającego należy pozostawić w spokoju, żeby mógł oddać się radości. Wkrótce przecież połączy się ze swoimi przodkami.

Przechodząc teraz tędy, Harry przypomniał sobie dziewczynę, którą

tu kiedyś przyprował. Szwedkę... Jak się później okazało, dokładnie w momencie, gdy we dwójkę zwiedzali uliczkę, w wypadku samochodowym w Sztokholmie zginęli jej rodzice! Złowroga wróżba, za ledwie przeczuwana, tak się właśnie spełniła...

Wei-Pei wszedł do jednego z lokali. Harry postępował za nim, baczenie się rozglądając. Starcy, wyciągnięci na wielopiętrowych pryzkach, spoczywali na ryżowych matach.

Chińczyk z ogoloną głową, nagą piersią, w szortach, zgiął się z szacunkiem przed Wei-Pei. Potem otworzył jakieś drzwi. Wei-Pei wszedł, Harry Shulz, po chwili wahania, ruszył za nim. W przejściu Chińczyk wziął lampę naftową i, trzymając ją w wyciągniętej ręce, oświetlał wąskie schody o wyslizganych stopniach. Czuć było pleśnią, wilgoć przenikała ze sklepienia nasiąkniętego wodą.

Shulz zabawiał się liczeniem stopni: trzydzieści siedem. Po kilku minutach dobrnęli do długiego pomostu. Wędrowali, aż wyszli na nabrzeże z kiepsko ociosanych belek.

Harry obserwował nieufnie okolice. Domyślił się, że są na nabrzeżu starego portu Singapur. W czarnej wodzie odbijały się światła latarni umieszczonych na dziobach sampanów ustawionych rzędem. W powietrzu unosiła się stęchła woń zepsutych ryb i mlecza kauczukowego.

Wei-Pei powiedział coś do zaspanego młodego człowieka, a ten chwycił wiosło i początkowo leniwie, potem energiczniej odbił od drewnianego nabrzeża i lawirował między przycumowanymi sampanami.

Harry Shulz u boku Wei-Pei schronił się pod płóciennym daszkiem rozwieszonym na bambusowych tyczkach.

Podróż trwała zaledwie dwadzieścia minut. Zbliżyli się do słabo oświetlonej dżonki. Znowu nawiązała się rozmowa między Wei-Pei a innym młodym człowiekiem. Wsiedli na pokład dżonki. Łódź wyszła w morze, opuściła port i w pół godziny później wysadziła ich na białym piasku plaży.

W świetle księżyca Harry Shulz dostrzegł za zasłoną z drzew potężną, dumnie wznoszącą się posiadłość.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ukazali się dwaj mężczyźni z pistoletami maszynowymi, wycelowanymi w przybyłych.

Harry Shulz nawet nie drgnął.

Wei-Pei rzucił w ich kierunku kilka słów i wycofali się. Jeden wskazał lufą wąską ścieżkę między drzewami i poprowadził Harry'ego Shulza i Wei-Pei przed fronton rezydencji. Tam się nimi zajął trzeci strażnik. Wprowadził ich do środka.

Dwie minuty później Harry Shulz znalazł się przed Mai-Ling.

W wielkim pokoju z marmurową posadzką był tylko on i ona.

Ściany zdobiły wykwintne obicia przedstawiające sceny z chińskiego życia z okresu dynastii Ming; na meblach stały bibeloty z kości słoniowej.

Mai-Ling nie zmieniła się w ciągu trzech lat. Tak samo cudownie

piękna, wysoka, o jedwabistej skórze. Trójkątna twarz, wargi lubieżne, uszy delikatnie zawinięte. Płaszcz czarnych włosów, zimne czarne oczy.

Zaokrąglone kształty, w obcisłej chińskiej sukni ze złotej lamy, rozciętej z

boku aż do bioder, w kołnierzyku w stylu Mao, zapiętym na ramieniu.

Wspaniale nogi w bucikach o przesadnie wysokich obcasach.

Przez moment fala wspomnień poruszyła umysłem Harry'ego

Shulza.

Coś, co czytał w przeszłości... Jedno zdanie...

Przypomnił sobie. Zdanie Ernesta Hemingwaya. Gdzieś napisał

coś takiego: “nie ma na świecie kobiety bardziej pożądlivej, bardziej

zachłannej, okrutnej, niebezpiecznej, ale... bardziej podniecającej... niż

kobieta amerykańska...”. Ten opis przystawał także do Mai-Ling. Była jak

jadowita żmija, ale ogromnie podniecająca.

- Pory twoich odwiedzin u przyjaciół, Harry, są doprawdy bardzo

szczególne - powiedziała doskonałą angielszczyzną, z nienaturalnym

uśmiechem.

I on się uśmiechnął swoim uwodzicielskim uśmiechem, który go

odmładzał i nadawał wygląd dwudziestolatka, o roześmianych zielonych

oczach, zmysłowych wargach, o prostodusznym wyrazie twarzy, trochę

dziecinnym, starannie ukrywającym, kim był w rzeczywistości.

Rozchmurzyła się. Znał siłę swego uśmiechu i nie wahał się go

stosować w razie potrzeby.

- Jestem szczęśliwy, że cię widzę, Mai-Ling.

- Siadaj.

W rogu pokoju leżały, jedna na drugiej, skóry tygrysów, panter,

kangurów, koali. Tworzyły łoże, tak grube, długie i szerokie, że Harry

pomyślał, iż na tej bajecznej platformie mógłby z łatwością wylądować

myśliwski samolot.

- Herbaty?

Harry się skrzywił. Uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Prawda... zapomniałam. Nie jesteś dostatecznie subtelny, żeby docenić ten napój. Wobec tego whisky?

Potakująco skinął głową.

- Obsłuż się, tam jest butelka.

Nalał sobie pełną szklankę i zaczął pić.

- Jeśli przyszedłeś, to znaczy, że masz do mnie sprawę - stwierdziła po chwili.

- Tak - przyznał.

- Jakaś przysługa?

- Tak.

Poruszyła głową i długie włosy spłynęły na ramiona.

- Moje przysługi są płatne.

- Wiem.

- I jesteś gotów zapłacić moją cenę?

- Tak.

- Ustalimy ją później, w zależności, o jaką przysługę chodzi.

- Zgoda.

Usiadła tuż obok niego.

- Już późno - powiedziała zmienionym nagle głosem.

- Jesteś pewien, że teraz chcesz rozmawiać o interesach?

- Niekoniecznie.

Ręka Mai-Ling gładziła jego gęstą blond czuprynę, zsunęła się na kark, podrapała ostrymi paznokciami, brutalnie chwyciła palcami. Pozwalał jej na wszystko. Wreszcie przewróciła go na posłanie ze skór zwierzęcych.

Przez resztę nocy kochali się.

Była spragniona pieśczoł, a on nie czuł zmęczenia. Zaspokajał jej królewskie pragnienie. Nie było to zresztą żadne poświęcenie z jego strony, bo Mai-Ling podniecała go do najwyższego stopnia.

Tak samo było przed trzema laty. Wszystko w niej doprowadzało Harry'ego do paroksyzmu rozkoszy. Skóra, lubieżność, ruchy bioder urywane podczas orgazmu, pomysłowość, pieśczołoty wschodnie...

Świtało gdy usnęła. On nie spał. Myślał.

Czuł się wypoczęty, umysł miał jasny, chociaż poprzedniej nocy spał zaledwie kilka godzin w samolocie i trochę w pokoju hotelowym.

Działał na Mai-Ling tak samo jak przed laty. Ucieszył się, bo wszystkie swoje plany na tym budował.

Trzy lata temu była jego klientką: kontrakt do wykonania na Tajwanie, dokładniej w Tajpej. Pewien generał okradł Mai-Ling na handlu bronią. Winien był jej trzysta tysięcy dolarów i odmawiał uregulowania długu. Mai-Ling, straciwszy wszelką nadzieję odzyskania pieniędzy, zdecydowała się zemścić. Za pośrednictwem Huana Tsin Wonga zaangażowała Harry'ego. Udali się razem do Tajpej i Shulz pomścił Mai-Ling... za 50 tysięcy dolarów. Jako premię otrzymał jej ciało. Nie wiedział, dlaczego tak się podobał Mai-Ling? Dlaczego od razu

mu się oddała bez zastrzeżeń? Była potworem egoizmu, okrucieństwa, obojętności, zachłanności. Nie należało szukać przyczyn. Trzeba korzystać z okazji.

Mai-Ling była córką chińskiego generała. Pod koniec II wojny światowej na czele nieregularnych oddziałów rajtarów, bandytów działał na granicy chińsko-birmańskiej, grabiąc, zabijając, bezwstydnie gwałcąc. Przepędzony przez oddziały Mao Tse-tunga osiadł w Singapurze, poświęcił się różnym interesom. Córkę wychowywał w tym samym duchu.

Mai-Ling okazała się uczennicą zdolną i błyskotliwą.

Kiedy umarł ojciec, przejęła po nim sukcesję. Okrutnymi metodami zdołała zyskać respekt na całym Dalekim Wschodzie.

Do jej największych sukcesów handlowych należał w 1970 r. zakup od rebeliantów kambodżańskich płaskorzeźb, posążków ze świątyni

Angkor Wat i Angkor Ahom w Siem-Reap. Odsprzedala je europejskim i amerykańskim antykwariuszom za bajątkowe sumy.

Dzięki tym wszystkim interesom Mai-Ling była fantastycznie bogata.

Ale nie pieniądze interesowały Harry'ego Shulza, tylko kontakty, jakie, być może, zachowała z dawnymi przyjaciółmi ojca z czasów wojny chińskiej. Osiedleni w słynnym Złotym Trójkącie, prowadzili zapewne interesy z Bartem Scalisio.

Harry liczył, że przez nią uzyska informacje o Barto.

Gdy słońce było już wysoko, wreszcie i on usnął.

Obudził się i zobaczył malajską służącą ubraną w wielokolorowy

sarong. Postawiła przed nim półmisek z amerykańskim śniadaniem.

W drzwiach stanęła Mai-Ling. Położyła się obok niego.

Cierpliwie czekała, aż skończy śniadanie, a kiedy przelknął ostatni

kęs, wypił ostatni łyk soku pomarańczowego, pogładziła go po policzku.

- Co cię do mnie sprowadza, Harry?

Powiedział. Przyjęła to obojętnie.

- Barto Scalisio?

- Tak.

- Nigdy nie słyszałam tego nazwiska.

- Możesz się dowiedzieć? Podróżuje pod nazwiskiem Curani.

Powinien być w Singapurze, ale możliwe, że pojechał w głąb terytorium

albo że się znajduje w Złotym Trójkącie. Masz tam jeszcze przyjaciół?

- Oczywiście.

- Możesz się dowiedzieć?

- Naturalnie. Po co go szukasz? "Kontrakt"?

- Tak.

Potrząsnęła lekko głową.

- To dla ciebie ważne?

- Bardziej niż sądzisz.

- Duży strzał?

- Bardzo duży.

- Teraz pomówimy o cenie.

- Słucham cię.

- Masz pokój w hotelu?

- Tak.

- Wyprowadzisz się i zainstalujesz tutaj, dopóki nie zdobędę dla ciebie informacji.

Harry Shulz położył się na posłaniu ze skór zwierzęcych. Uśmiech zakwitł na jego wargach. Wygrał...

ROZDZIAŁ XVIII

Piątek, 26 lipca 1974

“...Mafia na zawsze zlikwidowana? Oto pytanie, jakie sobie stawia świat po wczorajszym skazaniu przez trybunał w Palermo trzydziestu dwóch członków Młodej Mafii. Zdołała ona w przeciągu ostatnich lat zdetronizować starych z Cosa Nostra i położyć ręką na organizacji światowej. Przypisuje się jej ciągle nie wyjaśnione zabójstwa starych szefów, jak Nick De Luca, Frank D’Agricola i wielu innych. Trzydzieści dwa nazwiska z listy skazanych figurują na krwawych kartach “almanachu zbrodni”. Listę otwiera Frank Stappolo, wydalony z USA w 1946 roku; następnie Alberto Bosso, Carlo Regatto... i, każdemu według zasług, Barto Scalisio... Ale tylko zaocznie... Ponieważ Barto Scalisio pozostaje nieuchwytny. Gdzie się ukrywa? Trzydziestu dwóch skazanych w Palermo, nawet jeśli wiedzą, nie powiedziało. Dla nich lepiej, bez wątpienia...”

Barto Scalisio zgniótł z wściekłością gazetę, rzucił ją na ziemię, z furią podeptał.

Podle świnie! W końcu ich mają! I jego szukają, żeby odpowiedział za niestawienie się do sądu. Wybuchnął obłąkańczym śmiechem.

Mogą się go czepiać. Niech się zaprzęgną do roboty. Już dawno

przeniósł z Sycylii swój sztab operacyjny.

Zaczai spacerować po pokoju.

Ci głupcy nawet za pośrednictwem adwokatów, słono zresztą

opłacanych, nie zdołali kupić sędziów albo wspólników, żeby uciec z

więzienia! Barany, do niczego! Jak sam czegoś nie zrobi, nie może na

nikogo liczyć.

Powoli się uspokajał.

Co to jest w końcu ta Sycylia? Nic. Po prostu kolebka wielkiej

familii, kropla w oceanie. Może sobie nawet pozwolić, żeby ją utracić.

Reszta świata należy do niego.

Był już zupełnie spokojny, spojrział na Claire. Nie drgnęła podczas

jego ataku furii; czytała.

Opanowało go nagle pożądanie na widok jej białej skóry, jasnego

trójkąta włosów tam, gdzie zaczynają się uda.

Oto, czego mu trzeba. Na niej wyladuje wściekłość. Lubiała to. Lubiała

brutalność, bicie. Będzie gniótł jej delikatną skórę w swoich mocnych

dłoniach, uderzy, sprawi jej ból... Blondynki go podniecały... A jeszcze do

tego intelektualistka...!

Szybko się rozebrał, podszedł do niej, wyrwał książkę, cisnął w kąt,

rzucił się na jej nagie ciało.

Drżała, palce zagłębiła w jego czarnych, gęstych włosach na

potężnej klatce piersiowej.

- Barto!

Ugryzł brutalnie jej pierś i posiadł ją.

Czwartek, 1 sierpnia 1974

Harry Shulz łyknął resztę whisky i wstał na widok wchodzącej

Mai-Ling.

- No i co? - zapytał niecierpliwie. - Udało ci się tym razem czegoś dowiedzieć?

- Tak.

Zmarszczył brwi.

- Co?

Nalala sobie herbaty i piła małymi łykami.

- Tak ci się spieszy, żeby mnie opuścić? - zapytała ze złością. -

Niedobrze ci tu?

Uśmiechnął się tym samym uśmiechem, który ją zawsze rozbrajał.

- Jest mi tu cudownie, ale jak wiesz, dobiliśmy targu...

Wzruszyła ramionami.

- Mężczyźni są głupi. Nie umieją chwycić tego, co jest w zasięgu ręki.

Czekał cierpliwie.

- Mam wieści o twoim Barto - powiedziała wreszcie odstawiając szklankę. - Nie obyło się bez trudności.

- Wyobrażam sobie.

Zdecydowała się mówić:

- Barto Scalisio - recytowała monotonnym głosem - spotkał się z

Czeng-Huo-Ping gdzieś w Złotym Trójkącie. Czeng-Huo-Ping kieruje całym handlem opium w tamtych stronach. To on musi zaopatrywać

Scalisio. Zawsze miałam z nim dobre stosunki, bo nigdy się nie brałam do narkotyków. To bardzo rentowne, ale za duża konkurencja i młodo się umiera. Wolę handel bronią.

- Masz rację - przyznał Harry - zawsze gdzieś jest jakaś rewolta.

- To prawda - uśmiechnęła się.

- A jak nie ma, to się ją prowokuje - dodał sarkastycznie.

- To moja specjalność - stwierdziła z prostotą.

- Więc Barto spotkał się z Czeng-Huo-Ping?

- Tak.

- Gdzie w Złotym Trójkącie?

- Nieważne, nie wiem. To nie ma nazwy, jakiś zagubiony zakątek...

W każdym razie już tam nie ma Barta...

- A gdzie?

- Tutaj.

- W Singapurze?

- Tak.

Shulz przelknął ślinę.

- W którym miejscu?

- W takim, gdzie nigdy go nie dostaniesz.

- Sprecyzuj.

- W jednej z kryjówek Czeng-Huo-Pinga.

- Gdzie?

- W chińskim starym mieście.

- W okolicach “Ulicy umierających”?

- Tak. Nie ma szans, żeby się tam dostać. Nawet szansy, żeby przejść przez pierwszą linię straży. Potrzeba by ci całej armii i to też nie wystarczy.

Zmarszczył brwi.

- Jak długo tam zostanie? Możesz się dowiedzieć?

- Wsiada pojutrze do samolotu.

- W jakim kierunku?

- Do Hongkongu, ale nie wprost. Najpierw Bangkok, chyba dla zmylenia śladów. On i jego żona lecą japońskimi liniami do Bangkoku pod nazwiskiem Ferreire, obywatele brazylijscy. Po dwóch godzinach tranzytu w Bangkoku, wsiadają na pokład Cathy Pacific, który ich zawiezie do Hongkongu. Zamówili dwa miejsca na nazwisko Curani. Weź...

Dała mu kartkę złożoną we czworo.

- Masz tam wszystkie dane. Numery lotów, godziny startów, daty...

- Świetna robota, Mai-Ling.

Zrobiła pogardliwą minę.

- Elementarz, doktorze Watson.

Harry Shulz złożył kartkę. Jego twarz przybrała nieprzyjemny wyraz.

- Jak się tego wszystkiego dowiedziałś? Czeng-Huo-Ping ci powiedział?

- Na pewno nie. Czeng-Huo-Ping robi interesy z tym twoim Scalisio.

Nie myślisz chyba, że dostarczyłby informacji, które by pomogły zlikwidować jedno ze źródeł jego dochodów?

- Więc?

- Wyobrażasz sobie, że można robić interesy nie mając szpiegów?

- Masz szpiegów u Czeng-Huo-Pinga?

- Oczywiście. Zresztą, jeśli przyszedłeś do mnie, to liczyłeś, że zdobędę te informacje. Więc czemu się dziwisz?

- Jesteś potężna, Mai-Ling!

Nie zareagowała na komplement.

Harry usiadł na posłaniu ze skór i przeczytał kartkę Mai-Ling.

Informacje były przejrzyste. Teraz kolej na niego.

Tak, ale w jaki sposób?

Nadarzała się jedyna okazja, żeby mieć Barta Scalisio w zasięgu ręki. Byle jej nie stracić! Mogła się nie powtórzyć przez dłuższy czas, może nigdy.

Pierwsza trudność polegała na tym, że zupełnie nie wiedział, jak wygląda Barto Scalisio. Francois Lyończyk dał mu wyciętą z gazety fotografię Barta. Ale kłopot w tym, że pochodziła sprzed piętnastu lat, że była niewyraźna, a do tego pokrywały ją żółte plamy, bo długo leżała w wilgoci.

W ciągu piętnastu lat Barto miał czas się zestarzeć, roztyć. I z pewnością na podróż zmienił wygląd.

Harry upatrywał szansy w tym, że większość pasażerów japońskich linii to Azjaci, a wtedy byłoby łatwo na pierwszy rzut oka dojrzeć białych, wśród których znajdowałby się Barto. Ponadto Sycylijczyk podróżuje z żoną, to ułatwia rozpoznanie.

Chodziłoby o ustalenie miejsca wykonania “kontraktu” i modus operandi.

Waliza z częścią, i to najważniejszą, jego wyposażenia została w hotelu w Nikozji. Przy sobie, poza piórem-pistoletem na cyjanek, nie miał nic, co mogłoby posłużyć do usunięcia Scalisio. Trzeba się błyskawicznie zastanowić. Dzieliły go 43 godziny od chwili, gdy “obiekt” wejdzie na pokład samolotu japońskich linii. Nieraz w swojej karierze miał do rozwiązania identyczne problemy i wiedział, że znajdzie wyjście.

Najważniejsze pomyśleć.

Wyciągnął się na łóżku, założył ręce na kark, dla lepszej koncentracji zamknął oczy.

Mai-Ling przytuliła się do niego.

Zerwał się po dwudziestu minutach: znalazł!

- Gdzie telefon?

Zdziwiona wskazała mu niski mebel przy ścianie, po drugiej stronie łóżka.

- Tam.

Numer znalazł na pamięć. Połączył się z telefonistką międzynarodową i bardzo wyraźnie przekazał zamówienie. Różnica czasu między Singapurem a Nowym Jorkiem wynosiła jedenaście godzin, a Minneapolis - dwanaście. W Singapurze była szósta wieczór, więc w Minneapolis szósta rano. O tak wczesnej porze miał wszelką szansę zastać Mike O’Flaherty w łóżku. Mike’a O’Flaherty, genialnego majsterkowicza, wynalazcę mnóstwa gadżetów do nowoczesnego

zabijania.

Zadzwoił telefon. Podniósł słuchawkę.

- Ma pan swego rozmówcę z Minneapolis w USA. Pomyślał, że szybciej się dostaje połączenie między Singapurem a Minneapolis, niż między Nowym Jorkiem i Nowym Orleanem.

- Hallo! Hallo! - odezwał się zachrypnięty głos Mike O'Flaherty.

- Tu Harry Shulz. Słyszysz mnie?

- Hallo, Harry! Wyciągnąłeś mnie z łóżka.

- Wiem. To pilne. Pamiętasz, co mi dałeś w zeszłym roku i nazwałeś "Kopciuszek"?

- No pewnie.

- Potrzebne mi to samo, natychmiast!

- Co chcesz powiedzieć przez: natychmiast?

- Najpóźniej jutro w Singapurze.

- W Singapurze? Ale...

- Posłuchaj, Mike, jak masz działać.... Ale powiedz mi najpierw, czy to jest wykonalne?

- Tak.

- W porządku. Słuchaj, Mike. Weź "Kopciuszka" i wskakuj do pierwszego samolotu w kierunku Singapuru. Załatw to. Myślę, że najlepiej będzie polecieć do Los Angeles i tam wsiąść do samolotu linii PANAM. Nie jestem pewien. Dowiedz się. Wylaż z barłogu i pośpiesz się. Musisz tu być w sobotę, trzeciego sierpnia o dziesiątej rano czasu miejscowego. Słyszysz mnie? Czasu miejscowego! Jest dwanaście godzin

różnicy między Singapurem a Minneapolis. To znaczy, teraz tutaj jest szósta wieczór. Słyszysz mnie? Wieczór! Tutaj w Singapurze, podczas gdy u ciebie jest szósta rano.

- Rozumiem, Harry, ale przed chwilą powiedziałeś, że to ci jest potrzebne najdalej jutro.

- Jutro dla ciebie, właśnie z powodu różnicy czasu, kapujesz?

Sobota, trzeciego sierpnia, dziesiąta rano w Singapurze, to będzie jeszcze piątek, drugiego sierpnia, dziesiąta wieczór, to znaczy jutro w Minneapolis. Chwytasz?

- Tak.

- Dogadza ci w ten sposób? Załatwisz?

- Licz na mnie, Harry. - Oczywiście wszystkie koszty podróży płacę, plus koszt "Kopciuszka", plus wysoka premia za kłopot.

- Nie zwracaj sobie głowy. Dogadamy się, jak zawsze.

- Dziękuję, Mike, liczę na ciebie. To dla mnie bardzo, bardzo ważne.

- Powiedziałem ci, nie łam sobie głowy. Będę na czas. Gdzie się spotkamy?

- Hotel Ming Court! Literuję... Pod jakim nazwiskiem podróżujesz?

- Własnym.

- O.K. Zamówię ci pokój. Tam na mnie czekaj. Jeszcze coś, Mike...

- Tak?

- Jeśli byś mógł przy okazji przywieźć mi parę drobiazgów, którymi się zwykle posługuję... Wiesz, co mam na myśli? Ale bez niepotrzebnego ryzyka. Jeśli to zbyt niebezpieczne, daj spokój.

- Jesteś goły, Harry?
- Zostawilem gdzieś mój sprzęt i nie mogę go teraz odzyskać.
- Zobaczę, co będę mógł zrobić.
- O.K. To wszystko z mojej strony. Nie zapomnij, Mike, pośpiesz się.
- Czolem, Harry.

Odłożył słuchawkę i wykonał specjalny uśmiech dedykowany

Mai-Ling.

- Nadałem bieg sprawie - skomentował lakonicznie. Ufał Mike'owi O'Flaherty. Stary należał do tej zanikającej kategorii ludzi ze świata przestępczego, którzy za punkt honoru uważają dotrzymanie słowa.

Mai-Ling chwyciła go nagle wpół i przewróciła na posłanie.

- Byłby czas, żeby zapłacić chociaż częściowo za moje informacje!
- Jak się ściąga taką obcisłą chińską suknię?
- Mam dziesiątki takich sukien. Anie zależy mi szczególnie na tej.

Więc odpinasz kołnierzyk i ciągniesz ze wszystkich sił.

Piątek, 2 sierpnia 1974

Harry Shulz wszedł do portu lotniczego w Singapurze. Po szerokich schodach udał się na górę, gdzie były kawiarnie, toalety i przechowalnia dzieci. Usiadł przy stoliku w kawiarni. Widział stamtąd obszerny hall. Zamówił kawę, obserwował wchodzących i wychodzących. Równocześnie ustalał ostateczny plan działania.

W

hallu

panował

ogromny

ruch.

Singapur

należy

do

najważniejszych portów lotniczych południowo-wschodniej Azji. Przez

hali śpieszył malowniczy tłum. Hinduski w sari z mnóstwem dzieci,

Indonezyjki w „kabaya”, z tradycyjnym kokiem i wyniosłym sposobem

chodzenia, Japończycy, ludzie interesu; starannie ubrani Chińczycy;

turyści europejscy i amerykańscy obwieszani aparatami fotograficznymi,

w kolejce przed butikami aeroportu po kamery, papierosy, alkohole,

magnetofony, tranzystory po najniższych na świecie cenach.

Harry Shulz wypił kawę i wstał. Zszedł do hallu i opuścił budynek.

Udał się do stoisk towarzystw lotniczych mieszczących się na wolnym

powietrzu. Były tam przemieszane Garuda, Singapore Airlines, Thai

International, Japan Airlines, UTA, Qantas, PANAM, Malaysian Airlines,

Air India, Lufthansa, Pakistan International Airways oraz kilka spółek

czarterowych.

System był praktyczny. Taksówki wysadzały pasażerów wzdłuż

trotuaru przed biurami. Tragarz brał bagaże i przenosił je do rejestracji

do odpowiedniego towarzystwa lotniczego. Po załatwieniu formalności

dawano pasażerom kartę pokładową i mogli spokojnie pójść do hallu i

czekać, aż ich wezwą do formalności celnych i paszportowych.

Harry Shulz dokładnie się rozejrzał, następnie stanął przed biurem

Garuda Indonesian Airways. Rankiem tego dnia kupił bilet w jedną stronę do Dżakarty.

- Nie ma pan bagaży? - zapytał urzędnik.

- Nie mam.

Wręczono mu kartę pokładową.

Wrócił do hallu, usiadł i czekał, aż zawołają pasażerów lecących do Dżakarty. Kiedy usłyszał przez megafon wezwanie, wstał i podszedł do kontroli celnej i policyjnej. Po załatwieniu formalności mógł już wejść do sali dla odlatujących pasażerów. Tylko tego pragnął. Chciał zobaczyć miejsce, przez które będzie musiał przejść Barto Scalisio.

Nie miał najmniejszego zamiaru lecieć do Dżakarty, a koszt bezużytecznego biletu, 55 dolarów, niewiele znaczył wobec możliwości, jakie przed nim otwierał. Przebiegł wzrokiem salę nabitą pasażerami do Dżakarty; ustalił punkty sprzyjające akcji, możliwości ucieczki. Następnie z całkowitym spokojem, póki jeszcze nie zaproszono pasażerów do zajęcia miejsc w autobusie odwożącym pod schodki samolotu, opuścił salę pokazując z beztroską miną swoją kartę pokładową.

- Spóźni się pan - uprzedził dyżurny funkcjonariusz. Harry Shulz posłał mu szeroki uśmiech.

- Zmieniłem plany. Nie lecę.

Próba znakomicie się powiodła - pomyślał Harry w drodze na parking portu lotniczego. Czekał tam wóz Mai-Ling, oddała mu go do dyspozycji.

Wszystko było załatwione. W kieszeni miał bilet na samolot

Singapur - Bangkok, zakupiony tego dnia na lot Japan Airlines, na 3 sierpnia. Tym samolotem miał lecieć Barto Scalisio. Pozostało tylko czekać na Mike'a O'Flaherty.

Sobota, 3 sierpnia 1974

- Jestem, Harry. Mam wszystko, czego ci potrzeba.

Harry Shulz uśmiechnął się porozumiewawczo do Mike'a O'Flaherty.

- Brawo Mike! Poradziłeś sobie znakomicie!

- To jest ten sprzęt.

Harry Shulz przyglądał się przez chwilę.

- Czekaając na ciebie, zmontowałem, ale trzeba rozebrać do przeniesienia. Nie możesz tego tak z sobą wlec.

- Pewnie.

- Przywiozłem ci przy okazji i to.

- Co to?

- Kapsułki atropiny. Każda jednomiligramowa. Gdyby tobie przydarzył się jakiś wypadek... bywało i tak. To uratowało życie Buddowi Ekstrom w Chile.

Harry Shulz uśmiechnął się z niedowierzaniem.

- Mnie się nic nie przydarzy.

- Nigdy nie wiadomo. W każdym razie weź.

- Przywiozłeś mi zapasowy sprzęt?

- Jest tutaj.

- Świetna robota, Mike - pogratulował.

- Dobra, teraz rozmontuj "Kopciuszkę". Ta rzecz jest niebezpieczna,

nie można jej tak zostawić. Nie zapomniałeś, jak się nią posługiwać?

- Nie ma sprawy.

- W dwóch flakonach, tam, znajdziesz dwa zapasy.

- O.K.

Harry

zaczął

rozbierać

"Kopciuszkę".

Układał

starannie

poszczególne elementy w skórzanej teczce. Ułożył tam również

dotatkowy sprzęt przywieziony przez Mike'a. Wyciągnął z kieszeni plik

banknotów. Przygotował je z góry. Odliczył 50 banknotów studolarowych

i położył przed starym.

- 5 tysięcy dolarów, Mike. Zgoda?

- W porządku, Harry. - Kiedy odlatujesz?

- Wieczorem, lotem UTA do Paryża. Tam zrobię mały podryw za

twój szmal.

- Do zobaczenia, Mike.

- Uważaj, Harry.

Harry wyszedł z hotelu, wrócił do Mai-Ling i od razu zabrał się do

przygotowania sprzętu potrzebnego do wykonania "kontraktu". Mai-Ling

nie było. Mógł więc spokojnie pracować.

Włożył ciemne ubranie, eleganckie, w stylu człowieka interesu, zamówione u ekspresowego krawca na Tanglin Road. Zawiązał krawat na białej koszuli. Na głowie ciemny filcowy kapelusz. Nałożył duże, ciemne okulary przeciwsłoneczne, chwycił teczkę, sprawdził, czy ma w kieszeni bilet do Bangkoku i ruszył na lotnisko samochodem Mai-Ling.

Zostawił wóz na parkingu i zrobił tak, jak poprzedniego dnia.

Podszedł do biura Japan Airlines. Zarejestrował się, oświadczył, że ma tylko ręczny bagaż i wszedł do hallu. Na górze zamknął się w toalecie; czekał do ostatniej chwili ze zmontowaniem "Kopciuszka". Zmontowaniem zresztą częściowym, bo miał jeszcze przed sobą kontrolę celną i policyjną.

Ukrył dwa elementy "Kopciuszka" w neseserze z przyborami toaletowymi i z apteczką.

Zszedł do hallu, usiadł czekając na wezwanie. Uważnie obserwował ruch, ale tłum był tak gęsty, że nie udało się wypatrzyć europejskiej pary, która przypominałaby Barta Scalisio i jego towarzyszkę.

Gdy wezwano pasażerów przez megafon wstał i wrócił do stoiska japońskich linii, na zewnątrz hallu. Niedbałym ruchem sięgnął po listę odlatujących. Urzędnicy towarzystwa lotniczego byli zajęci rejestracją spóźnionych pasażerów, grupy turystów australijskich.

Nazwiska pana i pani Ferreira figurowały na liście.

Nie było natomiast przy nich krzyżyka, jakim urzędnik towarzystwa lotniczego oznacza zwykle, że pasażer się zgłosił. Barto Scalisio jeszcze się widocznie tutaj nie zarejestrował.

Harry Shulz dłużej nie zwlekał. Nie w tym miejscu przewidywał

wykonanie “kontraktu”.

Spokojnie przystąpił do załatwienia formalności celnych i

paszportowych.

Potem

okazał

kartę

pokładową

odpowiednio

przeziurkowaną przez oficerów celnych i paszportowych dyżurnemu

funkcjonariuszowi stojącemu przy wejściu do sali dla pasażerów

odlatujących. Ten rzucił okiem na kartę, oddał ją z powrotem i Harry

wszedł do środka.

Wszystko odbyło się jak w przeddzień. Pozostawało tylko czekać na

Barta Scalisio.

Na wszelki wypadek rozejrzał się jeszcze po obecnych tam

podróżnych. Najpierw tranzytowi. Ci przybywający z Dżakarty, potem ci z

Singapuru. Było między nimi bardzo mało Europejczyków i Amerykanów.

Żadnej pary. Widocznie Barto Scalisio i jego towarzyszka jeszcze się nie

zjawili.

Shulz spojrział na zegarek. W ciągu siedmiu, ośmiu minut będą

zapraszać pasażerów do zajęcia miejsc w autobusie, który ich dowiezie do

samolotu. Barto dobrze by zrobił, gdyby się pośpieszył!

Uśmiechnął się na tę myśl: pośpieszyć się, żeby umrzeć!

Czas płynął. Shulz miał oczy utkwione w wejście do sali. Podróźni się niecierpliwi. Niektórzy wstawali, podchodzili do oszklonych drzwi prowadzących na płytę lotniska, gdzie srebrzyły się w słońcu kadłuby. Tankowano paliwo. Ładowano tony bagaży. Hostessa japońskich linii weszła na salę i wołała donośnym głosem:

- Państwo Ferreira, pasażerowie do Bangkoku! Państwo Ferreira?

Harry Shulz sprężył się, spojrział dookoła. Nikt się nie zgłosił. Hostessa powtórzyła wezwanie.

Nagle Harry'ego przeniknęła straszna obawa. A jeśli Mai-Ling coś pomyliła? Jeżeli niedokładnie się poinformowała? Jeżeli rezerwacja na nazwisko Ferreira do Bangkoku była tylko zasłoną dymną? Zasłoną dymną wypuszczoną przez Barta Scalisio, żeby uwierzono, że zamierza lecieć tym lotem, podczas gdy już odleciał lub odlatuje w innym kierunku?

Barto był dostatecznie sprytny, żeby tak właśnie postąpić i zmylić ewentualnych wrogów. Musiała go przecież ostrzec dociekliwość Katzolakisa w Atenach, Abouda Staboulie w Bejrucie, mecenasa Rogazzino w Palermo i jeszcze Sammy'ego Rosenthala w Tel-Awiwie, dostawcy ormiańskiego w Izmirze i kapitana portu na Rodos.

Hostessa wyszła. Podróźni podnosili się z miejsc i niespokojnie spoglądali na zegarki. Po hostessie ukazał się agent towarzystwa lotniczego i sprawdził obecność pasażerów. Brakowało dwojga: pana i pani Ferreira.

Urzędnik podjął błyskawiczną decyzję. Schował listę do kieszeni,

zdecydowanym krokiem podszedł do drzwi prowadzących na płytę,

otworzył je i zwrócił się do podróżnych:

- Pasażerowie lotu JAL numer 702 do Bangkoku proszeni są o

okazanie swoich kart pokładowych i zajęcie miejsc w autobusie. Najpierw

pasażerowie pierwszej klasy, proszę bardzo. Karty czerwone! Karty

zielone potem, proszę pani.

Mówił zdecydowanym tonem oddzierając kupony z kart

pokładowych.

Harry Shulz odwrócił wzrok od podróżnych, tłoczących się obok

wyjścia i przeniósł spojrzenie na salę. Stał tam dyżurny agent ze

znudzoną miną, z rękami założonymi na plecach. Ale żaden pasażer już

nie wchodził. Harry pomyślał z goryczą, że Barto go przechytrzył sam o

tym nie wiedząc.

- Proszę pana, proszę pana - wołał przedstawiciel linii lotniczych.

Odwrócił się. Urzędnik dał mu znak ręką.

- Niech pan będzie uprzejmy wsiąść do autobusu. Harry Shulz

zaprzeczył ruchem głowy. Urzędnik zbliżył się.

- Proszę pana, autobus odjeżdża.

- Czekam na przyjaciół, państwa Ferreira - odpowiedział Harry.

- Szukamy ich właśnie! Nie zgłosili się, więc odznaczyliśmy “No

show” (termin ten oznacza, że pasażer, który zarezerwował miejsce, nie

zgłosił się).

- Jeśli się nie pojawią, i ja nie polecę - oświadczył Harry Shulz.

- Jak pan sobie życzy.

Urzędnik udał się do autobusu, który natychmiast odjechał

zatrzymując się przed boeingiem 727.

Harry Shulz wolnym krokiem zbliżył się do funkcjonariusza

stojącego przy wejściu. Pomyślał, że tym razem nie poszło i trzeba

zaczynać od początku.

Już miał wyjść, gdy zauważył jakieś poruszenie po drugiej stronie

hallu. Stał. Przez szybę zobaczył tłum ludzi, czekających na wywołanie

lotu. Spostrzegł hostessę japońskich linii, tę samą, która kilka minut

wcześniej wzywała państwa Ferreira.

Szła teraz szybko rozpychając tłum. Za nią postępowała para,

mężczyzna i kobieta.

W mężczyźnie Harry rozpoznał Barta Scalio. Wcale się nie zmienił

od czasu, gdy było zrobione zdjęcie w gazecie, które mu wręczył Francois

Lyończyk. Może trochę utył, ale niewiele. Z aktówką w ręce szedł za

hostessą. Za nim ładna blondynka.

Hostessa dała znak funkcjonariuszowi i wszyscy troje przekroczyli

próg.

Harry Shulz błyskawicznie się odwrócił i wielkimi krokami poszedł

w stronę drzwi prowadzących na płytę lotniska.

Uchylił teczkę, nałożył igłę na strzykawkę i umocował. Strzykawką

był pojemnik z kremem do golenia, opróżniony ze swej zawartości i

napelniony iperytem. Nie dawał efektu piorunującego. Dlatego właśnie

ten wybrał. Działał w dwie minuty po wstrzyknięciu, to znaczy w czasie

niezbędnym dla Barta Scalio, żeby się zdziwił nagłym ukłuciem,

zaniepokoił, zrozumiał... A jak iperyt zacznie działać, Barto umrze.

Zakończenie igły doskonale pasowało do gwintu w pojemniku, którym normalnie wychodził krem do golenia. Tutaj miniaturowa pompka ssąco-tłocząca powodowała wypełnianie się igły iperytem.

Zmajstrował to wszystko Mike O'Flaherty i ochrzcił mianem "Kopciuszka".

Harry Shulz dotarł do wyjścia i zatrzymał się. W ręce zagłębionej w teczce trzymał strzykawkę. Za sobą usłyszał pośpieszne kroki.

Minęła go hostessa. W tym momencie zrobił gwałtowny ruch, udając, że wpada na Barta Scalisio; równocześnie wyciągnął rękę z wnętrza teczki, uderzył Barta z całej siły w lewy bok. Nacisnął główkę pojemnika, żeby wprowadzić iperyt do igły.

Poczuł silny ból w prawym palcu wskazującym. Barto już go odepchnął, obrzucając wściekłym spojrzeniem. Dziewczyna przyśpieszyła kroku.

Wszyscy troje wyszli na płytę lotniska, podbiegli w kierunku samolotu JAL. Hostessa dawała znaki, żeby pilot zaczekał. Harry Shulz spojrzał na swoją rękę. Krew płynęła z palca i plamiła mu spodnie. Pod stopami zobaczył wykrzywioną igłę. Z niedowierzaniem odwrócił głowę.

Barto Scalisio wchodził na schodki samolotu. Wtedy zrozumiał.

Sycylińczyk nosił między ciałem a koszulą bardzo cienką kolczugę ze stali ekstra twardej, odpornej na kule i ciosy. Stary trick jeszcze z czasów Al Capone, ale ciągle skuteczny. Dowód - właśnie ta kolczuga uratowała Bartowi życie!

Drzwi samolotu zamknęły się, zabrano schodki, silniki zaryczały.

Maszyna kołowała na pas startowy. Mike mówił, że ile czasu? Dwie minuty?

Harry sięgnął do kieszeni i wyciągnął kapsułki atropiny. Włożył je do ust i połknął. Antidotum.

Lodowaty dreszcz przeszedł mu przez plecy, gdy przeliwał pastylki.

A gdyby Mike nie przewidział ewentualności wypadku? Gdyby mu nie dał tych kapsulek?

Już by nie żył. Zamiast Barta Scalisio.

Stanowczo starzeję się - pomyślał podnosząc igłę i chowając ją do teczki. Wszystkie wysiłki, żeby zlikwidować Barta Scalisio, spaliły na panewce.

Nowa fala pasażerów zalala salę.

Ukrył zranioną rękę w teczce i wyszedł. Wsiadł do samochodu i z obłądną szybkością wrócił do Mai-Ling. Czuł rosnące mdłości.

Zwymiotował na kierownicę. Zataczając się wszedł do potężnej rezydencji i upadł u stóp Mai-Ling.

W godzinę później dostał silnej gorączki i przez wiele dni był w stanie śpiączki.

W dwa dni po odzyskaniu przytomności podyktował Mai-Ling telegram do Francois Lyończyka, w którym, używając przyjętego kodu, zawiadomił go o niepowodzeniu, ale dodał, że nie uważa się za pokonanego.

Ciekawe. Podczas tych dni śpiączki jakby podświadomie nabrał

nowych sił. Tętnił żywotnością. Spieszyło mu się, żeby wstać. Czy pozwoli, żeby go Barto Scalisio znokautował? Nie jego, nie Harry'ego Shulza.

Atropina uratowała mu życie, choć powaliła w potwornej chorobie.

ROZDZIAŁ XIX

Środa, 28 sierpnia 1974

Wayne Sandborg spojrział z powątpiewaniem na Joe LaCasa.

Eks-adiutant Nicka De Luki, którego podejrzewano, że maczał palce w zamachu na szefa, z posępną miną usiadł na krześle wskazanym mu przez dwóch strażników. Przyprawdzili go do pomieszczenia oddanego przez dyrektora więzienia do dyspozycji Wayne Sandborga. Służyło zwykle za rozmównicę dla aresztowanych i ich obrońców.

Joe LaCasa spuścił oczy na blat stołu i sprawiał wrażenie, jakby fascynowały go dziury, plamy atramentu, wypalenia, które układały się w fantastyczne desenie.

- Przedstawię się - oświadczył Wayne Sandborg bezbarwnym tonem. - Nazywani się Wayne Sandborg. Należę równocześnie do FBI i DEA.

Joe LaCasa nie zareagował, jakby nic nie słyszał.

- Joe - ciągnął niewzruszenie Sandborg - kiepsko z tobą. Znalaziono w twoich bagażach dwa kilogramy narkotyków. Dwa kilo narkotyków, które, moim zdaniem, podrzucono ci, żeby cię zniszczyć. Wielki szejk, jak ty, nie popełniłby nigdy takiego szaleństwa, żeby się włóczyć z kokainą w walizkach jak paser. Tę rolę zostawiasz pionkom. Dlaczego próbowano cię wpakować? To trzeba będzie ustalić. Mam na ten temat własną teorię.

Maczałeś palce w zabójstwie twego szefa, Nicka De Luki. Nie myłę się?

Joe LaCasa miał głęboko znudzoną minę.

- Nie jest się rozmownym w twoich kołach, wiem - ciągnął Sandborg

z lekkim uśmiechem. - Będę więc sam prowadził tę rozmowę. Na

początku chciałbym sprecyzować: śmierć twojego dawnego szefa mam w

dupie. Żeby powiedzieć całą prawdę, raczej mnie to ucieszyło. Jestem

zadowolony, gdy jakaś kanalia daje się zlikwidować. Tylko że zbrodnie to

nie mój dział. Ja się zajmuję kokainą, wiesz, co mam na myśli? A ty z tymi

twoimi dwoma kilogramami w walizkach jesteś w złej skórze, jak ci to już

mówilem. Był czas, że prawo francuskie pobłażliwie traktowało

handlarzy narkotykami. Sześć, osiem miesięcy więzienia. Ale od kilku lat

wszystko się zmieniło. Teraz francuscy policjanci współpracują z nami i

odkąd wuj Sam przestrzegł ich rząd, zmieniono paragrafy kodeksu

karnego dotyczące handlu narkotykami. Teraz taki przypadek, jak twój,

to ze dwadzieścia lat... Możesz sobie siebie wyobrazić we francuskim

więzieniu przez dwadzieścia lat, ty który tak lubisz dobrze żyć? Zwłaszcza

że, jak mówią, francuskie więzienia są raczej kiepskie.

Spojrzał na Joego, sprawdzając efekt swoich słów, ale tamten

pozostał całkowicie obojętny.

- W twoim wieku nie możesz sobie pozwolić na stratę tylu lat.

Pomyśl, ile będziesz miał, jak wyjdiesz? 75 lat. Pod warunkiem

oczywiście, że nie umrzesz w więzieniu. Naturalna śmierć... albo... z

czyjąś pomocą... Dużo tego ostatnio. Ale przecież ty to wszystko wiesz.

Twój przyjaciel, Barto Scalasio, musiał ci opowiedzieć, w jaki sposób

pozbywa się konkurencji, a ty mu trochę pomogłeś w sprawie Nicka.

Z pewnością wzbudziły twoje podejrzenia te dwa kilogramy narkotyków, znalezione niby przypadkiem przez francuskich celników w twoich bagażach, prawda? To nie gówno, żeby to mieć w dupie? Fajne dla Barta, wspólnik, co znika. Ale on może pomyśleć, że lepiej byłoby, gdyby zniknął na zawsze. W więzieniu to łatwe. Idziesz pod prysznic, zaciągasz firankę, jesteś spokojny, oblewasz się wodą, masz jej pełno w oczach, nic nie widzisz i hopsa, jakiś typ wsadza ci nóż między żebra. Ani widu, ani słychu. Pamiętasz Carla Pitto w Leavenworth, Kena Jacksona w Joliet, Syda Buchammera w Sing-Sing, Joh-ny'ego Grecolani w Alcatraz? To się zdarzyło. A twój kumpel, Joe Cattolico w Dannemora? Nie zapomniałeś o nim? Wierz mi, francuskie więzienia są pełne skurwieli gotowych do wykonania takiej roboty.

Reasumując, w najlepszym razie wyjdiesz z ciupy po dwudziestu latach, w najgorszym zbzikujesz. Między tymi dwiema drogami jest jeszcze i taka, że umrzesz piękną śmiercią w więziennym szpitalu.

Ponacinany jak pestki brzoskwiń. Masz w czym wybierać.

Ja ci daję inną możliwość. Opowiesz mi trochę o Barto Scalisio, To, co o nim wiesz, o jego planach, a ja załatwię twoją sprawę. Nie żebyś miał podjąć robotę w Nowym Jorku, co to, to nie. Ale możesz się schronić w jakimś zakątku i korzystać z całej forsy. Coś chyba odłożyłeś? Twoja sprawa...

Ani jeden mięsień nie drgnął w twarzy Joego. Tylko śmiertelne znużenie malowało się w jego oczach, opuszczonych ciągle na blat stołu.

Wayne Sandborg zastanawiał się, czy wszystko, co zrobił, nie poszło na marne. Samolot z Nowego Jorku do Paryża, a potem z Paryża do Marsylii na wiadomość, że Joe LaCasa dał się złapać francuskim celnikom z dwoma kilogramami narkotyków w walizkach. Zaalarmował ich tajemniczy telefon i Joe LaCasa znalazł się w celi więzienia Baumettes.

Wayne Sandborg po przybyciu do Marsylii udał się do agenta DEA utrzymującego łączność z francuską Brygadą Narkotyków i uzyskał zezwolenie na rozmowę z Joem LaCasa.

I to wszystko na nic?

Wściekły rąbnął pięścią w stół.

- Kurwa mać! Odpowiadaj, do jasnej cholery!

Joe LaCasa nawet nie drgnął. Pełne pogardy spojrzenie rzucił na Sandborga, na ustach pojawił się grymas nienawiści i palnął:

- Odpierdol się, ty wstrętny gliniarzu!

Drzwi celi zamknęły się z hałasem za plecami Joego LaCasa, ktoś przekręcił klucz w potężnym zamku.

Joe wyciągnął się na sienniku nie zważając na dwóch pozostałych lokatorów celi. Tamci dwaj nie podobali mu się. Dlaczego nie zostawiono go samego, jak podczas czterech pierwszych dni po uwięzieniu? Czy dlatego, że nie umie ani słowa po francusku, a w więzieniu nikt nie zna angielskiego, a jeśli zna, to mówi tak kiepsko, że nie można się dogadać ? Ci dwaj także nie znali angielskiego, ale przynajmniej mówili po włosku. To pozwalało się porozumieć. Proponowali, że w każdej chwili

mogą służyć za tłumaczy, chcieli nawiązać rozmowę, ale Joe podejrzewał, że to klawisze, podstawieni, żeby coś z niego wyciągnąć. Albo przez Francuzów, albo przez tego gliniarza ze Stanów, tego Sandborga, który próbował go przycisnąć, żeby się przyznał i zdradził Barta.

Może się wysrać ten skurwiel gliniarz! Nic z niego nie wydusi.

Za kilka dni zdziwi się ten Wayne Sandborg. Za kilka dni, jeśli wszystko dobrze pójdzie! Tylko że teraz, z tymi dwoma typami, trochę się skomplikowało. Nie mógł skończyć zaczętej roboty.

Trzeba by znaleźć jakiś sposób wyjścia stąd. Na szczęście miał środki. Już to zademonstrował, kiedy dyplomatycznie odrzucił ofertę obrony ze strony marsylskiego adwokata, przysłanego przez Barta na wiadomość o aresztowaniu. Ten glina Sandborg podejrzewał jakąś wredną aferę z tymi dwoma kilogramami narkotyków w walizce. Czy uważał go za takiego naiwniaka, że wcześniej sam o tym nie pomyślał? Wiedział najlepiej, że to nie on wsadził kokainę do swoich bagaży. Nie był taki wariat. Ktoś go zrobił. Ale kto! Barto? Niewykluczone, ale nie miał całkowitej pewności. Podejrzewał Barta i dlatego nie ufał przysłanemu przez niego adwokatowi.

Wolał wziąć innego: Charly Lucchesi, Korsykanina, którego znał od dawna. Bronił już jego ludzi po głośnej rewizji na statku załadowanym kartonami amerykańskich papierosów, w kontrabandzie między Tangerem a wybrzeżem prowansalskim.

Charly Lucchesi już kilka razy go odwiedził. Był nastawiony pesymistycznie. Śmierdząca sprawa. Ten Wayne Sandborg miał zresztą

rację: ryzykował rzeczywiście 20 lat więzienia. Jeżeli nie zgodzi się na współpracę.

Ale nie miał pewności, że to Barto podłożył mu świnie. Gdyby był pewien, zaraz by szukał zemsty i wydał Barta.

- Pora kolacji - powiedział jeden z towarzyszy w celi, chudzielec, zawsze wyglodniały. - Słyszę wózki.

Po chwili drzwi celi otworzyły się ze zwykłym zgrzytem, a strażnik zawołał:

- Kolacja! Wy tam! Wasze menażki!

Obrzydliwe jedzenie oblepiało ścianki kotła. Joe ze wstrętem odwrócił się, nie miał najmniejszego zamiaru jeść tego świństwa.

Wielkopańskim gestem wskazał swoją pustą menażkę chudzielcowi i dał mu do zrozumienia, że zezwala na zjedzenie swojej porcji. Sam miał w rezerwie lepsze danie, zamówione w kantynie. Nie patrzył, jak tamci dwaj opychają się mieszaniną grochu z kapustą. Poczul się tak zmęczony (może z powodu różnicy czasu), że natychmiast usnął.

Obudził się, gdy strażnik robił apel w celi, potem usnął na nowo pomyślawszy, że warto coś zjeść. Ale nie miał siły ruszyć się z siennika. Był zupełnie sflaczały.

Śniło mu się, że leży na białym wózku i że go wiozą na blok operacyjny. Czuć było eter. Rozpaczliwie próbował oddychać, ale im szerzej otwierał usta, tym więcej eteru wypełniało mu płuca. Świecący krążek obracał się nad jego głową z zawrotną szybkością. Żołądek mu się kurczył i okropne bóle rozdzierały brzuch. Nie mogę rzygać - pomyślał -

przecież nie nie jadłem.

Nie czuł rąk, które go ciągnęły z siennika, zarzucały sznur na szyję i popychały do okna.

Mocne ramiona trzymały go przy parapecie, podpierając pod pachami. Zajęty walką z koszmarem, nie wiedział, że jakaś ręka przerzuciła gruby sznur z konopi przez górny pręt kraty okiennej, chwyciła koniec i ciągnęła ze wszystkich sił. Tak samo nie wiedział, że jego ciało unosiło się nad podłogą i że pętla wokół szyi uciskała tętnicę.

Joe LaCasa obudził się w szpitalu więziennym. Było mu niedobrze, zbierało się na wymioty.

W skroniach dźwięczał jakiś turkot. Otworzył oczy, ale poczuł silny ból. Po kilku sekundach udało mu się spojrzeć i odróżnić dwie postacie stojące po obu stronach łóżka. Jedną był szef straży więziennej, drugą adwokat, Charly Lucchesi.

Kilka razy przymykał oczy, żeby zyskać czas do namysłu. Co on mógł zmalować?

Charly Lucchesi przysiadł na brzegu łóżka.

- Jak się pan ma? - zapytał.

- Co mi się stało? - szepnął Joe LaCasa.

-

Próbował

pan

popelnić

samobójstwo?

-

advokat

z

niedowierzaniem zadał to pytanie.

Rozmowa toczyła się po angielsku. Szef straży więziennej nic nie rozumiał.

- Odbiło panu czy co? - wykrzyknął Joe.

- Tak mi się też wydawało - przyznał adwokat.

- Co to było?

- Strażnik przechodząc w nocy korytarzem usłyszał huk w waszej celi. Wszedł i znalazł pana na podłodze z pętlą na szyi, a przy nogach...

Jego głos stał się cichszy:

- ...spilowany pręt kraty. Był pan nieprzytomny. Pańscy towarzysze w celi stali na posłaniach i patrzyli na pana ze zdumieniem.

- Skurwysyny! - wykrzyknął Joe.

- W celi czuć było eter - ciągnął adwokat. - Przesłuchano ich.

Oświadczyli, że są w tej celi dopiero od dwóch dni, ale zauważyli, że pan się narkotyzuje eterem. Pod pańskim posłaniem znaleziono butelkę, pilkę i pilnik do metalu...

- Gówno! - skomentował Joe z furją.

- Wydedukowano, że znalazłszy się w stanie kryzysu, powiesił się pan. Ale pręt, o który zaczepił pan sznur, wyrwał się pod ciężarem ciała, bo był spilowany, albo przez pana, albo przez kogoś innego.

- Co za draństwo!

Mecenas Lucchesi pochylił się i wyszeptał:

- Próbowano pana zabić.

Joe LaCasa szukał wygodnej pozycji, żeby ułożyć swoją bolącą głowę. Zaniknął oczy i myślał.

Tym razem nie miał już wątpliwości. To Barto! Komu innemu zależałoby, żeby go zabić? Kto jeszcze był w Marsylii? W Marsylii, gdzie nie znał nikogo poza Charlym Lucchesi?

Co więcej, to było całkowicie w stylu Barta. Ten glina, Wayne Sandborg, nie kropnął się. Dziwną miał intuicję. Jego przeczucia zrealizowały się w kilka godzin później. Jakie to szczęście, że sznur przerzucono przez spiłowany pręt. Spiłowany za pomocą pilnika i piłki, które Charly Lucchesi przyniósł mu w teczce pierwszego dnia po aresztowaniu. I pręt puścił! Gdyby nie to, już by grał w pokera w piekle z Nickiem, Hernandezem, Stonewallem, Frankiem D'Agriolą i wszystkimi innymi, których Barto kazał sprzątnąć.

Nagle opanowała go wątpliwość. A jeśli to ten policjant? Wayne Sandborg był tak dobrze zorientowany w jego przyszłym losie. Nie. Goni w piętękę. Dla glin żaden interes go likwidować. Przeciwnie, za jego pośrednictwem chcieli dotrzeć do Barta.

Nie ma innego wytłumaczenia. To sprawka Barta. Skurwiel! Oddał mu taką przysługę, uwalniając go od Nicka! Nawet nie dotrzymał przyrzeczeń! Musi się zemścić! Zdradził już Nicka, zdradzi Barta. Miał pewien pomysł co do sposobu, w jaki to przeprowadzi.

Otworzył oczy.

Lekarz w białym fartuchu pochylił się nad nim, badał go.

Kątem oka Joe widział Charlego Lucchesi w rozmowie z szefem

straży więziennej. Widocznie prosił adwokata o przetłumaczenie

rozmowy z Joem. Doktor pędzlował plamy na szyi, tam gdzie sznur

wszedł w ciało. Zrobił zastrzyk.

- Niech pan teraz śpi - zalecił odchodząc.

Joe LaCasa skorzystał, żeby zawołać adwokata. Chciał z nim

porozmawiać, zanim zastrzyk zacznie działać.

- Słucham - powiedział adwokat.

- Zbliź się pan.

Adwokat pochylił ku niemu twarz.

- Muszę stąd wiać - wyszeptał Joe. Charly Lucchesi nie ruszył

powieką. Czekał.

- Cena nie gra roli - dodał Joe.

Wiedział, że adwokat jest ohydnie sprzedajny, ale także bardzo

sprytny i zaradny; udało mu się przecież dostarczyć Joemu piłkę i pilnik

pierwszego dnia po uwięzieniu.

Prawie słyszał, jak mózg adwokata wystukiwał końcową kwotę.

- 200 tysięcy dolarów!

Joego zatkało. Nikt jeszcze nie słyszał, żeby ucieczka tyle

kosztowała!

- Jutro pan będzie wolny - sprecyzował Charly Lucchesi.

Joe LaCasa spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Jutro?

- Tak.

To było warte każdej ceny. W końcu to niedrogo, jeśli wziąć pod uwagę, że wychodząc z tego wstrętnego pudła uratuje życie i będzie mógł zemścić się na Barto. Czy nie odzyska swoich pieniędzy, jak Barto umrze?

- O. K.

- Pieniądze? - zapytał adwokat udając obojętność.

- Jak za pilnik i piłkę.

- Dobrze. Żeby mi pomóc, musi pan wnieść skargę u prokuratora w Pałacu Sprawiedliwości. Tam to się stanie. Niech pan będzie gotowy.

Joe LaCasa ziewnął. Zastrzyk robił swoje.

Eskortujący Joego czterej żandarmi otoczyli go szczelnie po wyjściu z furgonetki. Skierowali się wszyscy ku schodom Pałacu Sprawiedliwości.

Właśnie schodziła tamtędy grupa adwokatów w czarnych togach.

Dyskutowali z ożywieniem, kłócili się.

W ogniu dyskusji jakby nie spostrzegli zbliżających się Joego i strażników. Dwaj żandarmi skuci kajdankami z Joem chcieli skręcić w bok, żeby ominąć adwokatów. Nie zrozumieli, co się nagle stało.

Adwokaci wyciągnęli spod czarnych tog rozpylacze, podobne do używanych przeciw insektom. Nakierowali je wprost na twarze żandarmów i rozpylili płyn.

Żandarmi nie zdążyli wykonać ani jednego gestu. Oślepił ich żrący płyn: nozdrza, usta, płuca wypełniły odrętwiające opary. Ślaniai się na nogach.

Jeden z fałszywych adwokatów zbliżył się do Joego LaCasa. W

rękach trzymał grube nożyce. Przeciął kajdanki.

Joe, całkowicie osłupiały, poczuł, że chwytają go czyjeś ramiona i wpychają do samochodu. Natychmiast ruszyli. Wydawało mu się, że znajduje się pod działaniem narkozy. Do jego mózgu nie docierało, że jest wolny.

Spotkanie odbyło się na neutralnym gruncie, w sali bankietowej wielkiego paryskiego hotelu wynajętego na tę okazję przez Francois Lyończyka.

Dwaj mężczyźni nie ufali sobie wzajemnie. Joe LaCasa dlatego, że znał więzy łączące Francuza z Nickiem De Luką i myślał, iż tamten może chcieć pomścić śmierć przyjaciela. Francois, bo wiedział, że to Joe, zdradzając swego szefa, pozwolił Bartowi pozbyć się starego Nicka. I że spotkanie może być pułapką przygotowaną przez Sycylińczyka, żeby go zlikwidować - w ten sposób posunąć pionek na śmiertelnej szachownicy.

Usiedli naprzeciw siebie po obu stronach stołu. Za nimi goryle. Za Joem trzech bandziorów marsylskich dostarczonych przez Charly Lucchesi. Za Francois dwaj jego ludzie oraz Pierre Salvay udający obstawę.

Tych sześciu trzymało się dostatecznie daleko od stołu, żeby nie słyszeć słów wypowiedzianych między Joem a Francois. Ale w odpowiedniej odległości do strzału, gdyby zaszła taka potrzeba.

Spotkanie zainspirował Joe. Nawiązał kontakt z Francuzem zapewniając, że ma ważne rzeczy do zakomunikowania.

Z powodu wzajemnej nieufności zdecydowali się na to miejsce

spotkania, zapewniając sobie, jeden i drugi, maksimum bezpieczeństwa.

Zaczął Francois Lyończyk. Po angielsku:

- Jesteś dobrym sukinsynem, sprzedałeś swego szefa! A on ci głupio ufał. Jeszcze rni o tym mówił, jak spotkałem się z nim w Nowym Jorku.

Joe LaCasa nie wydawał się wcale speszony:

- Zostaw, to przeszłość! Są dużo ważniejsze sprawy.

- Jakie?

- Nick mi mówił przed śmiercią, że poszukujesz Barta Scalisio, żeby go zabić.

Francois milczał.

- To prawda? - nalegał Amerykanin. Francuz wahał się:

- Dlaczego pytasz?

Joe LaCasa westchnął.

- Wyjaśnię ci.

Opowiedział mu o dwóch kilogramach kokainy znalezionych w jego walizkach przez celników marsylskich i o próbie zabicia go w celi w Baumettes, wreszcie o swojej ucieczce dla uniknięcia pewnej śmierci.

- Oto, co znaczy być lotrem! - szydził Francuz. - Wcześniej czy później płaci się cenę za swoje świństwa. Wiedziałem o wszystkim, co mi tu opowiedziałeś.

- Nie w tym rzecz - odpowiedział Joe - teraz chcę się zemścić na Barto.

- I co zamierzasz robić?

- Bardzo chcę go sprzątnąć.

- Sam się do tego weźmiesz?

- Liczę na ciebie.

- Na mnie?

- Na ciebie i twoich przyjaciół.

- Jak ci ten pomysł przyszedł do głowy?

- Nick mi wspominał o tobie, mówiłem.

- Co ci dokładnie powiedział?

- Że chcesz sprzątnąć Barta, bo wchodzi na wasze podwórko, twoje i twoich przyjaciół, że zaangażowałeś zabójcę, który cię będzie kosztował milion dolarów, a raczej połowę, bo Nick dał ci 500 tysięcy jako swój osobisty udział, bo jemu też Barto chodził po piętach.

- Podał ci nazwisko zabójcy?

- Powiedział, że nie zna.

Francois odetchnął z ulgą. Rzeczywiście Nick DeLuca okazał się na starość zbyt gadatliwy i nieostrożny. Ale resztki rozsądku w ostatnim momencie ostrzegły go przed wymienieniem nazwiska Harry'ego Shulza.

- I wszystko opowiedziałeś Bartowi?

- Tak. I to go pchnęło, żeby załatwić Nicka.

- Musi się mieć na baczności, skoro wie, że zabójca jest na jego tropie.

- Barto zawsze ma się na baczności przed wszystkim i wszystkimi.

- Czego chcesz ode mnie?

- Żeby twój morderca go sprzątnął.

- Nie jesteś mi do tego potrzebny.

- Jestem.

- A to dlaczego?

Ironiczny błysk pojawił się w oku Joego.

- Czy twój typ odkrył, gdzie ukrywa się Barto?

- Nie twój interes.

- Powiem ci coś! Płacisz zawodowemu zabójcy milion dolarów, co oznacza, że to pewniak. O.K. Tylko że najlepszy nawet na świecie pewniak nie może nic zrobić, jeśli nie wie, gdzie jest Barto.

- A ty wiesz?

- Wiem, gdzie będzie 30 października.

- Gdzie? - W Iskenderun, w Turcji.

- Po kiego licha?

- Czekał. Barto ma trzy jachty, które żeglują po Morzu Śródziemnym. Nigdy nie wiadomo, na którym się znajduje, jeśli w ogóle tam się znajduje.

- Wiem.

- Ponadto mnóstwo melin na lądzie, gdzie kryje się po opuszczeniu jednego z jachtów albo helikopterem, albo motorówką. Ma pełno współników, w Turcji też.

- I to wiem od Nicka. Ale dokąd to nas prowadzi?

- Ta melina w Iskenderun to stary zamek warowny z czasów wypraw krzyżowych. Prawdziwa forteca. Nie do zdobycia. Tam właśnie będzie Barto 30 października.

- Dlaczego 30 października?

- Bo na ten dzień zwołał wszystkich ludzi, którzy harują dla niego w Europie. Chce ocenić sytuację i zorientować się, jak można przyspieszyć opanowanie Europy. Rozumiesz, to fajnie stale się ukrywać. Ale jak chcesz wydać rozkazy, sprawdzić, czy rozkazy są wykonywane, musisz działać za pośrednictwem osób trzecich. Nigdy nie jesteś niczego pewien, zwłaszcza używając radia. Tak właśnie jest z Bartem. Więc od czasu do czasu zwołuje wszystkich w jednej ze swoich melin i podsumowuje.

Zauważ, ja ci daję cynk w nadziei, że twój morderca zlikwiduje Barta, ale wątpię w to. Nawet jeśli to pewniak. Zamek warowny, przysięgam ci, nie do zdobycia. Zdaje się, że w tamtych czasach mieli takie sposoby budowania, żeby to przetrwało wieki. Francois zaczął być podejrzliwy.

- A ty skąd wiesz, że Barto będzie 30 października w tej tureckiej dziurze?

- W Iskenderun?

- Tak.

Joe wybuchnął śmiechem.

- Bo mnie też tam wezwał.

- Jeśli cię Barto wezwał - zapytał logicznie Francuz - to dlaczego miałby kazać cię zlikwidować w celi?

Joe LaCasa zmarszczył brwi.

- Dużo o tym myślałem - odpowiedział. - Istnieje tylko jedna możliwość: to był pretekst. Chciał mnie wyciągnąć z Nowego Jorku. Rozumiesz? Odkąd Nick pozwolił się wykończyć, nie udałoby się mnie sprzątnąć w Nowym Jorku!

- Nie możesz więc mieć pewności, że on będzie w tej swojej dziurze.

- Mogę.

- Dlaczego?

- Bo inni także tam będą.

- Inni?

- Których wezwał.

- Skąd to wiesz?

Joe zaśmiał się ironicznie.

- Pomyśl, nim wyjechałem z Nowego Jorku, sprawdziłem! Wyobraź

sobie, że niedowierzam Bartowi!

- Zgoda - przyjął Franpois. - Tylko powiedz mi jedno. Do 30

października jeszcze daleko. Tak się boisz opuszczać Nowy Jork, to

dłaczego wyjechałeś na tak długo przed wyznaczonym terminem?

- Jestem ostrożny. Powiedziałem ci, nie dowierzam Bartowi.

Chciałem pojechać i obejrzeć ten zamek warowny, zobaczyć, czy to nie

lipa albo podstęp. Pech chciał, że świnie podłożyli mi w Marsylii.

- Po co zatrzymałeś się w Marsylii w drodze do Turcji?

- Żeby zmylić trop. Ale Barto mnie przechytrzył. Byłem ostrożny

opuszczając Nowy Jork. Musieli mnie sprzedać.

- Wiesz co to jest bumerang?

- Nie.

- Kawalek drewna, który możesz rzucić w dowolnym kierunku, a on

wróci i wyrżnie cię w mordę.

Harry Shulz słuchał z obojętnością wymówek Francois Lyończyka.

Wreszcie Francuz się uspokoił.

- Dobra. Nie ma co zrzędzić - mrugnął okiem. - Jest coś nowego.

Harry Shulz zmarszczył brwi.

- Co?

- Wiem, gdzie będzie Barto 30 października. Powtórzył, co opowiedział mu Joe LaCasa.

- Tym razem bez fuszerki - podsumował surowym tonem.

Harry Shulz przytaknął, pogrążony w myślach.

ROZDZIAŁ XX

Poniedziałek, 2 września 1974

Minęło prawie dwa miesiące od powrotu Patricka Baudouina do

Paryża po usunięciu go siłą ze Stanów Zjednoczonych przez dwóch goryli z FBI.

Postawił już ostatecznie krzyżyk na Brendzie Chapman. Ani przez chwilę nie wierzył, że zakpiła sobie z niego. Przeczuwał natomiast, że została wmieszana w dziwne sprawy, w które on nie mógł wsadzić nosa.

Prawdopodobnie sama nie chciała, żeby się wtrącał do jej spraw. W przeciwnym wypadku ujawniłaby przed nim klucz do tajemnicy. Nie

uczyniła

tego

w

dwóch

zawitych

listach,

Z

niejasnymi

i

**nieprawdopodobnymi tłumaczeniami. Wysłała jeden z Kyrenii na Cyprze,
drugi z Bejrutu w Libanie. Nie odpowiedział na żaden. Po co?**

Błagała, żeby był cierpliwy, żeby spokojnie czekał w Paryżu.

Przysięgała, że przyjedzie, jak tylko skończy się jej podróż na Bliski

Wschód i że wtedy mu wszystko osobiście i szczegółowo wytłumaczy.

Z zalem postanowił skończyć tę przygodę. Czy w Paryżu mało jest

dziewcząt? Żeby zapomnieć Brendę, zaczął myśleć o napisaniu

scenariusza na temat swej komicznej eskapady do Nowego Jorku.

Scenariusza w wariackim stylu, który spodoba się Rosenfeldowi.

Patrick miał nadzieję, że przez ten szyderczy scenariusz ośmieszy

swoją nieszczęsną przygodę w Nowym Jorku i zniszczy w sobie uczucie,

jakie jeszcze zachował dla Brendy.

Scenariusz szedł dobrze. Patrick przedstawił już nawet pomysł

Rosenfeldowi. Producent zachwycił się.

Niestety

Patrickowi

brakowało

zakończenia,

miał

kilka

brawurowych scen, kilka atrakcyjnych kawałków, jak Clive - pederasta z

Christopher Street lub porwanie listu na poczcie głównej, ale zakończenia mu brakowało. To zresztą logiczne. Przecież jego przygoda została nagle przerwana. Dlaczego więc nie miałby szukać pointy?

Delikatna nić łączyła go z Brendą. Adres na kopercie, którą Kate Kitzpack zamierzała wysłać, kiedy jej tę kopertę wyrwał. Adres zanotował w notatniku. Wstał, żeby go znaleźć. Brzmiał: Miss Brenda Chapman, c/o Emil Hazrak, 112 Hamra, Bejrut, Liban. Przeczytał kilka razy. Wiedział, że te zabiegi są śmieszne, pretekst słaby: skończyć scenariusz. Co za naiwność!

Walczyły w nim dwa przeciwstawne uczucia. Zapomnieć całkowicie Brendę albo spróbować się dowiedzieć, kim była, co robiła i dlaczego tak się zachowuje. Znaleźć klucz do zagadki.

Skarcił siebie: już dość pieniędzy wydał w Nowym Jorku. Wiele głupstw tam zrobił. Nie będzie przecież zaczynał od początku. Wszystko dla jednej dziewczyny? Śmieszne. Skończyć scenariusz? Kiepska wymówka! Chce po prostu zobaczyć Brendę.

Postanowił poczekać jeszcze kilka dni, aż ostatecznie dojrzeje w nim decyzja. Ma do skończenia parę scen scenariusza.

Harry Shulz wybrał się do Niemiec zachodnich, do miasta, w którego pobliżu stacjonowały oddziały amerykańskie. Kupił od jakiegoś sierżanta lotnictwa chevroleta 1971. Model, jakiego szukał. Była to „kanadyjka” czy też “preria”, całkowicie wyekwipowana: miała łóżko, malutką lodówkę na baterie, najróżniejsze utensylia, sprzęt do kempingu i rybolówstwa.

W jednym z magazynów zrobił zakupy według listy przygotowanej poprzedniego dnia w hotelu. Uzupelniał to żywnością i wszystko ułożył w tylnej części chevroleta. Następnie wybrał się do salonu fryzjerskiego i kazał się ostrzyć w stylu wojskowym. Kupił jeszcze trochę rzeczy ubraniowych i ruszył w drogę.

Przejechał przez Austrię, Jugosławię, Bułgarię i, pięćdziesiąt kilometrów za Dimitrovgradem, dotarł do granicy tureckiej. Podróż zajęła mu dwa dni.

Bez problemów przekroczył granicę. Za Edirne skierował się na Stambuł. Tam spędził noc, nazajutrz przejechał przez Eskisenir, Konya i trafił do Adany. Przespał się i następnego dnia rano, bez pośpiechu, dojechał do Iskenderun, pokonując w dwie godziny 120 kilometrów dzielące Adanę od Iskenderun.

W pierwszej połowie września turystów było jeszcze sporo. Ale większość nie pozostawała dłużej niż dwa, trzy dni. Zgłosił się do biura turystyki, zakupił dokładną mapę regionu i zapytał o teren kempingu.

Wskazano mu jeden, ale gdy się tam udał, stwierdził, że jest przepelniony turystami, w większości Niemcami. Zawrócił z drogi i wynajął pokój w najlepszym hotelu w mieście, w Güney Palas. Zjadł suty lunch w restauracji pod gołym niebem. Hotel był położony około stu metrów od morza.

Po południu Harry Shulz objechał samochodem okolice Iskenderun. Upewnił się co do jednej rzeczy. W pobliżu był tylko jeden zamek warowny, na wierzchołku wzgórza, kilka kilometrów od

miasteczka Nargizlik.

Nazajutrz podjął rozpoznanie zbocza od strony zamku. Prowadziła tam wąska asfaltowa droga. Jechał powoli, dokładnie obserwując teren. Stoki wzgórz były urwiste jak strome brzegi morskie i całkowicie nagie, usłane od czasu do czasu odpadami skał. Tylko mały lasek, który przecinał drogę, urozmaicał nieurodzajne zbocza. Inna droga do zamku nie istniała. Przejazd tędy był więc nieunikniony.

Na samym szczycie wzgórza wznosił się zamek. Potężna bryła, nie do zdobycia, wysokie mury, czworoboczne wieże. Upiływające wieki nie pozostawiły na nim żadnego śladu. A może Barto Scalisio odrestaurował zamek? - zastanawiał się Harry Shulz.

Słońce paliło mocno i nagrzewało dach samochodu. Na szczęście droga wchodziła w las.

Nie przejechał nawet stu metrów, gdy musiał raptownie zahamować. Drogę zamykał szlaban, strzeżony przez wielu ludzi. Mieli wygląd nieokrzesanych górali. Nosili duże, zwisające wąsy. Stopy i łydki gołe, ogromne bufiaste spodnie. Przypominali anatolijskich górali. W rękach trzymali karabiny.

Harry Shulz zatrzymał wóz i wychylił się przez okno. Podniósł rękę z przyjacielskim pozdrowieniem.

- Dzień dobry - wykrzyknął wesoło po turecku. Nikt mu nie odpowiedział. Jeden, wyglądający na szefa, podszedł z bronią wycelowaną w samochód. Shulz, uśmiechnięty, udawał, że nie widzi karabinu.

- Czego pan chce? - rzucił ostro jeden z ludzi. Harry znów się uśmiechnął.

- Turysta.

Człowiek potrząsnął głową wskazując lufą karabinu kierunek, z którego nadjechał Szulz.

- Niech pan stąd odjeżdża - nakazał sucho.

Harry Szulz ocenił sytuację: nie miało sensu naleganie, nie był najmocniejszy. Bez najmniejszego śladu irytacji zawrócił, pozdrowił ludzi i odjechał.

Ruszył wprost nad brzeg. Wybrał odosobnione miejsce i poszedł wykąpać się w morzu. Letnia woda orzeźwiła go i pomogła w myśleniu.

Płynął kraulem, potem na wznak, wreszcie schronił się na wąskim skrawku piasku między dwiema skałami.

Najpierw pogratulował sobie swoich zdolności do języków, i to od najmłodszych lat, kiedy włóczył się po ulicach Hell's Kitchen, pełnych chłopaków, których rodzice przybyli ze wszystkich stron świata.

Nauczył się włoskiego, niemieckiego, francuskiego, szwedzkiego, rosyjskiego, polskiego, idisz, hiszpańskiego, greckiego, tureckiego.

Oczywiście, nie w sposób akademicki, ale wystarczający, żeby w każdym biegle rozmawiać. Później w czasie licznych podróży poznał trochę chińskiego, malajski, portugalski i węgierski. Prawdziwy poliglota. Gdyby mu się przydarzy! jakiś wypadek w zawodzie, mógłby się zaangażować jako recepcjonista hotelowy - śmiał się z siebie..

Cień dwóch skał chronił go przed żarem słonecznym. Z tego miejsca

mógł obserwować zatokę, przy której przycupnęło miasto i port Iskenderun. Wokoło miasta leżał mały skrawek ziemi i zaraz za nim pierwsze zbocza wysokich gór masywu Taurus. A naprzeciw portu, naprzeciw miasta, naprzeciw gór eskadra okrętów wojennych, głównie niszczyciele, torpedowce, kontrtorpedowce, powracające z Cypru albo gotowe tam się udać.

Cypr!

Przypomnił sobie mapy Europy i Azji. Studiował je przed podróżą z Niemiec do Iskenderun. Czyż północno-wschodni cypel Cypru nie znajduje się w odległości najwyżej dwustu kilometrów od Iskenderun? To byłoby w tej samej strefie, w jakiej krążył jacht Barta Scalisio.

Przynajmniej przed starciami grecko-tureckimi na Cyprze. Okolica sprzyjała planom Barta. Nie będąc zbyt daleko, mógł się schronić u swoich kumpli w Turcji, na Cyprze, w Libanie i w Syrii, a nawet w Izraelu.

Nie wspominając o granicach lądowych, które mógł dowolnie przekraczać. Iskenderun znajdował się 80 km od granicy syryjskiej.

A Barto Scalisio z dziesiątkami paszportów, wyścielającymi dno walizki, przekraczał granice bez trudu.

Problem na razie sprowadzał się do jednego: znaleźć sposób sprzątnięcia Sycylińczyka. Kłopot w tym, że przedsięwzięcie nie wydawało się wcale łatwiejsze teraz niż poprzednio. Jeśli nie trudniejsze. Barto musiał się strzec. Czy zorientował się w nieudanym zamachu w Singapurze? I jak to się stało, że wtedy podróżował bez obstawy? On, przedmiot takiej nienawiści! Na całym świecie zastępy typów czekały

gotowe, żeby dobrać się do niego. Chyba że to jakaś wielka przebiegłość?

Cokolwiek powiedzieć, Barto był potężny. Tak potężny jak ten zamek.

Prawdziwa forteca, nie ma szansy, żeby się do niej zbliżyć. Zbiry

Barta trzymały straż w okolicy. Bezcelowa wydawała się nawet próba

wspinaczki po zboczach wzgórza w bezksiężycową noc. Kto wie, czy

okolica nie była nadziana minami?

Trzeba znaleźć inny sposób i to znaleźć szybko, bo Francuzi się

niecierpliwą. Mają zresztą rację. Sprawa przeciągała się. Ale czyja to

wina? Ich.

Z początku wcale się nie chciał zgodzić na ten “kontrakt”. Barto

Scalisio nie należał do tych, których się sprząta na rogu ulicy. Był nawet

trudniejszy do likwidacji niż znieawidzony dyktator którejkolwiek z

nowo powstałych republik.

Jeśli Harry’emu nie uda się go zabić, trzeba będzie się pożegnać z

milionem dolarów i z reputacją. Pozostanie mu tylko udać się do

Mai-Ling i przyjąć jej ofertę: amant w dzień i w nocy, a w każdej chwili

zabójca z patentem.

Do czasu, aż go nie wyrzuci jak zużytej prezerwatywy i każe swoim

bandzirom go sprzątnąć. Żeby tylko nie kazała im najpierw popróbować

na nim różnych sztuczek, których tajemnice Chińczycy dobrze znają. Na

przykład agrafka w przegrodzie nosowej albo mały szczur włożony do

odbytnicy. Zwierzę toruje sobie drogę przez jelita w poszukiwaniu

powietrza.

Można liczyć na kobiety, póki cię darzą sympatią, ale kiedy się

kończy...

Lepiej nie myśleć i poświęcić się Bartowi Scalisio. I to szybko.

Znów się wykapał w morzu, wysuszył w słońcu i wsiadł do samochodu.

W ciągu następnych dni zbierał dyskretnie informacje na temat zamku i jego mieszkańców. Ale bilans zebranych wiadomości był wąty.

Przed kilkoma laty, w okresie poważnych trudności finansowych, rząd turecki wystawił na sprzedaż pewną liczbę zamków i dawnych rezydencji stanowiących dziedzictwo narodowe. Ktoś zakupił i ten, zwany przez okolicznych mieszkańców zamkiem Nargizlik. Jakiś szaleniec, utrzymywali niektórzy.

Nigdy go nie widziano. Nie pokazywał się w Iskenderun. Niekiedy jednak na drodze dojazdowej ukazywały się samochody. Czasem także jedna z kobiet z zamku robiła zakupy w mieście lub szła do fryzjera. Ale rzadko.

Może dwa, trzy razy do roku. Podobnie rzadko przybywali goście.

Ludzie o zakazanych twarzach.

Na straż zamkową krzywo patrzyła miejscowa ludność. Strażnikami byli anatolijscy chłopci, o surowych obyczajach, nieokrzesani, tak rozmowni jak grobowiec. Na ich konto szły nie wyjaśnione zniknięcia, głównie dzieci, nadmiernie ciekawych, wałęsających się po zboczach wzgórz. Policja nie reagowała. Właściciel zamku korzystał widocznie ze szczególnej ochrony. Wyższej ochrony, w Ankarze, w stolicy.

- A zaopatrzenie? - pytał Harry Shulz.

Odpowiadano mu, że kupcy dostarczali żywność do szlabanu, tego, na który on sam się natknął. Tam towary odbierali strażnicy, płacąc skrupulatnie należność. Od tej strony nie pojawiały się skargi.

Mieszkańcy fortecy nie byli skąpi. Przeciwnie.

Harry Shulz, stawiając te wszystkie pytania, przedstawiał się jako profesor uniwersytetu na wakacjach, miłośnik zabytków. Tworzeniu tej osobowości bardzo sprzyjał obecny wygląd Harry'ego. Włosy ostrzyżone na modłę wojskową, okulary w złotej oprawie, wytarte dżinsy, buty na sznurkowej podeszwie, subtelny i rozmarzony wyraz twarzy.

Ktoś go namówił do odwiedzenia konserwatora sztuki. Był podobno rozgoryczony sprzedażą fortecy i nie piastował już swojej funkcji.

Uważano, że mógłby dostarczyć wyczerpujących wiadomości o zabytku.

Ale konserwator nie wiedział nic albo prawie nic szczególnego.

Poprzestał na wyrażeniu urazy do władz i skierował Shulza do starego katolickiego księdza.

Znalazł go w głębi plebanii wśród woni zbutwiałych ksiąg i stęchlizny.

Nazywał się ojciec Chennault i był Francuzem. Dobiegał pięćdziesiątki, ale trzymał się nadal prosto. Długie, śnieżnobiałe włosy, bardzo gęste, okalały szczupłą, ascetyczną twarz o przezroczystej skórze. Miał niebieskie oczy. Nosił polataną sutannę, szeroko rozpiętą na chudej klatce piersiowej.

Na widok Harry'ego Shulza twarz księdza rozjaśnił uśmiech szczęścia.

- Przysłała cię Watykan, mój synu? - zapytał miłym tonem.

Harry Shulz powinien był mu odpowiedzieć, że to raczej diabeł z piekła rodem go przysłał.

- Nie, mój ojciec - odpowiedział pokonując ironię.

- Szkoda.

- Dlaczego, ojciec?

- Watykan o mnie zapomniał.

- Zapomniał?

- Tak. Żyję w Iskenderun od sześćdziesięciu ośmiu lat, a od piętnastu, powiedzmy, jestem tu sam. Wszyscy inni ojcowie wrócili do Rzymu, ja zostałem tutaj, żeby opiekować się wiernymi i kościołem.

- Rozumiem.

- Ale szeregi wiernych maleją tak szybko... A ja tu jestem ciągle... I Watykan o mnie zapomniał... Nie ma wiadomości, nie ma wskazań, nic...

Może ich już nie interesuję? Taki starzec. Co pan o tym myśli, mój synu?

- Nie wiem, ojciec.

- Dlaczego pan do mnie przyszedł, mój synu?

- Chciałbym zebrać wiadomości na temat twierdzy Nargizlik.

- Twierdza Nargizlik? To moja miłość! Niech pan siada, mój synu.

Starego księdza opanowało nagle podniecenie.

- Jest bardzo gorąco. Ma pan pot na czole. Zanim porozmawiamy o zamku, napijemy się czegoś.

Zniknął i po chwili wrócił niosąc w swych chudych palcach odkorkowaną butelkę wina i szklanki.

- To wino sam robię - zauważył napełniając szklanki.

- Sam? - zdziwił się Shulz.

- Tak. Pochodzę z burgundzkiej wsi. Za moich młodych lat robiono wino ugniatając winogrona nogami. Stosuję do dziś tę samą metodę.

Winogrona kupuję na targu i mam własne wino.

Harry Shulz przełknął ślinę. Choć bardzo wiele podróżował po świecie, zachował kategoryczne nakazy amerykańskiej higieny.

Zastanawiał się, czy stary proboszcz myje nogi przed ugniataniem winogron. Niechętnie, ale jednak wypił łyk wina. Było znakomite.

- Dobrze pan zrobił przychodząc do mnie - przyznał serdecznie ojciec Chennault. - To właśnie ja mogę panu pomóc. Co dokładnie chce pan wiedzieć?

- Wszystko.

- Widzi pan, mój synu, poświęciłem znaczną część życia na szukanie śladów przejścia krzyżowców przez ten region. Czym się pan zajmuje w życiu?

- Jestem profesorem.

- Bardzo dobrze. Wie pan zatem, że Iskenderun to dawna Aleksandretta krzyżowców, nazwana tak od imienia Aleksandra Wielkiego. Iskenderun to po turecku Aleksander. Tutaj wódz utrzymywał tyły, kiedy przedsięwziął wyprawę przeciwko Persom, w tutejszym porcie wylądowywano posiłki przybywające z Grecji. Później, mam na myśli wiele, wiele wieków później, krzyżowcy zajęli Aleksandrettę, a bardziej na południu założyli księstwo Antiochii. Przetrwało ono blisko dwa wieki.

Czy pan wie, że niedaleko stąd utonął Fryderyk Barbarossa podczas trzeciej wyprawy krzyżowej?

Harry Shulz wyraził zdziwienie.

- Ach, tak?

Wszystko, co wiedział o wyprawach krzyżowych, pochodziło z filmu Cecila B. De Milla z Loretą Young. Widział ten film w dzieciństwie, ale powtarzała go niedawno telewizja NBC. Zapamiętał nawet jedno imię.

Rzucił na chybił trafiał.

- Ryszard Lwie Serce?

- Tak! - krzyknął ojciec Chennault, zachwycony. -Widzę, że pan jest erudyta w kwestii wypraw krzyżowych.

Harry skromnie spuścił oczy.

- Istotnie - przyznał ksiądz - Ryszard Lwie Serce brał udział wraz z Fryderykiem Barbarosą i Filipem II Augustem w trzeciej wyprawie. I to właśnie Filip II August kazał zbudować “krak”, o którym pan wspominał przed chwilą.

- “Krak”?

- Ten wyraz pochodzi z arabskiego “karak” i oznacza zamek warowny. Krzyżowcy nazywali w ten sposób swoje ufortyfikowane obiekty. Budowali je jako szanse przeciw inwazji Turków. Interesujący pana “krak” został w tym celu wzniesiony.

- Jak sobie przypominam, wszystkie warowne zamki miały tajemnicze podziemne lochy, przez które oblężeni mogli uciekać? - napomknął obojętnym tonem Harry.

- Rzeczywiście.

- W tym także są?

Ojciec Chennault uśmiechnął się.

- Niech pan poczeka.

Podniósł się i zaczął grzebać w stosie starych zakurzonych ksiąg w rogu pokoju. Po dobrym kwadransie oświadczył z rozjaśnionym obliczem.

- Oto, czego panu potrzeba. Proszę. Wręczył mu gruby papier pokryty kurzem.

- Cóż to takiego?

- Strawiłem lata na poszukiwaniach, nim to sporządziłem. To jest plan. Plan labiryntu podziemnych korytarzy prowadzących do “kraka” lub z niego, zależnie w którą stronę odwróci się papier.

- Fantastyczne!

- Miał pan słuszną podnosząc ten problem. Krzyżowcy zbudowali labirynt korytarzy, żeby wydostać się z zamku w razie długiego oblężenia.

Harry Shulz uważnie studiował plan.

- Ale jak ojcu udało się go odtworzyć?

- Z pomocą starych pergaminów z epoki, zachowanych w Jerozolimie. Miałem do nich dostęp dzięki pewnemu zaprzyjaźnionemu księdzu i dzięki uprzejmości poprzednika obecnego konserwatora sztuk pięknych, który był w posiadaniu dokumentów z XIV wieku. Wreszcie przez własne prace wykopaliskowe.

- Ile czasu ojciec poświęcił, żeby nakreślić ten plan?

- Około dwudziestu lat.

Shulz wydał okrzyk podziwu.

- Jeśli to pana interesuje, proszę wziąć, mój synu. Mnie niepotrzebny. To jest zresztą kopia. A co ja z tym zrobię w moim wieku?

W naszych czasach już nikt się tym nie interesuje. Bardzo się cieszę, że mogłem pana poznać.

- Dziękuję, mój ojcie. Ten dokument jest rzeczywiście fascynujący.

Może go wykorzystam, żeby przejść śladami krzyżowców.

- Nie dokończy pan wina?

Harry spojrział na swoją szklankę. Zaledwie ją tknął. Nie chciał sprawić przykrości staremu księdzu, ale oczami wyobraźni widział las brudnych stóp ugniatających tony winogron i ogarnęły go mdłości.

- Dziękuję, ojcie, zwykle piję tylko wodę.

Ojciec Chennault odprowadził go przez kościół i objaśnił motywy witraży. Harry Shulz skorzystał z jego chwilowej nieuwagi, żeby wsunąć do skarbonki dla biednych plik 50-dolarowych banknotów. Może te pieniądze pozwolą ojczulkowi na kupno nowej sutanny? I wina butelkowego? A może ta ofiara jemu samemu przyniesie odpust za śmierć, której nadejście przyśpiesza. Jeśli niebo istnieje, w co zresztą nie wierzył.

- Do widzenia, mój synu. Niech pan wróci jeszcze do mnie, jeśli znajdzie pan czas...

- Na pewno, ojcie. Do zobaczenia.

Wyszedł z kościoła, wsiadł do chevroleta, rozłożył plan. Porównał go z mapą regionu zakupioną w biurze turystycznym i po dokładnym

ustaleniu, dokąd powinien się udać, ruszył w drogę.

Wyjechał z miasta w stronę wsi położonej na szczycie wzgórza, naprzeciw tego, na którym wznosił się zamek Nargizlik. Wioska nazywała się Sogokuluk. Droga była wysadzana oleandrami. Wraz z wysokością upał stawał się mniejszy.

Znalazszy się w wiosce dokładnie się rozejrzał i zapuścił w małą, wąską drogę, pełną dziur. Przejeżdżał przed dużym budynkiem o surowym wyglądzie. Na zewnątrz rozstawione były krzeselka i stoliki ogrodowe. Zahamował i postanowił ugasić pragnienie.

Na frontonie domu widniał napis wielkimi, złożonymi literami, częściowo wytarty: Instytut Świętej Elodii z ...

Stał zdziwiony, ale wszedł do środka. Siedzieli tam mężczyźni i kobiety. Obrzucili wchodzącego ciekawymi spojrzeniami. W głębi, na brudnej ścianie, widać było jeszcze miejsce, gdzie przez dziesięciolecia wisiał krucyfiks.

Harry Shulz rozejrzał się, oszacował osoby znajdujące się w pomieszczeniu, szybko wyszedł i wybuchnął śmiechem. Stary szacowny instytut przemienił się w burdel.

Wypił dwie butelki piwa i wrócił do wozu. Zjechał w wąską dróżkę, stanął u stóp pagórka. Zaparkował samochód na ścieżce. Wskazówki ojca Chennault były całkowicie przejrzyste. Z łatwością znalazł drogę.

Posuwał się zygzakami przez rumowisko skał, upewniwszy się, że nie jest widoczny z "kraku". Przeszedł rozległą otwartą przestrzeń morderczo nasłonecznioną. Następnie natknął się na tak gęste krzaki

cierniowe, że zostawił na nich znaczną część kosztów. Mocno podrapany dotarł wreszcie na niewielką polanę. Tam wypoczął. Rozwinął na nowo plan, ustalił położenie: był na dobrej drodze. Szkic wskazywał ścieżkę prowadzącą do zagajnika.

Wędrując dróżką zobaczył przed sobą zagajnik. Wtedy spostrzegł, że zgubił potężną latarkę elektryczną z wyposażenia chevroleta.

Musiał zawrócić. Znalazł latarkę w krzakach. Złany potem dotarł z powrotem do zagajnika. Okrążył go od strony przeciwnej w stosunku do wzgórza, na którym wznosił się zamek i znalazł to, czego szukał: źródło tryskające z ogromnej skały, pokrytej zielonym mchem.

Ukląkł, wypił kilka haustów wody, przeczołgał się na skałę, odsuwając gęste zarośla. Zawadził nogą o stos oberwanych głazów.

Przetoczył je z trudem, kawałek po kawałku. Udało mu się wreszcie odsłonić otwór w skale. Rączką latarki odgarnął piasek powiększając w ten sposób wejście. Stwierdziwszy, że jest odpowiednio duże, wśliznął się w głąb. Wyleciały oszołomione nietoperze. Przejście było za niskie, żeby stanąć. Musiał pełzać.

Po dwudziestu minutach dotarł do groty. Tam mógł się wyprostować. Zapalił latarkę. Powietrze było rozrzedzone. Zasapał się trochę. Spojrzał dokoła, poszedł na lewo wąskim korytarzem, który lekko się wznosił, często skręcaj rozszerzał się, zwężał bez widocznej przyczyny.

Ziemia była poorana, nierówna. Harry Shulz wielokrotnie się potykał, raz omal nie upadł jak długi. Czuł się zmęczony. Serce mu waliło, miał zawroty głowy.

Wtedy właśnie w potężnym strumieniu światła latarki ukazała się zaporą z głazów. Całkowicie tarasowała korytarz. Dotknął bloków skalnych. Próbował poruszyć jednym, ale bez powodzenia. Były solidne umocowane, ryzykował, że wszystko runie.

Czuł narastające zmęczenie. Postanowił wyjść i wrócić nazajutrz z narzędziami. Wtedy zobaczy, co będzie można zrobić.

Ale następnego dnia zdał sobie sprawę, że jego diagnoza była słuszna. Jeśliby spróbował poruszyć jeden element, cała zaporą zwali się na niego.

Zamek warowny był rzeczywiście nie do zdobycia i Barto Scalisio mógł w nim spokojnie spać!

ROZDZIAŁ XXI

Czwartek, 12 września 1974

Bejrut, 9 września

Kochany!

Musisz być wściekły na mnie. Ani słowa od Ciebie. Nic...

Przypuszczam, że moje wyjaśnienia nie przekonały Cię. Nie mam żalu, ale gdybyś wiedział!...

To, co robię, robię wbrew mojej woli. Ale muszę to robić. Gdyby nie, byłabym z Tobą.

Strasznie się boję, że Cię stracę. Me śmiem postawić sobie pytania: czyżbym Cię już straciła?

Błagam, powiedz, że nie muszę zadawać sobie tego pytania. Może dlatego po prostu nie piszesz, że jesteś bardzo zajęty swoimi

scenariuszami? Czy to jest powód? Tak bym chciała!

Kilka słów od Ciebie sprawiłoby mi wielką przyjemność. Błagam!

Możesz pisać wprost tutaj do Bejrutu. Przecież masz mój adres, wyrwany tak śmiało z torebki Kate. Mógłbyś chyba napisać scenariusz o swoich przygodach w Nowym Jorku. Proszę, napisz do mnie.

Kocham Cię tak mocno jak przedtem, a nawet jeszcze bardziej.

Brenda

Co chciała powiedzieć przez “robię to wbrew mojej woli”? Od czasu podróży do Nowego Jorku wiedział, że Brenda jest zamieszana w coś podejrzanego, ale w co?

Bejrut miał złą sławę. Centrum wszelkiego nielegalnego handlu najróżniejszego rodzaju. W co więc była zamieszana Brenda? Narkotyki, broń, handel żywym towarem? Może morderstwo?

Skoro jednak w Nowym Jorku wkroczyli w tę sprawę gliniarze z FBI, musi to być tajne, ale legalne. Na pewno więc nic wspólnego z narkotykami, handlem żywym towarem, bronią czy morderstwem. Raczej wywiad... To by wyjaśniało wszystkie te podróże zagraniczne.

Praca w agencji podróży stanowi niezłą przykrywkę dla działalności wywiadowczej.

Wywiad! Znalazł.

Brenda, wbrew swej woli, została zwerbowana do wywiadu. Na początku może rzeczywiście pracowała w agencji podróży. Ale później, pewnego dnia, zaproponowano jej w ramach pracy zebranie kilku informacji. Wyraziła zgodę, i w ten sposób znalazła się w błędnym kole.

Potem ją szantażowano, zmuszono do kontynuowania. Wpadła w potrzask, ale dobrze jej płacono. Tym można by tłumaczyć luksusowy apartament przy Lexington Avenue. A jeszcze później powierzono jej misję specjalną, supertajną.

Ta misja zawiodła ją do Paryża, gdzie się poznali, następnie do Rio de Janeiro, na Cypr, do Bejrutu... Prawdziwy adres Brendy musiał być zachowany w tajemnicy. Więc jej szefowie ukartowali sposób ze skrzynką na listy na Christopher Street, gdzie nigdy nie mieszkała: adres grzecznościowy. Wszystko wydawało się logiczne.

W przeciwnym wypadku Kate, kiedy jej złożył wizytę, nie powiedziałaby mu (pamiętał jej słowa, jakby to było wczoraj): “Dam panu dobrą radę i bardzo namawiam, żeby się pan do niej zastosował: proszę wracać do Paryża i czekać na wiadomość od Brendy. Ona panu wytłumaczy. Ja nie mam nic do powiedzenia. Zapewniam pana. Proszę stąd wyjechać. Nowy Jork jest dla pana niebezpieczny...”

Kate Kitzpack wiedziała, czego się trzymać: także była agentką CIA, podobnie jak Brenda. Z tą tylko różnicą, że Brendę zmuszono.

CIA...

Nagle doznał olśnienia. CIA!

Czy to nie CIA oskarżano o spowodowanie zamachu stanu, który obalił prezydenta Makariosa na Cyprze?

W tym czasie Brenda znajdowała się na Cyprze. Wysłał przecież list do Nikozji na kilka dni przed zamachem stanu. Odnalazł klucz do zagadki!

Powierzona jej tajna misja polegała na udziale w zamachu stanu, który obalił prezydenta republiki cypryjskiej. Nie ona oczywiście organizowała zamach. Nie wyobrażał sobie Brendy w tej roli. Ale na pewno była łącznikiem między CIA i cypryjską gwardią narodową. To łatwe, kiedy się przemierza świat w imieniu biura podróży.

Ale że sprawa cypryjska była daleka od uporządkowania (dzienniki ciągle informowały obszernie o starciach między Grekami i Turkami), zmuszono Brendę, żeby tam pozostała. Bardzo proste. Wywiad. Oto fantastyczna pointa jego scenariusza! Dlaczego więc nie pojechać do Bejrutu. Zamiast pisać do Brendy na bejrucki adres, jak sugerowała, po prostu tam się wybrać i zobaczyć na własne oczy, jakiej działalności się poświęciła. Porozmawiać z nią, odkryć przyczynę. Bejrut nie leży wprawdzie na Cyprze, lecz w Libanie. Można jednak sądzić, że Amerykanie nie pozwoliliby swojej agentce, skompromitowanej w zamachu stanu, wałęsać się po Cyprze, gdzie ich własny ambasador został zabity. Tacy idioci nie są. I to wyjaśnia, dlaczego Brenda nie jest na Cyprze, lecz w Libanie.

Przydała mu się wyobraźnia scenarzysty. Dzięki niej odtworzył całą sprawę. Musi jechać do Bejrutu, żeby doprowadzić do końca swój scenariusz.

W głębi duszy Patrick wiedział, że prawdziwy powód jego podróży to nieprzeparta chęć zobaczenia Brendy. Nie miał złudzeń, ale nie chciał sam przed sobą się przyznać.

Harry Shulz odwiedzał już siódmego dentystę w Iskenderun. U

pierwszych sześciu spotkało go fiasko.

Po niepowodzeniu w podziemiach zamku, przypomniał sobie o informatorce Toniego Parygorisa. Toni uważał, że z jej pomocą można dotrzeć do Barta Sealisio. Najpierw trzeba ją odnaleźć. Co o niej wiedział? Zachował rachunek znaleziony przy zwłokach Toniego. Przeczytał raz jeszcze: Miss Baricha Cloakman winna za leczenie zębów. Kwota 33 funty cypryjskie (trzydzieści trzy). To wszystko.

Co mówił na temat leczenia Toni Parygoris? Dentysta zatruł ząb, miał wyjmować nerw... Ale widocznie skończył leczenie. Inaczej Toni nie wypisałby tak wczesnie rachunku albo też Baricha Cloakman miała jeszcze przyjść na jedną wizytę, ostatnią. Wtedy wręczyłby jej rachunek napisany po angielsku (dentysta nie znał angielskiego, jak mówił Grek, i z tego powodu on służył za tłumacza) przez Toniego Parygorisa. To by mogło znaczyć, że Baricha Cloakman skończyła leczenie. Ponadto sprawa pochodziła z końca lipca, a teraz jest wrzesień. Od tego czasu Baricha Cloakman miała mnóstwo okazji, żeby sobie dać wyjąć nerw z zęba, jeżeli nawet dentysta z Kyrenii nie mógł skończyć leczenia z powodu lądowania oddziałów tureckich.

Ale gdzie to zrobiła? Może właśnie w Iskenderun? A może ma także inne zęby do leczenia?

Harry Shulz wiedział z własnego doświadczenia, że jak się raz postawi nogę u dentysty, nie ma końca. Zastanawiał się ponadto, czy na ząb, po usunięciu nerwu, nie nakłada się przypadkiem korony. A to zajmuje czas.

Odwiedzając wszystkich dentystów w Iskenderun, miał więc szansę odnalezienia Barichy Cloakman. Ale dziewczyny może nie być w tym mieście. Może pływać na pokładzie jednego z jachtów Barta Scalisio.

Mimo wszystko trzeba próbować.

U pierwszych sześciu dentystów przedstawiał się jako przyjaciel

Barichy Cloakman. Ale nie umiał jej opisać. Wiedział tylko, że jest ładna i mówi po angielsku. Tyle co nic. Nawet w Iskenderun ten niejasny opis mógł odpowiadać wyglądowi wielu dziewcząt. Nazwisko sugerowało, że jest Amerykanką, Angielką lub Kanadyjką, Australijką, Nowozelandką.

Otchłań...

Dentyści potrząsali głowami, udawali, że się zastanawiają i wyrażali żal: nie znali panny Barichy Cloakman.

Po wizycie u piątego dentysty Harry Shulz był trochę zniechęcony.

Ale przypomniał sobie zdanie wypowiedziane przez Toniego Parygorisa:

“Możliwe, że będzie musiała dać sobie wyrwać dwa lub trzy zęby...”. To przypomnienie dodało mu nadziei. Wtedy leczenie byłoby dłuższe, po ekstrakcji nakłada się mostek...

U siódmego dentysty Harry’ego powitał jakiś wyrostek. Z

uśmiechem wskazał mu drzwi do poczekalni w końcu korytarza. Z pokoju położonego między drzwiami wejściowymi a poczekalnią dochodził świst maszyny do borowania. Drzwi były uchylone.

Harry Shulz podszedł bliżej. Stał przed gabinetem dentystycznym i rzucił okiem do wnętrza. Na białym stoliku leżała damska torebka.

Harry zaobserwował wszystkie detale.

Torebka luksusowa, z krokodyla. U Hermesa musiałaby kosztować ze 300 dolarów. Monogram, dwie duże złote litery :BC.

Harry nie wierzył własnym oczom; BC! Baricha Cloakman!

Odszedł od drzwi i nadział się na chłopaka. Uśmiechnął się do niego. Udał, że o czymś zapomniał:

- Zaraz wracam - szepnął mu do ucha. Zrobił porozumiewawczą minę i wyszedł.

Na półpiętrze stanął, zapalił papierosa i spokojnie czekał. Trwało to kwadrans. Usłyszał nad sobą zamykanie drzwi i stuk obcasów na stopniach. Ukazała się piękna blondynka, w koszuli i spodniach, z krokodylową torebką na ramieniu. Harry sprawdził monogram: BC.

Na jego widok zatrzymała się, potem przeskoczyła schodek.

Wyciągnął ramię i zagroził jej przejście.

- Panna Baricha Cloakman? Drgnęła.

- Ja w sprawie pani starego długu. Uśmiechnęła się miło.

- Długu?

Wyciągnął z kieszeni rachunek napisany przez Toniego.

- Za leczenie zębów w Kyrenii. Trzydzieści trzy funty cypryjskie.

Przypomina pani sobie?

Wzięła papier i ledwo rzuciła na niego okiem.

- Pamiętam.

Patrzyła zaciekawiona.

- Kim pan jest?

- Przyjacielem tego, komu opowiadała pani o swoich kłopotach.

Zmrużyła oczy.

- Nie musi pani teraz płacić. Później. Chciałbym najpierw z panią porozmawiać.

- Na schodach?

- Nie. Chodźmy gdzieś.

- Wykluczone.

- Dlaczego?

Wyglądała, jakby się nagle przeraziła.

- Ktoś na mnie czeka.

Umysł Harry'ego zaczął intensywnie pracować. Kto na nią czeka?

Barto Scalisio?

Nie. Mało prawdopodobne. Nie pokazuje się zwykle w mieście.

Raczej obstawa. Mogą zawiadomić szefa, że dziewczyna spotkała się z nieznajomym.

- Dziś wieczór? - zaproponował patrząc jej głęboko w oczy.

- Dziewiąta, dziś wieczór, w Güney Palas - szepnęła.

- Zna pan?

To była nazwa jego hotelu.

- Tak.

- W restauracji. Niech pan wybierze jakiś zaciszny kącik.

Schowała do torebki rachunek i zbiegła po schodach.

Harry Shulz czekał ukryty za wielką ciężarówką załadowaną

pustymi skrzynkami. Z tego miejsca widział jedyne wejście do restauracji.

Nie ufał spotkaniom w barach i restauracjach. A przygodę z Katzolakisem

w Atenach miał jeszcze żywo w pamięci. Nakazywała ostrożność.

Było już po dziewiątej, ale Baricha jeszcze się nie zjawiała. Dla zabicia czasu zapalał papierosa od papierosa. Ze swojego punktu obserwacyjnego widział głowy jedzących ponad murkiem, który otaczał restaurację.

Nagle usłyszał silnik. Odwrócił głowę. Zza rogu wyłonił się wielki mercedes. Stał przed wejściem.

Za kierownicą siedziała Baricha Cloakman. Sama. Podczas gdy Baricha wysiadała z samochodu, rzucił okiem za oparcie przednich siedzeń.

- Brak zaufania?

- Nigdy nie wiadomo. Zatrzasnęła drzwiczki.

- Niech pani zaparkuje samochód tam, w tej spokojnej uliczce - nakazał krótko. - Nie ma sensu pokazywać się w restauracji, jeśli pani się czegoś obawia. Jadła pani?

- Tak.

Usiadła z powrotem za kierownicą i zrobiła to, co jej kazał. Kiedy wróciła, dał znak, żeby zajęła miejsce obok niego w chevrolecie, i ruszył.

Nic nie mówiąc zawiózł ją nad brzeg morza, tam gdzie się kąpał przed kilkoma dniami.

- Romantycznie - skomentowała z ironią, kiedy się zatrzymał i powiedział, żeby wysiadła.

- Spokojne miejsce. Możemy swobodnie porozmawiać.

- Ach, tak? Myślałam, że zrobimy użytek z łóżka. Trzyma je pan tam,

w tyle wozu? - drwiła.

Uśmiechnął się w ciemnościach. Dziewczyna mu się podobała.

Wziął ją za rękę.

- Może później...

- Jaka szkoda! Nie ma księżycy - ciągnęła tym samym tonem. -

Stosuje pan szczególny sposób ściągania długów!

Posadził ją na piasku.

- Amerykanka?

- Ojciec Amerykanin, matka Turczynka.

- Turczynka? Stąd to imię.

- Właśnie.

- Z Nowego Jorku?

Poznał jej nowojorski akcent.

- Tak. Teraz moja kolej stawiania pytań. FBI czy policja

nowojorska?

- Ani jedno, ani drugie.

- Uspokoił mnie pan.

Otworzyła torebkę i wyciągnęła plik banknotów.

- Równowartość w dolarach mojego długu w funtach cypryjskich.

Może ma pan rachunek dodatkowych kosztów? Taki szmat drogi pan

przemierzył, żeby mnie odnaleźć...

Odsunął jej dłoń.

- Nie po to tu jestem.

- A po co?

- Zdaje się, że pani zapomniała, co mówiłem na schodach u

dentysty. Jestem przyjacielem tego, komu pani opowiadała w Kyrenii o swoich kłopotach.

- O jakich kłopotach?

Powtórzył wszystko, co mu Toni Parygoris opowiedział. Milczała.

- Dlaczego to pana interesuje? - zapytała wreszcie.

- Interesuje mnie wszystko, co dotyczy Barta Scalisio.

- Kto panu powiedział, że to chodzi o Barta Scalisio?

Pogładził jej rękę.

- Nie staraj się mnie przechytrzyć, koteczku. Odsunęła rękę.

- Bezwzględny facet z pana, co?

- Racja, kotku. Proponuję ci spółkę, ty i ja. Mamy wspólne interesy.

- Jakie?

- Jesteś wściekła, bo Barto cię wystawił do wiatru dla innej

dziewczyny, a ty nawet nie możesz się od niego uwolnić. Traktuje cię, jakbyś była w jego haremie. Chciałabyś się zemścić. Ja mam mu co innego za złe. Czy to nie wystarczy?

- I co z tego?

- Odzyskasz wolność i będziesz pomszczona. Zamilkła na chwilę, a potem zapytała:

- Jesteś tu, żeby zlikwidować Barta?

Pominał pytanie. Nie miał do niej dostatecznego zaufania.

- Opowiedz mi coś o nim.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - zauważyła z uporem.

- Nieważne. Później się zobaczy. Myśl tylko o jednym, uwolnić się, zobaczyć znowu Nowy Jork, nie mieć już więcej przed oczami rywalki, która z ciebie drwi przez cały dzień.

- Zdzira!

- Sama widzisz!

- To kurwa.

- Kurwa?

- Dostarczona przez agencję call-girls w Nowym Jorku.

- Jak się nazywa?

- Claire Dyksen.

Harry Shulz był stałym klientem agencji call-girls w Nowym Jorku.

Zastanowił się przez chwilę, czy przypadkiem jej nie zna.

Nie. Chociaż wiele z nich znał. Przy rodzaju jego pracy call-girl była bardzo praktyczna. Żadnych więzów. "Płacę, robisz swoje i zmykasz".

- Jak poznała Barta?

- To on ją ściągnął. Wiele razy mu się to zdarzało od czasu, jak jesteśmy razem...

Przerwał jej.

- Jak długo jesteś z nim?

- Trzy lata.

- Gdzie go poznałaś?

- W Rio de Janeiro. Należałam do zespołu artystycznego.

- Striptizerka?

- Tak. W Rio zupełnie fiasko. Ani centa. Bryndza. Impresario zwiął z

tym, co było w kasie, to znaczy z wpływami z ostatniego występu. Na szczęście Barto mnie zauważył. Byłam gwiazdą zespołu, rozumiesz. Czek i hopsa do jego łóżka. Potem mnie urządził. Obrzydliwe mieszkanie w Nowym Jorku. Szmalu w bród i podróże. A pewnego dnia zmusił mnie, żebym z nim została. Od czasu do czasu jednak sprowadzał sobie inne dziewczyny, właśnie przez tę agencję w Nowym Jorku. Zawsze blondynki z bardzo jasną skórą. Jak ja. Jego słabość. Ale to zwykle nie trwało długo, najwyżej tydzień. Podczas gdy z tą, z tą...

- Trwa?

- Tak.

- Masz odłożoną forszę?

- Byłam przezorna. Od dawna.

- Nie musisz się więc obawiać?

- Czego?

- Barta.

- Nie. Jedyne, czego teraz pragnę, to wolność. Tylko że tu Barto nie ustąpi. Bawi go, że mnie poniża. Chciałby mieć wszystkie kobiety u swoich stóp. Niewolnice... To zboczeniec, sadysta. Nie możesz sobie nawet wyobrazić!

- Jest teraz tutaj?

- Nie.

- A gdzie?

- Nie wiem.

Jej ton wydawał się szczery.

- Coś ci mówi 30 października? Czuł, że zadrżała.

- Skąd wiesz?

Odetchnął z ulgą. Informacje Francois Lyończyka były dobre.

Zdenerwowała się.

- Dużo wiesz... - zauważyła trochę przerażonym głosem. -

Przyjechałeś, żeby go zabić, prawda? Nic dziwnego właściwie przy tym, co on robi...

- Mówiłaś, że nie masz się czego obawiać z jego strony?

- To prawda - przyznała.

- Im szybciej zniknie, tym wcześniej odzyskasz wolność... Jak to się stało, że zostawił cię tu samą?

- Pojechał w podróż z tą kurwą. Wsiadł do samolotu w Bejrucie.

- Pod nazwiskiem Curani - przerwał jej. - To ty poinformowałaś o tym mojego przyjaciela w Kyrenii.

- Sama widzisz, że nie masz się czego bać. Dostarczając tych informacji, miałaś nadzieję, że uda się zlikwidować Barta. Prawda?

- Przed tobą nic się nie da ukryć - stwierdziła gorzko. - Jeśli dla ciebie była ta wiadomość, spartolileś. Barto żyje.

- Wiedziałaś, dokąd leci?

- Do Singapuru. Nie powiedział ci?

- Jak się zjawilem, mój przyjaciel już nie żył... Żołnierze go zabili...

Nie mógł mi podać miejsca przeznaczenia. Byłaś z nim w Bejrucie?

- Tak. Pierwszy raz nie kazał mi dalej jechać z sobą, tylko tu wrócić i czekać.

Zastanowił się przez chwilę.

- Skąd wiesz o 30 października?

- Barto ma tu przyjechać tego dnia. Wydał polecenie, żeby zorganizować gigantyczny festyn. Pełno żarcia. Jak król przyjmie wszystkich swoich przyjaciół. Zaprosił ich na ten właśnie dzień do tego wstrętnego zamku, ponurego jak więzienie.

- Skoro go nie ma, możesz korzystać ze swobody ruchów?

- Mniej więcej.

- A dzisiejszego popołudnia?

- Kierowca-goryl na mnie czekał.

- No, a wieczorem?

- Dentysta to dobre alibi, prawda? Nagły ból zębów, zdarza się?

- Nikogo z tobą nie ma?

- Nie zawsze mi towarzyszą. Na szczęście. Jak Barta nie ma, nadzór jest łagodniejszy.

- Nikt nie może przekroczyć tego szlabanu pilnowanego przez górali z długimi wąsami?

- Nikt. Tylko ludzie z zamku. Inni muszą mieć przepustkę. Za szlabanem jest budka z radiotelefonem połączonym z zamkiem, jeśli to można nazwać zamkiem. Nic wspólnego z Wersalem, możesz mi wierzyć.

Nagle chwycił ją w ramiona.

- Musisz być spragniona miłości po tak długim poście...

Nie zaprotestowała, zadowolona się kpina.

- Dobrze wiedziałam, że to łóżko w samochodzie do czegoś służy...

Dlatego nie chciałeś, żebym zapłaciła dług?

ROZDZIAŁ XXII

Środa, 18 września 1974

W alei Hamra było tłumnie, radośnie, ruchliwie. Patrick Baudouin zatrzymał się przed numerem 112 i podniósł oczy na ogromny budynek ze szkła i betonu. Pewnym krokiem wspiał się na szerokie stopnie i doszedł do oszklonych drzwi. Popchnął je. Po hallu krążyli zaafierowani mężczyźni i kobiety. Przed windami stały kolejki.

Patrick podszedł do wielkiej tablicy z listą użytkowników gmachu.

Biuro Emila Hazraka było na 7 piętrze. Dołączył do kolejki przed windą i czekał cierpliwie. Mimo że budynek był nowoczesny, windy chodziły bardzo wolno. Wreszcie wsiadł do kabiny i nacisnął guzik na siódme piętro.

Winda ruszyła. Wysiadł. Podłogę korytarza pokrywała błękitna wykładzina. Tablica, mniejsza od tej w hallu, wisiała naprzeciw windy.

Wskazywała rozmieszczenie poszczególnych biur. Emil Hazrak zajmował pokoje 709, 710, 711. Tam się udał.

Na zakręcie korytarza nagle się zatrzymał i cofnął o krok. Zauważył Kate Kitzpack wychodzącą z pokoju 710. Był z nią mężczyzna, jej amant. Jeden z szefów McCalla. Ten sam, z którym chodziła do eleganckich restauracji, kin, teatrów w Nowym Jorku. Ten sam, z którym spędzała noce i weekendy w Wilmington, spokojnym zakątku Vermont.

Patrick rozejrzał się. Zobaczył dwuskrzydłowe drzwi pomalowane na czerwono. Był na nich napis: “wyjście zapasowe”. Tam się ukrył, zamknął drzwi zostawiając tylko niewielką szparę, przez którą mógł

obserwować korytarz i windy. Kate i jej towarzysz zatrzymali się przy windach. Mężczyzna nacisnął guzik i zwrócił się do swojej towarzyszki. Rozmawiali z ożywieniem, ale Patrick stał za daleko, żeby coś usłyszeć. Zbiegł po schodach zapasowych. Znalazł się w korytarzu, który prowadził do wyjścia na ulicę prostopadłą do alei Hamra. Pobiegnął przed główne wejście i ukrył się za kioskiem z gazetami.

W minutę później Kate Kitzpack i mężczyzna wyszli. Obawiał się, czynnie wsiażdą do samochodu, zaczął rozglądać się za postojem taksówek. Ale poszli w dół alei.

Na szczęście było tłumnie, bez przeszkód mógł więc pójść za nimi.

Trwało to dobre pół godziny. Musieli być dobrymi piechurami, co było zadziwiające u Amerykanów - pomyślał Patrick. Szli dość szybko, mijali ulice, aleje, zatrzymywali się karnie przed światłami, stawali przed witrynami sklepów i ani razu się nie obejrzel, żeby sprawdzić, czy ktoś ich nie śledzi. Widocznie niczego się nie obawiali.

W ten sposób dotarli wreszcie do hotelu Phenicia. Wszedł za nimi.

Zatrzymali się przed recepcją.

Patrick Baudouin był ze dwa metry za nimi, schowany za potężną parą Hindusów: on olbrzym w turbanie, ona 250 kilo galarety owiniętej w sari, które z trudem ukrywało ogromne pokłady tłuszczu.

Patrick zauważył numer przegródki, z której recepcjonista wyjął klucz oraz długą białą kopertę: 437. Zapamiętał ten numer i wychylając się nieco zza Hindusów obserwował tamtych.

Kate i mężczyzna szli do windy. Mężczyzna otworzył kopertę, wyjął

z niej kartkę, czytał. Kate zaglądała mu przez ramię.

Gdy stanęli przed windą, on wyciągnął z kieszeni zapalniczkę, podpałił kartkę i rzucił na popielniczkę z piaskiem. Czekali aż się spali, następnie mężczyzna kilkakrotnie brał garść piasku i przykrywał zwęglone resztki papieru. Wreszcie wytarł ręce. Kate coś mu powiedziała do ucha i roześmieli się.

Przepuścili wszystkich wysiadających z windy i weszli do kabiny.

Patrick podszedł do stoiska z książkami i gazetami. Kupił France-Soir i wrócił pod windę. Wybrał długą, czarną kanapkę ze skóry, zajęta przez pół tuzina Beduinów. Sprawiali wrażenie, jakby wyszli wprost z pustyni w swych tradycyjnych strojach jeźdźców. Nieruchomi, w dostojnych pozach. Usiadł obok.

Z tej strategicznej pozycji miał dobry punkt obserwacyjny.

Zobaczyłby Kate i jej towarzysza wychodzących z windy. France-Soir służył za świetny parawan.

Wayne Sandborg wyszedł z łazienki, przyglądził włosy.

- Mam nadzieję, że mi odprasowano garnitur - powiedział podnosząc słuchawkę telefoniczną.

- Nie ma potrzeby dzwonić - zauważyła Kate złośliwie. - Już przynieśli.

- Aha...

- Nie stać cię na więcej ubrań z poborów w FBI? - ciągnęła ironicznie.

- FBI upoważnia mnie do podróżowania klasą turystyczną, a w

klasie turystycznej wolno wieźć tylko 20 kg bagażu. Nie chcę się obciążać

ładunkiem garniturów na zmianę. Dwa wystarczą.

- A gdzie drugi.?

- Nie pamiętasz?

- Nie.

- Chciałem się zapakować w przeddzień wyjazdu z Nowego Jorku.

Nalegałaś, żebym spędził czas na zajęciach, których jeszcze kilka lat temu

moralność nie aprobowala. Ale teraz są bardzo modne. Wypełniają

magazyny specjalistyczne, są w kinie, poważni ludzie o nich mówią w

telewizji w przeglądach naukowych.

- No i co z tego?

- To, że z tego powodu zapomniałem wziąć drugiego garnituru, a

teraz, jak daję do odprasowania ubranie, muszę płacić express i czekać na

nagusa, aż boy mi je przyniesie.

- To cię krępuje? Mnie nie.

- Pod warunkiem, że się coś robi...

- To po co zamknęłaś się w łazience?

Wayne Sandborg włożył koszulę i zapinał guziki przy mankietach.

Uśmiechał się. - Kate.

- Słucham?

- Myślę, że kiepsko zaczyna być z Bartem Scalisio.

- Co masz na myśli?

- Jeszcze kilka takich informacji, jak te, których Brenda nam

dostarczyła, i będziemy go mieli.

- Dobrze być optymistą.

- To konieczne, jeśli się chce dojść do celu. Bez optymizmu nie ma wytrwałości.

Wziął krawat i zaczął go wiązać.

- A Brenda? - zapytała Kate.

- Co Brenda?

- Co się z nią stanie?

- Jej misja się kończy.

- Zostawisz ją potem w spokoju?

- Dlaczego nie?

- A jej dossier?

- Nie do mnie należy decyzja. Ale a propos...

- Co?

- Nie ma wiadomości o tym Patricku Baudouin.

- Musiał się zniechęcić.

- Brendzie nie spodobało się...

- Nie miałeś jednak wyrzutów sumienia.

- Co ty możesz wiedzieć o moim sumieniu? Wziął marynarkę.

- Proponuję ci dwa albo trzy koktajle martini przed obiadem.

Potem, co byś powiedziała na langustę po amerykańsku? To zdaje się specjalność naszej restauracji hotelowej.

- Importowana.

- Co z tego? Amerykańskie podniebienie nie rozróżnia świeżego od mrożonego.

Patrick Baudouin widział, jak wyszli z windy udając się do restauracji hotelowej.

Szybko wstał, rzucił gazetę, wsiadł do windy. Wysiadłszy na czwartym piętrze od razu udał się w stronę pokoju 437. Spróbował poruszyć galką, ale nawet nie drgnęła. Nachylił się, zajrzał w otwór. Stwierdził, że zamek był skomplikowany i wymagał specjalnego klucza. Próba otwarcia zajęłaby sporo czasu.

Trochę dalej w korytarzu usłyszał otwieranie drzwi. Spojrzał w tamtą stronę. Z jakiegoś pomieszczenia, może z magazynu, wynurzyła się pokojówka. Niosła czyste ręczniki i rolki papieru toaletowego. Za nią szła druga. Patrick już miał zwiewać, ale w tym momencie usłyszał dochodzący z pokoju 437 dzwonek telefonu. Od razu przyszedł mu do głowy pomysł.

Podbiegł do pokojówek.

- Ma pani zapasowy klucz?

- Zapasowy?

Przyglądała mu się trochę zdezorientowana.

- Tak! Nie słyszy pani, że w moim pokoju dzwoni telefon?

Zapomniałem wziąć klucza z recepcji, a teraz ten telefon. Niech się pani pośpieszy, na miłość boską. Nie zdążę odebrać!

Udawał zniecierpliwienie.

- Szybko!

Pokojówka sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła pęk kluczy. Wybrała jeden i podeszła do numeru 437. Gdy otwierała drzwi dzwonek właśnie

umilkł. Patrick odsunął ją i wbiegł do pokoju zamykając za sobą drzwi.

Chwilę odczekał nasłuchując, ale pokojówkom nie wydał się

widocznie podejrzany.

Pokój był duży. Zabrał się od razu do dwóch otwartych walizek. Nie

znalazł nic interesującego. Poszedł do łazienki. Tylko normalne

przedmioty, zwykle w takim miejscu. Teraz biurko i dwie komody. W

szufladach nic szczególnego. W szafach tylko damskie sukienki. Kolej na

łóżko, także nic. Doprowadził wszystko do porządku i jeszcze raz się

rozejrzał. Niczego nie pominął. A jednak.

Na biurku leżała gruba teczka z imitacji skóry, w środku papier

listowy i koperty z nazwą hotelu. Zaczął przeglądać. Nic. Zajrzał pod

teczkę. Był tam list. Krótki. Zaledwie kilka słów. Na maszynie.

Droga Kate!

W uzupełnieniu mojego listu z 8. spotkanie z W. w Güney Palas w

Iskenderun 30 października. Nie mogę ustalić godziny. Bądź wolna w

ciągu dnia i wieczorem, ze względu na wiadome okoliczności.

Pozdrowienia BC.

BC!

Te inicjały mogły oznaczać tylko Brendę. Zanotował w pamięci tekst

zlecenia i odłożył list na miejsce.

Upewniwszy się, że nie zostawił żadnego widomego śladu pobytu w

pokoju, wyszedł, korzystając z zapasowych schodów, żeby przypadkiem

nie natknąć się na Kate Kitzpack przy wyjściu z windy. Wrócił do swojego

hotelu i natychmiast połączył się z Yvesem w Paryżu.

- Yves? - spytał przyjaciela.

- Tak.

- Patrick.

- Znowu potrzebna ci moja pomoc?

- Nic wielkiego. Masz pod ręką Larousse'a?

- Tak, dlaczego?

- Iskenderun, gdzie to leży?

- Co takiego?

- Literuję.

Otrzymał potrzebną informację i od razu się rozłączył.

W Turcji...

Na liście nie było daty, ale należało się domyślać, że Brenda nie jest już w Bejrucie, ale w Turcji, w Iskenderun. Trzeba by sprawdzić.

Następne dni spędzał na czatach przed budynkiem w alei Hamra pod numerem 112 i na śledzeniu Kate Kitzpack i jej towarzysza. Ale bez powodzenia.

Był w rozpacz, aż pewnego dnia zobaczył tę parę wsiadającą do samolotu do Paryża. Wtedy postanowił złożyć wizytę w biurze pana Emila Hazraka.

Tak, jak McCall w Nowym Jorku, gdzie pracowała Kate, była to firma importowo-eksportowa.

Ani śladu Brendy.

Starał się nie wymieniać jej nazwiska. Pamiętał niemiłą przygodę w Nowym Jorku i wydalenie ze Stanów przez agentów FBI.

Ale mimo wszystko miał przecież pewny sposób odnalezienia

Brendy. Wiedział, gdzie będzie 30 października.

ROZDZIAŁ XXIII

Piątek, 20 września 1974

Barichę Cloakman uważał za bardzo poręczną. Był zadowolony z siebie.

Mistrzowskie posunięcie z tą dziewczyną.

Miał w niej szpiega i współnika na miejscu. Widywał Barichę

niemal codziennie. Stwierdził, że trzeba ją krótko trzymać. Nie dawać czasu, żeby się polapała. Mieć nad nią władzę...

W miłości okazała się partnerką zmysłową i fachową. Rozpustną.

Widać było, że Barto Scalisio skazał ją na dłuższy post.

Harry zawarł z nią układ. Ona mu pomoże, a on w zamian uczyni

wszystko, co możliwe, żeby mogła wrócić do Stanów. Miał szczerzy zamiar

wykonać swoją część umowy, jeśli ona dotrzyma swojej. Jego reputacja

opierała się na dobrze wykonanej robocie i na dotrzymywaniu danego

słowa. Kłopot tylko z tym, że nie wyobrażał sobie, jak mogłaby mu pomóc

w wykonaniu końcowej fazy “kontraktu”.

Dobrze mieć sprzymierzeńca wewnątrz zanku, ale trzeba by jeszcze

wiedzieć, do czego ten sprzymierzeniec mógł posłużyć.

Na razie nie wiedział. Nie mógł znaleźć sposobu likwidacji Barta

Scalisio. Myślał o tym bez przerwy przez cały dzień, budził się w nocy, nie

widział rozwiązania. Facet wydawał się całkowicie uodporniony na ciosy.

Przedsięwziął chyba wszelkie środki ostrożności, żeby udaremnić spisek

na swoje życie.

Harry Shulz nie zrażał się jednak. Musi coś wymyślić. Ma przed

sobą jeszcze czterdzieści dni na znalezienie rozwiązania.

Ogłuszający koncert czynelów przypomniał Harry'emu, że znajduje

się w "pavyon". Ukazała się gwiazda wieczoru, importowana prosto ze

Stambułu. Zaczęła wściekły taniec brzucha, wywołując aplauz publiczności.

Kształty miała zaokrąglone, uda obfite. Turcy to lubili. Harry Shulz

spojrzał na Barichę. Śmiała się rozbawiona. Pomyślał, że miała w żyłach

turecką krew. Było coś tajemniczego w tej dziewczynie. Jak w kimś, kto

ukrywa część prawdy. Zagadkowy błysk pojawiał się niekiedy w jej

spojrzeniu. Nie domknięte usta nie dawały ujścia słowom. Gesty

wpółatrzymane... rozmarzone westchnienia... Czy u źródeł leżało jej

wschodnie pochodzenie, czy też coś usiłowała przed nim ukryć? Dziwne.

Nie miał do niej pełnego zaufania. Komu zresztą można całkowicie

ufać? Ale w braku czegoś lepszego... Kto wie? Może go doprowadzi do

Barta Scalisio? Więc...

Mogłaby zastawić na Barta sidła w mieście, gdyby niespodziewanie

zjawił się w Iskenderun przed 30 października.

Harry by już tam czekał... To nie do pogardzenia.

Baricha sprawiała wrażenie szczerzej. Dowodziły tego sprawy

bejrucka i singapurska.

Gdyby na przykład wybrał klasyczny sposób sprzątnięcia Barta,

kulka w łeb, udałoby się. Nie było oczywiście o tym mowy w tłumie na

lotnisku. W każdym razie to bezsporne dowody, że informacje Barichy

były prawdziwe i że wykazała szczerze pragnienie zobaczenia, jak Barto

ginie.

Było jednak coś, co martwiło Harry'ego w zachowaniu Barichy. Coś, czego nie umiał określić. Może się zresztą mylił?

Przeniósł wzrok na tancerkę brzucha. Pot sływał z niej kroplami, chociaż „pavyon” znajdował się na wolnym powietrzu.

Pavyon - zabawny wyraz. Turcy musieli go zapożyczyć z francuskiego: turecka pisownia francuskiego słowa „pavillon”.

Był to po prostu rodzaj kabaretu, gdzie działały “hostessy” albo raczej dziewczynki będące na procencie od konsumpcji, upoważnione przez właściciela do pójścia do łóżka z klientem, jeśli ten zapłaci duży haracz na rzecz firmy. Popisywali się tam też “artyści” przybyli ze Stambułu. Ich główny talent polegał na strojeniu min.

Za tezą o francuskim pochodzeniu słowa „pavyon” przemawiało również to, że wszystkie “pavyon” w Iskenderun nosiły francuskie nazwy w tureckiej pisowni: Paryzyen - Parisien; Molen Ruj - Moulin Rouge; Foly-Bercer - Folies Bergere itd.

Jeszcze jedno uderzenie czynelów i numer się skończył.

- Przypomina ci to twoje striptizowe numery? - zapytał Harry

Barichę z ironicznym uśmiechem.

- Z takimi biodrami żaden zespół by mnie nie przyjął.

- Chodźmy coś zjeść, jestem głodny. Zaprowadził ją do knajpki w pobliżu portu, gdzie nikt ich nie mógł odkryć. Zamówił krewetki z rusztu, rożen z rybą i butelkę tureckiego wina.

- Nie powinnaś się tu czuć obco, skoro twoja matka była Turczynką -

zauważył Harry.

- Zdziwisz się, ale mówię po turecku.

- Nie dziwię się. Nie miałem matki Turczynki i też mówię po turecku.

- Bardzo kocham ten kraj. Cudowna jest tu przyroda. Harry słuchał

jej z roztargnieniem. Dręczył go własny problem: jak zabić Barta Scalio?

Sięgnął po butelkę wina i napelnił kieliszki.

- A tańce ludowe? Słuchasz mnie?

- Słucham.

- Tureckie tańce ludowe są fantastyczne, i tancerki, i tancerze

ubrani w stroje pochodzące z czasów cesarstwa Ottomana. Uwielbiam tańce ludowe. A ty?

- Ja też.

W rzeczywistości Harry nie cierpiał tańców ludowych, ale nie chciał sprawić przykrości Bariszy.

- Dobra. Zobacysz je 30 października.

Ze zdziwieniem uniósł brwi.

- 30 października?

- Tak. Bo to święto narodowe!

- Tureckie święto narodowe?

- Oczywiście. Z tego powodu Barto wybrał ten dzień.

- Ale dlaczego?

- Żeby przyjaciele, których zaprosił na swój festyn przeszli nie

zauważeni. Zawsze jest ostrożny. W dniu święta narodowego będzie tu

taka masa ludzi, że kilku więcej, kilku mniej nie gra roli. Przyjaciele Barta

w ogóle lubią być nie zauważeni.

- Domyślam się.

Kelner przyniósł krewetki z rusztu. Postawił na stole i odszedł.

Harry Shulz patrzył za nim w zamyśleniu. Baricha nałożyła sobie porcję.

- Wyglądają bardzo apetycznie - powiedziała. Harry ponad

kelnerem spojrzął na morze. Z restauracji rozciągał się wspaniały widok

na zatokę. Jego oczy spoczęły przez chwilę na srebrzących się w świetle

księżycy falach. Nagle zerwał się z miejsca.

- Co ci się stało? - zapytała zdziwiona Baricha.

- Nic. Komar.

Zapanował nad podnieceniem. Znalazł wreszcie rozwiązanie!

Dzięki Bariszy! Ta dziewczyna była naprawdę bezcenna!

Barto Scalisio uważa się za bardzo silnego, ale on, Harry Shulz, jest

jeszcze silniejszy. Znalazł sposób, żeby mu się przeciwstawić.

Wziął kilka krewetek i położył na swoim talerzu. Szczegóły planu

już mu się układały w głowie. Fantastyczny plan! Niespotykany!

- Wiesz, będę musiał wkrótce wyjechać - powiedział obojętnie.

- Po co?

- Sprawy do załatwienia. A poza tym... mam pewien pomysł...

- Żeby wykończyć Barta?

- Tak...

- Co takiego?

Obrał krewetkę. Nie od razu odpowiedział.

- Nic konkretnego... Pomysł... Za wcześnie, żeby ci o tym opowiedzieć... Trzeba zobaczyć... Porozmawiamy.

Zaczął jeść krewetkę.

- Dobrze jesteś z twoim dentystą?

- Podrywa mnie.

- Tym lepiej. Trzeba z tego skorzystać.

- Po co?

- Za jego pośrednictwem będziemy się kontaktować. Podpal go. Daj mu nadzieję. Sama wiesz. Nie potrzeba cię uczyć techniki, jak sądzę.

- Myślę. Kiedy wrócisz?

- Nie wiem. Dam ci znać.

- Chyba nie rzucisz mnie? - zawołała z odcieniem rozpacz.

Żał mu jej było; uśmiechnął się łagodnie.

- Nie ma mowy. Nie ja! - odpowiedział szczerze.

- Nie znam nawet twojego nazwiska... - żaliła się odsuwając talerz.

- Po co ci?

- Czy to, co powiedziałam o święcie narodowym, nasunęło ci pomysł?

- Może...

Przynaglił ją, żeby skończyła jeść, po czym odprowadził do samochodu.

Nazajutrz wstał bardzo wcześnie i wybrał się do miasta w poszukiwaniu sklepu z aparatami fotograficznymi. Znalazł go w dzielnicy handlowej i kupił znakomitego cannaona i kilka rolek błon.

Następnie wsiadł do chevroleta, wyjechał za miasto nad brzeg morza, tam gdzie zabrał Barichę pierwszego wieczoru. Rozebrał się, wykapał, dla zapewnienia sobie alibi. Potem, ukryty za skałami, załadował aparat i zabrał się do fotografowania zatoki. Zużył wszystkie błony. Ubrał się, zadowolony z siebie.

Kolejnym etapem było biuro tureckich linii lotniczych, Turkiye Hava Yollari. Kupił bilet Adana-Paryż zarezerwowawszy miejsce z Adany i ze Stambułu, gdzie musiał się przesiąść.

Najbliższy lot z Adany do Stambułu był tego samego popołudnia o godzinie trzynastej.

Zapłacił za hotel, pojechał samochodem do Adany, zostawił wóz w garażu w mieście, wziął taksówkę na lotnisko. W ostatniej chwili zdążył na samolot.

Poniedziałek, 23 września 1974

Francois Lyończyk przyglądał się z uwagą Harry'emu.

- No i co? - zapytał zniecierpliwiony. Shulz uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Znalazłem. Potrzebny mi tylko pewien rekwizyt.

- Jaki?

- Łódź podwodna. Z oficerami i załogą.

- Łódź podwodna?

- Tak.

- I to nazywa pan "pewnym rekwizytem"?

- Powiedzmy.

- Ale co pan chce z nią zrobić? Zatopić trzy jachty Barta Scalisio,

jeden po drugim?

- Nie. Chociaż to nawet dobry pomysł. Tylko że nigdy nie wiadomo na pewno, czy Barto jest w danej chwili na jednym ze swoich jachtów.

- No więc?

- Oto mój plan - opowiedział mu, co zamierza. Francois słuchał z otwartymi ustami.

- No, no! - wykrzyknął.

Harry Shulz skromnie spuścił oczy. Wiedział, że jego plan jest niezwykle.

- Brak mi tylko łodzi podwodnej i to jest ten rekwizyt, którego nie mogę zdobyć. A pan?

- Nie można tego inaczej zrobić?

- Nie.

Były inne sposoby, ale zbyt ryzykowne i Harry Shulz nie zamierzał kłaść głowy pod topór. Nawet za milion dolarów.

Francois Lyończyk intensywnie myślał.

- To niełatwe... - przyznał.

- Wiem.

- Na pewno nie może pan sam zdobyć tego rekwizytu, jak pan to nazywa?

- Nie. Gdybym mógł, nie byłbym u pana. - Z milionem dolarów powinien pan sobie poradzić.

- Proszę mi wskazać adres, jestem gotów zapłacić. Nie pieniądze

mnie wstrzymują, tylko to, że nie wiem, do kogo uderzyć. Nie ma co rozprawiać. Mamy znakomity plan. Brak nam narzędzia pracy. Trzeba je znaleźć. To wszystko. Reszta pestka.

Francois Lyończyk wiedział, że Harry ma rację. A jego plan rzeczywiście był niezwykle pasjonujący.

- Jest jeszcze coś, o czym pan zapomniał - dorzucił Harry łagodnym głosem.

- Co takiego?

- Pozbądźcie się innych przy okazji. To znaczy przyjaciół Barta.

Francuz zaniemówił. Do licha! Nie pomyślał o tym! Miał sobie za złe, że nie dostrzegł tej strony problemu. To zmieniało wszystko! Trzeba bezwzględnie znaleźć tę łódź podwodną.

Spojrzał z podziwem na Harry'ego. Stary Nick De Luca miał rację polecając go. Było coś za tym gładkim czołem, za nieprzeniknionymi zielonymi oczami, za uśmieszkami...

Dużo czasu Shulz na to poświęcił, ponad pięć miesięcy... a tymczasem stary Nick De Luca został zamordowany przez Barta Scalisio. Ale teraz jest na drodze do sukcesu. Do licha, trzeba znaleźć tę przeklętą łódź podwodną!

Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Potem przyszło mu coś do głowy.

- Niech pan poczeka!

Telefon stał na stole, ale wolał widocznie rozmawiać z sypialni. W ciągu paru sekund złapał Jerome Ducaza. Pięć minut trwała rozmowa, zadowolony położył słuchawkę. Wrócił do pokoju, gdzie cierpliwie czekał

Harry.

- Chyba się uda - powiedział triumfalnie.

- Więc mogę zacząć wszystko montować?

Francuz zawahał się. Jerome Ducaz nie ręczył, że załatwi... Ale nim

Francuz dobrze pomyślał, odpowiedź sama wyleciała mu z ust:

- Może pan!

ROZDZIAŁ XXIV

Środa, 25 września 1974

Jakie są jedyne oazy spokoju w paryskim piekle brudu, hałasu i tłumu? Cmentarze. Kto się włóczy po paryskich cmentarzach? Właściwie nikt.

A jednak! Ileż tam miejsca do spacerów po opustoszałych alejkach, ile ławeczek, żeby usiąść, jak się jest zmęczonym! A przy tym, co za dyskrecja...

Jerome Ducaz zaśmiał się. Królowało tam milczenie śmierci.

Pułkownik wybrał cmentarz Montmartre, mniej znany i rzadziej uczęszczany niż Pere-Lachaise, który odwiedzano nawet w dzień powszedni.

Duczaz znalazł miejsce spotkania. Pułkownik siedział już na ławce.

Duczaz przyśpieszył kroku. Był trochę spóźniony, a to on przecież występował w charakterze petenta.

Przywitał się z pułkownikiem i usiadł obok niego.

- Mam dla pana bardzo mało czasu - uprzedził z miejsca pułkownik.

- Nie zajmę go panu dużo - zapewnił Jérôme Ducaz.

- O co chodzi?

Adwokat uśmiechnął się miło.

- Potrzebna mi łódź podwodna, z oficerami i załogą. Pułkownikowi prośba nie wydała się niezwykła.

- Ma pan jakieś powody, żeby mnie prosić o tę przysługę? - zapytał sucho.

- Pomagaliśmy wam bardzo podczas wojny algierskiej - zaczął ostrożnie Jerome Ducaz.

- Wojna w Algierze skończyła się w 1962 roku. Mamy 1974. Po dwunastu latach wiele się zapomina...

- Nie tak dawno, w Berlinie Zachodnim...

- To też cztery lata temu - przeciął pułkownik tym samym oschłym tonem. - A informacje opłaciliśmy. Zresztą mało były warte.

Jerome Ducaz podniósł obie dłonie w geście protestu, jakby się bronił przed sądem.

- Panie pułkowniku! Ci, których tu reprezentuję, starali się zawsze wam pomóc w waszej misji, tak trudnej i często źle rozumianej, zarówno przez opinię publiczną, jak i przez najwyższe instancje, zawsze starali się oni...

- Bardzo proszę, mecenasie, nie jestem przewodniczącym sądu przysięgłych!

- Ci, o których mówiłem, nigdy nie wymagali niczego w zamian za oddane usługi. Z tego względu uważałem, że jestem upoważniony do...

- Myli się pan, mecenasie, rekompensatą za oddane usługi była

pewna łagodność wobec tamtych ludzi w dziedzinach, gdzie moglibyśmy wetknąć nos, jak na przykład handel bronią przeznaczoną dla krajów, które pozostają w naszej strefie wpływów.

- Handel bronią! - wykrzyknął Jerome Ducaz z udanym oburzeniem. - Wielkie słowo, pułkownika. Broń, o której pan wspomina, została zakupiona przez klienta zgodnie z przepisami i wysłana w sposób legalny do miejsca przeznaczenia.

Pułkownik się naprężył.

- Drogi mecenasie, powiedziałem panu przed chwilą, że mój czas jest ściśle wyliczony. Wróćmy więc do tematu.

- Mówilem. Potrzebna mi, a raczej moim przyjaciółom...

- Wiem. Łódź podwodna. W zamian za co?

- Ależ...

- Poza, oczywiście, tymi drobiazgami, o których pan wspomniał, Algieria, Berlin Zachodni itd...

Jerome Ducaz ożywił się. Dotychczasowa rozmowa była niczym więcej, jak potyczką słowną bez znaczenia. Nadszedł moment poważnych pertraktacji.

- Nasz kraj odczuwa obecnie pewne trudności z Mirage F1 - zauważył naiwnym tonem.

- Skąd pan to wytrzasnął?

- Nie mówię o technicznych trudnościach.

- A o czym?

- Sprzedaż przysparza poważnych problemów.

- Proszę, niech pan mówi dalej.

- Z lektury prasy wyciągnąłem logiczne wnioski. Ale pan jest specjalistą, pan mi powie, czy moja analiza jest słuszna. Choćby Libia, przykładowo. Sprzedano tam Mirage pod warunkiem, że samoloty nie zostaną użyte w operacjach wojennych na Bliskim Wschodzie. Obecnie, po wojnie październikowej 1973, Libia żąda od Egiptu powrotu swoich maszyn typu Mirage, co dowodzi, że były one użyte w operacjach powietrznych sprzecznie z porozumieniem. Nasz kraj nie może więc już sprzedawać Mirage w tym regionie pod groźbą oskarżenia o handel bronią lub oskarzenie o zajęcie stanowiska w konflikcie.

Ponadto, pod presją różnych stałych dostawców, niektóre kraje w łonie NATO wahają się przed unowocześnieniem swojej floty myśliwskiej przez zakup u nas Mirage F1, choć są one najlepsze i najtańsze na świecie. Stąd utrata rynków, a wskutek tego cennych dewiz dla gospodarki, nie mówiąc już o recesji w przemyśle lotniczym.

- Nie wiedziałem, drogi mecenasie - zauważył ironicznie pułkownik - że przyszłość naszego przemysłu lotniczego tak bardzo leży panu na sercu. Ale dokąd to nas prowadzi?

- Zmierzam do tego, pułkowniku. Tak się dzieje, że ci, którzy stoją za wielkimi interesami finansowymi, reprezentowani przeze mnie, nawiązali przyjaźń z pewną dawną kolonią portugalską. Przyszli jej z pomocą w dążeniu do niezależności. W swoim czasie niektóre oddziały potrzebowały broni i, przewidując przyszłość, a także z myślą o korzyściach na tym chłonnym rynku dla naszego przemysłu,

dostarczyliśmy im francuską broń. Byli bardzo zadowoleni. To jest niezwykle korzystne dla francuskiej produkcji. A ponieważ zaczęto się zaopatrywać we Francji, dlaczego by nie kontynuować? Ta eks-kolonia wkrótce uzyska niezależność i natychmiast będzie potrzebowała poważnej floty powietrznej dla ochrony przed zakusami sąsiadów... Ci, których reprezentuję, mają wyłączność na dostawę. Dlaczego nie aparatów Mirage? Wie pan, co chcę przez to powiedzieć.

- Rozumiem bardzo dobrze.

- Jeśli chodzi o pilotów, oni...

- To dalsza sprawa - przerwał pułkownik.

- Oczywiście, pańska pomoc w dostawie potrzebnej nam łodzi nie

oznacza, że zrezygnujemy z prowizji ze sprzedaży Mirage - sprecyzował

Jerome Ducaz. - To są dwie zupełnie różne sprawy i trzeba je rozpatrywać osobno.

- Problem finansowy mnie nie interesuje - odpowiedział pułkownik.

- Jeśli nie macie panowie wolnej łodzi podwodnej, będziemy

musieli zwrócić się do jakiegoś obcego kraju. Taka ewentualność bardzo by zasmuciła moich przyjaciół.

- Co zamierzacie robić z tą łodzią podwodną? - zapytał pułkownik.

- Wyłącznie przewieźć ludzi.

- To wszystko?

- To wszystko, panie pułkowniku.

- Żadnych działań?

- Nie.

- W jakim rejonie?

- Turcja. Ale poza obrębem wód terytorialnych. Nie ma obawy o protest dyplomatyczny.

- Drogi mecenasie, przy nowoczesnych środkach wykrywania podwodnego, wody terytorialne nie mają znaczenia. Żadna łódź podwodna nie może pływać po Morzu Śródziemnym, żeby nie była natychmiast wykryta. Rozumie pan, że nie mogę panu dostarczyć tego, o co pan prosi, nie znając celu operacji.

- Cel operacji jest jak najbardziej moralny.

- A dalej?

Jerome Ducaz spodziewał się, że pułkownik będzie tego wymagał.

Miał więc gotową historyjkę. Zręczna mieszanina prawdy i kłamstwa.

Wygłosił więc ją całkowicie przekonująco.

Pułkownik zmarszczył brwi i myślał.

Jerome Ducaz uszanował jego milczenie. Wygodniej usadowił się na ławce i z boku obserwował oficera wywiadu francuskiego.

Pułkownik był anglofilem. Datowało się to z czasu drugiej wojny, kiedy działał w służbach specjalnych wolnej Francji. Anglosaski był jego sposób ubierania się, spokojny i w dobrym guście. Wąsy w stylu majora armii Indii, zachowanie trochę wyniosłe i lekceważące.

Brakowało mu tylko parasola i melonika do pełnej karykatury staroświeckiego stylu.

- Muszę zreferować sprawę moim zwierzchnikom -powiedział w końcu.

- Sądzilem, że korzysta pan z pełnej samodzielności - wyraził

zdziwienie adwokat.

- To prawda.

- No więc?

- Powiedzmy, muszę się zastanowić.

Jerôme Ducaz odetchnął z ulgą.

- Kiedy otrzymam odpowiedź?

- Proszę się ze mną skontaktować zwykłą drogą.

- Kiedy?

- Pojutrze.

Wstał z ławki, a Jerome Ducaz obserwował, jak się oddala wielkimi krokami ku bramie cmentarnej.

ROZDZIAŁ XXV

Czwartek, 26 września 1974

Harry Shulz wszedł swobodnym krokiem do wielkiego gmachu, gdzie mieścił się związek marynarzy w Baltimore. Podeszedł do recepcji i zapytał o Mikę O'Shea, zaznaczając, że jest umówiony.

Skierowano go na XIV piętro. Tam zajęła się nim hostessa w żółtym uniformie i wprowadziła do luksusowo umeblowanego gabinetu. Mike O'Shea wstał zza biurka i szedł mu na spotkanie.

Uścisnęli sobie serdecznie dłonie.

- Siadaj, Harry. Coś wzmacniającego?

- Ja dziękuję, ale ty się nie krępuj.

Znał słabość Mike'a do alkoholu. Obserwował, jak sobie nalewał

pełną szklaneczkę bourbona i od razu wypił trzy czwarte.

- Cieszę się, że cię widzę, Harry - powiedział Mike O'Shea

odstawiając szklaneczkę na stos dokumentów leżących na biurku.

- I ja się cieszę. Mówią, że wspiąłeś się na sam szczyt drabiny.

- Prawie.

- Zajmujesz się ciągle kompletowaniem załóg?

- Tak.

- Potrzebna mi załoga.

Mike O'Shea spojrział ze zdziwieniem.

- Marynarze?

- Tak.

- To nie w twoim stylu.

- Ci, których szukam, muszą koniecznie odpowiadać następującej charakterystyce.

Wyjął z kieszeni kartkę papieru i podał Mike'owi. Ten przeczytał i poderwał się.

- Oszalałeś, Harry! Nie mam takich w mojej kartotece. Zajmujemy się tutaj marynarką handlową, nie oficerami marynarki wojennej! - wykrzyknął.

- Wiem - odpowiedział spokojnie Harry - ale mimo wszystko muszą tacy być. Załóżmy, oficer marynarki wojennej, przeciwnik ustroju w swoim kraju, zmuszony do emigracji, albo oficer marynarki wojennej, który dokonuje puczu ze swoimi towarzyszami, pucz się nie udaje, musi uciekać za granicę. Z czego będzie żył? Nie zaangażuje się do marynarki

wojennej obcego kraju. Nie będą go chcieli. Zacznie więc szukać roboty w

marynarce handlowej. Nieprawda?

- To niezupełnie to samo, Harry.

- Morze zawsze jest morzem.

- Mylisz się. Sposób prowadzenia statku handlowego i okrętu

wojennego to dwie różne rzeczy.

- Kpisz sobie ze mnie. Facet, który skończył szkołę morską, potrafi się przystosować. Jeśli nie będzie dowódcą statku handlowego, może być drugim lub trzecim i oficerem czy zaopatrzeniowcem. A ponadto, twoi marynarze nie są zbyt wymagający. Weź tych z Liberii, Panamy, Hondurasu. Nie są zbyt drobiazgowi.

- Prawda, ale to nie tylko kwestia nawigacji. Istnieje prawo morskie. Związkowcy popierają się wzajemnie. Wspomniałeś o Liberyjczykach i innych, ale z tymi ludźmi nie chcę mieć do czynienia.

- Nie wątpię. Ale mogą być jakieś kontakty. Facet, w rodzaju tych, których ci opisałem, przychodzi do ciebie, nie możesz mu dać roboty, gdzie go odsyłasz?

- Do marynarki, o której mówiłeś.

- Sam widzisz! - triumfował Harry. - Nieustanne niepokoje polityczne, oficerowie marynarki wojennej na wygnaniu, tego jest na kopy. Przy twoich kontaktach pójdzie łatwo. Wyjmiesz mi natychmiast jakiegoś rzadkiego ptaszka z gniazda, a dostaniesz swoją dolę i to niezłą.

- Obiecuję, zorientuję się, co mogę zrobić.

- Pamiętaj. Zgodnie z charakterystyką, jaką ci dałem.

- **Zobaczę, Harry.**

- **Podkreślam jeszcze raz, to pilne.**

Poniedziałek, 30 września 1974

Harry Shulz otworzył New York Times na stronie z drobnymi ogłoszeniami i odszukał rubrykę prywatnych zleceń. Złożył gazetę we czworo i zaczął przeglądać ogłoszenia wydrukowane drobnym drukiem.

Wodził palcem po linijkach. Wreszcie trafił, na samym dole:

”Sylwio.

Wracaj.

Wszystko

wybaczone.

Babcia

bardzo

zmartwiona. Dziadek chory. Czekamy cię u rodziny wujka. Smith,

P’burg. Penn”.

Odłożył gazetę i wstał od stolika. Uregulował rachunek i wyszedł z

baru.

Francois Lyończyk zrobił dobrą robotę. Ogłoszenie oznaczało, że

zdołał zdobyć łódź podwodną.

Punkt dla Francuza. Podobał mu się ten facet, ma dobrze

umeblowane w głowie.

Poniedziałek, 7 października 1974

- **No i co, Mike?**

- **To nie było łatwe, wierz mi.**

- Wyobrażam sobie.

- Szczęście, że mam prawie wszędzie stosunki.

- Dlatego do ciebie przyszedłem.

- Dobra. Daj mi się najpierw napić.

Mike O'Shea nalał sobie pełną szklankę bourbona i wypił połowę z

taką miną, jakby koniec świata miał mu odebrać jego whisky. Odstawił szklankę i wziął kartonową teczkę.

- Odwalilem kawał roboty w dwanaście dni... No proszę... O!...

Zajął się kartką papieru.

- Wyciągnąłem czterech odpowiadających twojej charakterystyce, następnie dwóch, którzy mogliby ci odpowiadać, ale brak im jednej rzeczy.

- Jakiej?

- Nie pochodzą z kraju należącego do NATO.

- A więc odrzuć ich. Zobaczymy tych czterech.

- Na początek Francuz. Były oasowiec. Nie chce wracać do kraju, chociaż podlega amnestii. Dawny porucznik marynarki. 44 lata. Kawaler.

Mieszka na Haiti. Instruktor w szkole morskiej. Numer dwa, Grek.

Zaprzyiężony monarchista. Opuścił swój kraj w 67, kiedy pułkownicy obalili króla Konstantyna. Nie wróci, dopóki jego króla tam nie będzie.

Mieszka na Tahiti. Fraternizuje się z miejscowymi dziewczętami. Zarabia na życie przewożąc kopreę szkunerem między Tahiti a Markizami. Numer trzeci, Anglik. Wyrzucony z Royal Navy za niemoralność. Miał słabość do majtków. Zdaje się, że zamienił swój niszczyciel w burdel, a jego

marynarze nie potrafili już rozróżnić lewej burty od prawej. Dawny komandor. 57 lat. Kawaler, oczywiście. Pływa na naftowcu liberyjskim między Bahrajnem a Rotterdamem. Naftowiec nazywa się "Skyline" i przybędzie do Rotterdamu 22 października.

- Za późno.

- Wreszcie numer czwarty, Duńczyk. Usunięty z królewskiej marynarki swego kraju wyrokiem trybunału morskiego. Obciążono go odpowiedzialnością

za

rozbicie

okrętu

na

Atlantyku

podczas

manewrowania. Popelnił wiele błędów technicznych. 14 marynarzy zginęło.

- Zostaw go. Do niczego. Nie tego mi trzeba. Pozostaje Francuz i

Greki.

- Słusznie.

Harry Shulz wziął papierosa z etui leżącego na biurku i w zamyśleniu zapalił.

- Francuz jest instruktorem w szkole morskiej, mówileś?

- Tak.

- Na pewno nie rzuci swojej pracy dla ryzykownego przedsięwzięcia.

Ponadto nie chce wracać do kraju, a muszę go zabrać do Francji.

Wykreślmy. Zostaje tylko Grek.

- Wrak, jeśli chcesz mego zdania.

- Sfraternizowany, mówileś?

- Żyje z tubylczą dziewczyną, zrobił jej, nie wiem, ile dzieciaków.

- Rozumiem, ale muszę się z nim dogadać.

- Twoja sprawa, Harry.

- Nazwisko i adres.

- Nazwisko Aleko Sepheriades. Adresu nie mam. Ale jest takie

miejsce, gdzie można go zawsze znaleźć: bar. Najbardziej zakazany w

Papeete: "Kwinz".

- Sepheriades, "Kwinz". O'key, Mike.

Wstał, wyciągnął z kieszeni plik banknotów i położył na biurku.

- Dziękuję.

- Do usług, Harry.

Mike podniósł się także. Wziął szklankę, opróżnił resztkę alkoholu.

Westchnął.

- Masz szczęście, że działasz na własną rękę. Trzeba mi było też tak zrobić.

- Kiepsko teraz idzie? Te ogromne haracze za obowiązkową kartę związkową? - zapytał Harry z ironią.

Mike O'Shea wzruszył ramionami.

- Pewnie, że idzie. Rutynowa robota. Ale monotonna...

- Dlaczego się nie odczepisz?

- W tym zawodzie nigdy nie można odejść. Tylko na to czekają. Jak się wypniesz, nie masz już swojej obstawy, całej organizacji za sobą.

Przychodzą chłopcy i mówią: “Mike, jesteśmy od Frankie. Kazał ci powiedzieć, że żałuje bardzo tego, co musi zrobić, ale...” i dalej, ładują ci kilka serii i koniec z tobą. Wierz mi Harry, masz fart, że jesteś niezależny. Nie wpięprzaj się nigdy do żadnej organizacji. Zostań, gdzie jesteś.

- I nie ma wyjścia?

- Nawet gdybym kupił sobie jedną z Gór Skalistych i zakopał się pod milionem ton schronów, nigdy nie będę bezpieczny, jeśli porzucę mój proceder. Zrozum Harry, w tej robocie jest zawsze coś, co się komuś nie spodoba...

Harry uśmiechnął się smutno.

- Przyznaj. Tęsknisz za czasami, kiedy byłeś jednym z TRAK.

- Masz rację.

- Pamiętasz Katangę?

- Tak!

- A Dallas?

Mikę O’Shea znowu westchnął.

- To były czasy!

Środa, 9 października 1974

Po siedmiu godzinach podróży Harry przyleciał z Los Angeles na Tahiti.

Gdy wychodził z lotniska, piękna dziewczyna, urzędniczka biura turystycznego, zawiesiła mu naszyjnik z muszli.

Wynajął taksówkę do Papeete. zameldował się w hotelu Taaone, blisko plaży, w dzielnicy Pirae. Dano mu bungalow, gdzie wziął prysznic. Przed wyjazdem z Baltimore kupił stare wypłowiałe džinsy i trykot marynarski. Ubrał się i poszedł na obiad do małej, prawie pustej restauracji. Ryba była tam znakomita. Zjadłszy, zapytał, w jakiej stronie miasta znajduje się bar „Kwinnz”. Właściciel restauracji mrugnął porozumiewawczo i poinformował go. Udał się tam.

Była to ohydna speluna. Jak na wyspie Tortue za czasów korsarzy. Królowało tam podejrzane towarzystwo. Rozbitki wszelkiej maści, jakie się spotyka na morzach południowych, żołnierze Legii Cudzoziemskiej, marynarze wszystkich narodowości, prostytutki, złodzieje kieszonkowi, stręczyciele, handlarze, awanturnicy szukający intratnej transakcji. Byli tam również młodzi Amerykanie, którzy uciekli przed poborem do Wietnamu i, mimo że minęło parę lat, nie podlegali jeszcze amnestii. No i jeszcze kilka starych Amerykanek podróżujących dokoła świata za pieniądze uzyskane z ubezpieczenia na życie swoich zmarłych mężów.

Wreszcie młode turystki australijskie i nowozelandzkie w pogoni za egzotyką, wierzące się na kolanach wytatuowanych rozpustników. Powietrze można było kroić nożem, a wrzawa panowała nie do opisanania.

Harry przecisnął się do baru. Oparł łokcie na drewnianym kontuarze pociętym niezliczonymi uderzeniami noża. Udało mu się wśliznąć między dwoje szerokich pleców należących do fińskich marynarzy i dał znak barmanowi. Zbliżył się do Harry’ego z nonszalancką

miną.

- Whisky.

Barman skinął głową i wyciągnął butelkę spod lady. Mądra

ostrożność - pomyślał Harry. - Nie ma butelek na półkach. W tych

stronach krzesła fruują tak samo łatwo, jak noże wyskakują z kieszeni.

Noże lub brzytwy.

Skrzywił się próbując whisky. Zalatywała acetonem. Zapalił

papierosa, żeby zabić ten przykry smak, i rozejrzał się po sali.

Niełatwo w tym tłumie rozpoznać Aleka Sepheriadesa. Dwoje

pleców, które otaczały Harry'ego, nagle zakolysało i do kontuaru wśliznął

się ogromny Tahitańczyk. Stanął obok Harry'ego i wezwał bardzo głośno

barmana.

- Hej! Taieva! Daj klucz do chatki. Barman obojętnie wzruszył

ramionami.

- Nie ma mowy. Nie zapłaciłeś za poprzednie razy.

- Nie pieprz. Mamy Australijkę na podryw z kumplami. Świetna

dupa. Nie dasz mi zmarnować takiej okazji.

- Zaprowadź ją gdzie indziej.

- Wykluczone. Ululaliśmy ją w trupa. Prawie śpi. Jak ją

wyprowadzimy stąd, gliny nas złapią. No, dalej, nie rneńdz, Taieva! Daj

klucz, skurwielu.

- Spieprzaj.

Barman wyciągnął swoje potężne ramiona, żeby obsłużyć na końcu

kontuaru klienta, który wrzeszczał na całe gardło.

- Skurwysyn! - wykrzyknął Tahitańczyk. - Odwrócił się w stronę

Harry'ego i dodał. - Prawdziwy śmierdziel ten typ.

Shulz udął współczucie. - Ile mu jesteś winien?

- Gówno! 5 tysięcy franków. Tylko że jestem splukany. Nie mam ich.

Kumple też nie. Harry wyciągnął z kieszeni banknot studolarowy i obracał go w palcach.

Tahitańczyk błysnął okiem.

- Co trzeba zrobić? - zapytał. Drżały mu kąciki ust.

- Twoja Australijka jest zalana, nie może sama iść. Więc masz trochę czasu. Chciałbym, żebyś mi odnalazł jednego typa, jeżeli go znasz.

- Kto taki?

- Pewien Grek. Około czterdziestki. Nazwisko Spheriades.

- Nie znam.

- Jest tutaj. Dowiedz się. Pokaż mi go, a forsa będzie twoja, dziewczyna też.

- Na pewno?

- Na pewno!

Tahitańczyk zniknął. Korzystając z tego Harry uregulował rachunek. Czekał najwyżej kwadrans. Dwoje pleców się zakolysało i chłopak przepchnął się do baru.

- Trzeci stolik od wejścia. Koszula w niebiesko-żółtą kratę. Zegarek na prawej ręce, sam przy stoliku.

Wyciągnął rękę. Harry Shulz wręczył mu banknot.

- Hej, Taieva! Chodź tutaj, to ci zapłacę dług, ty pedale!

Harry Shulz dostrzegł stolik i mężczyznę. To prawda. Rzeczywiście siedział sam.

Odsunął dwoje ogromnych pleców, które mu zagradzały przejście i pozełgował w kierunku stolika, zajętego przez samotnego mężczyznę.

Kątem oka dostrzegł Tahitańczyka, jak ciągnął blond dziewczynę do drzwi w głębi, za nimi podążało z dwudziestu typów, gotowych skorzystać z okazji.

Harry Shulz wyrósł przed stolikiem i jednym ruchem ręki zmiotł szklankę kiepskiego alkoholu stojącego przed mężczyzną. Ten skoczył na równe nogi, w oczach miał złe błyski.

- Król Konstantym nie byłby zadowolony widząc jednego ze swoich druhów popijającego gorzałkę w podejrzanej melinie - rzucił mu Harry, nim tamten zdążył otworzyć usta. Postawa Sepheriadesa natychmiast uległa zmianie. Wyprostował się, wyprężył, twarz przybrała uroczysty wyraz.

- Król mnie potrzebuje?

- Nie król, ja.

- Pan?

- Może byśmy poszli napić się gdzie indziej? Sepheriades potulnie ruszył za nim.

Harry Shulz kupił w swoim hotelowym barze butelkę doskonałej whisky, wziął dwie szklanki, wiaderko pełne kostek lodu i zaprowadził Greka do swojego bungalowu. Posadził go, nalał trunek i przystąpił do rzeczy.

- Nie będę bawić się w długie gadanie. Mam dla pana niewielką

robotę. Jeśli pan się zgodzi, 50 tysięcy dolarów dla pana.

- 50 tysięcy dolarów? Co za robota?

Shulz wyjaśnił mu w kilku zdaniach.

Kiedy skończył, Sepheriades spojrział na niego wyniośle.

- Proszę pana - powiedział oziębło - jestem oficerem marynarki jego

królewskiej wysokości, króla Konstantyna, i na pewno nie dam się użyć

do spisku, który pan knuje.

Harry Shulz uspokoił go gestem ręki.

- Chwileczkę. Zapomina pan, że ma zaatakować swoich

odwiecznych wrogów, Turków. Dobrego figla im się splata. A ci, co mają

zginąć, to także Turcy.

Nie była to prawda, ale Sepheriades nie musiał tego wiedzieć.

- Mimo wszystko! - zaprotestował Sepheriades.

- A w dodatku 50 tysięcy dolarów, żeby pan odzyskał swoją pozycję,

rangę, do której ma pan prawo, mógł się przygotować do dnia, kiedy

pański król odzyska tron. Co by pomyślał król, gdyby się dowiedział, że

pan żyje w nędzy na Tahiti, w konkubinacie z kobietą niegodną pańskiego

stanu.

Harry Shulz był zadowolony z siebie, ze sposobu, w jaki zachwala

przedsięwzięcie przed Grekiem. Starannie przygotował wszystko, co miał

mu powiedzieć, biorąc pod uwagę psychikę Sepheriadesa. Czuł, że ten się

waha. Wysunął najcięższy argument.

- W akcji wezmą udział francuscy oficerowie.

- Francuscy oficerowie? - zdziwił się Grek.

- Tak.

- W takim razie robiłbym sobie wyrzuty nie przyjmując oferty.

Shulz uśmiechnął się zadowolony. Gra nie była zbyt trudna, po dokładnym rozważeniu.

Wyciągnął z kieszeni zdjęcia zrobione w Iskenderun, wywołane w Baltimore i rozłożył je na stole.

- Proszę się dobrze przyjrzeć - polecił - i powiedzieć, czy pan poznaje.

Sepheriades skrupulatnie obejrzał zdjęcia, jedno po drugim.

Odłożył ostatnie na stół.

- Poznają. Jak pan wie, byłem oddelegowany do NATO.

- Doskonale. A oto jak zamierzam działać. Niech mi pan przerwie, jeśli się pomylę.

W ciągu następnych dwóch godzin przygotowali cały plan w szczegółach. Uprzednio Harry go zaledwie naszkicował. Sepheriades coraz bardziej się zapalał.

- Cudowne! - stwierdził. - Uda się, jestem pewien!

- Mam nadzieję. Ilu ludzi będzie potrzeba?

Greki się zastanowili.

- Dwunastu - odpowiedział - plus pan i ja.

- O tej samej liczbie i ja myślałem. Muszą odbyć jeszcze przeszkolenie.

- To konieczne.

- Pan się tym zajmie.

- Oczywiście.

- Ile czasu to panu zajmie?

- Przeszkolenie? Jeśli będą pojętni, tydzień, jeśli nie...

- Będą pojętni - zapewnił Harry z przekonaniem.

ROZDZIAŁ XXVI

Czwartek, 17 października 1974

Harry Shulz uwinął się w ciągu ośmiu dni.

Zawiózł Aleka Sepheriadesa do Stanów Zjednoczonych i umieścił go

na opuszczonym ranczo w Kalifornii. Wynajął je bardzo tanio. Zostawił

tam Greka z zapasem jedzenia, picia, z aparatem telewizyjnym, żeby się

nie nudził i ruszył na poszukiwanie ludzi za pośrednictwem organizacji

TRAK.

Nie miał czasu na kontaktowanie się z cudzoziemcami, zadowolili

się więc rekrutacją tych, których mógł złapać na kontynencie

amerykańskim.

Spotkanie wyznaczono na ranczo.

Przybywali jeden po drugim.

Pierwszy zjawił się Brian Fitzmorris.

- Czolem, Harry. Fajna robota?

- Tak.

- Tym lepiej. Chciałbym trochę zmienić aurę. Miałem już dość

Irlandii Północnej.

- Jak to się tam odbywa?

- Zlikwidowałem niemało żołnierzy angielskich. Miałem też

“kontrakt” na zabicie królowej, ale w ostatniej chwili rozkaz został anulowany. Mimo to wszystko mi zapłacili.

Po Brianie Fitzmorrise przybył Kanadyjczyk Phil “Horny”

DeLaYalle. Opowiadano, że wynajął go kiedyś siostrzeniec pewnego emira z Wybrzeża Piratów, żeby zabił jego wuja. Phil DeLaYalle zażądał jako honorarium oddania mu do dyspozycji na miesiąc haremu emira.

Siostrzeniec przystał na te warunki; emir zginął, a Phil “Horny”

DeLaYalle do dziś wspomina z rozrzewnieniem miesiąc spędzony w haremie.

Następnie przyszła kolej na Jerry’ego “Cherry” Wettgrena z Kansas City, szachistę. Szachy stanowiły jego jedyne zainteresowanie życiowe i gdyby się przyłożył, byłby zdolny pokonać Spasskiego i Fischera.

Po Jerry’em przybył Joe Stanzyk z Chicago. Nikt nigdy nie usłyszał od niego innego słowa, niż tak lub nie. Był to niewielki, chudy człowieczek, blondynek. Godzinami mógł siedzieć na krześle wpatrzony w jeden punkt i nawet nie mrugnął okiem.

Potem zjawił się Buck “Chow” Carson, olbrzym o sflaczałej skórze i oczach zaskakująco dobrodusznych, zwłaszcza jeśli się wie, że to jeden z najbardziej bezlitosnych morderców, jakiego można spotkać na świecie.

Tuż za Buckiem zgłosił się Jack Goeppner z Saint Louis. Stał na progu i mrugnął do Harry’ego.

- Wieki cię nie widziałem. Od Dallas w 63 roku.

- To prawda, Jack. Co się z tobą działo w tym czasie?

- Wracam z Libanu. Operacje uderzeniowe na terenie Izraela.

Wszelkie zamachy. Terroryzm. Dobrze płatne, ale trochę niebezpieczne.

Co więcej, obóz znajdował się w górach. Żadnych babek w okolicy.

Miałem dosyć, wróciłem do kraju. Nie ma drugiego takiego miejsca na świecie, jak Saint Louis i Missouri.

- Wierzę ci, Jack.

Ze wspaniałego sportowego wozu, który wywołał gniewne spojrzenie Harry'ego, wysiadł Tommy "Playboy" Yodkun z anielską twarzą, kręconymi włosami i opaloną skórą.

- Nie rób min, Harry - tłumaczył się. - Nie miałem innego sposobu, żeby szybko tu się zjawić.

- Za ranczo jest stara stodoła, zrób mi tę przyjemność i wstaw tam twoją gablotę dla dziwek.

- O.K., Harry.

Dobry chłopak ten Tommy "Playboy" Yodkun - pomyślał Harry - tylko nierozważny.

Godzinę później stawił się bliźniaczy brat Tommy'ego Yodkuna, Michel Corvet, Francuz. Takie same kręcone włosy, taka sama anielska twarz i opalona cera.

Harry uśmiechnął się do niego serdecznie.

- Co u ciebie od czasu naszego ostatniego spotkania w Paryżu?

- Chwilowo klops. Nie ma "kontraktów". Szczęście, że pomyślałeś o mnie.

Harry Shulz przyjął następnie Frankie "Choppera" Zuberga, najlepszego na świecie strzelca z pistoletu maszynowego. Potem Dicka

Van Dycka, który wykonywał swoje kontrakty tylko w tłumie i zawsze przy użyciu strzykawki. I jeszcze Dana Lishka, który odznaczał się tym, że w wieku lat piętnastu likwidował w swojej klasie zdolniejszych od siebie uczniów, dzielących go od pierwszej lokaty. Nigdy nie dał się zdemaskować. Diabelska wyobraźnia w wymyślaniu sposobów zabijania i jedyna obsesja: psy. Mordował je systematycznie, jak tylko nadarzyła się okazja.

Klepnął przyjacielsko Harry'ego w ramię. Jego okrągłe oczy uważnie rozglądały się po okolicy.

- Psów nie ma?

- Nie ma strachu, Dan, skoro ty jesteś na miejscu! Na pewno by cię wyczuly.

- Masz rację. Musiały mnie wyczuć... Zaśmiał się. - ... z wyjątkiem tych na drodze...

- Na drodze?

- Załatwiłem trzy. Dwa strzałami, jeden wpadł między koła.

Oczy mu rozbłysły.

- Żółte... tych najbardziej nie cierpię... żółte psy.

Ostatni przybył Jimmy Kodesh, stary kumpel Harry'ego,

nowojorczyk jak on, elegancki, inteligentny, wykształcony. Zabijał, żeby zebrać pieniądze dla zaspokojenia swojej pasji: kolekcjonowanie obrazów mistrzów.

- Spóźniłeś się - stwierdził Harry Shulz.

- Aukcja w San Francisco. Dwóch Rouaultów i jeden Braque. Ale

miałem za mało forsy, żeby wszystko kupić. Podpisałem rewers. Mam nadzieję, że dobrze płacisz. Liczę na ciebie.

- Dziesięć tysięcy dolarów.

Jimmy Kodesh skrzywił się.

- Przykro mi, Jimmy, nie mogę więcej.

Dwunastu chłopców po 10 tys. dolarów, 50 tys. dolarów dla

Sepheriadesa, to go już kosztuje 170 tysięcy dolarów. Tylko za udział w tej fazie operacji.

Wziął pod rękę Jimmy'ego i pociągnął go za sobą.

- Chodź, nie mamy czasu do stracenia. Rozbawiła go pewna myśl: co zrobi Sepheriades z tej pięknej bandy niegodziwców?

Wtorek, 22 października 1974

Patrick Baudouin wysiadł w Iskenderun przebrany za hippisa, czy też zgodnie z wyobrażeniem, jakie ludzie mają o wyglądzie hippisa.

Pomysł był chytry, bo mnóstwo hippisów przejeżdżało przez

Iskenderun w drodze do Iranu, Afganistanu i Nepalu albo z powrotem, próbując przewieźć nielegalnie narkotyki.

Rzecz znana. Turcja była punktem przelotowym handlu narkotykami, w detalu i hurcie.

Patrick wynajął pokój w skromnym hotelu i zaczął się włóczyć po mieście w cichej nadziei, że wpadnie na Brendę.

Przeszukiwał plaże, bary, małe kafejki, pełne graczy w tryktraka i szachy, sklepy, restauracje, wszystkie miejsca, gdzie mógłby ją znaleźć.

Dzień po dniu zaczynał od poszukiwań, ale ciągle bez rezultatu.

Nazajutrz po przybyciu obejrzał miejsce, gdzie Brenda wyznaczyła

Kate Kitzpack spotkanie na 30 października: Güney Palas. Restauracja na wolnym powietrzu, podobno najlepsza w mieście. Także hotel. W środku druga sala, gdzie też można było zjeść. Służyła głównie zimą, kiedy temperatura nie pozwalała na jedzenie pod gołym niebem.

Dokładnie zlustrował teren, wybierając kilka punktów poza salą, ukrytych za wysokimi roślinami. Tam mógłby się zadekować w oznaczonym dniu.

Wielokrotnie spożywał posiłki w restauracji Güney Palas, mając nadzieję, że Brenda tam się pokaże, ale nic z tego.

Może Brenda - pomyślał - przyjedzie do Iskenderun dopiero w dniu spotkania wyznaczonego Kate, to znaczy 30 października?

Czekając na ten dzień spędzał czas na kąpieli, a wieczorami odwiedzał „pavyon”, mieszając się z tłumem hippisów i narkomanów, w nędznych dzielnicach miasta, aby uprawdopodobnić swoje przebranie.

Czwartek, 24 października 1974

Aleko Sepheriades szkolił z ogromnym wysiłkiem dwunastu ludzi zwerbowanych przez Harry’ego Shulza. Przygotowywał ich do wykonania kontraktu. W jednej części rancza zrekonstruował z grubsza miejsce akcji i dzień po dniu trenował 12 ludzi, każąc im powtarzać bez końca czynności przewidziane na dzień “X”.

Ludzie byli zdyscyplinowani. Nikt się nie skarżył.

Zaraz po przybyciu Harry Shulz zebrał ich i objaśnił, co będą mieli do zrobienia. Wszyscy uznali pomysł za oryginalny i chwalili go, co

sprawilo Harry'emu prawdziwą przyjemność. Wręczył każdemu z góry 10 tys. dolarów.

Autorytet

i

odpowiedzialność

dodały

skrzydeł

Alekowi

Sepheriadesowi. To już nie był ten wrak z baru “Kwinzz”, ale oficer królewskiej marynarki wojennej. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki odnalazł dawne gesty, ton rozkazywania i dumę. Pasjonował się swoją misją. W pięć dni zakończył przygotowanie ludzi i razem z Harrym Shulzem opracował akcję w najmniejszych szczegółach.

Harry Shulz także nie tracił czasu. Zarezerwował czternaście miejsc w różnych samolotach lecących do Paryża z Los Angeles, Chicago i Nowego Jorku. Równocześnie zamówił pokoje w trzech hotelach paryskich, wysłał niewinny telegram do Francois Lyończyka zawiadamiający w ustalonych słowach o przyjeździe do Paryża i z prośbą o broń.

Określonego dnia wszyscy opuścili ranczo i zgodnie z instrukcjami Harry'ego udali się do Paryża, nie biorąc ze sobą żadnej ze swych ulubionych broni, jak nakazał Shulz.

W Paryżu Harry Shulz spotkał się z Francois Lyończykiem, który przekazał mu dane dla nawiązania kontaktu z komendantem łodzi

podwodnej, zdobytej przez Jerome Ducaza, a należącej do służb specjalnych. Ponadto Francuz dał Harry'emu adres w Tulonie, gdzie będzie dostarczona broń.

Następnie Harry Shulz wraz z trzynastoma towarzyszami ruszyli do Tulonu.

Jak można było oczekiwać, komendant łodzi podwodnej nie był zachwycony powierzoną misją. Patrzył złym okiem na Aleka Sepheriadesa, przedstawionego mu jako oficera marynarki wojennej. Uważał go za zwykłego awanturnika.

Ale rozkaz to rozkaz, więc skrupulatnie zanotował instrukcje przekazane przez Harry'ego, jego życzenia, miejsca i daty spotkań przed Iskenderun.

Broń odebrano pod adresem wskazanym przez Francois Lyończyka. Sepheriades i dwunastu ludzi zaokrętowało się na łodzi podwodnej. Żeby pomieścić dodatkowych pasażerów, łódź musiała znacznie zmniejszyć swoje wyposażenie.

Okręt natychmiast opuścił port w Tulonie i płynął w kierunku Iskenderun. Aleko Sepheriades miał pilnować, żeby komendant łodzi stosował się do instrukcji Harry'ego Shulza.

Harry z Tulonu udał się do Nicei, skąd poleciał samolotem do Rzymu. Na lotnisku Fiumicino pozostał zaledwie półtorej godziny i ruszył na Maltę. W La Valletta odnalazł agenta morskiego, z którym kontaktował się cztery miesiące wcześniej, kiedy zbierał informacje o położeniu jachtów Barta Scalisio.

- Zajmuje się pan ciągle trampingiem? - zapytał.

- Oczywiście - odpowiedział agent morski. - To moje główne zajęcie.

- Doskonale. Potrzebny mi tramp na 30 października przed

Iskenderun w Turcji. Poza wodami terytorialnymi, oczywiście. Nie musi

być duży, ale szybki, z kapitanem, który nie zadaje pytań. Jest to

możliwe?

- Mam dobry statek przemytniczy. Za panem na ścianie wisi zdjęcie.

Harry Shulz odwrócił się.

- Nadaje się. Oto współrzędne spotkania.

Dał mu kartkę, na której Sepheriades zaznaczył długość i szerokość

geograficzną, gdzie powinien się znaleźć tramp.

- Mogę liczyć na pana? - zapytał Harry Shulz.

- Przecież zna mnie pan. Przykro mi z powodu poprzedniego razu,

że nie mogłem dostarczyć potrzebnych informacji. Tamten typ poruszał

się jak na latającym dywanie.

- Wiem.

Harry zapłacił żadaną sumę i wrócił na lotnisko. Z La Valletta wziął

samolot do Bejrutu, a stamtąd do Adany. Na parkingu odnalazł swego

chevroleta i półtorej godziny później był z powrotem w Iskenderun.

Pierwszą wizytę złożył dentyście Barichy. Przekazał dla niej

wiadomość, ustalając spotkanie na następny dzień.

Baricha przybyła punktualnie. Zatrzymała się obok chevroleta, na

ścieżce prowadzącej do ulubionej zatoki Harry'ego.

Wysiadła z samochodu i rzuciła mu się na szyję.

- Zimno. Dlaczego wybrałeś to miejsce?

- Jest dyskretne.

- Chodźmy do wozu - poprosiła.

- Do łóżka?

- No pewnie!

Gdy skończyli się kochać, zapytała:

- No i jak?

- Jakoś pójdzie.

Klasnęła w dłonie.

- Naprawdę? Opowiedz!

- Nie ma sensu tłumaczyć, za długo by to trwało.

- Nie ufasz mi?

- Bądź logiczna. Czy wiesz, czy nie wiesz, to mi nie może pomóc.

Więc zostanemy przy tym. W każdym razie bądź gotowa 30 października wieczorem. Zabiorę cię. Będziesz mogła po tym dniu spokojnie krążyć po świecie. Barto zostanie zabity.

- Jesteś pewien?

- Tak.

- Nie chcesz mi powiedzieć, jak to zrobisz?

- Nie. Zobaczysz. Barto przyjechał?

- Tak. Oboje. Ze swoją dziwką.

- Nie wychodzi z zamku?

- Wiesz dobrze, że nie.

- Goście?

- Jeszcze nie przybyli.
- Skoro jest, jak ci się udało tak łatwo wyjść?
- Stale to samo alibi: dentysta.
- Wieczorem?
- Jest dopiero ósma. Dentyści pracują do dziesiątej.
- Nawet w Turcji?
- Nawet w Turcji.
- Nie należy jednak przeciągać struny. Barto może się czegoś domyślić i cały mój plan się zawali.
- Chcesz, żebym teraz wróciła?
- Tak. Ale przedtem ustalmy spotkanie 30 października. Oto gdzie masz być i co robić.

Wyjaśnił jej.

- Zrozumiałaś dobrze?
- Tak.
- O.K. Wracaj teraz do zamku.

ROZDZIAŁ XXVII

Wtorek, 29 października 1974

- Cześć Joe. Co u ciebie od czasu Marsylii? Joe LaCasa milczał. -

Niezła ta twoja ucieczka sprzed Pałacu Sprawiedliwości. Jako znawca podziwiam. Piękna rzecz mieć wspólników, prawda?

I tym razem Wayne Sandborgnie otrzymał odpowiedzi.

- Przypominasz sobie, co ci mówiłem w rozmównicy więzienia

Baumettes? Że Barto Scalisio, po Nicku zechce twojej skóry. Czy nie stało

się to tego samego dnia? Numer z powieszeniem? Pamiętasz? Jeszcze masz ślad na szyi. Okazałeś się jednak przezorny. Zamiast wracać do Nowego Jorku, ukryłeś się w Paryżu. Twoja strata, że cię odnaleziono.

- Już ci mówilem, odpierdol się, zawszony gliniarzu!

- Musisz urozmaicić swój słownik, Joe. To się staje monotonne, banalne. Znajdź coś innego. Nie wiem... Posłuchaj...

Wyrecytował mu całą litanię ordynarnych przekleństw.

- Wybierz coś z tego.

Wayne Sandborg usiadł na koślawym krześle.

Zaalarmowano go w Bejrucie. Paryscy agenci DEA byli na tropie

Joego LaCasa, ukrywającego się w Paryżu od chwili ucieczki z Marsylii.

Natychmiast, wraz ze swoją sekretarką Kate, wsiadł do samolotu do Paryża.

Tymczasem jednak akcja spaliła na panewce. Stracono ślad Joego.

Trzeba było ponad miesiąca, żeby go odnaleźć.

Właśnie gdy Wayne Sandborg przygotowywał wyjazd do

Iskenderun na spotkanie ustalone przez Brendę Chapman, ludzie z DEA złapali Joego i Wayne musiał opóźnić wyjazd.

Agenci DEA przywieźli Joego LaCasa do dyskretnej willi na

peryferiach Paryża wynajętej na rok. Nie uprzedzili francuskich kolegów, żeby zyskać swobodę ruchów.

Zaprowadzono Joego do piwnicy, specjalnie przystosowanej do

przesłuchań, przywiązano do krzesła umocowanego w betonowej podłodze.

Wayne Sandborg rozmyślał.

Operacja "Gwinea" była na dobrej drodze dzięki jego agentce.

Dostarczył jej miniaturowych mikrofonów, które miały posłużyć do zarejestrowania przebiegu rozmów uczestników zebrania w Iskenderun

30 października. Dzięki uzyskanym w ten sposób informacjom będzie

można dowieść istnienia spisku i drogą dyplomatyczną uzyskać

ekstradycję Barta Scalisio z jakiegokolwiek kraju, w którym by się

znalazł. Wypłoszy się go z kryjówki, osaczy, aż wpadnie w sidła.

W takiej sytuacji po co mu Joe?

Dużo myślał na ten temat od przyjazdu do Paryża i przez cały czas

trwania łowów na Joego. Doszedł do wniosku, że Joe wie coś ważnego.

Dlaczego wybrał się w podróż do Marsylii, on, taki domator, który nie

cierpiał rozstawać się z rodzinnym Nowym Jorkiem? Podróż okazała się

fatalna: po pierwsze znaleziono w jego samochodzie podrzucone

narkotyki i po drugie mogła się skończyć tragicznie podczas próby

morderstwa w celi więziennej.

Uciekł potem z więzienia i ukrywał się w Paryżu, gdzie nigdy

przedtem nie był i nikogo nie znał. Kto go ochraniał w stolicy Francji? Ale

najważniejsze, co wiedział?

Czy próbowano go zabić jako kompromitującego świadka

morderstwa na dawnym szefie, czy też dlatego, że wiedział coś ważnego?

Pierwsza hipoteza była bardziej prawdopodobna. Barto Scalisio

zwykł czynić pustkę wokół siebie. Wykorzystywał ludzi, ale gdy stawali się

niebezpieczni, eliminował, zastępując innymi, których czekał wkrótce ten

sam los.

Obie hipotezy mogły także iść w parze. Barto wydał rozkaz zabicia

Joego LaCasa dlatego, że już nie miał z niego pożytku po śmierci Nicka De

Luki, ale także dlatego, że ten coś wiedział. Coś, co dotyczyło Barta. Jeśli

to “coś” było na temat zebrania 30 października, nie przedstawiało dla

Wayne Sandborga żadnej wartości, bo wiedział o tym zebraniu od swojej

agentki.

Ale jeśli to było co innego? Warto by wiedzieć.

Stanął przed Joem:

- Nie zdecydowałeś się mówić, Joe?

Tak jak poprzednio i tym razem nie otrzymał odpowiedzi.

Wayne westchnął głęboko.

- Zastanawiam się, dlaczego ochraniaasz kogoś, kto cię wsadził do

mamra, a później próbował zabić. Nie opowiadaj mi, że to kwestia

wierności po tym, co zrobiłeś Nickowi.

Joe nie reagował.

- Wiem, że Barto będzie 30 października w Iskenderun w Turcji

wraz ze wszystkimi swoimi przyjaciółmi - zaczął ostrożnie Wayne. - Coś ci

to mówi?

Joe nawet nie drgnął.

- Nie zostałeś zaproszony? Brak odpowiedzi.

- Jak wolisz, Joe. Dał znak dwóm agentom DEA stojącym w kącie.

- Do roboty, chłopcy. Potem odwrócił się do Joego:

- Wytłumaczę ci, Joe. Nałoży ci się na głowę kask z dwiema

sluchawkami i puści muzykę. Fajną muzykę. Myślę, że docenisz. To trochę specjalne. Zarejestrowano taśmę magnetofonową mieszając muzykę dodekafoniczną, bicie w bęben, zgrzytanie paznokci po tablicy szkolnej, dźwięk piły elektrycznej, czyneli i wiele innych wysokich, głuchych, niskich dźwięków.

Wolałbyś na pewno jakiś dobry slow-fox czy bossa novę i miałbyś rację. Zapewniam cię, nastawione na cały regulator, to jest naprawdę okropne. Widziałem jednego, co wytrzymał 27 minut i 42 sekundy.

Wyjątek. Średnia waha się między 15 a 20 minutami. Dwadzieścia dla najodporniejszych. Słabsi padają po 15 minutach. Zobaczymy, czy ty pobijesz rekord. No dalej, chłopcy.

Cofnął się.

Agenci DEA nałożyli Joemu kask, słuchawki na uszy, uruchomili magnetofon...

Wayne Sandborg wiedział, że to piekielna próba. Ucho ludzkie nie jest zdolne przyjąć takiego uderzenia różnych dźwięków o największym natężeniu. Sam poddał się temu doświadczeniu. To było po prostu piekło.

Bębenki wibrowały z taką ostrością, że ból stawał się wkrótce okropny.

Szum przenikał skronie, stopniowo cierpienie stawało się nie do zniesienia. Reagował nerw wzroku, co powodowało silne zawroty głowy, męczące mdłości.

Nieprawdopodobne.

Nikt nie wytrzymał dłużej niż 27 minut i 42 sekundy. A ten, co wytrzymał, prawie oszalał. Niektórzy próbowali oszukiwać. Udawali, że

chęcią mówić, żeby zyskać chwilę oddechu. Okazywało się to fatalnym błędem. Bo gdy stwierdzono oszustwo, podłączano na nowo magnetofon, a za drugim razem cierpienie jeszcze okrutniej przenikało płaty mózgowie.

Wayne Sandborg zawinął mankiet kurtki i śledził na zegarku monotonny ruch sekundnika.

Podniósł wzrok i ocenił stan Joego.

Pot już perlił mu się na czole. Nozdrza drgały, usta się skurczyły, policzki zapadły, pod opuszczonymi powiekami powiększały się czarne sińce.

Wayne Sandborg nie dawał mu więcej niż 15 minut.

- To największa moc? - zapytał jednego z agentów.

- Tak. Cztery minuty.

Bardzo wątpił, czy Joe ceni muzykę dodekaf oniczną, to nie w jego stylu. Zwłaszcza w takim natężeniu. To trochę jak krzesło elektryczne.

Początkowo utrzymuje się 2000 wolt, potem zmniejsza się stopniowo napięcie do 500 wolt i w momencie, kiedy pacjent zaczyna oddychać z ulgą, wprawia się znowu wszystko w ruch aż do końca.

Tutaj tak samo. Nieznacznie zmniejsza się napięcie i osobnik myśli sobie, że to nie jest takie straszne, że można się przyzwyczaić, potem aplikuje się całą moc i nie ma już wyboru: albo zeznanie albo demencja.

Nikt nie wybiera demencji. Siedem minut.

Wayne, rzuciwszy ostatnie spojrzenie na zroszone potem czoło

Joego, wszedł po schodach na parter. Chciało mu się pić. Łyk bourbonu

dobrze zrobi.

Kilka chwil później był z powrotem w piwnicy. Minęło trzynaście minut odkąd założono Joemu kask.

Wyglądał niezbyt zachęcająco. Jakby się zestarzał o dziesięć lat.

Zgarbiony, ręce trzęsły mu się konwulsyjnie. To już nie krople potu spływały po czole, ale istny potop płynął wszystkimi porami. Ciągnął rozpaczliwie pasy, które go utrzymywały na uwięzi. I nagle huknął:

- Zatrzymajcie! Zatrzymajcie! Będę mówił! Trzynaście minut i 54 sekundy. Joe LaCasa nie wytrzymał.

Wayne Sandborg dał znak agentom. Natychmiast zatrzymali magnetofon i zdjęli kask. Wayne podszedł.

- Nokaut w trzynastu rundach, Joe. Widziałem lepszych.

Joe LaCasa oddychał ciężko.

- Skurwiel - udało mu się wykrztusić.

- Jeśli tylko to masz do powiedzenia, wkładamy kask na nowo.

Błysk szалу zapalił się w spojrzeniu Joego.

- Nie!

- No więc?

Wayne Sandborg pochylił się badając twarz swego więźnia.

Pomyślał, że jest jak entomolog obserwujący nie skoordynowane ruchy owada złapanego w pułapkę.

Joe obliznął wargi, otworzył usta.

- Więc?

Joe LaCasa zdecydował się. Sprzedał już tylu ludzi, dlaczego raczej

nie sprzedać Francuza, niż znosić straszną torturę.

- Oplacono faceta do sprzątnięcia Barta...

- Kogo?

- Nie znam nazwiska.

- Joe, założymy z powrotem kask - zagroził Wayne Sandborg.

- Nie wiem, przysięgam! - wykrzyknął Joe. Opowiedział wszystko.

Wayne Sandborg kazał założyć jeszcze raz kask na dziesięć minut i wszedł na górę, żeby nie słyszeć jęków.

Przy ponownym przesłuchaniu Joe nie zmienił zeznań.

Dał sygnał agentom, że skończył. Mogli przekazać Joego LaCasa francuskiej policji. Tym razem na pewno stanie przed sądem.

- No i co - zapytała Kate, gdy Wayne wrócił na górę.

- Brenda jest w niebezpieczeństwie. Francuzi wypuścili śladami

Barta zawodowego mordercę. Ma wykonać kontrakt 30 października, to znaczy jutro. W jaki sposób? Nie wiem. Wydaje mi się, że to pewniak.

Może przy okazji zabić Brendę. Chodź, lecimy na Orly.

ROZDZIAŁ XXVIII

Środa, 30 października 1974

Rano odbyła się defilada wojskowa z fanfarami, a następnie

defilowały różne organizacje i stowarzyszenia. Tłum był ogromny.

Atmosfera radości. Entuzjastyczne okrzyki towarzyszyły przemarszowi oddziałów.

Turcy obchodzili nie tylko swoje święto narodowe, ale także

zwycięstwo wojskowe nad grecką gwardią narodową na Cyprze.

Po południu tłum rozbiegł się po ulicach. Rozradowane grupy zapełniły chodniki. Świątowano w każdej dzielnicy. Żołnierze i marynarze stacjonujący w Iskenderun dostali przepustki, a każdy mieszkaniec chciał dostąpić zaszczytu ugoszczenia ich jedzeniem, trunkami, kawą.

Tłum uliczny umożliwił Patrickowi bezpieczne poruszanie się, nikt nie zwracał na niego uwagi, mógł więc spokojnie czatować przed wejściem do Güney Palas.

Usiadł wśród hippisów, całkowicie zamroczonych narkotykami i spoglądających ponuro na ludzi wokół.

Patrick Baudouin nie spuszczał oka z drzwi do restauracji. Po długich godzinach oczekiwania ujrzał wreszcie Brendę. Zapadał już zmrok, ale rozpoznał ją od razu.

Na niebie wybuchały różnokolorowe wiązki ogni sztucznych, witane radosnymi okrzykami przez rozszalały tłum. Okręty w zatoce wyglądały jak choinki bożonarodzeniowe ustawione na wodzie. Girlandy lampek elektrycznych były rozwieszane na wantach.

Patrick wstał i podszedł do drzwi restauracji. Nagle zawahał się.

Przemierzył taki świat drogi, żeby spotkać się z Brendą, żeby poznać prawdę, a teraz zadawał sobie pytanie: czego się dowie? Czuł, że zagłębia się w ciemności. Przemówił sobie do rozsądku. Ma stchórzyć w ostatniej chwili? To komiczne! Zdecydował się, wszedł.

Od razu zobaczył torebkę leżącą na stoliku. Luksusową, z krokodyla, musiała kosztować majątek. Na skórze widniały dwie wielkie litery z masywnego złota. Inicjały BC.

**Jak na końcu listu znalezionego w pokoju hotelowym Kate Kitpack
w Bejrucie.**

BC: Brenda Chapman.

**Wszystko się zgadzało. Luksusowa torba z luksusowym
apartamentem przy Lexington Avenue.**

Brendą zakpiła sobie z niego. Pracowniczka biura podróży!

**Przy stoliku nie było nikogo. Tylko torebka wskazywała, że ktoś tu
siedział.**

**Patrick stanął obok i zapalił papierosa wyciągniętego z kieszeni
jakiegoś hippisa. Zabrakło mu własnych, a nie chciał odchodzić sprzed
restauracji, bo bał się zgubić Brendę. Zaciągnąwszy się raz i drugi
stwierdził, że to marihuana. Zgniółł papierosa obcasem.**

**W tym momencie zauważył za sobą ruch. Odwrócił się i natknął na
jakąś dziewczynę. Przeszła obok i usiadła przy stoliku, na którym leżała
torba.**

**Patrzył zdumiony: to nie była Brenda. A jednak widział, jak Brenda
wchodziła do restauracji.**

**Dziewczyna, czując jego natrętną obecność, podniosła oczy. Jej
wzrok spoczął na brudnym ubraniu, rozczochranych włosach. Obrzuciła
go wzrokiem pełnym pogardy. Wzruszyła ramionami. Zaczęła nerwowo
uderzać ręką z pierścionkiem o blat stolika.**

**Patrick nie wierzył własnym oczom. Spojrzał raz jeszcze na inicjały i
odszedł.**

A jeśli to ta dziewczyna naznaczyła spotkanie? Jeśli to ona napisała

list znaleziony w pokoju Kate?

Nie, oszalał chyba! Widział na własne oczy, jak Brenda wchodziła do restauracji. No, a inicjały? Zwykły zbieg okoliczności?

Skierował się do wnętrza restauracji. I nagle za wielką zieloną rośliną zobaczył Brendę. Odetchnął z ulgą.

Brenda na jego widok wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. Usiadł naprzeciw niej.

- Co ty tu robisz, Patrick? - zapytała przerażona.

- Nie spodziewałaś się mnie tutaj zobaczyć, co?

- Nie - przyznała.

- Zawsze byłem uparty.

- Widzę. Ale nie masz racji.

- W czym?

- Że przyjechałeś tutaj.

- Może byś mi wszystko wytłumaczyła? Już dostatecznie długo traktowałaś mnie jak idiotę!

Jej spojrzenie stało się błagalne.

- Nie teraz Patrick, proszę cię... Później...

- Ciągle później? Jest jedna rzecz, którą chciałbym wiedzieć. Po co te kłamstwa w twoich listach?

- To nie kłamstwa. Błagani cię, uwierz mi. Podaj mi adres twojego hotelu, przyjdę do ciebie później. Przysięgam, wszystko ci wyjaśnię.

- Dlaczego nie teraz?

- Nie mogę.

- Z jakiego powodu?

- Czekam na kogoś.

- Na Kate Kitzpack?

Jej wzrok stał się przenikliwy.

- Tak.

- Zostałaś wpłątana w aferę szpiegowską, o to chodzi? Zdziwiona uniosła brew.

- Skąd to wymyśliłeś?

Nagle zadrżała. Patrick dosłyszał za sobą jakiś szelest. Odwrócił się gwałtownie.

- Wayne, przedstawiam ci pana Patricka Baudouina, który nam przysporzył tylu kłopotów w Nowym Jorku.

Patrick rozpoznał Kate Kitzpack i mężczyznę, który jej stale towarzyszył. Oboje wzięli krzeselka od sąsiedniego stolika i dosiedli się.

- Jak się masz, Brenda? - zaczął od razu Wayne Sandborg.

- Dziękuję - odpowiedziała sucho. - Mikrofony są na miejscu. To cię interesuje, prawda?

- Oczywiście, że to mnie interesuje. Nie ma obawy, że je znajdą?

- Nie.

- Może nie będą potrzebne.

- Dlaczego?

- Przynajmniej jeśli chodzi o Barta. Dla innych się przydadzą.

- Co to znaczy?

- Francuzi przysłali tutaj zawodowego mordercę, żeby zlikwidował

Barta. Ma dzisiaj wykonać swój kontrakt. Pozostało mu zaledwie kilka godzin na realizację planu. Dobrze by zrobił, żeby się pospieszył. Jeśli to się już nie stało. Ale w tym wypadku wiedziałabyś, prawda?

- Na pewno. Do Barta nie ma dostępu. Jak zamierza to zrobić?

- Nic nie wiem. Ale...

- Co?...

Wayne Sandborg popatrzył chytrze.

- Barto nie dla wszystkich jest niedostępny. Nie zapominaj, że ma w tej chwili gości...

- Chcesz powiedzieć, że morderca wśliznął się między nich?

- Tak bym zrobił na jego miejscu.

- Wykluczone - zapewniła Brenda kategorycznie.

- Dlaczego? - spytała Kate.

- Bo wszyscy przybywający są dokładnie kontrolowani. Barto ich zna. Niemożliwe, żeby przecisnął się jakiś obcy.

- A jeżeli zabójca jest właśnie jednym z zaproszonych? - podsunął

Wayne Sandborg.

Patrick Baudouin słuchał zafascynowany. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Ani Brenda, ani Wayne, ani Kate. Traktowali go jak przedmiot.

Co miała oznaczać ta cała historia? Afera gangsterska? Tak wyglądało.

- Jedno jest pewne, Brendo, znalazłaś się w niebezpieczeństwie - podsumował Wayne Sandborg.

- Właściwie dlaczego?

- Nie znamy modus operandi mordercy. Może urządzić generalną masakrę. Nie wiem, jakie otrzymał instrukcje. Niewykluczone, że ma współników wewnątrz. Może wielu. Mógł zwerbować ludzi. Wydaje się, że to pewniak. Najlepszy światowy specjalista w zbrodni. Wołałem cię uprzedzić.

Patrick zadrżał. Brenda w niebezpieczeństwie? W jednej chwili zapomniał o wszystkich wątpliwościach i urazach. Wyciągnął rękę ponad stolikiem i uściskał dłoń Brendy. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się ze smutkiem. W jej oczach pojawiła się tkliwość.

Nagle Wayne Sandborg skoczył na równe nogi.

- Dobry Boże! A cóż to takiego?

Łódź przybiła punktualnie.

Harry Shulz wysiadł z chevroleta, podążył na brzeg i wszedł do wody. Jego gumowe buty pluskały. Zbliżył się do dziobu. Jakiś marynarz wyciągnął rękę i pomógł mu wejść na pokład.

Z daleka było słycać wybuchy petard świątecznych, a niebo rozświetlały tysiące sztucznych ogni.

Marynarze wiosłowali szybko i umiejętnie. W poł godzinie dotarli do łodzi podwodnej.

Czekał tam Sepheriades i jego dwunastu ludzi oraz komendant jednostki morskiej. Z wyjątkiem dowódcy, wszyscy nosili zielone wojskowe drelichy, które mogły należeć do jakiegokolwiek armii świata, buty spadochroniarskie. Podobnie Harry Shulz.

W rękach trzymali broń.

- Ruszamy - rzucił Harry.

Komendant dał znak marynarzowi. Marynarz zamachał latarką kierując krótki pomarańczowy sygnał w stronę innego marynarza znajdującego się na wieżyczce. Ten zniknął we wnętrzu. I powolutku okręt zaczął sunąć naprzód, prawie bezszelestnie. Tylko lekkie buczenie dało się słyszeć pod pokładem. Harry Shulz spojrział na trójkąt piany podnoszącej się wokół dziobu, następnie zwrócił oczy na okręt wojenny tureckiej floty.

Sepheriades przysunął się do niego.

- Ten z prawej - szepnął.

- Tak - potwierdził Shulz.

Był to kontrtorpedowiec obwieszony girlandami kolorowych lampek elektrycznych. Zakotwiczono go w pewnym oddaleniu od reszty floty. Stał w odległości około mili morskiej od brzegu.

Okręt podwodny płynął ukosem, skręcił, ustawiając się prostopadle do rufy kontrtorpedowca w taki sposób, żeby nie zwrócić uwagi marynarza pełniącego wachtę przy trapie. Łódź zatrzymała się na ćwierć mili od okrętu.

- Joe! Jimmy! - zawołał cicho Harry.

Na to wezwanie Joe Stanzyk i Jimmy Kodesh stanęli obok komendanta łodzi podwodnej z lufami pistoletów maszynowych na jego biodrach.

- Oszalał pan! - zaprotestował komendant zwracając się do Harry'ego.

- Wcale nie. Podejmuję środki ostrożności. Nie zrobią panu nic złego.

- Jakie środki ostrożności?

- Na wypadek, gdyby po naszym powrocie nie było tutaj łodzi podwodnej. Rozumie pan, nie wiem, jakie rozkazy otrzymał pan w Tulonie. Może takie, żeby nas zostawić na łasce losu po wykonaniu zadania. A że nie mam ochoty wpaść w ręce Turków... O.K., Jimmy. Opiekuj się nim dobrze, tak jak ci mówiłem. Jedno głupstwo i sprzątasz go.

Harry Shulz zajął miejsce w szalupie u boku Sepheriadesa. Inni spuścili łódź na morze.

- Wiosłować po cichu, chłopcy - polecił Sepheriades.

Szalupa powoli zbliżała się do rufy kontrtorpedowca. Sunęła bezszelestnie pośród fal. Wkrótce dotarła na miejsce, okrążyła okręt przysuwając się jak najbliżej. Ukazał się trap. Marynarz oparty o reling trzymał karabin między nogami. Patrzył w niebo podziwiając gwiazdziste snopy ogni sztucznych.

Szalupa podpłynęła do trapu. Otarła się o kadłub. Marynarz się odwrócił. Zobaczył szalupę, chwycił karabin. To był jego ostatni gest.

W ręku Bucka "Chow" Carsona drgnęła dziewiątka z tłumikiem.

Kula trafiła marynarza między oczy. Zwalił się, wypuszczając karabin, i wpadł do wody.

Harry Shulz postawił nogę na drabince, za nim ruszyli Sepheriades i dziesięciu innych.

Weszli po drabinie i znaleźli się na pokładzie. Harry nie pomylił się. Miał rację licząc, że święto narodowe wymiecie okręt z oficerów i załogi. Otrzymali przepustki i okręt wojenny był pusty.

Dziesięciu

ludzi

pod

wodzą

Sepheriadesa

przeszukało

kontrtorpedowiec i znalazło zaledwie dwóch oficerów i ze dwudziestu członków załogi. Zamknięto ich wszystkich w mesie oficerskiej pod stracą Jerry'ego „Cherry” Wettgrena i Tommy'ego Yodkuna.

Sepheriades doskonale znał ten typ okrętu wojennego, ponieważ jednostki morskie używane przez marynarki grecką i turecką były identyczne w ramach ujednolicenia jednostek NATO (to przyczyna, dla której Shulz tak nalegał na Mike'a O'Shea, żeby znalazł mu byłego oficera marynarki - członka sił NATO).

Sepheriades i Harry zeszli do komory amunicyjnej, dostarczającej pociski dwóm czterodziałowym bateriom o kalibrze dziewięć i pół cala każda. Znajdowały się na dziobie.

Michel Corvet spróbował otworzyć drzwi pierwszej komory, ale potrząsnął przecząco głową: były zaryglowane.

Harry Shulz uśmiechnął się. Wyciągnął z kieszeni wąski rulon folii aluminiowej i wsadził go w otwór zamka; w rulonie było dwieście główek

zapalek. Z drugiej kieszeni wyjął buteleczkę z benzyną i zanurzył w niej wykałaczkę. Wykałaczkę umieścił w rulonie. Zapalił zapalniczkę i przytknął płomień do wykałaczki. Odskoczył do tyłu.

Nastąpił głuchy wybuch i drzwi zawisły na zawiasach. Shulz zrobił to samo z drzwiami drugiej komory. Gdy weszli do środka, Sepheriades zaczął działać, wydając równocześnie rozkazy. Uruchomił system elektryczny, który wprawiał w ruch dźwignie dostarczające pociski, zwolnił blokadę. Skończywszy, poszedł do stanowiska dowodzenia ogniem, pociągając za sobą wszystkich.

- Tam - Harry Shulz wskazał wzgórze, na którym wznosiła się ciemna bryła zamku utkana żółtawymi światłami.

Sepheriades

przeszukał

szuflady,

wyciągnął

lornetkę

-

elektrooptyczną i podniósł do oczu. Po chwili odłożył, wziął kartkę papieru i ołówek. Zabrał się do skomplikowanych wyliczeń. Sprawdził jeszcze siłę wiatru na rękawie i dryf okrętu na grawimetrze.

Wreszcie odetchnął z ulgą.

- W porządku? - zapytał Harry z lekkim niepokojem.

- Trafił pan na najlepszego strzelca królewskiej marynarki greckiej, przyjacielu - odparł Grek protekcyjnym tonem.

Sepheriades rozdysponował teraz ośmioma ludźmi, jacy mu pozostali. Zupełnie jakby chodziło o prawdziwą bitwę morską.

Wszyscy dokładnie wiedzieli, co mają do roboty. Tak świetnie Grek ich wytrenował przez pięć dni spędzonych na kalifornijskim ranczo.

W stanowisku dowodzenia ogniem Grek uruchomił głośniki i opuścił dźwignie mechanizmu podającego pociski.

- Kiedy osiem luf będzie załadowanych - poinformował Harry'ego dla celów edukacyjnych - wykona się próbny strzał jedną lufą, a potem cały komplet.

- A jak się nie uda próbny strzał, ile potrzeba panu czasu na korektę obliczeń? - zaniepokoił się Harry.

- Najwyżej kilka sekund. Przy obliczeniu przewidziałem różne hipotezy strzału. Na początek wybrałem najbardziej prawdopodobny.

Jeśli nie trafi, jestem pewien następnego. Ludzie są przygotowani. Trzeba tylko skorygować. Wiedzą, jak to zrobić, powtarzałem im. Dobra. Może mi pan pozwoli popracować? Proszę-podał Harry'-emu lornetkę elektrooptyczną.

- Może pan patrzeć z mostku. Proszę nie zapomnieć o pilnowaniu trapu. Mam nadzieję, że nie czeka nas niezapowiedziana wizyta.

Harry wziął lornetkę i odszedł.

Grek odzyskał cały autorytet oficera marynarki. Świetnie się czuł na stanowisku dowodzenia. Odżył.

Shulz z mostku rzucił okiem na drabinkę trapu, później na czarne fale. Woda była spokojna, nic nie wskazywało zbliżania się motorówki lub

łodzi.

Harry nałożył specjalny kask. Sepheriades zakupił te kaski w Tulonie, żeby ochraniały bębunki podczas odpalania pocisków. Shulz przygotował się do pierwszego strzału podnosząc do oczu lornetkę.

Świetny pomysł. Barto Scalisio o tym nie pomyślał!

Jego warowny zamek długo nie wytrzyma ataku dział dziewięć i pół calowych.

Wybuchnął śmiechem właśnie w chwili, gdy poszedł pierwszy strzał. Pocisk wylądował na murach obronnych.

- Cholera! - zaklął Harry.

Spojrzał zaniepokojony na stanowisko dowodzenia ogniem.

Sepheriades chybił swój pierwszy strzał.

W wieży - powiedziała Baricha - nie na murach, schronili się Barto i jego goście!

A jeśli Sepheriades chybi także za drugim razem?

Trzeba trochę czasu, żeby mechanizm załadował pociski do luf. A kilka sekund straty między pierwszym a drugim strzałem? To umożliwiłoby Bartowi ucieczkę!

O Boże! Żeby...

Buuuum!

Harry Shulz nie wierzył własnym oczom: wieża zwała się jak domek z kart!

Najpierw niby ucięty kapelusz grzyba podniósł się wierzchołek.

Potem opadł zwalając resztę murów. Towarzyszył temu fantastyczny

wybuch pomarańczowych płomieni, jak krater rzygający lawą.

Harry Shulz zaczął szydzić.

Żegnaj Barto Scalisio! Żegnajcie jego kumple!

Francois Lyończyk będzie zadowolony.

A on sam zarobił milion dolarów, minus koszty, oczywiście, dosyć duże.

Nie mógł się nacieszyć spektaklem, taki był uszczęśliwiony.

Nareszcie koniec!

Ktoś go pociągnął za rękaw. To Brian Fitzmorris.

- Chodźże, Harry, nie trzeba przeciągać. Turcy mogą wrócić.

Harry ściągnął kask i wrzucił go do morza, zachował jednak

lornetkę, zawieszając ją sobie na szyi. Poszedł za innymi. Wsiedli na

pokład łodzi. Harry upewnił się, czy Tommy Yodkun i Jerry "Cherry"

Wettgren są z nimi.

- Dobrze ich zamknąłeś? - zapytał Tommy'ego.

- Skuci łańcuchami!

Dick Van Dyck uruchomił silnik i łódź pełną szybkością ruszyła w

kierunku okrętu podwodnego. Jego położenie sygnalizowała cały czas

latarka marynarza na wachcie.

Trzeba jeszcze spotkać się z Barichą - przypomniał sobie Shulz, ale

pomyślał, że nie musi się spieszyć.

Zanim Turcy zareagują, zanim poślą ludzi na kontrtorpedowiec,

zanim zrozumieją, co zaszło, zanim podejmą decyzję poszukiwania

sprawców ataku, upłynie sporo czasu.

Może pomyślał, że to uderzenie Greków?

Nim flota odbije od brzegu, żeby ruszyć na bombardowanie Cypru...

Zaśmiał się.

- Co ci jest? - zapytał siedzący obok Dań Lishka.

- Tak sobie myślę...

- Trzeba przyznać, że twoje myśli to są gromy! Kto mógł wpaść na taki pomysł, jak ten? Moje gratulacje!

- Tylko że te przekłete pociski tak cholernie trudno było załadować, i te dźwignie, i ten piekielny hałas - narzekał Jack Goepner. -

Zapamiętamy to! Jedno tylko: długo nie trwało! Dziesięć kafli za taką krótką robotę, pierwszy raz w życiu coś podobnego mi się trafiło!

- Masz rację z tymi dźwigniami - dodał Phil "Horny" DeLaYalle. -

Strzaskalem sobie palec. No, Harry! Zapłaciłeś ubezpieczenie za wypadek przy pracy?

Wszyscy się roześmieli.

Ukazał się dziób łodzi podwodnej. Skoczyli na pokład. Harry w towarzystwie Dana Lishki, Joego Stanzyka i Frankie Zubergera przesiedli się znowu na szalupę i popruli do brzegu na wysokości miejsca, gdzie Shulz zostawił samochód i umówił się z Barichą.

Harry Shulz rozmyślał.

As z tego Sepheriadesa - przyznał w duchu. - As, który zasłużył na swoje 50 tys. dolarów. Trzeba mu się nisko pokłonić! Tylko na podstawie zdjęć, które mu pokazał, od razu wiedział, że akcja się uda. Zdjęcia zrobione z zatoki przedstawiały zamek i turecką flotę.

**Jakże ten jego fajerwerk dobrze szedł w parze z ogniami sztucznymi
na cześć święta narodowego! Gwóźdź wieczoru. Uwieńczenie dnia!**

Pan Harry Shulz, Wielki Pirotechnik święta narodowego.

Diabelski Sepheriades! Za drugim razem trafił w dziesiątkę!

Niezbyt piękny widok przedstawia Barto! W kawalkach!

**To fuks, że Baricha mu wspomniała o święcie narodowym. I że miał
ten genialny pomysł. Bo normalnie na okręcie wojennym byłby komplet
oficerów i pełna załoga i trzeba by całej armii, żeby osiągnąć cel.**

**Kil łodzi zarył się w dnie. Harry skoczył do wody. Doszedłszy do
brzegu udał się tam, gdzie zaparkował swego chevroleta. Cały czas
bacznie obserwował okolicę. Nigdzie śladu Barichy.**

Chłodno, więc czeka pewnie w wozie - pomyślał.

**Znalazł chevroleta, ale drugiego samochodu nie było. Poszedł
trochę dalej do szosy. Stwierdził bez wątpliwości: Barichy nie było.**

ROZDZIAŁ XXIX

**Kim był ten włóczęga, z którym rozmawiała Claire Dyksen? Baricha
Cloakman zadawała sobie to pytanie, ale nie znajdowała odpowiedzi.**

**Później zaintrygowana zobaczyła jakąś parę, która usiadła przy
stoliku tej kurwy.**

Co ta dziwka knuła?

**Baricha wstała, wzięła swoją torbę i obeszła dookoła restaurację od
zewnątrz.**

**Claire Dyksen źle doprawdy wybrała ten kąt za dużą rośliną. Akurat
w rogu. To umożliwiło Barisze podsłuchać znaczną część rozmowy.**

Mikrofony?...

Brenda?... Dziewczyna nie nazywa się więc Claire?

Mikrofony zainstalowane na miejscu?...

I ten typ wie, że wysłano zawodowego mordercę do zlikwidowania

Barta...

Francuzi...

A ta druga dziewczyna z nimi? Kto to?

Mikrofony...

Nagle pojęła: ta fałszywa Claire Dyksen szpiegowała Barta! O mało nie skonała ze śmiechu.

To zmienia wszystko!

Tak! To zmienia wszystko!

Dlaczego pozwolić na zabicie Barta? Nie ma powodu tracić kury znoszącej złote jajka. Jedyne, co ma do zrobienia, to uprzedzić Barta, że Claire alias Brenda go zdradziła, że pracuje dla glin, że go szpieguje, że zainstalowała mikrofony. Łatwo sprawdzić. Tak, ten typ musi być gliną.

Ma to wypisane na twarzy. Powie także Bartowi o zabójcy. Nie trzeba mu wspominać, że sama była z nim w zмовie.

Pobiegła do samochodu, uruchomiła i ruszyła do zamku.

Tak, nie ma potrzeby wspominać Bartowi, że i ona była w zмовie, że zna zabójcę. Powie mu tylko, że w toku rozmowy usłyszała, że pewien morderca jest na jego tropie i ma wykonać kontrakt tego wieczoru.

I co wtedy zrobi Barto? Jak go zna, przy jego gwałtownym temperamencie, dostanie szalu i zabije tę kurwę.

A kto zajmie znowu swoje miejsce, jak dawniej?

Ona!

Ona, która uratowała mu życie!

Uratowała życie?

A jeśli już za późno?

Jeśli zabójca właśnie wykonuje swój “kontrakt”?

Ale jak?

Żałowała, że jej nie powiedział, w jaki sposób zamierza działać.

**Docisnęła pedał gazu, zaledwie zwolniła na punkcie kontroli
strzeżonym przez wąsatych górali, tylko po to, żeby ją rozpoznali.**

**Do licha! Gdyby przynajmniej wiedziała, jak ten typ zamierza
działać!**

Doprawdy, nie ma już żadnego powodu, żeby pomóc w zabiciu

**Barta. Przeciwnie. Barto niczego już jej nie odmówi. Uratowała mu życie i
wydała w jego ręce szpiega. To dobra małpa ta fałszywa Claire! I ta cała
komedia!**

**Wpadła jak bomba na dziedziniec zamkowy i rzuciła się ku sali, w
której znajdował się Barto wraz ze swymi gośćmi. Ktoś z obstawy
zagroził jej przejście.**

**- Nie wolno wchodzić! - powiedział stanowczo. Wbiła mu paznokcie
w oczy, utorowała sobie przejście, rzuciła się na drzwi, otworzyła.**

Od razu spostrzegła wśród obecnych Barta, podbiegła do niego.

**- Co ty tu robisz? - wykrzyknął wściekły. - Powiedziałem, żebyś
znikła. Żadnych babek w okolicy, jak prowadzę interesy.**

- Posłuchaj! - błagała.

- Zjeżdżaj! Spoliczkował ją.

- Zjeżdżaj, mówię!

- Chcą cię zabić, Barto! - krzyknęła.

- Co takiego?

- Twoja dziewczyna jest w hotelu w mieście z glinami! Podłożyła ci

wszędzie mikrofony i jeszcze do tego nasłali mordercę, żeby cię zabił.

Jesteś zadowolony?

Rozplakała się z wściekłości.

Złapał ją za ramię i wyprowadził z sali.

- Co ty wygadujesz? Oszalałaś?

- Sam zobacz, jak mi nie wierzysz!

- Do diabła! - zaklął. - Jeśli pleciesz bzdury...

- Ona jest z glinami, Barto!

Niemal wykręcił jej ramię pociągając na dziedziniec.

- Gdzie twój wóz? Dobra... Wsiadaj i prowadź. I gaz do deski!

Wrzuciła jedynkę, kiedy wybuchnął pierwszy pocisk. Barto Scalisio

podskoczył.

- Co to ma znaczyć?

Baricha Cloakman natychmiast wszystko zrozumiała.

- To zbrodniarz. Zbombarduje nas. Wiejmy stąd, Barto!

- Masz rację - wykrzyknął. - Pędź, zanim wybuchnie następny.

Samochód skoczył do przodu i przejechał główną bramę

wjechał na drogę. Za nimi słyhać było ogłuszający huk eksplozji.

- Zatrzymaj! - rozkazał Barto.

Wysiadł z samochodu patrząc ze zdumieniem na płomienie unoszące się nad zniszczoną wieżą.

- Kurwa mać! -zasyczał. Uwiesiła się na jego ramieniu.

- Uratowałam ci życie, Barto. Poklepał ją po plecach.

- Tak, możesz tak powiedzieć!

Otrząsnął się natychmiast.

- Siadaj za kierownicą i zawieź mnie do Claire.

- Z przyjemnością, musisz jeszcze wiedzieć, że nie nazywa się

Claire, ale Brenda.

Milczał, skinął tylko głową. Pożałował nagle, że nie wziął swoich goryli. Nie tych dwóch frajerów oczywiście, których zabrał do Singapuru, a oni tak dokumentnie się zgubili w dzielnicy chińskiej, że musiał wracać do Bejrutu bez obstawy.

Powinien był wziąć z sobą Carla i Giacchino. Tym bardziej że w ten sposób uratowałby im życie.

Na pewno zginęli wraz ze wszystkimi. Cała jego organizacja unicestwiona...

Ogarnęła go wściekłość. Wsunął rękę pod lewą pachę i dotknął pistoletu. Nie rozstawał się z nim nigdy.

- Podobno to pewniak, ten zabójca - skomentowała Baricha, zaskoczona jego gestem.

- Pewniak czy nie...

Ludzie wykrzykiwali na ulicy. Wrzawa straszliwa. Tłum odpływał.

Wszyscy czworo wyszli z restauracji na odgłos eksplozji i stali teraz pod murem budynku. Patrick Baudouin przyciskał Brendę, jakby chciał ją ochronić przed niebezpieczeństwem. Czuł, że była zdenerwowana do ostateczności. Żeby ją trochę rozerwać, udał, że żartuje.

- Wiesz, przed chwilą omal nie poderwałem innej dziewczyny.

- Ach, tak - rzekła.

- Miała takie same inicjały, jak ty: BC. Zabawne, prawda?

- BC?

- Tak. Złote litery na torbie z krokodyla. Brenda zadrżała.

- Co ci jest?

- O, nie! - westchnęła - Byle nie ona! — Znasz ją?

Skinęła głową.

- Może mnie nie widziała.

- Ale... dlaczego? Też jest wplątana w waszą aferę?

- Tak.

- A inicjały, to zbieg okoliczności?

- Inicjały nie mają znaczenia. Rozmawiałeś z nią?

- Nie.

- Chyba mnie nie widziała? Byłam przecież schowana za tą rośliną.

- A gdyby cię zobaczyła, to coś poważnego?

- Mogłaby zacząć podejrzewać.

Patrick nie śmiał pytać, jakie podejrzenia miałyby dziewczyna.

Moment nie wydawał mu się odpowiedni na takie rozmowy.

Wayne Sandborg i Kate precyzyjnie się do nich.

- Z tego, co widziałem, wynika, że strzelał jeden z okrętów wojennych przycumowanych w zatoce. Może dla uczczenia święta narodowego?

- A wybuchy? - zapytała Brenda.

- Stąd nic nie widać - odpowiedział Wayne Sandborg. - Tłum uniemożliwia poruszanie się.

- A może okręt strzelał w zamek? - podsunęła myśl Brenda. -

Morderca, o którym wspominaliście, miał wykonać "kontrakt" tego wieczoru?

Wayne Sandborg skrzywił się.

- Nie przesadzajmy.

- Mówiłeś, że to pewniak - dodała Kate Kitzpack. - Pewniak stosuje oryginalne środki!

- Brenda, mogłabyś się upewnić? - zapytał Wayne Sandborg. - W zamku jest telefon?

- Oczywiście.

- Wróćmy więc do restauracji. Stamtąd zatelefonujesz.

- Nie można jechać w tym tłumie - narzekała Baricha.

- Daleko jeszcze? - spytał Barto Scalisio.

- Najwyżej dziesięć minut na piechotę.

- Zostaw samochód, pójdziemy pieszo - zdecydował.

- Jak chcesz.

Zaparkowała na poboczu, wynurzyli się z samochodu w sam środek wrzeszczącego i wściekłego tłumy. Niektórzy wykrzykiwali jakieś hasła.

- Co oni tam krzyczą? - zapytał Barto Scalisio wiedząc, że Baricha rozumie po turecku.

- Że to atak Greków, że im się zrewanżują i wszystkich zmasakrują.

Barto Scalisio wzruszył ramionami, wziął Barichę pod rękę i poprowadził pod prąd idącego po obu stronach drogi tłumu. Wkrótce doszli do pierwszej ulicy w mieście.

- Którędy? - niecierpliwil się Barto. - Tędy.

Na szczęście morderca nie wie, że on się tu włóczy - pomyślał

Scalisio - bo łatwo by mu przyszło go sprzątnąć. Nóż między zebra i ani widu, ani slychu.

Baricha chyba mówiła prawdę. Tak więc to Claire go wydała.

Dziwka!

Ogarnęła go znowu wściekłość.

Zapłaci mu drogo! Brzytwą ją zabije. Starą brzytwą, wyszczerbioną.

Tą samą, którą ukarał tę dziewczynę na Sycylii, gdy go rzuciła dla innego.

Pojadą wszyscy troje w wozie Barichy do Libanu. Nie może już tu zostać. Ale w drodze do Libanu, przed przekroczeniem granicy syryjskiej, zatrzyma się w jakimś zacisznym kącie. I wtedy weźmie się do Claire.

Najpierw piersi, żeby była zupełnie płaska... Potem... brzuch...

Może pozwoli też Bariszy zabawić się z nią? Zasłużyła na taką przyjemność.

A jak zna Barichę, Claire nie poczuje się w raju.

Co właściwie powiedziała Baricha? Że Claire nie nazywa się Claire, ale Brenda?

Pierwszą rzeczą do zrobienia w restauracji będzie sprzątnięcie glin, którzy są z Claire. Nie powinno to być trudne w tym burdelu, jaki panuje w mieście. Sprzątnąć gliny, ale nie Claire.

Kulka w łeb to za łagodna dla niej kara.

- Daleko jeszcze?

- Już dochodzimy.

Harry Shulz dojechał na odległość stu metrów do Güney Palas. Nie mógł się dalej precysnąć. Tłum był zbyt gęsty.

- Pilnuj wozu! - rzucił do Dana Lishki.

Razem z Frankiem Zubergiem torowali sobie drogę wśród tłumu.

Trzymali ręce w kieszeniach na rękojeściach pistoletu. Nigdy nie wiadomo, jak zareagują na widok dwóch cudzoziemców. Ludzie byli rozwścieczeni, wykrzykiwali.

Już na nabrzeżu Harry się zawahał. Logika nakazywała wsiadać z powrotem na szalupę i wrócić na okręt podwodny. Ale zawsze w swoim życiu był w porządku. W porządku wobec klientów, wobec przyjaciół, wobec tych, którzy mu pomogli.

A Baricha mu pomogła. Obiecał, że ją wywiezie z Turcji. Musi dotrzymać obietnicy.

Może ma kłopoty? Może nie mogła na czas opuścić zamku? Nie podejrzewała niczego, bo nie wiedziała, że "kontrakt" dokona się przez bombardowanie. W takim razie już nie żyje.

Ale może być także w Güney Palas, to było drugie umówione miejsce, gdyby nie mogła się zjawić na nabrzeżu.

Trzeba spróbować. Oczywiście, istniało ryzyko. Turcy mogli już wysłać patrole morskie, a nawet gdyby nie odkryli łodzi podwodnej, zdjąć Harry'ego i kumpli w drodze na okręt. Harry liczył jednak na chaos, który zawsze następuje po tego typu niespodziewanej akcji. W ten sposób zyskałby na czasie.

- Nie uważasz, że byłoby lepiej zmywać się stąd? - powiedział

Frankie Zuberg. - Nie mam zaufania do tego twojego pomysłu. Jesteś pewien?

- Tak.

- Jeszcze daleko?

- Dochodzimy.

Joe Stanzyk został w łodzi, żeby nie było niespodzianek przy powrocie. Można na niego liczyć. Poważnie podchodził do swoich zadań.

Doszli do rogu ulicy. Restauracja była po drugiej stronie. Przecięli tłum i zatrzymali się na przeciwległym chodniku. Harry Shulz, a tuż za nim Frank Zuberg, weszli do środka, rozejrzeli się po sali, ale nigdzie nie było Barichy.

- Nic z tego! Chodź, spieprzamy - niecierpliwił się Frank Zuberg.

- Poczekaj.

Zajrzeli do drugiej sali czynnej zimą i połączonej z hallem hotelowym. Ale i tam nie znaleźli Barichy.

- Mówiłem, nic z tego - nalegał znowu Frank Zuberg. - Lepiej się stąd ulotnić. Zacznie śmierdzieć i znajdziemy się w tarapatach.

Zwariowałeś, żeby robić tyle zamętu dla jednej kurewki.

- Nie twoja rzecz. W przejściu Harry zatrzymał kelnera, który

wielokrotnie obsługiwał Barichę i zapytał o nią.

- Była tu przed chwilą, ale wyszła - odpowiedział kelner. - Zamówiła

martini, nie wypila. Nawet nie zapłaciła. Jak podalem, już jej nie było.

Harry zmarszczył brwi.

Wyszła? Dokąd mogła iść? Na pewno nie minął się z jej

samochodem na drodze. Z żadnym samochodem zresztą się nie minęli.

Spojrzał na zegarek.

Frank Zuberg miał rację. Czas płynął w zawrotnym tempie. Tracił

cenne minuty, a tym samym podejmował ogromne ryzyko.

A jeśli tamci na łodzi podwodnej przerażeni zwiali nie czekając na

nich?

Tym gorzej dla Barichy. Trzeba się dostać na okręt.

Pocieszała go myśl, że Baricha i tak jest wolna, przecież Barto nie

żyje.

- O.K., Frankie. Zmywamy się. Frankie Zuberg odetchnął z ulgą.

- I to szybko!

Przeszli z powrotem przez jedną salę restauracyjną i otworzyli

drzwi do drugiej.

- Dan pewno tam osiwił w gablocie.

- A Joe w szalupie.

- Masz rację. Nie mówiąc o tych w łodzi podwodnej.

Harry Shulz stanął nagle jak wryty. Spostrzegł Barichę.

- Na co czekasz? - wściekał się Frankie Zuberg.

- Dziewczyna tu jest.

Baricha stała tyłem do niego przy wejściu do restauracji. Zrobił

krok w jej stronę. W tym momencie zobaczył mężczyznę, który coś mówił do Barichy. Harry'ego ze zdumienia zatkało.

Barto Scalisio!

Taki, jakiego widział w Singapurze.

Do cholery - zaklął w myśli. - Ten facet to diabeł wcielony! Jak to zrobił, żeby ujść cało z bombardowania zamku?

- Oto i oni - usłyszał krzyk Barichy.

Widział, jak Barto wyciąga pistolet spod pachy i celuje przed siebie.

- Zabij ich - krzyczała Baricha - przede wszystkim ją! Czwooro ludzi wyrosło nagle przed Bartem i Barichą.

Dwóch mężczyzn i dwie kobiety.

Wśród nich Harry rozpoznał dziewczynę, która towarzyszyła

Sycylijczykowi w Singapurze. To w nią Barto celował.

Jeden z mężczyzn, stojących obok dziewczyny, rzucił się do przodu.

Barto się zachwiał i wylądował na siedzeniu. Ale pistolet ciągle trzymał w ręce.

Padł strzał. Drugi mężczyzna zachwiał się i upadł, wypuszczając z ręki broń. Baricha natychmiast ją podniosła.

Harry Shulz strzelił.

Kula trafiła Barta Scalisio w prawą skroń rozwalając mu czaszkę.

Harry posłał mu jeszcze dwie następne kule w głowę.

Baricha wytrzeszczyła oczy, odwróciła się na pięcie i wycelowała w

Harry'ego. Kula Franka Zubergera trafiła ją między oczy, druga w czoło.

Jakby czerwona aureola otoczyła włosy. Poleciała do tyłu.

Mężczyzna, który wylądował u stóp Barta Scalisio, obryzgany krwią, wymiotował na nieskazitelnie czyste buty Sycylijszyka.

Dziewczyna, która była z Bartem w Singapurze, zupełnie roztrzęsiona, stała oparta o ścianę. Druga pochylała się nad mężczyznę, trafionym przez Barta.

Harry Shulz ogarnął scenę jednym rzutem oka. - Chodź - rzucił do

Frankie Zubergera - nie mamy tu już nic do roboty.

Schowali broń, wyszli z restauracji rzucając się w tłum.

Tym razem - powiedział sobie Harty - Barto Scalisio jest martwy i to martwy na fest.

Miał sobie za złe słabość do Barichy. Raz jeden naruszył żelazną zasadę: nigdy zbyt nie ufać kobietom...

W każdym razie jeszcze nie pora wystawać w biurze pośrednictwa pracy. Jeszcze raz udało mu się wykonać "kontrakt".

- Dostać w ramię! - zaklął Wayne Sandborg. - Skurwiel nad skurwielami, i to w rękę od trzymania spluwy.

- Co to ma za znaczenie? - uspokajała go Kate. - Kto inny wykonał robotę.

- Pewniak... - westchnął Wayne. - Miał rację Joe La Casa.

Stuprocentowy pewniak! Ale na miły Bóg, kto to może być? Nie figuruje w naszych kartotekach, jestem przekonany, miałem czas obejrzeć jego twarz.

Karetka stanęła przed szpitalem.

- Gdzie Brenda? - zapytał, gdy pielęgniarze wyciągnęli nosze.

- Na policji. Z Patrickiem Baudouinem. Wóz policyjny jechał też zresztą za nami. Myślisz, że jakoś wypłaczymy się z tego?

- Pokażesz im moją kartę. Tę z FBI. Nie, z DEA. Turcy pozwolili znowu na uprawę maku, współpracują jednak z nami.

- Nie martw się o pistolet. Ta dziewczyna miała go w ręce, jak znaleziono jej zwłoki.

- A morderca, nie złapali go?

- Skąd mam wiedzieć?

- Dowiedz się, interesuje mnie to. Takie typy są zawsze potrzebne.

Do diabła, jak mnie to boli!

Dan Lishka nie bawił się w ceregiele. Jak tylko Harry Shulz i Frank

Zuberg wsiedli do chevroleta, ruszył jak burza, przewracając trzech czy czterech przechodniów.

Na długich światłach, naciskając klakson, pędził jak szalony, mało

kłopotząc się o ludzi, którzy nie zdążyli zejść mu z drogi. Zderzakiem

odrzucał ich na pobocze. W rekordowym czasie dojechali do nabrzeża i wskoczyli do łodzi.

Sepheriades przyjął ich na mostku łodzi podwodnej z

przeżeniem.

- Oszalał pan! - krzyknął do Harry'ego. - Ryzykujemy życiem

czekając tutaj. Gdyby pańscy dwaj ludzie nie zagrozili komendantowi, popłynąłby bez was.

Harry odsunął go niecierpliwym gestem.

- Wszyscy na dół.

Tam, na dole, nie słuchał nawet wściekłych protestów komendanta.

Wziął na bok Sepheriadesa.

- Uwaga na współrzędne, żeby odnaleźć trampa - nakazał.

- Niech pan się o to nie martwi, mam oczy otwarte. Odwrócił się do

Jimmy'ego Kodesha i Bucka "Chow" Carsona, który zastępował Joe

Stanzyka przy pilnowaniu komendanta. Obaj podeszli do oficera.

- Dobra robota, chłopcy. Jimmy Kodesh mrugnął okiem.

- Nie było łatwo: typas chciał podburzyć swoich ludzi przeciw nam.

**Trzeba było mu zagrozić, że wszystkich rozstrzelamy, dopiero się
uspokoił.**

**Harry Shulz był zadowolony, że przewidział inny sposób ucieczki,
niż łodzią podwodną.**

Jakie miał pojęcie o planach Francois Lyończyka? Metody Barta

Scalisio mogły mu podsunąć kilka pomysłów pozbycia się Harry'ego. Z

drugiej strony, biorąc pod uwagę łatwość, z jaką Francuz zdobył łódź

podwodną, można by sądzić, że korzysta z bardzo wysokich chodów we

Francji. Może nawet w służbach specjalnych.

Wniosek: kto może zagwarantować, że jak wszyscy wysiądą w

Tulonie z okrętu podwodnego, nie znajdą się w rękach agentów jakiejś

służby, że ich nie zawiozą w ustronne miejsce i nie zlikwidują?

Harry Shulz przypomniał sobie Algierię i łatwość, z jaką francuscy

agenci specjalnych służb stosowali masowe egzekucje. A wielu z nich

rekrutowało się ze środowisk przestępczych. Tak jak Francois Lyończyk i ci, co za nim stali. Życie zawodowych morderców nic dla nich nie znaczy.

Tramp wynajęty u agenta morskiego na Malcie stanowił dla Harry'ego środek ucieczki.

Ileż razy taki rodzaj ostrożności ratował mu życie? Niezliczoną!

Nieraz się zdarzało, że klient po wykonaniu kontraktu miał tylko jedną myśl: jak pozbyć się wykonawcy? W jakikolwiek sposób. Tutaj, istotnie, klient miał niezawodny sposób - łódź podwodną.

Szczęśliwie o wszystkim pomyślał.

Jeszcze raz wziął Sepheriadesa na stronę:

- Czy drugi oficer potrafi doprowadzić łódź podwodną do Tulonu?

- Tak.

- Dobra.

Płynęli jeszcze dobre pół godziny. Okręt był ciągle w zanurzeniu.

W pewnej chwili Sepheriades podniósł rękę.

- Wynurzenie! - rozkazał.

Harry Shulz przetłumaczył komendantowi na francuski.

- Po co? - buntował się komendant. Harry uśmiechnął się ironicznie.

- Tu was opuszczamy, komendancie. Doceniam gościnność francuskiej marynarki, ale co za dużo to niezdrowo.

- Nie wracacie z nami do Tulonu?

- Dziękuję za zaproszenie. Może innym razem... A poza tym trochę tu ciasno. Moi ludzie tego nie lubią. Wolą przestrzeń, rozumie pan?

Komendant zmarszczył brwi. Zaniepokojenie pojawiło się na jego twarzy. Spojrzał na broń, którą mocno trzymali w rękach Buck Carson i Jimmy Kodesh, i utkwil wzrok w dwóch marynarzach. Patrzyli na niego, jakby prosili o potwierdzenie.

Harry Shulz zasepił się.

Knul jakiś zdradziecki cios?

- Wynurzenie! - rozkazał w końcu komendant sternikowi, a ten przekazał rozkaz przez głośnik do przedziału siłowni.

- Peryskop - polecil Sepheriades. Shulz znowu przetłumaczył.

Rozkazy następowały po sobie. Skinieniem głowy komendant je potwierdzał.

- W porządku - ogłosił wreszcie Sepheriades, odchodząc od okularu peryskopu. - Tramp jest zaledwie o milę.

Harry odetchnął z ulgą. Obawiał się przez chwilę, czy agent morski z La Valletta nie wystawi go do wiatru.

Stanęli na mostku lśniącym od wody w promieniach księżyca.

Tramp dawał uzgodnione sygnały świetlne.

Wkrótce łódź przybiła do okrętu podwodnego. Rozegrała się wtedy błyskawiczna scena.

Pod groźbą broni Michel Corvet, Dick Van Dyck, Dan Lishka i Jack Goeppner wtłoczyli marynarzy do mesy, równocześnie Buck Carson i Jimmy Kodesh brutalnie pochwycili komendanta wrzucając go na dno łódki.

Harry Shulz zbliżył się do niego z trudem utrzymując równowagę,

bo fala była potężna. - Zabieramy pana jako zakładnika - oświadczył łagodnie. - Zawsze słyszałem, że łodzie podwodne są wyposażone w wyrzutnie torpedowe. Nie chciałbym, żeby jedna z waszych torped zepsuła nam drogę powrotną. Będzie pan naszym gwarantem, że taki wypadek nie nastąpi.

- Złożę raport po powrocie do Tulonu – rzucił z wściekłością komendant. Harry Szulz zaśmiał się.

- Otóż to! Niech pan złoży raport! Ale proszę się zupełnie nie obawiać, nic złego pana nie spotka. Nie jesteśmy zbrodniarzami! - powiedział Harry wesóło. - Uwolnimy pana, damy bilet lotniczy i będzie pan mógł wrócić do Francji.

Kapitan trampa był na mostku: stary Maltańczyk, źle ogolony, o podejrzliwych oczach. Spoglądał na defilujących przed nim czternastu mężczyzn. Jego wzrok zatrzymał się na uniformie komendanta łodzi podwodnej.

Harry Szulz razem z Sepheriadesem pociągnęli kapitana na bok i dali mu instrukcje.

- Najlepsze rozwiązanie - wykombinował Harry - to kazać się wysadzić na Malcie. Paszporty mają w porządku, dotrą do Hiszpanii, a stamtąd do Stanów.

Maltański kapitan skinął głową i gardłowym głosem wydał rozkazy swoim ludziom.

- Trzeba szybko działać - powiedział wskazując palcem światła. -

Musiało coś się wydarzyć. W radiu Turcy są bardzo podekscytowani. Nie

zdziwilbym się, gdyby wysłali jednostki i kontrolowali wszystkie okręty znajdujące się w okolicy.

Patrick Baudouin objął Brendę i przewrócił ją na łóżko, ale odczytał w jej oczach nieme błaganie.

- Nie teraz, Patrick - szepnęła.

Sceny śmierci, przesłuchanie w policji, to wszystko bardzo ją wyczerpało. Puścił ją ze złością.

- Może byś wreszcie wyjaśniła - wrzasnął.

- Dobrze, Patricku.

Usiadł naprzeciw niej.

- Słucham cię.

Wiedziała, że nie może wyznać całej prawdy, bo straciłaby go na zawsze. Kochała Patricka i nie chciała go utracić. Trzeba kłamać. Czy nigdy się nie wyzwoli z ciągłego kłamstwa?

ROZDZIAŁ XXX

- Zostawisz ją teraz w spokoju? - zapytała Kate.

Wayne Sandborg potrząsnął głową na znak niemożności.

- To nie ja decyduję. Przygotowałem raport pochwalny i poprosiłem, żeby ją zwolnili. Mam nadzieję, że zastosują się do mojego wniosku. To wszystko, co mogłem zrobić.

- Ciągle ta stara sprawa zabójstwa na Manhattanie?

- Tak. W ten sposób ją zwerbowali w Waszyngtonie.

- Jak myślisz? Przyznała się Patrickowi, że była jedną z najpopularniejszych call-girls w Nowym Jorku?

- Tego nie powiedziała. Tak samo, jak mu nie powiedziała, że była wplątana w sprawę morderstwa; że dzięki zachowanym dowodom obciążającym zmuszono ją do życia z Bartem Scalisio; że jej zadaniem było wyciągnąć od niego niezbędne dla nas informacje, konieczne do spowodowania ekstradycji. Nie powiedziała mu także o agencji call-girls, dla której pracowała i którą kontrolujemy. Zresztą gdyby Barto nie zwrócił się do tej agencji, znalazłby się inny sposób, żeby mu podsunąć Brendę. Trzeba przyznać, że fantastycznie sobie poradziła. Przetrwac tak długo przy Barto, podczas gdy wszystkie inne wyrzucał w ciągu tygodnia!...

- Jakie wytłumaczenie przedstawiła Patrickowi?

- Tajny agent FBI.

- Jak przyjął jej spanie z Bartem?

- Źle.

- A jak to się skończyło?

- Jej na nim zależy. Zrobi wszystko, żeby go zatrzymać. Spała z

Bartem w szlachetnej sprawie itd. Zabawne, co?

- A on?

- Myślę, że też jest bardzo zakochany.

- Mało wybredny. Dziedziczyć po Barcie...

- To prawda. Ale...

- Ale co?

Wayne Sandborg przybrał minę natchnioną.

- Słyszałaś kiedyś o Wiktorze Hugo?

- Wiktor, jak?

- Wiktor Hugo. Wielki pisarz francuski.

- No, no! Jesteś odczytany! To wchodzi w zasób wiadomości koniecznych, żeby wstąpić do FBI?

- Jak byś zgadła. A więc, Wiktor Hugo w ubiegłym wieku napisał sztukę teatralną pod tytułem "Marion Delorme". Opowiada o pewnej kurtyzanie, przemienionej przez miłość czystą i szczerą. Może Patrick Baudouin zachował w pamięci temat tej sztuki? Jest przecież Francuzem, jak Hugo. A Francuzi są sentymentalni.

Kate Kitzpack uśmiechnęła się ironicznie.

- I ty w to wierzysz? Wzruszył ramionami.

- To sprawa ich dwojga.

- A jeśli twoi szefowie z Waszyngtonu nie zgodzą się na zwolnienie Brendy, co się stanie z tą odrodzoną miłością?

- Brenda zarobiła dużo pieniędzy jako call-girl. Była dostatecznie przezorna, żeby tego nie roztrwonić. Otrzymała także wysoką premię w Waszyngtonie. Gdy ją widziałem ostatnim razem, prosiła mnie o radę. Wbrew interesom moich szefów poradziłem, żeby wzięła całą forszę i zaszła się razem ze swoim Patrickiem w jakiś ką, gdzie nawet wyborowy agent z Waszyngtonu nie mógłby jej znaleźć.

- Istnieją takie miejsca? Na pewno nie dla mordercy Barta. On znalazłby nawet czerwoną mrówkę w dżungli Nowej Gwinei!

Wayne Sandborg zamyślił się.

- Interesują się nim w Waszyngtonie - wycedził powoli. - Bardzo by

chcieli go znaleźć, mieliby dla niego robotę...

Harry Shulz zrobił rachunki.

W ciągu sześciu miesięcy wydał około 437 tysięcy dolarów. Złożyły się na to kwoty wypłacone: Juddowi Johanssonowi, adwokatowi.

Rogazzino, Ahmedowi Toufi, Aboudowi Staboulie, agentowi morskemu w La Valletta, Mike'owi O'Shea, Katzolakisowi, Parygorisowi, przedstawicielowi włoskiej firmy samochodowej w Nikozji, Sammy'emu

Rosenthalowi, ormiańskiemu dostawcy okrętowemu w Izmirze, kapitanowi portu na Rodos, Sepheriadesowi i dwunastu członkom TRAK.

A ponadto podróże, wydatki i różne zakupy, takie jak chevrolet czy "Kopciuszek" od Mike'a O'Flaherty.

"Kontrakt" przyniósł mu 563 tysiące dolarów. Nieźle!

Odłożył ołówek i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

Może by odpocząć?

Na Wyspach Bahama na przykład. Włóczyła się tam zawsze masa rozleniwionych dziewcząt, które ożywiał tropikalny upał. Czyż nie ma ponadto wystarczającego powodu, żeby się tam wybrać? A 400 tysięcy dolarów ulokowane na 40 procent w handlu bronią? Zdecydował: jedzie na Bahama.

Wstał, podszedł do małego stolika. Z wiaderka z lodem wystawała złota szyjka butelki szampana. Nim ją odkorkował, poglądził pieszczotliwie etykietkę z napisem: Comtes de Champagne TAITTINGER 1969. To jego ulubiony szampan. Najlepszy, jego zdaniem. Był gotów sam jeden wypić całą butelkę, żeby oblać sukces ostatniego "kontraktu".

**Korek wyskoczył. Szampan zaczął musować w kielichu. Jednym
haustem go opróżnił, odstawił, nappełnił na nowo i przekręcił gałkę radia.**

Głos

Chetta

Wyneberga,

dyskdżokeja

Listeners'

Choice

**przypominał: "...materace Kallson, materace wygodne, materace, które
nigdy wam nie sprawią zawodu. Nawet w ostatecznym momencie, kiedy**

Pan Bóg powoła was do siebie, jakże miło jest umierać na materacu

Kallson. A teraz nasza pierwsza płyta. Dla pana H.S. Marrowstone z

Nowego Jorku od panny Clary Broodsky z Poughkeepsie, z okazji 35

urodzin, stary przebój Franka Sinatry z lat czterdziestych: "Mam'zelle".

A smali cafe Mam'zelle

a rendez-vous, Mam'zelle

The violins were warm and...

Harry zamknął radio.

Poszukują go do nowego "kontraktu".

Zawahał się...

Wyspy Bahama czy...

Gdyby nie "kontrakty", czy jego życie miałoby sens?

Miał nadzieję, że proponowany "kontrakt" trzeba wykonać za

granicą, uwielbiał podróże.

**Nie znaczy to, że nie lubił Stanów Zjednoczonych! Chociaż jego kraj
pozbył się najlepszego prezydenta jakiego kiedykolwiek miał.**

Do diabła! Gdyby się do niego zwrócili... Własnymi metodami, on,

Harry Shulz, szybko by zatuszował aferę Watergate!...

KONIEC